

**Desmond Bagley**

# **Osuwisko**



## I

Wysiadłem w Fort Farrell bardzo zmęczony. Po dłuższej jeździe autobusem, nawet przy bardzo miękkim zawieszaniu i najwygodniejszych fotelach człowiek czuje, jakby kilka ostatnich godzin przesiedział na worku kamieni. Byłem, więc zmęczony, a Fort Farrell na pierwszy rzut oka nie sprawiał najlepszego wrażenia. Napis przy wjeździe głosił: „Największe miasteczko na Północnym Wschodzie”. Ktoś najwyraźniej zapomniał o istnieniu Dawson Creek.

Tu kończyła się trasa, ale kierowca nie czekał długo. Nikt nie wsiadł. Stałem na przystanku, a autobus zawrócił i ruszył w stronę Peace River i Fort St. John, z powrotem do cywilizacji. Populacja Fort Farrell wzrosła o jedną osobę – tymczasowo.

Było wczesne popołudnie i miałem dosyć czasu na załatwienie jedynej sprawy, od której zależało, czy zostanę dłużej w tej leśnej metropolii. Zamiast rozglądać się za hotelem, zostawiłem torbę z bagażem na przystanku w przechowalni i zapytałem o biuro Mattersona. Niski grubas, wyglądający na miejscowego totumfackiego spojrzał na mnie z błyskiem w oku i mrugnął.

– Pan tu chyba od niedawna?

– Na to wygląda, skoro właśnie wysiadłem z autobusu – stwierdziłem pogodnie. Zależało mi na zdobyciu informacji, a nie na zaspokajaniu cudzej ciekawości.

Mruknął i błysk w oku znikł.

– Biurowiec Mattersonów jest na High Street. Trafisz pan tam, jeśli nie jesteś ślepy – powiedział krótko. Jeden z tych małomiasteczkowych dowcipnisiów, którzy mają o sobie wygórowane mniemanie. Czort z nim! Nie byłem w nastroju przyjaznym, chociaż później okazało się, że muszę trochę popracować nad umiejętnością robienia na różnych osobach pożądanego wrażenia.

High Street okazała się głównym deptakiem, biegnącym tak prosto, jakby wytyczono ją przy użyciu linijki. Stanowiła nie tylko główną, ale na dobrą sprawę jedyną ulicę w całym Fort Farrell (liczba ludności 1 806 plus jeden). Po obu stronach ciągnął się szereg typowych kamieniczek udających, dzięki nadbudowanym frontonom, większe niż w rzeczywistości. W domach ulokowały się lokalne przedsiębiorstwa, w których miejscowa ludność próbowała zarobić uczciwie parę groszy: stacja benzynowa, sklep motoryzacyjny, spożywczy, który nazywał się supermarketem, fryzjer, „Paryskie wzory” sprzedające damskie fatalaszki, sklep rybacki i myśliwski. Nazwisko Mattersonów pojawiało się co chwila z monotonną regularnością, nie trudno więc było zgadnąć, że Matterson nie jest w Fort Farrell byle kim.

Powoli zbliżałem się do jedyne go ucziwego budynku w mieście: siedmiopiętrowy gigant to z pewnością właśnie Matterson Building. Poczawszy po raz pierwszy fałę otuchy przyspieszyłem kroku, ale znów zwolniłem, gdy High Street rozszerzyła się w niewielki skwerek z zielonymi alejkami wśród rzucających cień drzew. Pośrodku skweru stał odlany z brązu posąg mężczyzny w mundurze. W pierwszej chwili pomyślałem, że to pomnik wojenny, ale okazało się, że przedstawia założyciela miasta, niejakiego Williama J. Farrella, porucznika królewskich saperów. Dawne dobre czasy; pionier ów zmarł w odległej przeszłości, a ślepe oczodoły jego podobizny spoglądały martwo na podwyższone frontony domów przy High Street, podczas gdy ptaki bez szacunku paskudziły na jego wojskową czapkę.

Wtedy z niedowierzaniem zobaczyłem nazwę placu i po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz. Trinavant Park leży na skrzyżowaniu High Street z Farrell Street i ta pierwsza nazwa, wywołana z zapomnianej przeszłości, uderzyła mnie jak pięść w żołądek. Nie zdążyłem jeszcze w pełni dojść do siebie, a już stałem przed budynkiem Mattersonów.

Do Howarda Mattersona dostać się niełatwo. Zdążyłem wypalić trzy papierosy w kancelarii, studiując pneumatyczne wdzięki jego sekretarki i rozmyślając nad nazwiskiem Trinavant. Nie było na tyle popularne, żeby pojawiać się w moim życiu z przesadną regularnością. W istocie spotkałem się z nim tylko raz i to w okolicznościach, o których postanowiłem zapomnieć. Można rzec, że pewien Trinavant, zmienił całe moje życie, ale nie mam najmniejszego pojęcia, czy zmienił je na lepsze, czy na gorsze. Po raz kolejny zastanowiłem się nad sensownością pozostawania w Fort Farrell, ale chudy portfel i pusty żołądek stanowią argumenty trudne do odparcia. Postanowiłem, więc cierpliwie zaczekać i dowiedzieć się, jakie propozycje ma dla mnie pan Matterson.

– Pan Matterson prosi – odezwała się nagle i bez ostrzeżenia sekretarka. Nie zadzwonił telefon ani dzwonek, uśmiechnąłem się, więc z goryczą.

Pan Matterson należał najwidoczniej do tych typków, którzy pokazują władzę mówiąc: „Jak przyjdzie Boyd, niech go pani najpierw trochę przetrzyma i wpuści po pół godzinie”. I dodają w myśli, niech zobaczy, kto tu rządzi. Ale może źle go oceniałem, może po prostu naprawdę był zajęty.

Matterson okazał się postawnym, ciężkim mężczyzną z rumianą twarzą, ku mojemu zdziwieniu mniej więcej w moim wieku; miał około trzydziestu trzech lat. Napotyając w Fort Farrell, co chwila jego nazwisko oczekiwałem kogoś znacznie starszego. W jego wieku nie buduje się prywatnego imperium, nawet niewielkiego. Był barczysty i krzepki, choć puciołowatość policzków i fałdy na karku kazały domyślać się początków otyłości, ale mimo dominującej postawy przewyższałem go o dobrych kilkanaście centymetrów. Nie

jestem przesadnie niski.

Wstał zza biurka i wyciągnął rękę.

– Miło pana poznać, panie Boyd. Don Halsbach bardzo pana chwalił.

Nic dziwnego, pomyślałem, biorąc pod uwagę, że dzięki mnie zrobił fortunę. Tymczasem jednak musiałem sobie poradzić z miażdżącym uściskiem dłoni Mattersona. Ścisnąłem mu palce równie solidnie, żeby dać do zrozumienia, że mnie również nie brakuje siły, co wywołało uśmiech na jego twarzy.

– Okay, proszę siadać – powiedział wypuszczając moją dłoń z uścisku.

– Wprowadzę pana w sprawę. Nie jest to nic niezwykłego.

Usiadłem i przyjąłem papierosa z pudełka, które pchnął w moim kierunku po biurku.

– Tylko jedno zastrzeżenie na początek – powiedziałem. – Nie chciałbym wprowadzać pana w błąd, panie Matterson. Nie mogę przyjąć żadnego długiego zlecenia. Chciałbym być wolny mniej więcej przed wiosenną odwilżą.

– Wiem – skinął głową. – Don uprzedził, że będzie pan chciał wrócić na Terytorium Północno-zachodnie na lato. Myśli pan, że można w ten sposób dorobić się na geologii?

– Innym się to udawało – odparłem. – Było już mnóstwo udanych złazisk. Mam wrażenie, że jest tam więcej metalu w ziemi, niż nam się kiedykolwiek śniło. Wystarczy go tylko znaleźć.

– Nam, czyli panu – uśmiechnął się. – Wyprzedza pan swoją epokę, panie Boyd – dodał. – Północny Zachód nie jest jeszcze gotów do eksploatacji. Jaki pożytek ze złoża w samym środku głuszy? Trzeba by zainwestować miliony, żeby się do niego dostać.

Wzruszyłem ramionami.

– Jeśli złożo jest odpowiednio duże, pieniądze się znajdą.

– Może i tak – przytaknął bez przekonania Matterson. – W każdym razie, z tego, co mówi Don wynika, że interesuje pana krótkoterminowy kontrakt tak, żeby mógł pan zaopatrzyć się w sprzęt na kontynuację własnych poszukiwań. Zgadza się?

– Mniej więcej.

– W porządku, czyli się dogadaliśmy. Sytuacja wygląda następująco: Matterson Corporation pokłada poważne nadzieje w możliwościach rozwoju tej części Kolumbii Brytyjskiej i jesteśmy tu po szyję zagrzebani w różne inwestycje. Prowadzimy wiele wzajemnie od siebie zależnych operacji, głównie związanych z wyrobem i przemysłem drzewnym, na przykład wytwarzamy celulozę, sklejkę i tarcicę. Zamierzamy zbudować papiernię i rozbudowujemy wytwórnię sklejki. Brakuje tylko jednej rzeczy – energii, a dokładniej energii elektrycznej.

Oparł się wygodniej w fotelu.

– Moglibyśmy przeprowadzić rurociąg do złóż gazu ziemnego wokół Dawson Creek,

doprowadzić gaz i produkować elektryczność, ale kosztowałoby to masę pieniędzy, a za gaz trzeba stale płacić. Dostawca gazu będzie miał nas na talerzu, ponieważ nadwyżki przeznaczy na to, żeby wykupić część naszych zasobów leśnych. – Spojrzał na mnie uważnie. – A my nie chcemy się niczym dzielić. Chcemy sami zjeść cały ten cholerny placek. I wiemy, jak się do tego zabrać. – Pokazał ręką mapę na ścianie.

– Kolumbia Brytyjska ma bogate zasoby energii hydroelektrycznej, choć słabo eksploatowane. Z możliwych dwudziestu dwóch milionów kilowatów uzyskuje się tylko półtora miliona. Tu, na Północnym Wschodzie, można wycisnąć do pięciu milionów kilowatów, nie ma jednak ani jednego generatora. Czyli że marnuje się mnóstwo energii.

– Na Peace River budują zapórę pod Portage Mountain – powiedziałem.

– To potrwa całe lata – zachnął się Matterson – a my nie możemy czekać, aż rząd postawi tamę za miliard dolarów. Energia potrzebna jest teraz. I dlatego postanowiliśmy zbudować własną zapórę. Nie tak wielką, ale wystarczająco dużą na nasze dzisiejsze możliwości oraz potrzeby nowych inwestycji w przewidywalnej przyszłości. Wybraliśmy miejsce i mamy błogosławieństwo rządu. Chcielibyśmy, żeby sprawdził pan, czy nie popełniamy jednej z tych głupich pomyłek, za które później człowiek ma ochotę sam sobie przykopać. Nie chcemy zatopić trzydziestu czterech kilometrów kwadratowych w jednej z dolin tylko po to, żeby dowiedzieć się, że na głębokości trzydziestu metrów pogrzebaliśmy na przykład najbogatsze złoża miedzi w całej Kanadzie. Ten obszar nigdy nie był jeszcze badany przez geologa i chcielibyśmy, żeby pan wykonał dokładne badania zanim, postawimy tamę. Może pan to zrobić?

– Z tego, co pan mówi, sprawa wydaje się w miarę prosta – stwierdziłem. – Czy można spojrzeć na mapę?

Matterson z satysfakcją skinął głową i podniósł słuchawkę telefonu.

– Fred, przynieś mapy rzeki Kinowi. – Odwrócił się do mnie. – Górnictwo to nie nasza specjalność, ale nie chciałbym przegapić okazji – potarł z namysłem policzek. – Od pewnego czasu zastanawiałem się, czy nie powinniśmy dokonać pomiarów geologicznych naszych terenów. Rzecz mogłaby się okazać warta zachodu. Jeśli zrobi pan tu dobrą robotę, moglibyśmy zaproponować większy kontrakt.

– Pomyślę o tym – odparłem chłodno. Nigdy nie lubiłem się wiązać na długo.

Pojawił się mężczyzna z rulonem map. Schludnie i formalnie ubrany w ciemny garnitur bardziej przypominał bankiera niż J. P. Morgan. Twarz miał szczupłą i pozbawioną wyrazu z zimnymi, wyblakłymi oczami.

– Dzięki, Fred – powiedział Matterson. – To jest pan Boyd, geolog, którego zamierzamy zatrudnić. Fred Donner, jeden z naszych dyrektorów.

– Miło mi pana poznać – powiedziałem. Donner krótko skinął głową i odwrócił się do

Mattersona. – National Concrete chce rozmawiać w sprawie kontraktu.

– Przetrzył ich – stwierdził Matterson. – Nic nie podpiszemy, dopóki Boyd nie skończy swojej roboty. – Spojrzał na mnie. – Tu są mapy. Kinoksi jest dopływem Kwadacha, która wpada do Finlay i dalej do Peace River. Proszę spojrzeć, w tym miejscu koryto Kinoksi zwęża się i rzeka przedziera się kilkoma kataraktami i bystrzami. Powyżej przełomu dolina się rozszerza – Matterson stuknął ręką w mapę. – Tu umieści się zapora, żeby zalać dolinę, co da duży stały zapas wody, a elektrownię ulokuje się u stóp przełomu, co pozwoli osiągnąć całkiem przyzwoity spadek. Geologowie twierdzą, że woda wypełni dolinę na odcinku siedemnastu kilometrów, tworząc rozlewisko o szerokości średnio czterech kilometrów. Powstanie nowe jezioro, jezioro Mattersona.

– Sporo wody – zauważyłem.

– Jezioro nie będzie zbyt głębokie – stwierdził Matterson. – Tak więc wygląda na to, że uda się wszystko zbudować tanim kosztem. – Wskazał palcem na mapę. – Pan ma nam powiedzieć, czy coś stracimy zalewając te trzydzieści cztery kilometry kwadratowe. Przyglądałem się mapie przez pewien czas.

– Mogę to zrobić – powiedziałem. – Gdzie dokładnie jest ta dolina?

– Około siedemdziesięciu kilometrów stąd. Gdy zaczniemy budować tamę, doprowadzimy tam drogę, ale nie na wiele się to panu teraz przyda. Te tereny są zupełnie na uboczu.

– Nie tak, jak Terytorium Północno-zachodnie – powiedziałem. – Poradzę sobie.

– Nie wątpię – odparł z uśmiechem Matterson – ale nie będzie tak źle. Dostarczymy pana tam i z powrotem helikopterem korporacji.

Bardzo mi to odpowiadało. Oszczędzę w ten sposób zelówki.

– Może się zdarzyć – powiedziałem – że będę chciał przeprowadzić kilka próbnych wierceń, zależnie od tego, co się okaże na miejscu. Może pan wypożyczyć sprzęt wiertniczy i potrzebni będą dwaj wasi robotnicy do obsługi.

– Ma pan niemałe wymagania – oznajmił Donner. – Czy nie za dużo pan przypadkiem oczekuje? Wątpię, żeby takie koszty były uzasadnione. Wydaje mi się, że pański kontrakt powinien stwierdzać, że całą niezbędną pracę wykona pan sam.

– Panie Donner – powiedziałem cierpliwie – moja praca nie polega na wierceniu dziur w ziemi, ale na używaniu mojej wiedzy do interpretowania rdzeni z takich wierceń. Jeśli jednak chce pan, abym sam prowadził wiercenia, to nie mam nic przeciwko, ale zajmie to sześć razy więcej czasu i za odwierty podyktuję swoją cenę, a nie jestem zbyt tani. Pomagam wam tylko zaoszczędzić pieniądze.

– Daj spokój Fred – Matterson machnął ręką. – W ogóle może nie dojść do wierceń. Przewiduje pan taką możliwość tylko w przypadku, gdy natrafi pan na coś określonego,

prawda panie Boyd?

– Dokładnie tak.

Donner spojrział w dół na Mattersona swoimi chłodnymi oczami.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedział. – Powinieneś uprzedzić pana Boyda, żeby nie prowadził pomiarów w strefie północnej, która nie...

– Dobrze wiem, czym nie jest strefa północna, Fred – przerwał z irytacją Matterson.

– Wyjaśnię to z Clare.

– To dobrze – odparł Donner – bo cała sprawa może się zawalić.

Nie zrozumiałem, o co chodzi w tej wymianie zdań, ale pojąłem, że dwaj panowie prowadzą między sobą prywatny pojedynek i nie należy wchodzić między nich. Kwestię należało postawić jasno, wszedłem, więc im w słowo:

– Chciałbym wiedzieć, kto będzie moim szefem w czasie pomiarów. Kto mi wydaje polecenia, pan, panie Matterson, czy pan Donner?

Matterson spojrział na mnie.

– Ja wydaję polecenia – stwierdził sucho. – Nazywam się Matterson, a to jest Matterson Corporation. – Spojrzał uważnie na Donnera, jakby prowokując go do sprzeciwu, ale po chwili milczenia Donner wycofał się i skinął głową.

– Wołałem się upewnić – powiedziałem lekko.

Następnie zabraliśmy się do targowania o warunki kontraktu. Donner okazał się dusigroszem, a ponieważ doprowadził mnie do szału próbując przetrząsnąć na mnie kosztą ewentualnych odwiertów, zażądałem wyższego honorarium niż zazwyczaj. Mimo, że kontrakt wyglądał na w miarę prosty, a ja potrzebowałem pieniędzy, wyczułem tu jakieś podskórne prądy, które mi się nie podobały. Dochodziło do tego jeszcze nazwisko Trinavant, choć nie wydawało się ono mieć szczególnego znaczenia. Jednak warunki, które w końcu udało mi się wydusić z Donnera były dobre wiedziałem, że muszę je przyjąć; pieniądze z kontaktu wystarczą na rok prac na Północnym-zachodzie.

Matterson nie pomagał Donnerowi. Pilnował jedynie spraw drugorzędnych i uśmiechał się, gdy obrabiałem jego pracownika. Ciekawy sposób prowadzenia interesów. Gdy szczegóły finansowe zostały uzgodnione, Matterson powiedział:

– Zarezerwuję dla pana pokój w „Matterson House”. Nie może się równać z Hiltonem, ale mam nadzieję, że będzie pan zadowolony. Kiedy pan rozpocznie pracę?

– Gdy tylko sprowadzę sprzęt z Edmonton.

– Niech pan weźmie samolot. Zapłacimy za fracht.

Donner zachnął się i wymaszerował z pokoju jak człowiek, który wie, kiedy przestaje być potrzebny.

Okazało się, że hotel o nazwie „Matterson House” znajduje się w tym samym budynku. Po wyjściu z biura Mattersona nie musiałem więc daleko chodzić. Od ulicy w budynku mieściło się kilka instytucji, wszystkie nosiły nazwisko Mattersona, a na rogu znajdował się też Matterson Bank. Wyglądało na to, że Fort Farrell jest jednym ze starych miasteczek tworzonych przez spółki działające w tym regionie, a gdy Matterson wybuduje tamę, będzie mógł jeszcze dodać do listy Towarzystwo Elektryczne Mattersona. Najwyraźniej uwziął się na ten kawałek lasu.

W recepcji poprosiłem o przyniesienie bagażu z przechowalni autobusowej.

– Czy wychodzi tu jakaś gazeta? – zapytałem.

– Co piątek.

– Gdzie mieści się redakcja?

– W Trinavant Park, po północnej stronie.

Wyszedłem na dwór i w zmierzchającym świetle ruszyłem z powrotem High Street w stronę placu. Porucznik Farrell patrzył ślepo w zachodzące słońce, rozjaśniające mu pośniedziałą zieloną twarz z białymi zaciekami ptasich odchodów. Próbowałem sobie wyobrazić, co by pomyślał wiedząc, jak zmieni się jego osada. Miał taki wyraz twarzy, jakby wiedział i wcale nie był zachwycony.

Wydawnictwo „Fort Farrell Recorder” lepiej chyba zarabiał na drukarni niż na wydawaniu gazety, ale na zadane pytanie uzyskałem całkiem rzeczową odpowiedź od młodej dziewczyny, stanowiącej bodaj cały personel; przynajmniej nikogo innego nie było w zasięgu wzroku.

– Oczywiście, że przechowujemy egzemplarze archiwalne. O jaki okres panu chodzi?

– Mniej więcej dziesięć lat temu.

Ściągnęła wargi.

– Czyli, że musimy sięgnąć do oprawionych roczników. Proszę na zaplecze. – Ruszyliśmy w głąb zakurzonego pomieszczenia. – O jaką dokładnie datę chodzi?

Tę datę dobrze pamiętam. Nie zapomina się własnych urodzin.

– Wtorek, czwartego września 1956 roku.

Spojrzała na górną półkę.

– To będzie ten tom – pokazała bezradnie. – Chyba nie dosięgnę.

– Może ja spróbuję – powiedziałem sięgając na półkę. Tomiszcze miało rozmiary i wagę tuzina Biblii, więc sprawiło mi o wiele mniej kłopotu niż jej. Ważyło chyba prawie tyle, co dziewczyna.

– Może to pan przejrzyć na miejscu – powiedziała – i proszę nie rozcinać stron. To



egzemplarze archiwalne.

- Dobrze – stwierdziłem zgodnie i położyłem księgę na stole.
- Czy można tu zapalić światło?
- Jasne – włączyła lampę wychodząc.

Przysunąłem sobie krzesło i otworzyłem ciężkie okładki. Zawierały zszyte razem dwa roczniki „Fort Farrell Recorder”: sto cztery kolejne zbiory doniesień o wydarzeniach w prowincjonalnym miasteczku; zapis zgonów i urodzin, smutków, przestępstw, których nie było przecież tak wiele, oraz różnych małych radości, których powinno być o wiele więcej, ale radości nie najlepiej nadają się na nagłówki. Typowa lokalna gazeta.

Otworzyłem na numerze z 7 września, niedzieli po wypadku, na wpół bojąc się, co tam odnajdę, a na wpół tego, że nie znajdę nic. Ale znalazłem nawet nagłówek na pierwszej stronie. Uderzył mnie tłustymi czarnymi literami przez całą, pożółkłą już stronę: JOHN TRINAVANT ZGINĄŁ W KATASTROFIE SAMOCHODOWEJ.

Pomimo że dokładnie znałem całą sprawę, uważnie przeczytałem opis wypadku i dowiedziałem się kilku nowych rzeczy. Zwyczajna, jedna z wielu podobnych historia. Rzadko tego rodzaju historie trafiają tak jak tym razem, na pierwsze strony gazet. O ile pamiętam, w „Vancouver Sun” zamieszczono jedynie ćwierć kolumny na drugiej stronie, a w „Toronto Star” tylko jeden wciśnięty gdzieś akapit.

Różnica brała się stąd, że jako starszy partner w spółce Trinavant i Matterson, John Trinavant był w Fort Farrell znaną osobą. Oto nagle zginął jeden z ojców miasta i pogrążył w żałobie wszystkich mieszkańców. Żałobie głębokiej i publicznej, nieskapiącej czarnej farby na nagłówki.

John Trinavant, lat 56, jechał z Dawson Creek do Edmonton z żoną Anną (wiek niepodany) i synem Frankiem (22 lata). Podróżowali nowym samochodem pana Trinavanta, marki Cadillac, ale błyszcząca nowa zabawka nigdy nie dotarła do celu. Znalaziono ją na dnie sześćdziesięciometrowej przepaści przy drodze. Ślady hamowania i pozdzierana kora z drzew pozwoliły ustalić przebieg wydarzeń.

Jest możliwe – stwierdził koroner – że samochód poruszał się zbyt prędko i kierowca stracił kontrolę nad kierownicą. Tego jednak nikt nigdy nie dowie się na pewno.

Cadillac rozbił się tak, że nadawał się tylko na złom. Został z niego jedynie wypalony szkielet. Również z trójki Trinavantów niewiele zostało. O dziwo jednak, w samochodzie znajdowała się czwarta osoba, młody człowiek zidentyfikowany obecnie jako Robert Grant, który, co prawda z trudnością, ale przeżył wypadek i znajduje się w szpitalu miejskim z oparzeniami trzeciego stopnia, uszkodzeniami czaszki i całą kolekcją połamanych kości. Tymczasowo przyjmuje się, że pan Grant jest autostopowiczem, którego pan Trinavant w przypływie dobrego humoru zabrał gdzieś między Dawson

Creek, a miejscem katastrofy. Pan Grant nie ma szans na przeżycie. Przykra sprawa.

Cały Fort Farrell, a nawet cała Kanada (stwierdzał autor artykułu) oplakuje epokę, która ze śmiercią Johna Trinavanta odeszła w przeszłość. Trinavantowie byli związani z miastem od heroicznych dni porucznika Farrella i jest niepowetowaną stratą (również osobiście dla autora artykułu), że ród Trinavantów wygasł w ten sposób w męskiej linii. Żyje, co prawda siostrzenica, panna C. T. Trinavant, obecnie w szkole w Lozannie w Szwajcarii. Wyraża się nadzieję, że ta tragedia, śmierć ukochanego wuja, nie przerwie edukacji, którą tak bardzo pragnął jej zapewnić.

Oderwałem się od artykułu i patrzyłem na leżącą przede mną gazetę. A więc Trinavant był partnerem Mattersona, ale nie tego Mattersona, którego wcześniej poznałem, bo był na to za młody. Howard Matterson miał wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat, mniej więcej tyle samo, co Frank Trinavant, który zginął w wypadku lub ile wówczas miałem ja. Czyli że musi być jeszcze jeden Matterson, prawdopodobnie ojciec Howarda, który uczynił syna spadkobiercą rodzinnego imperium. O ile, oczywiście, nie doszło już do pełnego przejęcia władzy.

Westchnąłem myśląc, że to chyba jakiś diabelski przypadek sprowadził mnie do tego miasta. Sięgnąłem do następnego numeru „Fort Farrell Recorder” i... nie znalazłem tam nic! Historia z poprzedniej niedzieli nie miała dalszego ciągu ani w tym, ani w jeszcze następnym numerze. Szukałem dalej i szybko przekonałem się, że w ciągu całego roku od chwili wypadku nazwisko Trinavant nie pojawiło się ani razu. Kompletna cisza: żadnych dalszych wiadomości, nekrologów, wspomnień czytelników, nic. Z punktu widzenia gazety John Trinavant mógł równie dobrze wcale nie istnieć. Uległ depersonalizacji.

Sprawdziłem raz jeszcze. To dziwne, że w rodzinnym mieście Trinavanta, gdzie był właściwie udzielnym władcą, lokalna tygodniówka nie próbowała zarobić choć kilku dodatkowych dolarów na jego śmierci. Ciekawy sposób prowadzenia gazety!

Zastanowiłem się. Już drugi raz w ciągu jednego dnia zauważyłem to samo, na co po raz pierwszy zwróciłem uwagę obserwując, w jaki sposób Howard Matterson kierował korporacją. Po chwili przyszła mi do głowy pewna myśl. Kto jest właścicielem „Fort Farrell Recorder”?

Przez uchylone drzwi zajrzała dziewczyna z redakcji.

– Musi pan już kończyć, zamykamy.

– Myślałem, że redakcje gazet czynne są bez przerwy – uśmiechnąłem się do niej.

– To nie „Sun” z Vancouver – odparła – ani „Star” z Montrealu.

Trudno mieć, co do tego wątpliwości, pomyślałem.

– Czy znalazł pan to, czego pan szukał? – zapytała.

– Owszem, znalazłem kilka odpowiedzi. I całe mnóstwo pytań - powiedziałem idąc za

nią do biura. Spojrzała na mnie zdziwiona. – Czy można gdzieś tu w pobliżu dostać filiżankę kawy? – dodałem.

– Jest grecki lokal po drugiej stronie placu.

– Może wybierze się tam pani ze mną?

Uśmiechnęła się.

– Mama mówiła, żeby nie umawiać się z nieznanymi mężczyznami. A ponadto umówiłam się ze swoim chłopakiem.

Gdy patrzyłem na jej tryskające energią osiemnaście lat, poczułem, że znów chciałbym być młody, tak jak przed wypadkiem.

– Może, więc przy innej okazji – powiedziałem.

– Może.

Pomyślałem, że jeśli nie będę uważał, to może mnie ktoś oskarżyć o próbę uwiedzenia nieletniej. Gdy wychodziłem, pudrowała sobie niezbyt fachowo nos. Ruszyłem przez plac. Jakimś dziwnym sposobem, tam gdzie tylko jest odpowiednia klientela, i w wielu innych miejscach, pojawia się prowadzący lokalny bar i kawiarnię Grek. Interes rozrasta się razem z miastem i właściciel sprowadza stopniowo różnych kuzynów ze starego kraju tak, że po jakimś czasie w średniej wielkości mieście Grecy rządzą zbiorowym żywieniem wspólnie z Włochami, którzy na ogół działają na nieco wyższym poziomie. Lokal w Fort Farrell nie był pierwszą grecką knajpą, w której zdarzyło mi się jeść i na pewno nie będzie ostatnią. Przynajmniej dopóty, dopóki będę zubożałym geologiem próbującym szczęścia.

Zamówiłem kawę z ciastem i zająłem wolny stolik, żeby przemyśleć różne sprawy, ale nic z tego nie wyszło, ponieważ ktoś do mnie podszedł.

– Czy można się przysiąść? – zapytał.

Starszy, mniej więcej siedemdziesięcioletni mężczyzna o twarzy barwy włoskiego orzecha i wychudłym karku, z którego wiek wysuszył soki. Miał gęste, choć siwe włosy, a zza krzaczastych brwi przenikliwie spoglądały niebieskie oczy. Patrzyłem na niego przez pewien czas pytająco.

– Nazywam się McDougall, jestem głównym reporterem miejscowego brukowca – powiedział w końcu.

– Zapraszam – wskazałem gestem krzesło.

Postawił na stole trzymaną w rękę filiżankę kawy i miękko mruknął siadając:

– A także maszynistką i sekretarzem redakcji w jednej osobie. Wszystko na mojej głowie.

– Również wydawcą?

– Czy wyglądam na wydawcę? – zachnął się kpiąco.

– Nie za bardzo.

Wypił łyk kawy patrząc na mnie zza splątanych brwi.

– Czy znalazł pan to, czego pan szukał, panie Boyd?

– Jest pan dobrze poinformowany – stwierdziłem. – Przyjechałem tu dwie godziny temu, a już się mną zainteresowała miejscowa prasa. Jak pan to robi?

– To małe miasto – uśmiechnął się – znam tu każdego mężczyznę i kobietę. Właśnie wyszedłem z Matterson Building i wiem o panu wszystko, panie Boyd.

Ten McDougall wyglądał na sprytnego lisa.

– Mógłbym się założyć, że zna pan również warunki mojego kontraktu – powiedziałem.

– Możliwe – uśmiechnął się a na twarzy pojawił mu się wyraz małego psotnego chłopca. – Donner nie był zbyt zachwycony. – Odstawił filiżankę. – Czy znalazł pan to, co pan chciał o Johnie Trinavancie?

Sięgnąłem po papierosa. – Ma pan dziwny sposób prowadzenia gazety, panie McDougall. Nigdy jeszcze póki żyję nie widziałem tak całkowitego milczenia w prasie.

Przestał się uśmiechać. Wyglądał na tego, kim jest: na starego zmęczonego człowieka. Milczał przez chwilę.

– Czy lubi pan dobrą whisky, panie Boyd? – powiedział nieoczekiwanie.

– Nigdy jeszcze nie odmówiłem poczęstunku.

– Mam mieszkanie nad redakcją – machnął ręką w tamtym kierunku, – a w mieszkaniu butelkę whisky. Może się tam przeniesiemy?

Nagle nabrałem ochoty żeby się upić.

W odpowiedzi wstałem od stołu i zapłaciłem jego i swój rachunek.

– Mieszkanie mam za darmo – wyjaśnił, gdy szliśmy przez park. – W zamian jestem do dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wcale nie wiem, czy dobrze na tym wychodzę.

– Może powinien pan od nowa ustalić warunki z wydawcą?

– Z Jimsonem? Niech pan nie żartuje. Jimson jest tylko pieczętką do stemplowania listów w imieniu swego właściciela.

– A właścicielem jest Matterson – strzeliłem w ciemno.

– Wpadł pan na to? – McDougall zmierzył mnie kątem oka. – Zaczyna mnie pan coraz bardziej interesować, panie Boyd.

– A pan zaczyna interesować mnie – powiedziałem.

Wspięliśmy się po schodach do mieszkania, które okazało się niezbyt obficie, ale wygodnie umeblowane. McDougall otworzył szafkę i wydobył butelkę.

– Scotch występuje w dwóch postaciach. Przede wszystkim jako produkowana w milionach litrów zwykła destylowana wódka z dodatkiem dobrej słodowej whisky dla

nadania odpowiedniego smaku i karmelu dla koloru, leżakowana przez siedem lat, żeby zasłużyć na miano szkockiej. Istnieje także – podniósł do góry butelkę – prawdziwy scotch: piętnastoletnia słodowa whisky bez dodatków. Idealnie taka jak trzeba, wyśmienicie nadaje się do picia. Ta pochodzi z Islay i trudno o lepszą.

Napełnił jasną, słomkową ciecżą dwie porządne szklanki i podał mi jedną.

– Pana zdrowie, panie McDougall. A przy okazji, z jakich McDougallów pan pochodzi? – Mógłbym przysiąc, że się zaczerwienił.

– Mam dobre szkockie nazwisko i można przypuszczać, że każdemu to wystarczy, ale mój ojciec wolał je skracać i nazywał mnie Hamish. Niech pan lepiej mówi do mnie Mac, tak jak wszyscy i w ten sposób unikniemy bójkę – zaśmiał się. – Za młodu ciągle się musiałem bić.

– Nazywam się Bob Boyd – powiedziałem.

Skinął głową.

– I interesujesz się Trinavantami?

– Czyżby?

Westchnął.

– Bob, jestem dziennikarzem starej daty, więc znam się na swojej robocie. Sprawdzam każdego, kto zagląda do archiwalnych numerów gazety. Zdziwiłbyś się wiedząc, jak często przynosi to efekty. Od dziesięciu lat czekałem na kogoś, kto zajrzy do tego konkretnie numeru.

– A dlaczego „Recorder” miałby nagle teraz zainteresować się Trinavantami? – zapytałem. – Trinavantowie nie żyją, a „Recorder” jeszcze bardziej ich uśmiercił. Czy myślisz, że można zabić pamięć?

– Rosjanie są w tym dobrzy. Potrafią zabić człowieka mimo, że jeszcze żyje – powiedział McDougall. – Zobacz, co zrobili z Chruszczowem. Matterson po prostu wpadł na ten sam pomysł.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie – stwierdziłem cierpko. – Cały czas omijasz temat, Mac.

– „Recorder” nie jest zainteresowany Trinavantami – powiedział. – Gdybym zamieścił artykuł na ich temat, gdybym nawet wymienił ich nazwisko, zaraz bym wyleciał z pracy. To jest moje osobiste zainteresowanie, a jeśli Bull Matterson wiedziałby, że nawet rozmawiałem z kimś o Trinavantach, byłbym w sporym kłopotcie – wyciągnął w moją stronę palec – więc lepiej trzymaj buzię na kłódkę, rozumiemy się? – Znów nalał po szklaneczce i widziałem, jak trzęsą mu się ręce.

– No to opowiadaj.

– Mac – odparłem – dopóki nie powiesz czegoś więcej o Trinavantach, nie mam

najmniejszego zamiaru nic ci powiedzieć. I nie pytaj, dlaczego, bo się nie dowiesz.

Przyjrzał mi się z namysłem.

– Ale w końcu kiedyś wszystko mi opowiesz?

– Nie wiem.

Nie był zachwycony, ale przełknął rozczarowanie.

– No cóż, wygląda na to, że nie mam wyboru. Opowiem ci o Trinavantach. – Pchnął butelkę w moją stronę. – Nalej synu.

Trinavantowie byli starą kanadyjską rodziną wywodzącą się od Jacquesa Trinavanta, który przybył z Bretanii i w osiemnastym wieku osiedlił się w Quebecu. Trinavantów nie ciągnęło życie osiadłe ani kupiectwo, przynajmniej w tamtych czasach. Niedługo zaczęły ich swędzić stopy i ruszyli na Zachód. Pra-pradziadek Johna Trinavanta był znanym podróżnikiem, inni Trinavantowie zajmowali się raczej traperstwem, a niepotwierdzona plotka głosi, że pewien Trinavant przebył kontynent i dotarł do Pacyfiku przed Aleksandrem Mackenzie.

Dziadek Johna Trinavanta służył jako zwiadowca u porucznika Farrella, a gdy ten założył osadę, postanowił pozostać i zapuścił korzenie w Kolumbii Brytyjskiej. Kraj był dobry, Trinavantowi spodobała się okolica i przewidywał wielkie możliwości na przyszłość. Jednak sam fakt, że Trinavantowie osiedli w jednym miejscu nie oznaczał, że spuścili parę. Trzy pokolenia Trinavantów w Fort Farrell stworzyły może małe, lecz kwitnące imperium przemysłu drzewnego.

– Dopiero John Trinavant naprawdę nadał firmie impetu – powiedział McDougall. – Był człowiekiem dwudziestego wieku; urodził się w 1900 roku i przejął interes w młodości. Gdy zmarł jego ojciec, miał tylko dwadzieścia trzy lata. W tamtych czasach Kolumbia Brytyjska była jeszcze mało rozwinięta i właśnie miejscowi ludzie pokroju Johna Trinavanta, którym się powiodło, uczynili z niej to, czym jest dziś.

Z namysłem przyjrzał się szklance. – Z punktu widzenia interesów firmy, jednym z najlepszych posunięć Trinavanta było związanie się z Bullem Mattersonem.

– Wspomniał pan już o nim wcześniej – powiedziałem – ale to nie z nim chyba spotkałem się w Matterson Building.

– No jasne, że nie, to był Howard, jego gówniarzowaty synalek - odpowiedział lekceważąco McDougall. – Mówię o starym Mattersonie, ojcu Howarda. Gdy związali się ze sobą w 1925 roku, był o parę lat starszy od Trinavanta. John był inteligentniejszy i ustalał strategię, Matterson dostarczał energii i uporu. Od czasu, gdy połączyli siły, sprawy od razu ruszyły z kopyta. Albo jeden albo drugi miał udział w każdym lokalnym interesie. Zespolili przemysł drzewny i jako jedni z pierwszych wpadli na to, że z tych cholernych ściętych pni nie ma żadnego pożytku tak długo, jak długo nie ma ich do czego

wykorzystać, najlepiej na miejscu. Zbudowali, więc celulozownię i wytwórnię sklejki zarabiając mnóstwo pieniędzy, szczególnie w czasie wojny. Gdy wojna się skończyła, ludzie mieli zajęcie na wieczorne pogaduszki, próbując wyliczyć ile Trinavant i Matterson są warci.

– Rzecz jasna, nie ograniczyli się do przemysłu drzewnego – McDougall nachylił się po butelkę – stosunkowo prędko poszli dalej. Mieli stacje benzynowe, prowadzili linię autobusową, którą później odsprzedali Greyhoundowi, mieli sklepy spożywcze i przemysłowe. W tej okolicy każdy tak czy inaczej płacił do ich kieszeni. – Przerwał na chwilę, po czym dodał z namysłem: – nie wiem, czy jest to takie dobre dla gminy, nie jestem zwolennikiem paternalizmu, nawet z najlepszymi intencjami. Ale tak to się odbywało.

– Gazeta też do nich należała – stwierdziłem.

– Jest to jedyna operacja Mattersona – stwierdził ze skwaszoną miną McDougall – na której nic nie zarobił. Gazeta nie daje dochodów. Miasto nie jest wystarczająco duże, żeby utrzymać gazetę, ale John Trinavant uruchomił ją jako przedsięwzięcie komunalne, jako dodatek do drukarni. Mówił, że ludzie mają prawo wiedzieć, co się dookoła dzieje i nigdy się nie wtrącał w politykę wydawniczą. Matterson trzyma gazetę z innych powodów.

– Z jakich?

– Żeby kontrolować opinię publiczną. Nie odważył się zamknąć tygodnika, bo Fort Farrell się rozwija i z czasem ktoś inny mógłby uruchomić tu uczciwą gazetę, nad którą nie miałyby kontroli. Tak długo, jak długo ma „Reportera” jest bezpieczny, bo na dwie gazety nie ma tu z pewnością miejsca.

Skinałem głową. – A więc i Matterson i Trinavant zrobili fortunę. I co dalej?

– Nic dalej – powiedział McDougall – Trinavant zginął i Matterson przejął calusieńki interes. Bo, jak się okazało, nie został już żaden żywy Trinavant.

Zastanowiłem się chwilę.

– Czy aby na pewno? Artykuł w „Recorderze” wspominał o niejkiej pannie Trinavant, siostrzenicy Johna.

– Masz na myśli Clare – powiedział McDougall. – W rzeczywistości nie jest siostrzenicą, po prostu daleką krewną ze Wschodniego Wybrzeża. Kilkaset lat temu Trinavantowie byli dosyć liczną rodziną, ale wschodnią gałąź zgubiła skłonność do butelki. O ile się orientuję, Clare Trinavant jest ostatnim Trinavantem w Kanadzie. John natrafił na nią przypadkowo w czasie podróży do Montrealu. Była sierotą. Uznał, że jest w jakiś sposób spokrewniona z jego rodziną, zabrał ją do siebie i potraktował jak własną córkę.

– A więc nie dziedziczyła po nim?

– Nie bezpośrednio – potrząsnął głową McDougall. – Nie adoptował jej w sensie prawnym i wygląda na to, że nie udało się wyjaśnić pokrewieństwa, przez co Clare wypadła z gry.

– Kto więc odziedziczył po Trinavancie? I w jaki sposób Matterson zdołał przejąć udział Trinavanta w firmie?

McDougall uśmiechnął się krzywo. – Odpowiedzi na te dwa pytania są ściśle ze sobą związane. Testament Johna ustanawiał zarząd powierniczy na rzecz jego żony i syna. Cały kapitał miał przejść na młodego Franka w chwili ukończenia przez niego trzydziestego roku życia. Uwzględniono wszystkie możliwe zabezpieczenia prawne i testament był bez zarzutu. Między innymi trzeba było przewidzieć odpowiednią klauzulę na wypadek, gdyby John żył dłużej niż wszyscy zainteresowani; w tym przypadku zarząd powierniczy miał przeznaczyć fundusze na stworzenie wydziału technologii drewna na jednym z kanadyjskich uniwersytetów.

– Czy zostało to wykonane?

– Zostało. Zarząd powierniczy robi tu dobrą robotę, choć nie tak dobrą, jak powinien, a żeby zrozumieć, dlaczego, trzeba się cofnąć do roku 1929. Trinavant i Matterson połapali się wtedy, że budują imperium. Żaden z nich nie chciał, żeby śmierć drugiego stała mu na przeszkodzie, więc spisali umowę, że w przypadku śmierci jednego, drugi będzie miał prawo wykupienia udziałów wspólnika po cenie nominalnej. I Matterson z tego prawa skorzystał.

– Czyli, że zarząd powierniczy miał udziały Trinavanta, ale członkowie zarządu byli prawnie zobowiązani sprzedać je Mattersonowi jeśli postanowiłby skorzystać ze swoich praw. Nie widzę w tym nic złego.

– Nie bądź naiwny Boyd – McDougall wykrzywił usta z irytacją. – Po pierwsze – zaczął odliczać na palcach – pamiętaj, że chodziło o kupno po cenie nominalnej, a gotów jestem się założyć, że gdy Donner zabrał się do ksiąg handlowych, wartość nominalna jakimś dziwnym sposobem spadła na łeb na szyję. To jedna strona medalu. Po drugie, przewodniczącym zarządu powierniczego jest William Justus Sloane, który praktycznie mieszkał w tamtych czasach w kieszeni Bulla Mattersona. Cały ten nędzny grosz, jaki zarząd otrzymał od Mattersona został bez chwili zwłoki zainwestowany w świeżo powstającej Matterson Corporation i jedyną osobą, która dziś sprawuje kontrolę nad tą forszą jest nasz Bull. Po trzecie, zanim zarząd się zabrał do tego, do czego go powołano, upłynęło mnóstwo czasu. Uruchomienie wydziału technologii drewna zajęło nie mniej niż cztery lata, a i tak nie przyłożyli się zbytnio. Z tego, co słyszę, wydział cierpi na stały brak funduszy. Po czwarte, nigdy nie ujawniono warunków, na jakich Bull odkupił



udziały Trinavanta. O ile się nie mylę, udało mu się obniżyć cenę do poziomu między siedem a dziesięć milionów dolarów, ale w Matterson Corporation zarząd reinwestował tylko dwa miliony i to w akcje bez prawa głosu. Masz pojęcie, jaka to przysługa dla Bulla Mattersona? Po piąte... a właściwie, to szkoda czasu.

– Chcesz więc powiedzieć, że Bull Matterson w gruncie rzeczy ukradł pieniądze Trinavanta?

– Nie ma mowy o żadnym „w gruncie rzeczy” – warknął McDougall.

– Panna Clare miała pecha – powiedziałem.

– Nie tak bardzo. W testamencie był osobny zapis na jej rzecz. John zostawił jej pół miliona dolarów i spory kawał ziemi. Tego Bull w żaden sposób nie mógł ugryźć, co wcale nie znaczy, że nie próbował.

Zrozumiałem teraz sens stwierdzenia we wstępnym artykule w „Recorderze”, że można mieć nadzieję, że edukacja panny Trinavant nie zostanie przerwana.

– Ile miała lat, gdy zginął Trinavant?

– Raptem siedemnaście. John wysłał ją do Szwajcarii na dalszą naukę.

– A kto napisał wstępniak w numerze z 7 września 1956 roku?

– Zrozumiałeś, prawda? – uśmiechnął się McDougall. – Czyli, że sprytny z siebie chłopak. Artykuł został napisany przez Jimsona, ale mogę się założyć, że podyktował go Matterson. Wcale nie było jasne, czy ta umowa w sprawie prawa wykupu udziałów ma obowiązującą moc prawną, bo Clare nie była przecież w sensie prawnym członkiem rodziny Johna, ale Bull nie czekał z założonymi rękami. Osobiście poleciał do Szwajcarii i namówił ją do pozostania w Europie. Chcąc pokazać, że ludzie w Fort Farrell myślą podobnie, podetknął jej pod nos ten artykuł. Clare sądziła, że „Recorder” jest uczciwą gazetą, bo nie wiedziała, że w ciągu tygodnia po śmierci Trinavanta redakcja została skorumpowana przez Mattersona. Miała siedemnaście lat i kompletnie nie znała się na interesach.

– Kto więc pilnował jej pół miliona zanim nie osiągnęła pełnoletności?

– Zarząd publiczny – wyjaśnił McDougall. – Takie jest postępowanie w podobnych przypadkach. Bull próbował oczywiście wywierać naciski, ale nic nie osiągnął.

Spróbowałem uporządkować sobie wszystkie fakty w głowie.

– Nie rozumiem tylko – powiedziałem – dlaczego Matterson wszędzie wymazał nazwisko Trinavanta. Co miał do ukrycia?

– Nie wiem – przyznał McDougall. – Miałem nadzieję, że człowiek, który po dziesięciu latach sięgnął do tamtego numeru gazety mi to wyjaśni. Lecz od tamtej pory do dziś dnia nazwisko Trinavanta było w naszym mieście wyklęte. Trinavant Bank przeobraził się w Matterson Bank i każde przedsiębiorstwo, które nosiło nazwisko

Trinavanta, zostało przechrzczone. Próbował nawet zmienić nazwę placu Trinavanta, ale nie był w stanie poradzić sobie z panią Davenant, starą wyjadaczką, która kieruje towarzystwem historycznym Fort Farrell.

– Tak, gdyby nie ten plac – powiedziałem – nie wiedziałbym, że jestem w mieście Trinavanta.

– I co z tego?

Gdy nie odpowiadałem, McDougall dodał:

– Nie był w stanie przechrzcić również Clare Trinavant. Ale gotów jestem się założyć, że cały czas modli się, żeby wreszcie wyszła za mąż. Clare mieszka w okolicy i nie cierpi starego.

– Czyli stary Matterson żyje.

– Jak najbardziej. Ma już dobre siedemdziesiąt pięć lat i jak na swoje lata miewa się nieźle. Nadal nie brakuje mu wigoru, a zawsze był nieokiełzany. John Trinavant potrafił nad nim zapanować, ale gdy John odszedł, stary Bull ostatecznie zerwał się z uwięzi. Zorganizował Matterson Corporation jako towarzystwo holdingowe i zaczął robić pieniądze w mieście. Wszystko jedno jak. Jeśli chodzi o ścisłość, to nadal zbija majątek. A tereny leśne w jego posiadaniu...

– Wydawało mi się – przerwałem – że obszary leśne są własnością Korony?

– W Kolumbii Brytyjskiej dziewięćdziesiąt pięć procent lasów istotnie należy do państwa, ale pięć procent, czyli mniej więcej trzy i pół miliona hektarów, jest w rękach prywatnych. Bull ma na własność, co najmniej pół miliona hektarów, oraz prawo wyrębu dalszego miliona hektarów państwowych lasów. Wycina dwadzieścia milionów metrów kubicznych drewna rocznie. Stale balansuje na krawędzi z powodu nadmiernych wyrębów, a rząd bardzo tego nie lubi. Zawsze jednak udaje mu się posmarować tam gdzie trzeba. Teraz zaczyna budowę własnej hydroelektrowni, a gdy już ją zbuduje, będzie trzymał cały region za gardło.

– Młody Matterson powiedział – zauważyłem – że elektrownia ma dostarczać energii elektrycznej na potrzeby Fort Farrell.

– A twoim zdaniem, czym jest Fort Farrell, jeśli nie częścią Matterson Corporation – wykrzywił się McDougall w sardonicznym uśmiechu. – Mamy tu na miejscu dwa zespoły generatorów, które nigdy nie dają należytego napięcia w sieci i ciągle się psują, więc teraz rusza Towarzystwo Elektryczne Mattersona. A przedsięwzięcia Mattersona mają tendencję do rozrastania się. Stary Bull Matterson wyobraża sobie zapewne, że Matterson Corporation zapanuje z czasem nad częścią Kolumbii Brytyjskiej od Fort St. John do Kispiox i od Prince George po sam Yukon, tworząc samodzielne królestwo w którym będzie mógł rządzić jak zechce.

– A gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla Donnera? – zapytałem zaciekawiony.

– Donner pilnuje kasy, jest księgowym. Myśli tylko w dolarach i centach, każdy dolar potrafi wycisnąć do sucha. To bezwzględny łobuz, który na ogół pozostaje w cieniu. Obmyśla strategię, a Bull Matterson nadaje wszystkiemu kształt. Bull siedzi na samym szczycie jako przewodniczący rady nadzorczej, pozostawiając sprawy bieżące młodemu Howardowi, a Donner pilnuje, żeby synalka zbyt nie ponosiło.

– Nie idzie mu to najlepiej – stwierdziłem i opowiedziałem McDougallowi przebieg spotkania w biurze Howarda.

– Donner jest w stanie kontrolować tego młodego głupka z jedną ręką związaną za plecami – zachnął się McDougall. – Popuszcza tam, gdzie nie ma to większego znaczenia, ale gdy przychodzi do spraw zasadniczych, Howard nie ma najmniejszych szans. Młody Howard dobrze się prezentuje na zewnątrz i sprawia wrażenie twardziela, ale w środku to mięczak. Nie ma nawet jednej dziesiątej ikry swego ojca.

Przez dłuższą chwilę siedziałem przeżuając wszystko.

– W porządku, Mac – odezwałem się w końcu – mówiłeś, że jesteś tym osobiście zainteresowany. Dlaczego?

Spojrzał mi prosto w oczy. – Może cię to zdziwi – powiedział – ale nawet dziennikarz ma poczucie honoru. John Trinavant był moim przyjacielem. Często przychodził tu na górę i opowiadał różne rzeczy przy szklaneczce whisky. Rzygać mi się chciało, gdy gazeta tak postąpiła z nim i jego rodziną po katastrofie, ale pozwoliłem na to i nie ruszyłem palcem. Jimson jest niekompetentnym głupcem. Mogłem zrobić taki materiał na pierwszą stronę, żeby ludzie z Fort Farrell nigdy nie zapomnieli Johna Trinavanta. Ale nie zrobiłem nic. A wiesz, dlaczego? Bo jestem tchórzem. Bałem się Bulla Mattersona, bałem się, że wylecę z pracy. – Głos mu się trochę załamał.

– Synu, gdy John Trinavant zginął, miałem sześćdziesiąt lat i nie byłem już młody. Zawsze łatwo wydawałem pieniądze i miałem pusto w kieszeni, a pochodzę z długowiecznej rodziny. Wydawało mi się, że mam jeszcze przed sobą wiele lat życia, a jakie ma widoki na przyszłość ktoś, kto w wieku sześćdziesięciu lat stracił pracę?

– Ale teraz – dodał spokojniej – mam już siedemdziesiąt jeden lat i nadal pracuję dla Mattersona. Robię dla niego dobrą robotę i tylko, dlatego wciąż mnie tu trzyma. Na pewno nie z łaski, bo nie wie, co to słowo znaczy. W ciągu ostatnich dziesięciu lat udało mi się trochę zaoszczędzić pieniędzy i teraz, gdy już nie mam przed sobą zbyt długiego życia, chciałbym coś zrobić dla swojego starego przyjaciela Johna Trinavanta. Już się nie boję.

– A co proponujesz? – zapytałem.

– To raczej ja czekam na twoje propozycję – powiedział nabrawszy powietrza. – Musi

coś w tym być, jeśli ktoś nagle wchodzi do redakcji, żeby przeczytać artykuł sprzed dziesięciu lat. Chciałbym się dowiedzieć, co to takiego.

– Nie, Mac – powiedziałem. – Jeszcze nie teraz. Nie wiem, czy coś w tym jest, czy nie. Nie wiem, czy mam prawo się w to mieszać. Przyjechałem do Fort Farrell wyłącznie przez przypadek i nie sądzę, żeby to była moja sprawa.

Wydał policzki i gwałtownie wypuścił długo wstrzymywany oddech.

– Nie rozumiem, po prostu nie rozumiem – powiedział z wyrazem zdumienia na twarzy. – Czyżbyś przeczytał ten numer gazety sprzed dziesięciu lat ot tak sobie, bo lubisz grzebać w starych rocznikach prowincjonalnych gazet? A może chciałeś się dowiedzieć, która z miejscowych dam wygrała w tamtym tygodniu konkurs na placek z dyni? O to ci chodziło?

– Nic z tego, Mac – powiedziałem – niczego ze mnie nie wydobędziesz zanim sam nie będę gotów, a do tego jeszcze daleka droga.

– W porządku – odezwał się cicho. – Opowiedziałem ci mnóstwo szczegółów. Gdyby to dotarło do Mattersona, ściałby mi w jednej chwili głowę. Sam się podłożyłem pod topór.

– Z mojej strony nic ci nie grozi, Mac.

– Mam nadzieję, do jasnej cholery – mruknął. – Nie bardzo bym chciał teraz bez żadnego pożytku wylecieć z pracy. – Wstał i zdjął z półki papierową teczkę. – Równie dobrze mogę ci dać jeszcze trochę szczegółów. Zwróciło moją uwagę, że jeśli Matterson chciał wymazać nazwisko Trinavanta, to powód może być związany z tym, jak Trinavant zginął. – Wyjął z teczki fotografię i podał mi ją. – Wiesz, kto to jest?

Spojrzałem na twarz młodego mężczyzny i skinąłem głową. Odbitkę tego zdjęcia widziałem już wcześniej, ale nie powiedziałem tego McDougallowi.

– Tak, to Robert Grant. – Położyłem zdjęcie na stole.

– Czwarty pasażer samochodu. – McDougall uderzył w fotografię palcem. – Ten chłopak przeżył. Wszyscy myśleli, że umrze, ale nie umarł. Sześć miesięcy po śmierci Trinavanta miałem urlop, postanowiłem, więc po cichu sprawdzić to i owo poza zasięgiem starego Bulla. Pojechałem do Edmonton do szpitala. Dowiedziałem się, że Robert Grant został przeniesiony do Quebecu, znajduje się w prywatnej klinice i nie ma możliwości porozumienia się z nim. Od tego momentu straciłem ślad, a ukrycie się przed starym raczej dociekliwym dziennikarzem nie jest wcale takie proste. Rozesłałem odbitki tego zdjęcia do kilku moich przyjaciół dziennikarzy rozsianych po całej Kanadzie i jak dotychczas nic z tego nie wynikło. Robert Grant znikł z powierzchni ziemi.

– A więc?

– Synu, czy kiedykolwiek widziałeś tego człowieka?

Powtórnie spojrziałem na fotografię. Grant wyglądał na niej na młodego chłopaka, który niedawno skończył dwadzieścia lat i ma przed sobą całe bogate życie.

– Jestem zupełnie pewien, że nigdy nie widziałem tej twarzy – powiedział wolno.

– No cóż, chciałem spróbować – powiedział McDougall. – Myślałem, że może jesteś jego przyjacielem, który przyjechał zobaczyć, jak sprawy wyglądają.

– Przykro mi, Mac. Nigdy nie spotkałem tego człowieka. Ale dlaczego właściwie miałbyś tu wrócić? Czy Grant nie jest postacią pozbawioną w tym wszystkim znaczenia?

– Może tak – odpowiedział z namysłem McDougall – a może nie. Po prostu chciałem z nim porozmawiać, nic więcej.

– Napijmy się jeszcze. – Wzruszył ramionami.

Po raz pierwszy od pięciu lat tej nocy znów miałem Sen. I znów, jak zwykle, wyłem ze strachu. Pokryta śniegiem góra najeżona czarnymi skałami sterczącymi jak żarłoczne zęby. Nie wspinałem się ani nie schodziłem na dół. Stałem tylko w miejscu jak przyrośnięty. Gdy próbowałem poruszyć stopy, śnieg kleił się jak smoła i czułem się jak mucha złapana na lep.

Cały czas padał śnieg. Nieustannie narastały zasy, sięgając najpierw do kolan, za chwilę do pól uda. Wiedziałem, że jeśli się nie poruszę, śnieg mnie zasypie, więc znów spróbowałem się wydostać, nachylając się i odgarniając go gołymi rękoma.

Wtedy poczułem, że wcale nie jest zimny, ale upiornie gorący, mimo że w moich koszmarach zawsze był biały bez skazy. Krzyczałem w śmiertelnym przerażeniu machając rękami, a śniegu cały czas przybywało. Sięgnął do ramion, później do twarzy, a ja wyłem od parzącego gorąca, gdy zamykał się nad głową grzebiąc mnie, grzebiąc...

Obudziłem się spocony w obcym hotelowym pokoju, marząc o łyku starej whisky Maca.

## II

Pierwszą rzeczą, jaką zapamiętałem w życiu jest ból. Niewielu mężczyznom zdarza się dostać w szpony własnych bólów porodowych i nikomu tego nie polecam. Inna sprawa, że moje chęci i niechęci nie mają tu wielkiego znaczenia. Nikt nie rodzi się na własne życzenie i sposób porodu nie zależy od nas.

Odczuwałem ból jako gnieźdzącą się w całym ciele agonię. Z czasem narastała przeradzając się w pożerający, rozgrzany do czerwoności płomień. Walczyłem z całych sił i wydawało mi się, że zwyciężam, choć później tłumaczono mi, że wyciszenie bólu było spowodowane zastosowaniem narkotyków. Ból zniknął, a ja traciłem świadomość.

W chwili urodzin miałem dwadzieścia trzy lata, a przynajmniej tak zostałem poinformowany.

Dowiedziałem się również, że spędziłem następnych kilka tygodni w stanie śpiączki, balansując na cienkiej krawędzi oddzielającej śmierć od życia. Staram się myśleć o tym jak o swego rodzaju łasce, ponieważ jeśli bym był na tyle przytomny, żeby cały czas odczuwać ból, wątpię czy bym przeżył.

Gdy odzyskałem świadomość ból, choć nadal zagnieźdżony w całym ciele, znacznie złagodniał i stał się możliwy do zniesienia. Trudniejsza do zniesienia była pozycja ciała. Leżałem rozpostarty na plecach, przywiązany w kostkach i nadgarstkach i jakby zanurzony w jakimś płynie. Nie miałem prawie żadnej swobody ruchów, bo gdy chciałem otworzyć powieki, poczułem, że nie jestem w stanie tego zrobić. Twarz miałem w dziwny sposób ściągniętą. Ogarnął mnie lęk i spróbowałem się uwolnić.

– Musisz zachować spokój – powiedział natarczywie jakiś głos. – Nie wolno ci się poruszać. Nie wolno ci się poruszać.

Był to dobry, miękki i budzący zaufanie głos, więc odprężyłem się i znów zapadłem w błogosławioną śpiączkę.

Minęło kilka następnych tygodni, w czasie, których nieco częściej bywałem przytomny. Niewiele pamiętam z tego okresu z wyjątkiem tego, że ból stawał się mniej dokuczliwy, a ja nabierałem sił. Zaczęto karmić mnie rurką wciśniętą między wargi, w ten sposób piłem zupy i soki owocowe, i przybywało mi sił. Trzy razy byłem operowany. Dowiedziałem się o tym, nie tylko obserwując własne odczucia, ale słuchając rozmów pielęgniarek. Lecz najczęściej dominował szczęśliwy stan zawieszenia w próżni. Nigdy nie przyszło mi do głowy zastanawiać się, co tu robię i jak się tu znalazłem, podobnie jak nie zastanawia się nad tym noworodek w kołysce. Póki dbano o mnie i karmiono jak niemowlę, pozwalałem sprawom toczyć się własnym torem.

Nadeszła pora, gdy zdjęto bandaż na oczach i całej twarzy.

– Teraz spokojnie – odezwał się głos, ten sam głos mężczyzny, który słyszałem już wcześniej. – Nie otwieraj oczu dopóki ci nie powiem.

Posłusznie zacisnąłem powieki i poczułem jak nożyczki przecinają gazę. Jakieś palce dotknęły moich powiek i ktoś szepnął:

– Wydają się w porządku. – Na twarzy poczułem oddech.

– Dobra, spróbuj otworzyć oczy – powiedział głos.

Otworzyłem powieki i zobaczyłem zaciemnione pomieszczenie i zarys postaci mężczyzny przed sobą.

– Ile podniosłem palców – zapytał.

W moim polu widzenia pojawił się jaśniejszy obiekt.

– Dwa – powiedziałem.

– A teraz?

– Cztery.

Mężczyzna odetchnął z ulgą.

– Wygląda na to, że oczy ma pan nieuszkodzone. Miał pan niesłuchanie dużo szczęścia, panie Grant.

– Grant?

Mężczyzna zawahał się.

– Nazywa się pan Grant, prawda?

W tej chwili, jak mi później opowiadano, zacząłem krzyczeć i musieli mi podać dodatkową porcję środków uspokajających. Nie pamiętam krzyku. Jedyne, co pamiętam, to przerażające poczucie nicości, gdy zdałem sobie sprawę, że nie wiem, kim jestem.

Historię swoich narodzin opowiedziałem raczej szczegółowo. Trudno uwierzyć, że przetrwałem cały ten okres, często w pełni przytomny, nie martwiąc się w najmniejszym stopniu o poczucie własnej tożsamości. Lecz Susskind wytłumaczył mi wszystko później.

Dr Matthews, chirurg, należał do zespołu, który mnie poskładał i gdy jako jeden z pierwszych zdał sobie sprawę, że mój stan wykracza poza urazy organiczne, do zespołu dołączono Susskinda. Zawsze nazywałem go Susskind; tak się sam przedstawił i od początku czułem w nim przyjaciela. Być może to właśnie decyduje, że ktoś jest dobrym psychiatrą. Gdy zacząłem się poruszać i mogłem już sam wyjść ze szpitala, bywało, że szliśmy razem na piwo. Nie wiem, czy to normalne w leczeniu psychiatrycznym, zawsze myślałem, że psychoanalityk nie rusza się z wyściełanego krzesła u wezgowia kozetki, na której kładzie się pacjent. Susskind miał jednak własne metody i okazał się naprawdę wiernym przyjacielem.

Wszedł do zacienionego pokoju patrząc na mnie.

– Jestem Susskind – powiedział szorstko. Rozejrzył się wokół.

– Dr Matthews jest zdania, że może mieć pan więcej światła i chyba ma rację. – Podszedł do okna i rozsunął zasłony. – Ciemność szkodzi duchowi.

Zbliżył się do łóżka i nachylił. W wyrazistej twarzy dominowała silnie zarysowana żuchwa i załamany nos, ale piwne oczy błyszczały nieoczekiwaną miękkością, jak oczy inteligentnej małpy. Wyciągnął rękę w dziwnie rozbrajający sposób.

– Mogę usiąść? – zapytał.

Kiwnąłem głową. Zahaczył stopą za krzesło i przyciągnął je bliżej. Usiadł niedbale, opierając lewą kostkę na prawym kolanie i eksponując dłuższy odcinek skarpetek w dziwaczne wzory, oraz pięć centymetrów włochatych łydek.

– Jak się pan czuje?

Potrząsnąłem głową.

– O co chodzi? Koty język wyjadły? – Gdy nie odpowiedziałem, mówił dalej.

– Posłuchaj, chłopcze, wygląda na to, że jesteś w kłopotach. Sam powiedz, jak mam ci pomóc, jeśli nie będziesz ze mną rozmawiał?

Miałem za sobą okropną, najgorszą z możliwych noc. Godzinami walczyłem z pytaniem: kim jestem i nic nie osiągnąłem. Byłem wyczerpany i przerażony, nie w nastroju do rozmów.

Susskind sam zaczął mówić cichym i opanowanym głosem. Nie pamiętam wszystkiego, co powiedział za pierwszym razem, ale wracał do tego tematu jeszcze po wielokroć. Mniej więcej brzmiało to tak:

– Wcześniej lub później każdy staje przed tym problemem i zadaje sobie trudne, lecz zasadnicze pytanie: kim jestem? Ma ono wiele odmian, na przykład: dlaczego istnieję, dlaczego znajduję się w tym miejscu? Ci, którym jest wszystko jedno, zaczynają sobie stawiać tego rodzaju pytania później, czasami dopiero na łożu śmierci. Człowiek myślący staje przed koniecznością poszukiwania odpowiedzi dużo wcześniej i musi poświęcić temu wiele umysłowego wysiłku.

– Z takich pytań rodzi się wiele dobrego, i sporo zła. Zdarza się, że ludzie, którzy sami zaczęli sobie stawiać te pytania, popadają w obłąd, inni zostają świętymi, ale większość dochodzi do kompromisu. Z takich pytań rozwinęły się wielkie religie. Filozofowie napisali na ten temat całe mnóstwo książek, książek zawierających głównie stężone bzdury i czasem kilka ziaren sensu. Naukowcy poszukiwali odpowiedzi na te pytania badając ruch atomów i oddziaływanie różnych leków. Pytanie o sens życia dotyczy w równej mierze wszystkich ludzi, a jeśli ktoś nie jest w stanie go dostrzec, to znaczy, że taki osobnik nie może być uważany za człowieka.

– Ty akurat zderzyłeś się z problemem własnej tożsamości w sposób zaostrzony.



Wydaje ci się, że skoro nie pamiętasz swojego nazwiska, jesteś nikim. Mylisz się. Istnienie osoby nie zależy od nazwiska. Nazwisko to tylko słowo, rodzaj opisu, a więc rzecz czysto umowna. Osoba, czyli ta świadomość w twoim wnętrzu, którą nazywasz sobą samym, nadal tam jest. Gdyby jej zabrakło, umarłbyś.

– Wydaje ci się również, że ponieważ nie pamiętasz różnych wydarzeń z dotychczasowego życia, to twój świat już nie istnieje. Dlaczego tak myślisz? Nadal oddychasz, nadal żyjesz. Już niedługo wyjdiesz ze szpitala jako myślący, zadający sobie różne pytania człowiek, i z zapalem zabierzesz się do tego, co ci pisane. Może uda nam się coś zrekonstruować, istnieje duże prawdopodobieństwo, że odzyskasz wszystkie swoje wspomnienia w ciągu kilku dni lub tygodni. Może to potrwać jeszcze dłużej, ale po to tu jestem, żeby ci pomóc. Czy pozwolisz mi na to?

Spojrzałem na jego surową twarz z absurdalnie łagodnymi oczyma.

– Dziękuję – wyszeptalem. I ponieważ byłem bardzo zmęczony, zasnąłem, a gdy się obudziłem, Susskinda już nie było.

Ale wrócił następnego dnia.

– Lepiej?

– Trochę.

Usiadł.

– Można zapalić? – zapalił papierosa i spojrzał na niego z obrzydzeniem. – Ostatnio za dużo pałę.

– Zapalisz? – wyciągnął paczkę.

– Nie pałę.

– Skąd wiesz?

Myślałem o tym przez pełne pięć minut, podczas gdy Susskind cierpliwie milczał.

– Nie – powiedziałem. – Nie, nie pałę. Wiem, że nie pałę.

– To dobry początek – powiedział z prawdziwym zadowoleniem. – Coś jednak o sobie wiesz. Jaką pierwszą rzecz pamiętasz?

– Ból – powiedziałem bez namysłu. – Ból i płnięcie. Też to, że byłem związany.

Susskind zaczął szczegółowo analizować moje odczucia, a gdy skończył, wydawało mi się, że dostrzegam w jego wyrazie twarzy ślady zwątpienia, ale mogłem się mylić.

– Jak sądzisz, w jaki sposób znalazłeś się w szpitalu? – zapytał.

– Nie – powiedziałem. – Ja się tu urodziłem.

– W twoim wieku? – uśmiechnął się.

– Nie wiem, ile mam lat.

– Najprawdopodobniej dwadzieścia trzy. Miałeś wypadek samochodowy. Pamiętasz coś z tego?

– Nie.

– Ale wiesz co to takiego samochód?

– Oczywiście. – Zawahałem się. – Gdzie był ten wypadek?

– Na szosie między Dawson Creek i Edmonton. Wiesz, gdzie są te miasta, prawda?

– Wiem.

Susskind zgasił papierosa.

– Te popielniczki są o wiele za małe – mruknął. Zapalił następnego. – Czy chciałbyś dowiedzieć się o sobie czegoś więcej? To tylko informacje od innych ludzi, nie twoje własne wspomnienia, ale mogą się przydać. Na przykład, twoje nazwisko.

– Dr Matthews użył nazwiska Grant.

– Według posiadanych informacji tak się najprawdopodobniej nazywałeś. Dokładniej, jesteś Robertem Boydem Grantem. Coś jeszcze?

– Tak – powiedziałem. – Czym się zajmowałem? Jaki jest mój zawód?

– Jesteś studentem uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej w Vancouver. Przypominasz coś sobie?

Potrząsnąłem głową.

– Co to jest mofet? – zapytał nagle.

– Szczelina pochodzenia wulkanicznego, z której wydobywa się dwutlenek węgla. – Spojrzałem na niego. – Skąd o tym wiem?

– Pisałeś pracę magisterską z geologii – odrzekł sucho. – Jak miał na imię twój ojciec?

– Nie wiem – odparłem tępo. – Powiedziałeś miał. Czy to znaczy, że nie żyje?

– Tak – stwierdził szybko Susskind. – Przypuśćmy, że chcesz się wybrać do Irving House w New Westminster. Co się tam znajduje?

– Muzeum.

– Czy masz rodzeństwo?

– Nie wiem.

– Jaką partię polityczną, o ile w ogóle jakąś, popierasz?

Pomyślałem chwilę i wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem, ale nie sądzę, żebym się w ogóle interesował polityką.

Susskind przygotował całe tuziny pytań i strzelał nimi teraz jedno za drugim, wymuszając szybkie odpowiedzi. Gdy skończył, zapalił następnego papierosa.

– Powiem ci wprost, Bob, ponieważ nie wierzę w ukrywanie nieprzyjemnych faktów przed moimi klientami oraz ponieważ wiem, że można ci to powiedzieć. Twoja utrata pamięci dotyczy tylko życia osobistego. Wszystko, co nie wiąże się bezpośrednio z twoim „ja”, czyli takie rzeczy jak geologia, znajomość miejsc, prowadzenie samochodu

zachowały się bez szwanku. – Strzelił niecelnie popiołem w stronę popielniczki. – Sprawy bardziej osobiste, dotyczące ciebie i twoich stosunków z innymi ludźmi zniknęły. Nie tylko zatarły się wspomnienia rodzinne, ale nie pamiętasz w ogóle nikogo, ani profesora geologii, ani nawet najlepszego kumpla na uczelni. Tak, jakby coś w tobie postanowiło wymazać do czysta cały zapis.

Poczułem się beznadziejnie zagubiony. Co może począć człowiek w moim wieku, pozbawiony zupełnie rodziny, przyjaciół i kontaktów wśród ludzi? Mój Boże, nie zostali mi nawet żadni wrogowie, a to oznacza, że jest naprawdę źle.

Krótki palec wskazujący Susskinda stuknął mnie lekko w ramię.

– Nie poddawaj się, stary. Jeszcze nawet nie zaczęliśmy. Spróbuj spojrzeć na to tak: niejeden oddałby duszę, żeby tylko móc zacząć od nowa z czystym kontem. Muszę ci na początek wyjaśnić kilka rzeczy. Nieświadomy umysł jest szczególnie stworzeniem rządzącym się własną logiką. Dla świadomości jego logika może wydawać się bardzo dziwna, ale nieświadomość działa według ścisłych zasad i nasze zadanie polega na ich zrozumieniu. Zamierzam poddać cię kilku testom psychologicznym i może wtedy lepiej potrafię wyjaśnić, dlaczego się zaklinowałeś. Spróbuję dowiedzieć się także więcej o twojej przeszłości i może stamtąd coś się wyłoni.

– Powiedz Susskind, jaką mam szansę? – zapytałem.

– Nie chcę teraz wyrokować, to nie jest zwykła utrata pamięci. Twój przypadek nadaje się na książkę i prawdopodobnie ją napiszę. Zobacz jak to wygląda, Bob: facet dostaje po głowie i traci pamięć. Ale nie na długo. Po kilku dniach, najwyżej po kilku tygodniach wszystko wraca do normy. To najczęstszy obrót rzeczy. Czasami bywa gorzej. Miałem niedawno przypadek osiemdziesięcioletniego staruszka, który zemdlał na ulicy. Następnego dnia trafił do szpitala i okazało się, że zgubił rok życia. Całkowicie stracił pamięć na rok wstecz od wypadku i moim zdaniem nigdy jej nie odzyska.

– To się nazywa całkowity zanik pamięci. – Machnął mi papierosem przed nosem. – „Wybiórczy” zanik pamięci, taki jak w twoim przypadku, jest wyjątkowo rzadki. Oczywiście, że takie rzeczy się zdarzały i będą się zdarzać, ale nie często. I tak jak w przypadku całkowitego zaniku, z wyleczeniem różnie bywa. Kłopot w tym, że selektywny zanik pamięci zdarza się tak rzadko, że bardzo mało o nim wiemy. Mógłbym ci stwarzać nadzieję na odzyskanie pamięci w ciągu tygodnia, ale nie zrobię tego, ponieważ nie wiem. Jedyne, co jestem w stanie zrobić, to zacząć od zaraz pracować w tym kierunku. Moja rada jest taka, żebyś przestał się martwić swoją pamięcią i skoncentrował na innych rzeczach. Gdy tylko będziesz mógł czytać, przyniosę ci kilka podręczników i zabierzesz się z powrotem do nauki. Niedługo zdejmą ci z rąk bandażę i będziesz mógł również pisać. Za dwanaście miesięcy czeka cię, mój drogi, egzamin

magisterski.

2

Susskind zagonił mnie do pracy i najeżdżał na mnie, gdy tylko się zaniedbywałem. Sądząc, że dobrze mi to zrobi, stawał się czasami paskudny, a gdy tylko zdjęto bandażę, zmusił mnie do intensywnej nauki. Zaaplikował mi również najrozmaitsze testy: osobowości, inteligencji, zawodowe, i wydawał się zadowolony z wyników.

– Głupkiem nie jesteś – oznajmił, wymachując kartką papieru. – Wyszło ci sto trzydzieści trzy testem Wechslera-Bellvue'a. Masz głowę na karku, więc jej używaj.

Ciało, szczególnie klatkę piersiową, miałem pocięte okropnymi bliznami. Ręce pokrywała nienaturalnie różowa nowa skóra, a gdy dotykałem twarzy, wyczuwałem zgrubienia blizn. Wynikł stąd następny problem. Pewnego dnia Matthews z Susskindem u boku przyszedł na rozmowę.

– Musimy porozmawiać, Bob – zaczął chirurg.

– Mówisz jak wyrocznia – zachichotał Susskind – coś taki poważny?

– To trudna sprawa – stwierdził Matthews. – Bob, musisz podjąć ważną decyzję. W naszym szpitalu zrobiliśmy dla ciebie wszystko, co możliwe. Oczywiście masz w porządku, ale reszta twojej fizjonomii jest w trochę gorszym stanie. Nic na to nie mogę poradzić. Nie jestem geniuszem, a tylko zwykłym chirurgiem klinicznym specjalizującym się w urazach skóry. – Przerwał i widać było, jak z namysłem dobiera słowa. – Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego nie ma tu żadnych luster?

Potrząsnąłem głową.

– Nasz Robert Boyd Grant jest wyjątkowo niekłopotliwym facetem – wtrącił się Susskind. – Czy chciałbyś się przejrzeć w lustrze, Bob?

Dotknąłem palcami policzków i poczułem zgrubienia.

– Nie wiem, czy chcę – powiedziałem czując, że cały drzę.

– Nie ma, co się zastanawiać – poradził Susskind. – To będzie silny wstrząs, ale łatwiej ci przyjdzie podjąć decyzję.

– Dobrze – powiedziałem.

Susskind strzelił palcami. Pielęgniarka wyszła z pokoju i prawie natychmiast wróciła z dużym lustrem, kładąc je na stole spodem do góry. Znowu wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Patrzyłem na lustro, ale nie sięgnąłem po nie.

– No dalej – zachęcił Susskind, więc z ociąganiem podniosłem je ze stołu i odwróciłem.

– Boże! – wymamrotałem i prędko zamknąłem oczy, czując w gardle gorzki smak

wymiotów. Po chwili spojrzałem znów. Zobaczyłem niewypowiedziane brzydką twarz, różową, pociętą bez ładu i składu białymi liniami. Wyglądała jak pierwsze nieudolne wysiłki dziecka lepiącego ludzką twarz z plasteliny. Nie było w niej śladów osobowości, żadnych przejawów dojrzałości, które u kogoś w moim wieku powinny już być widoczne. Zupełny brak wyrazu.

– To, dlatego jesteś w izolatce – powiedział cicho Matthews.

– To śmieszne – zacząłem się śmiać – cholernie śmieszne. Nie tylko straciłem samego siebie, ale także własną twarz.

– Twarz to twarz – oparł mi rękę na ramieniu Susskind. – Nikt sobie twarzy nie wybiera i ma taką, jaka mu pisana. Posłuchaj teraz, co ma ci do powiedzenia dr Matthews.

– Nie jestem chirurgiem plastycznym – zaczął Matthews. Wskazał na lusterko, które nadal trzymałem w ręku: – Sam widzisz. Gdy cię tu przywieziono, wykluczone były jakiegokolwiek bardziej skomplikowane zabiegi chirurgiczne, bo umarłbyś przy pierwszej próbie. Ale teraz czujesz się wystarczająco dobrze i można rozpocząć kolejny etap, jeśli się na to zdecydujesz.

– To znaczy?

– Cykl operacji, przeprowadzonych przez dobrego chirurga w Montrealu, jednego z najlepszych w Kanadzie i może w ogóle na zachodniej półkuli. Możesz odzyskać normalną twarz i rękę.

– Dalsze operacje! – Nie podobało mi się to, miałem już dosyć operacji.

– Masz kilka dni na podjęcie decyzji – powiedział Matthews.

– Pozwolisz, Matt? – wtrącił Susskind. – Dalej ja się tym zajmę.

– Oczywiście – powiedział Matthews. – Zostawiam go w twoich rękach. Porozmawiamy później, Bob.

Wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Susskind zapalił papierosa i rzucił paczkę na stół.

– Lepiej się zgodzić, stary – powiedział. – Nie możesz wyjść na ulicę z taką twarzą, przynajmniej, jeśli nie chcesz zostać gwiazdą horrorów.

– Tak – powiedziałem krótko. Zdałem sobie sprawę, że jest to nieuniknione. Odwróciłem się do Susskinda. – Wyjaśnij mi jedną rzecz. Kto za to wszystko płaci? Za ten osobny pokój? Za najlepszego chirurga plastycznego w Kanadzie?

– Nie wiadomo – cmoknął Susskind. – Komuś niewątpliwie na tobie zależy. Co miesiąc przychodzi list zaadresowany do dr Matthews. Zawiera tysiąc dolarów w studolarowych banknotach i coś takiego. – Susskind pogrzebał w kieszeni i rzucił na stół skrawek papieru.

Wyglądziłem go. Zawierał tylko jedną linijkę napisaną na maszynie: NA OPIEKĘ NAD ROBERTEM BOYDEM GRANTEM. Spojrzałem na niego podejrzliwie.

– To nie twoja sprawka, co?

– Dobry Boże! – powiedział – pokaż mi klinicznego psychiatrę który może sobie pozwolić na rozdawanie dwunastu tysięcy papierów rocznie. Nie stać mnie nawet na to, żeby ci dać dwanaście tysięcy centów. – Uśmiechnął się. – Ale dziękuję za zaufanie.

– Może to jest klucz do mojej tożsamości? – pchnąłem palcem kartkę.

– Nie, to nie żaden klucz – stwierdził sucho Susskind. Wyglądał na zakłopotanego. – Może zwróciłeś uwagę, że nie powiedziałem ci wiele na twój temat. Obiecałem, że zajmę się twoim pochodzeniem.

– Miałem cię o to zapytać.

– Trochę się rozejrzałem – powiedział. – I cały czas się zastanawiam, czy powinienem ci w ogóle o tym mówić. Widzisz, ludzie nie zawsze rozumieją, na czym polega mój zawód. W takim przypadku jak twój uważają, że powinienem przywrócić ci pamięć, niezależnie od tego, jaka by nie była. Ja uważam inaczej. Jestem trochę jak pewien psychiatra, który powiedział, że jego zadanie polega na pomaganiu geniuszom, żeby nie stracili swojej neurozy. Nie obchodzi mnie, żeby człowiek był normalny, chcę, żeby był szczęśliwy. To, że te dwa słowa uważa się za równoznaczne pokazuje tylko, w jak chorym świecie żyjemy.

– A jak się to ma do mnie?

– Moja rada jest, żebyś dał temu spokój – powiedział z naciskiem. – Nie grzeb w przeszłości. Zaczynij życie od nowa i zapomnij o wszystkim, co się działo zanim się tu zjawiłeś. Nie będę ci pomagał w odzyskiwaniu pamięci.

Patrzyłem na niego bez wyrazu.

– Susskind, nie oczekujesz chyba, że zostawię to wszystko tylko, dlatego, że tak mi radzisz?

– Nie wystarczy ci moje słowo? – zapytał łagodnie.

– Nie! – odparłem. – A tobie by wystarczyło na moim miejscu?

– Prawdopodobnie nie – powiedział z westchnieniem. – Wygląda na to, że będę musiał złamać kilka zasad etyki zawodowej, ale trudno. Będzie to krótkie i brutalne, zbierz się, więc do kupy, słuchaj i trzymaj buzię na kłódkę aż nie skończę.

Nabrał powietrza w płuca.

– Twój ojciec porzucił twoją matkę krótko po twoim urodzeniu i nikt nie wie, czy żyje czy nie. Twoja matka zmarła, gdy miałaś dziesięć lat i jak wynika z tego, co udało mi się dowiedzieć, nie była to wielka strata. Mówiąc wprost, była tanią dziwką, która nie była wcale żoną twojego ojca. Jako sierota trafiłeś do domu dziecka. Wygląda na to, że był

z ciebie nicpoń nie do upilnowania, wskutek czego niedługo zdobyłeś sobie oficjalny status recydywisty. Wystarczy?

– Mów dalej – szepnąłem.

– Twoją kartotekę policyjną rozpoczyna kradzież samochodu, przez co znalazłeś się w domu poprawczym. Nie był to chyba najlepszy dom poprawczy, nauczyłeś się tam tylko, jak żyć z przestępstwa. Uciekłeś i przez sześć miesięcy żyłeś z drobnych kradzieży, aż cię złapano. Na szczęście nie odesłano cię do tego samego domu poprawczego, trafiłeś na opiekuna, który umiał sobie z tobą poradzić i zacząłeś się prostować. Gdy wyszedłeś z poprawczaka, umieszczono cię w schronisku pod opieką kuratora i zacząłeś całkiem dobrze dawać sobie radę w szkole. Dzięki wysokiej inteligencji dostawałeś dobre stopnie, więc wysłano cię na uczelnię. Wyglądało na to, że wyszedłeś na prostą. Głos Susskinda przybrał odcień zaciekleści.

– Ale się ześliznąłeś. Tak, jakbyś nic nie mógł zrobić normalnie. Policja posadziła cię za palenie marihuany; kolejny minus w kartotece. Później był epizod z dziewczyną, która zmarła w czasie nielegalnej skrobanki, padło pewne nazwisko, ale nic nie dało się udowodnić, więc może lepiej zostawmy to na boku. Idziemy dalej?

– A jest coś jeszcze?

– Jeszcze coś jest. – Susskind smutno pokiwał głową.

– Chcę to usłyszeć – powiedziałem bezbarwnie.

– Dobrze. Jeszcze raz poszedłeś siedzieć za narkotyki, tym razem dokarmiałeś się heroiną. Spadłeś na samo dno. Istniały podejrzenia, że handlujesz narkotykami żeby zarobić na ćpanie, ale było tego zbyt mało, żeby cię posadzić. Gliniarze, co prawda starali się iść ci na rękę. Wtedy nadeszło przesilenie. Dowiedziałeś się, że prodziekan ma zamiar wywalić cię z college'u, a Bóg świadkiem, że miał ku temu wystarczające powody. Twoją jedyną nadzieją była obietnica poprawy, ale musiałbyś ją czymś podeprzeć, na przykład doskonałymi wynikami. Ale doskonale wyniki nie idą w parze z ćpaniem, byłeś, więc na tyle głupi, żeby włamać się do sekretariatu i poprawić stopnie z egzaminów.

– I zostałem na tym złapany – stwierdziłem tępo.

– Byłoby znacznie lepiej, gdyby cię złapano – powiedział Susskind. – Nie zostałeś przyłapany na gorącym uczynku, ale twoje fałszerstwo było tak oczywiste, że dyrektor wysłał po ciebie studenta z ostatniego roku. Ten znalazł cię bez trudności. Zaćpanego po uszy. Pobijeś chłopaka prawie na śmierć i ruszyłeś w niewiadomym kierunku. Bóg jeden wie, gdzie się chciałeś schować, może na Biegunie Północnym? W każdym razie sympatyczny facet o nazwisku Trinavant wziął cię do samochodu i następną rzeczą było wielkie bum: Trinavant zginął, zginęła jego żona i syn, a ty byłeś ledwo żywy. – Przetarł oczy.

– To mniej więcej wszystko – zakończył wyczerpany.

Trzęsłem się z zimna.

– Myślisz, że zabiłem tego faceta, Trinavanta i jego rodzinę?

– Myślę, że to był wypadek i nic więcej – powiedział Susskind. – Teraz posłuchaj uważnie, Bob. Mówiłem ci, że nieświadomy umysł kieruje się własną odmianą logiki. Natrafiłem na coś wyjątkowo niezwykłego. Gdy siedziałeś za heroinę, zostałeś przebadany przez psychiatrę i widziałem twoje wyniki. Jednym z testów był inwentarz osobowości Bernreutera i zapewne pamiętasz, że też ci go dałem.

– Pamiętam.

Susskind rozparł się wygodnie w krześle.

– Porównałem ze sobą wyniki tych dwóch testów i w najmniejszym stopniu do siebie nie pasowały, tak jakby to byli dwaj różni faceci. I powiem ci, że facetowi badanemu przez policyjnego psychiatrę nie zostawiłbym na przechowanie nawet starej dziesięciocentówki, ale tobie zawierzyłbym swoje życie.

– Ktoś musiał się pomylić – powiedziałem.

– Nie ma błędu – żywo potrząsnął głową. – Czy pamiętasz tego mężczyznę, którego przyprowadziłem, żeby brał udział w niektórych twoich testach? To autorytet od niezwykłych stanów ludzkiej psychiki, rozdwojenia osobowości. Czy czytałeś kiedyś książkę „Trzy twarze Ewy”?

– Widziałem film z Joanne Woodward.

– Otóż to. Możesz, więc zrozumieć, do czego zmierzam. Nie oznacza to, że przytrafiło ci się to, co w tym filmie. Powiedz, co sądzisz o dotychczasowym życiu tego faceta, który nazywa się Robert Boyd Grant?

– Mdli mnie – powiedziałem. – Nie mogę uwierzyć, że ja to wszystko zrobiłem.

– Nie ty – powiedział z naciskiem Susskind. – Moja ściśle zawodowa opinia jest taka, że ten człowiek, Robert Boyd Grant, miał nieciekawy charakter i sam o tym wiedział. Być może próbując uciec od samego siebie sięgnął po narkotyki. Ale marihuana i heroina pozwalają tylko na krótkotrwałą ucieczkę, a podobnie jak każdy inny człowiek, Grant nie mógł się wydostać z więzienia własnego ciała. Być może nie mógł już na siebie patrzeć, ale nic na to nie potrafił poradzić; świadoma i zamierzona zmiana osobowości jest praktycznie niemożliwa.

– Lecząc, jak już mówiłem, nieświadomość ma własne prawa, a my tu w szpitalu dostarczyliśmy jej niechcący wszystkich niezbędnych danych. Przywieziono cię z oparzeniami trzeciego stopnia na ponad sześćdziesięciu procentach powierzchni ciała. W takim stanie nie można było położyć cię do łóżka, więc zostałeś umieszczony w roztworze solanki, która twojej podświadomości posłużyła za substytut wód



plodowych.

– Powrót do łona matki?

– Otóż to – strzelił palcami Susskind. – Używam teraz zupełnie niefachowych określeń, więc nie powtarzaj tego nikomu, szczególnie innym psychiatrom. Sądzę, że te warunki odpowiadały oczekiwaniom twojej podświadomości. Oto pojawiła się okazja ponownych narodzin. Nigdy prawdopodobnie nie dowiemy się, czy nowa osobowość drzemała ukryta w głębi, gotowa do użycia, czy też narodziła się, gdy leżałeś w kąpielu solankowej – nie ma to znaczenia. Niewątpliwym faktem jest natomiast, że ta druga, lepsza osobowość istnieje. Gotów jestem zeznać to pod przysięgą w sądzie, a być może będę to musiał zrobić. Jesteś jednym z niewielu ludzi, którzy rzeczywiście mogą uważać się za nowo narodzonych.

Jak na jeden raz, porcja była duża, zbyt duża.

– Boże! – odezwałem się – mam się teraz nad czym zastanawiać.

– Musiałem ci to powiedzieć – stwierdził Susskind. – Musiałem ci wyjaśnić, dlaczego nie warto zagłębiać się w przeszłość. Gdy opowiadałem ci o człowieku zwanym Robertem Grantem, słuchałeś tego, jak historii kogoś innego, prawda? Weźmy taki przykład. Gdy idziesz do kina i na ekranie widzisz, że skacze na ciebie lew, no cóż, wiesz, że to tylko film i nic się nie stanie. Ale jeśli pojedziesz do Afryki i rzuci się na ciebie prawdziwy lew, to już po tobie. Jeśli będziesz grzebać się w przeszłości i uda ci się odtworzyć przeżycia tego drugiego faceta jako osobiste wspomnienia, będziesz jakby przecięty na pół. Więc daj spokój. Jesteś człowiekiem bez przeszłości i z wielką przyszłością.

– A jaka jest szansa – zapytałem – że ten drugi, ta zła osobowość, nie ujawni się spontanicznie?

– Powiedziałbym, że znikoma – powiedział powoli Susskind. – Twoja osobowość jest silna, drugi facet miał słaby charakter. Jak wiadomo, ludzie o silnej woli radzą sobie bez narkotyków. W każdym z nas drzemie diabeł, wszyscy musimy tłumić starego Adama. Nie różnisz się pod tym względem od innych ludzi.

Wziąłem do ręki lustro i przyjrzałem się dokładnie odbijającej się twarzy.

– Jak wyglądałem... jak wyglądał ten człowiek?

Susskind wydobył portfel i wyjął fotografię.

– Nie widzę sensu pokazywania ci tego, ale jeśli chcesz, to proszę bardzo, oto on.

Robert Boyd Grant był młodym chłopakiem ze świeżą twarzą bez zmarszczek i bez śladu rozwiązłości. Zwykły przeciętny student dowolnego uniwersytetu w Północnej Ameryce. Całkiem przystojny i jeśli postanowiłby założyć rodzinę, nie miałby trudności ze znalezieniem żony.

– Na twoim miejscu zapomniałbym o tej twarzy – poradził Susskind.

– Nie wracaj do przeszłości. Roberts, ten chirurg plastyczny jest jak artysta rzeźbiarz, zrobi ci wystarczająco dobrą twarz, żebyś mógł grać na scenie razem z Elisabeth Taylor.

– Będę za tobą tęsknił, Susskind – powiedziałem.

– Tęsknił? – zachichotał. – Wcale nie będziesz tęsknił, stary. Nie mam zamiaru wypuszczać cię z ręki. Pamiętasz, co ci mówiłem, że mam zamiar napisać o tobie książkę?

– Wypuścił chmurę dymu. – Odchodzę ze szpitala i zaczynam prywatną praktykę. Zaproponowano mi spółkę, zgadnij gdzie? Tak jest, w Montrealu!

Gdy dowiedziałem się, że Susskind nadal będzie w pobliżu, nagle poczułem się o wiele lepiej. Powtórnie spojrzałem na fotografię.

– Czy nie należałoby być konsekwentnym? Nowy człowiek, nowa twarz... więc może nowe nazwisko?

– Rozsądny pomysł – przyznał Susskind. – Co proponujesz?

– To jest Robert Grant – oddałem mu zdjęcie. – A ja jestem Bob Boyd. Całkiem dobre nazwisko.

### 3

W Montrealu przeszedłem trzy operacje w ciągu roku. Spędziłem kilka tygodni z lewym ramieniem przypasanym do prawego policzka dla przeszczepienia skóry, a ledwo ta operacja się zakończyła, prawe ramię przymocowano do lewego policzka.

Roberts okazał się geniuszem. Wymierzył mi dokładnie głowę, po czym wykonał gipsowy model, który przyniósł do pokoju.

– Jaką chciałbyś mieć twarz, Bob? – zapytał.

Sprawa wymagała dokładnego przemyślenia, bo nowa twarz uwiąże mnie na resztę życia. Spędziliśmy nad tym sporo czasu. Roberts modelował szczegóły w plastelinie nałożonej na gipsową podstawę. Istniało oczywiście wiele ograniczeń, niektórych moich pomysłów nie można było zrealizować.

– Mamy do dyspozycji tylko ograniczoną liczbę możliwości – wyjaśnił Roberts. – Chirurgia plastyczna polega głównie na usuwaniu czegoś, na przykład fałd wokół nosa. W twoim przypadku zadanie jest o wiele trudniejsze i możemy tylko dokonać ograniczonej liczby przemieszczeń.

Było to przeżycie niezwykle, choć do pewnego stopnia makabryczne. Nie każdemu przecież zdarza się okazja, żeby wybrać sobie własną twarz, nawet jeśli ma do dyspozycji tylko ograniczone możliwości. Same operacje nie były zabawne, ale jakoś je przetrwałem i stopniowo wyłoniła się nieco może toporna i zniszczona twarz dojrzałego mężczyzny, a nie dwudziestoczteroletniego młodzieńca. Duża ilość zmarszczek i przerostów

nadawała jej wyraz roztropności i znajomości życia znacznie przekraczającej moje rzeczywiste doświadczenie.

– Nie przejmuj się – powiedział Roberts. – Rysy się ułożą. Nawet przy najstaranniejszych zabiegach powstają blizny, ukryłem je więc w zmarszczkach, które zazwyczaj powstają dopiero z wiekiem. – Uśmiechnął się. – Z taką twarzą nie będziesz miał chyba zbyt wielkiej konkurencji ze strony ludzi w twoim wieku. Będą chodzić wokół ciebie na sztywnych nogach.

Pogadaj lepiej z Susskindem, jak sobie radzić w takich sytuacjach.

Matthews przekazał Robertsowi zarządzanie nadsyłanymi przez nieznanego dobroczyńcę, regularnie co miesiąc, tysiąc dolarowymi kwotami. Susskind interpretował słowa NA OPIEKĘ NAD ROBERTEM BOYDEM GRANTEM znacznie szerzej; pilnował, żebym się cały czas nie odrywał od nauki, a ponieważ nie mogłem uczęszczać na uczelnię, sprowadził prywatnych nauczycieli.

– Nie masz za wiele czasu – ostrzegwał. – Nie urodziłeś się rok temu, a jeśli teraz zaniedbasz edukacji, skończysz zmywając gary w knajpie.

Pracowałem ciężko, co skutecznie powstrzymywało od rozpamiętywania kłopotów. Stwierdziłem, że lubię geologię, a ponieważ najwyraźniej miałem głowę nabitą informacjami z tej dziedziny, nie było mi trudno kontynuować naukę. Susskind uzgodnił wszystko z uczelnią tak, że mogłem zdawać egzaminy między drugą a trzecią operacją, nadal z głową i lewą ręką w bandażach. Nie wiem, jak bym sobie bez niego poradził.

Po egzaminach skorzystałem z okazji odwiedzenia biblioteki publicznej i wbrew radom Susskinda wygrzebałem w wycinkach prasowych informacje o wypadku. Nie było tam wiele do czytania, może z wyjątkiem faktu, że Trinavant był grubą rybą w jakimś podrzędnym miasteczku w Kolumbii Brytyjskiej. Był to zwyczajny wypadek samochodowy i nie spowodował większego zainteresowania. Zaraz potem zacząłem miewać koszmary, co wystraszyło mnie na tyle, że dałem spokój dalszym poszukiwaniom.

Nagle okazało się, że już po wszystkim. Odbyla się ostatnia operacja i zdjęto bandaż. W tym samym tygodniu przyszły wyniki egzaminów i okazało się, że ukończyłem studia i jestem świeżo upieczonym geologiem bez pracy. Żeby to uczcić, Susskind zaprosił mnie do siebie. Zasiedliśmy na kanapie ze szklankami piwa w rękach.

– I co teraz zamierzasz? – zapytał. – Zrób doktorat i...

– Chyba nie, po prostu jeszcze nie. Muszę zdobyć trochę doświadczenia w terenie.

Susskind skinął aprobująco głową.

– Masz jakieś pomysły?

– Nie wydaje mi się, żebym się chciał wiązać na stałe z jakąś dużą firmą, wolę raczej

pracować samodzielnie. Wydaje mi się, że na Terytorium Północno-zachodnim nie brakuje okazji dla niezależnego geologa.

– Nie jestem przekonany, że to dobry pomysł – Susskind nie był zachwycony. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. – Trochę przejmujesz się swoją twarzą, prawda? I chcesz uciec od ludzi na pustynię. Nie mam racji?

– Trochę tak – przyznałem niechętnie. – Ale przede wszystkim, tak jak powiedziałem, wydaje mi się, że na północy można się dobrze ustawić.

– Od półtora roku bez przerwy siedzisz w szpitalu – powiedział Susskind. – I nie znasz zbyt wielu ludzi. Powinieneś trochę zacząć wychodzić, pochodzić po barach, znaleźć sobie przyjaciół, może nawet się ożenić.

– Dobry Boże! – powiedziałem. – Nie mógłbym się ożenić.

– Dlaczego nie? – machnął szklanką. – Znajdź sobie jakąś dziewczynę z klasą i opowiedz jej całą historię. Jeśli będzie cię kochała, nie będzie to miało dla niej znaczenia.

– Czyżbyś zamienił się w swatkę? – zapytałem. – Dlaczego sam nigdy się nie ożeniłeś?

– Kto wyszedłby za takiego kłótliwego drania jak ja? – poruszył się niespokojnie i popiół spadł mu na koszulę. – Trzymam się ciebie, stary. Okazałeś się całkiem kosztowny, wyobraź sobie. Nie myślisz chyba, że tysiąc dolarów miesięcznie wystarczyło na wszystko? Roberts nie był tani, a trzeba dodać jeszcze nauczycieli, no i moje wyjątkowo kosztowne usługi.

– Do czego zmierzasz Susskind? – zapytałem.

– Gdy dostaliśmy pierwszą kopertę z tysiąc dolarowym ładunkiem, znaleźliśmy w środku to. – Susskind podał mi kartkę papieru. U góry widniał napis NA OPIEKĘ NAD ROBERTEM BOYDEM GRANTEM. Pod spodem znajdowało się drugie zdanie: JEŚLI TE FUNDUSZE OKAZĄ SIĘ NIEWYSTARCZAJĄCE, PROSZĘ UMIEŚCIĆ NASTĘPUJĄCY ANONS W KOLUMNIE DROBNYCH OGŁOSZEŃ W „VANCOUVER SUN”: R.G.B. CHCE WIĘCEJ.

– Gdy przyjechałeś do Montrealu – powiedział Susskind – uznałem, że potrzeba będzie więcej pieniędzy, więc umieściłem ogłoszenie. Tajemniczy ktoś podwoił stawkę. W ciągu ostatniego półtora roku dostałeś trzydzieści sześć tysięcy dolarów. Obecnie w puli zostały jeszcze prawie cztery tysiące dolarów. Co chcesz z nimi zrobić?

– Daj to na jakiś cel dobroczynny – powiedziałem.

– Nie bądź niemądry – powiedział Susskind. – Jeśli zamierzasz wyruszyć na szerokie wody, potrzebujesz czegoś na początek. Schowaj dumę do kieszeni i weź pieniądze.

– Zastanowię się nad tym – powiedziałem.

– Nie wiem, co innego ci pozostaje niż przyjąć te pieniądze – zauważył Susskind. – Nie masz poza nimi ani centa.

– Jak myślisz, kto to może być? – wziąłem do ręki kartkę. – I dlaczego to robi?

– To nikt z twojej przeszłości, tego można być pewnym – stwierdził Susskind. – Banda, którą rządził ten Grant miałby trudności z uzbieraniem dziesięciu dolarów. Wszystkie szpitale otrzymują tego rodzaju anonimowe darowizny. Zazwyczaj nie są tak wysokie jak ta, ani tak konkretnie przeznaczone na jakiś cel, ale pieniądze napływają. Prawdopodobnie to jakiś zdziwaczka milioner, który przeczytał o tobie w gazecie i postanowił coś w tej sprawie zrobić. – Wzruszył ramionami. – Nadal co miesiąc przychodzi dwa tysiące papierów. Co z tym zrobić?

Napisałem coś na tej samej kartce i pchnąłem do niego przez stół. Przeczytał i zaśmiał się.

– R.G.B MÓWI DOŚĆ. Umieszczę to w drobnych ogłoszeniach i zobaczymy, co się stanie. – Dolał nam piwa. – To, kiedy wyruszasz na lodową pustynię?

– Wydaje mi się, że wykorzystam pozostałe pieniądze. Wyruszę, gdy tylko uda mi się skompletować wyposażenie.

– Dobrze było mieć cię w pobliżu, Bob. Jesteś całkiem fajnym facetem. Pamiętaj, żeby tak trzymać, słyszysz? Żadnej fuszerki, trzymaj się twarzą do przyszłości i zapomnij o przeszłości, a poradziś sobie. Jeśli nie, to możesz wybuchnąć jak bomba. I od czasu do czasu chciałbym usłyszeć, jak ci się wiedzie.

Dwa tygodnie później opuściłem Montreal i ruszyłem na północny zachód. Jeśli w ogóle miałem ojca, to był nim Susskind, twardy człowiek o bezwzględny i dobrym umyśle. Zostawił mi zamiłowanie do papierosowego tytoniu, choć nigdy nie zdarzyło mi się palić tyle ile jemu. Podzielił się także ze mną swoim życiem i odpornością psychiczną.

Nazywał się Abraham Izaak Susskind.

Zawsze nazywałem go Susskind.

### III

Helikopter zawisł tuż nad wierzchołkami drzew.

– Tu będzie dobrze, kawałek dalej na tej polanie nad jeziorem – zawołałem do pilota.

Skinął głową. Maszyna ześliznęła się powoli w bok i osiadła na brzegu jeziora, a podmuch zmarszczył spokojną powierzchnię wody. Jak zwykle przy lądowaniu, tępo odczuliśmy chwilę, gdy ciężar maszyny oparł się na hydraulicznych amortyzatorach zawieszona, a zaraz potem zapadła cisza przerywana jeszcze wibracjami silnika na jałowym biegu, gdy wirnik obracał się bezwładnie.

Pilot nie wyłączał napędu. Otworzyłem drzwi i zacząłem zrzucać na ziemię tę część ekwipunku, której nie powinien zaszkodzić niewielki upadek. Następnie wysiadłem i już ostrożniej wyładowałem pudła z instrumentami. Pilot nie ruszył się z miejsca. Siedział na fotelu przyglądając się, gdy pracowałem. Prawdopodobnie noszenie bagażu było niezgodne z warunkami umów zbiorowych, obowiązujących w jego związku.

– Będzie tu pan od jutra za tydzień? – krzyknąłem do niego skończywszy wyładunek.

– Zrobi się – powiedział – około jedenastej rano.

Cofnąłem się i poczekałem aż wystartuje. Helikopter szybko znikł za drzewami jak duży i niezgrabny świerszcz. Zabrałem się do budowania obozu. Tego dnia nie miałem w planie nic więcej. Chciałem zbudować obóz i może jeszcze złapać kilka ryb. Brzmi to tak, jakbym zamierzał oszukiwać Matterson Corporation na najbardziej owocnej części dnia pracy, ale przekonałem się już, że nigdy nie opłaca się rzucać na robotę z zamkniętymi oczami.

Większość ludzi, szczególnie mieszkańców miast, jeśli wybierają się na biwak, żyje jak świnię. Przestają się golić, nie chce im się wykopać przyzwoitej latryny i odżywiają się wyłącznie fasolą z puszki. Ja wolę urządzić się wygodnie, a na to trzeba czasu. Ponadto właśnie kręcąc się przy zakładaniu obozu, można wykonać niespodziewanie dużo pracy. Gdy czekasz, aż ryba połknie przynętę, masz czas, żeby wczuć się w układ terenu, co dla doświadczonego geologa ma ogromne znaczenie. Tak jak nie trzeba jeść całego jajka, żeby się połapać, że jest zgniłe, tak też nie trzeba postawić nogi na każdym kamieniu w okolicy, żeby wiedzieć co tam można znaleźć, a czego znaleźć nie można.

Zająłem się więc obozem. Wykopałem latrynę. Zebrałem trochę suchego drewna wyrzuconego na brzeg i zbudowałem palenisko, a następnie wyciągnąłem czajnik i nastawiłem wodę na kawę. Gdy nazbierałem tyle co trzeba gałęzi świerkowych na posłanie, kawa była gotowa, usiadłem więc oparty plecami o skałę i z namysłem przyjrzałem się brzegom jeziora.

Z mojego obozu widać było wyraźnie, że jezioro rozciąga się jakby zostało rzucone między dwiema formacjami. Brzeg, na którym się znajdowałem był utworem mezozoicznym, zbudowanym z mieszaniny skał wulkanicznych i osadowych, przedstawiał się zatem obiecująco. Przeciwnie, sądząc z układu terenu i tego, co dostrzegłem z helikoptera, pokrywały osady paleozoiczne i mało prawdopodobne, żeby znalazło się tam coś ciekawego, ale trzeba będzie sprawdzić na miejscu.

Pociągnąłem łyk parzącej kawy i podniosłem kilka kamieni, żeby im się przyjrzeć. Leniwie przepuściłem je między palcami, spadły na ziemię jeden za drugim, a ostatni wrzuciłem do jeziora. Wpadł do wody z krótkim „plum” i wywołał rozchodzące się w koło fale. Samo jezioro było produktem ostatniego zlodowacenia. Lodowiec nasunął się na cały ten obszar, a jego języki wyrzeźbiły doliny w litej skale. Przez długi czas lód pokrywał ziemię, po czym równie prędko jak się pojawił, znikł.

Szybkość jest zjawiskiem względnym. Jeśli by usiąść i patrzeć, lodowiec porusza się powoli, ale w porównaniu z trwaniem innych procesów geologicznych, jego ruch jest jak bieg sprintera. W każdym razie, lodowiec się wycofał, porzucając różnej wielkości fragmenty skał, które wcześniej wylał i unióś z pierwotnego złoża. Powstał w ten sposób kamienisty pas wzgórz, zwanych moreną, tworząc naturalną zapórę, za którą formowały się jeziora. W Kanadzie jest wiele takich jezior i spora część kanadyjskiej geologii polega na ustalaniu, w jaki sposób wiele tysięcy lat temu przemieszczał się lodowiec, żeby wyjaśnić dlaczego różne skały zalegają zupełnie nie tam gdzie można tego oczekiwać.

Moje jezioro nie było wielkie. Miało najwyżej pół kilometra długości, a zasilą je od północy obfity potok. Z powietrza przyjrzałem się morenie i prześledziłem dalszy południowy bieg strumienia, wypływającego z jeziora wodospadem. Tam właśnie Matterson Corporation zamierzała wybudować zapórę.

Wyrzuciłem fusy, umyłem dzbanek i emaliowany kubek, a następnie zabrałem się do budowy wiatrołomu. Nie lubię namiotów. W środku nie jest wcale cieplej niż na zewnątrz, a jeśli na nie nie chuchać, na ogół przeciekają. Przy dobrej pogodzie nazupełniej wystarcza osłona przed wiatrem, którą łatwo zbudować z tego, co ma się pod ręką i nie trzeba wcześniej kłopotać się pakowaniem i rozpakowywaniem namiotu. Przy złej pogodzie można zbudować wodoodporny dach, jeśli wie się jak. Żeby się tego nauczyć, musiałem spędzić sporo czasu na północnym zachodzie.

Wczesnym popołudniem obozowisko nabrało kształtu. Wszystko znalazło się tam gdzie chciałem i dokąd łatwo mogłem w razie potrzeby dotrzeć. Przez lata wypracowałem sobie taki stały układ. Eskimosi wnieśli umiejętność organizacji obozu na wyżyny sztuki; nawet w obcym igloo, jeśli wyciągnie się w ciemnościach rękę, natrafi się na

ustawioną w stałym miejscu lampę oliwną i kościane haczyki na ryby. Podobnie w wojsku: żołnierz przeniesiony do nowej jednostki zawsze z góry wie jak trafić po żołąd. Można to określić jako sztukę urządzania domu w warunkach polowych.

Pluskające w jeziorze ryby uświadomiły mi, że jestem głodny, postanowiłem więc przekonać się, jak smakują miejscowe pstrągi. W chłodnym klimacie ryby nie wystarczają jako podstawa pożywienia, organizm potrzebuje ponadto dobrego tłustego mięsa. W Fort Farrell jadłem jednak cały czas mięso, wizja pstrąga skwierczącego na patelni przedstawiała się więc bardzo smakowicie. Jutro, jeśli nie będzie to wymagało zbyt wiele zachodu, spróbuję coś upolować.

Wieczorem, leżąc na sprężystym posłaniu z gałęzi i spoglądając w pełne błyszczących diamentów niebo, myślałem o Trinavantach. Dotychczas, pamiętając o ostrzeżeniach Susskinda, celowo starałem się unikać tego tematu, ale dłużej nie byłem już w stanie. Podobne uczucie do tego jakie towarzyszy bezwiednemu ugryzieniu w policzek, trudno co jakiś czas powstrzymać się od mimowolnego dotknięcia bolącego miejsca językiem.

Cała sprawa była niewątpliwie dziwna. Dlaczego Matterson chciał wymazać z publicznej świadomości samo nazwisko Johna Trinavanta? Obserwując zamierające w palenisku czerwone iskry, powoli zaciągnąłem się papierosem. Coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że cała sprawa koncentruje się wokół katastrofy samochodowej. Lecz troje uczestników wypadku nie żyło, a czwarty nic nie pamiętał, co więcej, nie chciał pamiętać. Czyli wygląda na to, że wszystko utknęło na martwym punkcie.

Kto odniósł korzyść ze śmierci Trinavanta? Niewątpliwie Bull Matterson. Mając możliwość wykupienia udziałów swego partnera, dostawał na własność całe handlowe imperium. Motyw morderstwa? Jeśli wierzyć McDougallowi, Bull Matterson był niewątpliwie twardy w interesach, ale przecież nie każdy bezwzględny biznesmen musi być zaraz mordercą.

Pytanie: gdzie był Bull Matterson w chwili wypadku?

Kto jeszcze odniósł korzyść? Oczywiście Clare Trinavant. A gdzie była w czasie wypadku? W Szwajcarii, ty głupcze, a ponadto była wtedy panienką w szkolnym wieku. Wykreślić Clare Trinavant.

Kto jeszcze?

Z pozoru nikt inny nie skorzystał, a w każdym razie, nie finansowo. Czy można skorzystać nie finansowo? Nie wiedziałem wystarczająco wiele o osobach związanych ze sprawą, żeby móc wyrobić sobie własne zdanie, więc i tu wszystko utknęło w martwym punkcie – tymczasem.

Nagle przebudziłem się z drzemki. O czym ja do cholery myślę? Nie będę się przecież



mieszać w te sprawy. Było to zbyt niebezpieczne dla mojego zdrowia psychicznego.

O drugiej nad ranem obudziłem się skąpany we własnym pocie i roztrzęsiony. Znów miałem Sen.

2

W świetle poranka sprawy wyglądały trochę lepiej, ale rano zawsze tak jest. Przygotowałem i żarłocznie pochłonałem śniadanie: fasolę, bekon i smażone jajka, po czym obwiesiłem się przygotowanym poprzedniego dnia ekwipunkiem. Geolog w terenie najbardziej przypomina świąteczną choinkę, ale ponieważ jestem raczej postawny, nie widać tego po mnie tak jak po większości geologów. Mimo to jednak miałem sporo do niesienia, nietrudno, więc zrozumieć dlaczego nie gustuję w namiotach.

Upewniłem się, że duże żółte koło przypięte z tyłu do plecaka jest dobrze widoczne. Jest to jedna z rzeczy, na które zawsze zwracam uwagę. Chodząc po lesie w Ameryce Północnej zawsze można się natknąć na niedorozwiniętych myśliwych, którzy strzelają z kalibru 30.30 do wszystkiego, co się rusza. Duże żółte koło na plecaku służy do tego, żeby przed pociągnięciem za spust pomyśleli chwilę, nad tym, że po amerykańskich lasach nie włączą się żadne zwierzęta z żółtymi plamami. Z tego samego powodu nosiłem żółto-czerwoną kurtkę, w której nawet pijany Indianin nie chciałby wybierać się na tamten świat, oraz wełnianą czapkę z wielkim czerwonym pomponem na czubku. Wyglądałem naprawdę kolorowo.

Sprawdziłem strzelbę, czy w lufie nie ma naboju, zabezpieczyłem zamek i ruszyłem w drogę, kierując się wzdłuż brzegu jeziora na południe. Obóz nad jeziorem miał stanowić stałą bazę wypadową, pozwalając na eksplorację południowej części obszaru badań. Za tydzień helikopter przeniesie mnie na północ i zajmę się poszukiwaniami w tamtej części. Dolina zostanie przebadana dokładnie.

Wieczorem pierwszego dnia porównałem swoje ustalenia z rządową mapą, która okazała się, mówiąc ostrożnie, szkicowa, a tak naprawdę, miejscami pokryta całkowitymi białymi plamami. Ludzi to dziwi.

– Dlaczego rząd nie robi raz a dobrze pomiarów geologicznych całego kraju? – pytają mnie czasami. Można tylko powiedzieć, że ci, którzy zadają takie pytania nie wiedzą, o czym mówią. Armia geologów musiałaby przez sto lat badać każdy kilometr kwadratowy Kanady, a wtedy trzeba by było zaczynać od nowa, bo jakiś spryciarz

wymyślił urządzenie do wykrywania metalu na głębokości stu pięćdziesięciu metrów pod ziemią, albo okazałoby się, że komuś potrzebny jest jakiś rzadki metal, wcześniej niemający żadnego zastosowania. W roku 1900 rudy aluminium były zupełnie bez wartości, a w 1930 uran nie był droższy od piasku. Jeszcze przez wiele lat nie będzie brakowało zajęcia dla takich facetów jak ja.

Te nieliczne dane, jakie znajdowały się na rządowej mapie zgadzały się z moimi znaleziskami, ale moje ustalenia były dokładniejsze. Śladowe ilości molibdenu, trochę cynku i ołowiu, ale nie takiego, co wywołałoby większy ruch w Matterson Corporation. Jeśli geolog mówi o ilościach śladowych, to ma na myśli ilości śladowe.

Przez dwa następne dni kontynuowałem pracę, a w końcu tygodnia byłem całkiem pewien, że Matterson Corporation nie wzbogaci się kopiąc w południowej części doliny Kinoxi. Gdy przyleciał helikopter, byłem całkowicie spakowany i siedziałem z założonymi rękami. Trzeba przyznać, że pojawił się dokładnie o czasie.

Tym razem zostawił mnie na północy nad strumieniem i znów cały dzień poświęciłem na urządzenie obozu. Następnego dnia wyruszyłem jak zwykle w teren, stawiałem nogi jedna za drugą i miałem oczy szeroko otwarte.

Trzeciego dnia zdałem sobie sprawę, że jestem obserwowany. Nie miałem na to zbyt wielu dowodów, ale wskazówki były wyraźne: nitka wełny na krzaku koło obozu, której nie było tam dwanaście godzin wcześniej, świeża rysa na pniu, której na pewno ja nie zrobiłem i błysk światła z oddalonego zbocza, gdy ktoś nieostrożnie wystawił lornetkę na słońce.

Podejście do czyjegoś obozu na taką odległość, że można napluć do ogniska i nie pokazanie się, uchodzi w lasach Północy za grubą niegrzeczność. Nikt, kto nie miał skrytych zamiarów, tak by nie postąpił. Nie mam nic przeciwko ludziom, którzy ukrywają swoje sekrety, bo też do nich należę, ale jeśli czyjeś tajemnice dotyczą mnie, to przestaje mi się to podobać i staję się nerwowy. Tymczasem jednak niewiele mogłem zrobić, poza kontynuowaniem pracy. Miałem nadzieję, że w końcu dopadnę tajemniczego osobnika.

Piątego dnia został mi do zbadania północny koniec doliny, postanowiłem, więc od razu pójść tak daleko, że wiązało się to z koniecznością przenocowania u szczytu doliny. Wspinalem się właśnie wzdłuż potoku w obranym kierunku, gdy usłyszałem od tyłu głos.

– Czego pan tu szuka?

Zatrzymałem się w miejscu i powoli odwróciłem. Wysoki mężczyzna w czerwonej kurtce stał tuż przy ścieżce, luźno trzymając w dłoniach karabin myśliwski. Nie celował dokładnie we mnie, choć z drugiej strony, nie celował też za bardzo w bok. W gruncie rzeczy to, czy celowano do mnie czy nie, nie miało większego znaczenia. Skoro ten człowiek wyszedł w tej chwili na ścieżkę, to znaczy, że musiał się tu specjalnie na mnie

zasadzić, wołałem więc nie poruszać kwestii broni, moment nie był najlepszy.

– Cześć! – powiedziałem. – Skąd się pan tu wziął?

Zacisnął szczęki i zobaczyłem, że jest raczej młody, nie ma chyba więcej niż dwadzieścia kilka lat.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie – stwierdził.

Nie spodobały mi się zaciśnięte usta i miałem nadzieję, że nie zaciskał mu się jednocześnie palec na spuście. Młodzieńcom w jego wieku zdarza się to bardzo łatwo. Poprawiłem pasy od plecaka.

– Idę po prostu w stronę wejścia do doliny.

– Po co?

– Nie bardzo wiem, co cię to obchodzi, chłopcze, ale przeprowadzam badania geologiczne na zlecenie Matterson Corporation – stwierdziłem spokojnie.

– Nie będzie pan przeprowadzać żadnych badań – oświadczył. – Nie na tym terenie.

– Pokazał ruchem głowy w dół strumienia. – Widzi pan ten kopiec?

Rzuciłem okiem w kierunku, który wskazywał i zobaczyłem niewielki kopiec kamieni, tak zarośnięty, że nie zwróciłem na niego wcześniej uwagi. Z drugiego brzegu musiał być niewidoczny. Spojrzałem na swego nowego przyjaciela.

– No i co z tego?

– To z tego, że tam się kończy ziemia Matterson Corporation – uśmiechnął się, ale bez poczucia humoru. – Miałem nadzieję, że pójdzie pan tędy, bo ten kopiec upraszcza wyjaśnienia.

Zawróciłem i podszedłem do kopca, a gdy się obejrzałem, zobaczyłem, że idzie za mną cały czas trzymając broń w pogotowiu. Znaleźliśmy się po przeciwnych stronach kopca.

– Czy tu mogę zostać? – zapytałem.

– Jasne – powiedział lekko – może pan tam zostać. Prawo tego nie zabrania.

– I nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zdjął plecak?

– O ile nie postawi go pan po tej stronie. – Uśmiechnął się i widać było, że dobrze się bawi. Postanowiłem mu na to na razie pozwolić, więc nie powiedziałem nic, postawiłem plecak na ziemi i wyprostowałem ramiona. Zaniepokoiło go to, bo zobaczył, że jestem o wiele większy od niego i broń podskoczyła w moją stronę, nie było, więc teraz wątpliwości, co do tego, że to napad.

Wyciągnąłem z bocznej kieszeni plecaka mapy i sprawdziłem.

– Nic tu takiego nie ma – powiedziałem uprzejmie.

– I nie będzie – powiedział. – Nie na mapach Mattersona. Ale to ziemia Trinavantów.

– Ach! Czy chodzi o Clare Trinavant?

– Tak właśnie. – Niecierpliwie poruszył karabinem.

– Gdzie ją można znaleźć? – zapytałem. – Chciałbym z nią porozmawiać.

– Mieszka niedaleko, ale nie spotka się z panem, chyba, że to ona będzie chciała porozmawiać – roześmiał się nieoczekiwanie. – Nie kręciłbym się tu czekając na to, bo mogą panu wyrosnąć korzenie.

– Założę obóz w tej przesiece – pokazałem ruchem głowy – a ty kochanie pójdziesz prędko i powiesz pani Trinavant, że wiem gdzie są pochowane ciała. – Nie mam pojęcia, dlaczego to powiedziałem, ale właśnie te słowa mi się nasunęły.

– Co? – podniósł głowę.

– Biegnij i powiedz pani Trinavant dokładnie to co usłyszałeś – powiedziałem. – Jesteś, kochanie, tylko chłopcem na posyłki.

Nachyliłem się, podniosłem plecak i odwróciłem się, zostawiając go tam z otwartymi ustami. Gdy dotarłem do przesieki i obejrzałem się, już go nie było.

Ogień płonął i kawa bulgotała, gdy w górze doliny usłyszałem głosy. Mój przyjaciel, młody specjalista od strzelby, pojawił się w zasięgu wzroku, ale tym razem najwyraźniej zostawił artylerię w domu. Szła za nim kobieta w obcisłych džinsach, rozpiętej pod szyją koszuli i kurtce. Są kobiety, które noszą džinsy, choć nie zdarza się to często. Ogden Nash powiedział kiedyś, że zanim kobieta założy spodnie, powinna najpierw zobaczyć się w nich od tyłu. Panna Trinavant najwyraźniej miała taką figurę, dzięki której wygląda doskonale we wszystkim, nawet w starym płóciennym worku.

I mimo, że była wściekła jak szerszeń, wyglądała wspaniale. Podeszła zamasyście i z determinacją.

– O co chodzi? Kim pan jest? – zapytała.

– Nazywam się Boyd – powiedziałem. – Jestem geologiem, prowadzę badania dla Matterson Corporation. Jestem...

Podniosła rękę i spojrzała na mnie lodowato. Nigdy jeszcze nie widziałem tak zielonego lodu.

– Wystarczy. Może pan prowadzić swoje badania tylko do tego miejsca, panie Boyd. Dopilnuj tego, Jimmy.

– Tak właśnie mu powiedziałem, panno Trinavant, ale nie chciał mi wierzyć.

Odwróciłem głowę i spojrzałem na niego.

– Nie mieszaj się do tego Jimmy, synku. Pani Trinavant jest na ziemi Mattersona na moje zaproszenie, ale ty nie, więc zmykaj stąd. I nie próbuj już więcej mierzyć do mnie ze strzelby, bo owinę ci ją dookoła szyi.

– Panno Trinavant, to kłamstwo! – krzyknął. – Nigdy...

Skoczyłem i uderzyłem go z obrotu: wystarczy wyprostować sztywno rękę i obrócić

się w biodrach. W momencie uderzenia ręka ma wtedy cholerną prędkość. Grzbiet dłoni trafił tuż powyżej szczęki i siła ciosu uniosła go prawie trzydzieści centymetrów nad ziemię. Wylądował płasko na plecach, poruszył się kilka razy jak świeżo wyciągnięty z wody pstrąg i znieruchomiał.

Panna Trinavant patrzyła na mnie z otwartymi ustami. Całkiem wyraźnie widziałem jej śliczne wargi.

– Nie lubię jak ktoś kłamie – powiedziałem masując grzbiet dłoni.

– Nie kłamał – powiedziała z przekonaniem. – Nie ma strzelby.

– Chyba wiem, jeśli ktoś celuje do mnie z 30.30 – powiedziałem i palcem wskazałem leżącą wśród sosnowych igieł postać. – Ten typek chodzi za mną od trzech dni. Tego też nie lubię. Dostał teraz to, na co zasłużył.

Sądząc ze sposobu, w jaki zacisnęła zęby, miała ochotę mnie ugryźć.

– Nie dał mu pan żadnej szansy, to barbarzyństwo.

Nie miałem ochoty na dyskusje na ten temat. Brałem udział w tylu bójkach, żeby wiedzieć, że dawanie szansy lepiej zostawić odważnym sportowcom, którzy zarabiają na życie, pozwalając sobie odbijać mózg.

Uklękła obok leżącej postaci.

– Jimmy, Jimmy, co z tobą? – Spojrzała na mnie. – Musiał mu pan złamać szczękę.

– Nie – powiedziałem – nie uderzyłem go wystarczająco silnie. Będzie tylko obolały na duszy i ciele przez najbliższe kilka dni. – Nabrałem patelnią wody ze strumienia i wylałem Jimmiemu na twarz. Poruszył się i jęknął. – Za kilka minut będzie w stanie chodzić. Niech go pani lepiej doprowadzi do swojego obozowiska. I może mu pani powiedzieć, że jeśli będzie nadal chodzić za mną z bronią, to go zabiję.

Oddychała z trudnością, ale nic nie powiedziała, skupiając się na przywróceniu Jimmiego do przytomności. Po chwili był już na tyle przebudzony, żeby stanąć na uginających się nogach. Spojrzał na mnie nie kryjąc nienawiści.

– Gdy już pani go zapakuje do łóżka, będzie mi miło zobaczyć panią z powrotem, panno Trinavant. Będę w tym samym miejscu.

Zaskoczona obróciła się w moją stronę.

– A niby, dlaczego miałabym znowu pana oglądać? – powiedziała gwałtownie.

– Dlatego że wiem, gdzie są pochowane ciała – powiedziałem uprzejmie. – Proszę się nie obawiać; nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się uderzyć kobiety.

Gotów byłbym niemal przysiąc, że użyła pewnych słów, które słyszy się tylko w osiedlach drwali, ale nie mam pewności, bo wymamrotała je na wdechu. Następnie odwróciła się, żeby podać Jimmiemu rękę. Patrzyłem jak odchodzą za kopiec i znikają w lesie. Kawa nie bardzo nadawała się w tym momencie do użytku, wylałem ją, więc

i zabrałem się do parzenia świeżej, a rzuciwszy okiem na słońce uznałem, że trzeba pomyśleć o rozłożeniu się na noc.

Zaczynało już zmierzchać, gdy jej postać ponownie zamajaczyła wśród drzew. Urządziłem się tymczasem wygodnie i siedziałem oparty plecami o drzewo, pilnując piekącej się na rożnie nad ogniskiem tłustej kaczki. Podeszła i stanęła nade mną.

– O co panu naprawdę chodzi? – zapytała ostro.

– Może jest pani głodna? – spojrzałem do góry. Poruszyła się niespokojnie. – Pieczona kaczka, świeże pieczywo, dziki seler i kawa; co pani o tym sądzi? – dodałem szybko.

Zniżyła się do mojego poziomu.

– Poleciłam Jimmiemu, aby uważał na pana – powiedziała. – Wiedziałam, że ma się pan pojawić. Ale nie kazałam mu chodzić po terenie Mattersona. I nie mówiłam nic o strzelbie.

– Może właśnie trzeba było – zwróciłem uwagę – może trzeba było powiedzieć: tylko bez broni.

– Wiem, że Jimmy jest trochę bezczelny – oznajmiła – ale to nie tłumaczy tego, co pan zrobił.

Z ziemnego pieca wyjąłem płaski kawałek chleba i rzuciłem na blaszany talerz.

– Czy zdarzyło się pani zaglądać do lufy karabinu? – zapytałem. – To bardzo nieprzyjemne wrażenie i gdy mi się coś takiego przytrafia, staję się trochę nieopanowany – podałem jej talerz. – Może trochę kaczki?

Nozdrza jej się rozszerzyły pod wpływem apetycznego zapachu i roześmiała się.

– Kupił mnie pan, kaczka pachnie wspaniale.

Pokroiłem mięso.

– Jimmy nie jest zbyt uszkodzony, z wyjątkiem może tego, co uważa za swój honor. Ale jeśli kręciłby się nadal po lesie celując do ludzi, to któregoś dnia mogłoby rozleć się głośne bum i znalazłby się na łonie Abrahama. Może uratowałem mu życie? Kim on jest?

– Jednym z moich ludzi.

– A więc wiedziała pani, że się zjawię – powiedziałem z namysłem. – Wiadomości rozchodzą się szybko w tej okolicy, biorąc pod uwagę wyjątkowo niski stopień zaludnienia.

Wzięła z talerza kawałek piersi i włożyła do ust.

– Staram się wiedzieć o tym, co mnie dotyczy. Mmm, to jest naprawdę wyśmienite!

– Nie jestem najlepszym kucharzem – powiedziałem. – To leśne powietrze daje ten smak. A dlaczego interesuje się pani mną?

– Pracuje pan dla Mattersonów, wszedł pan na moją ziemię, a to mnie interesuje.

– Gdy podpisywałem kontrakt – powiedziałem – Howard Matterson miał utarczkę z niejakim Donnerem. Matterson powiedział, że wyjaśni wszystko z kimś, kto nazywa się Clare, prawdopodobnie z panią. Czy zrobił to?

– Nie widziałam Howarda Mattersona od miesiąca i nie mam ochoty go oglądać.

– Nie może mieć pani do mnie pretensji, że nie wiedziałem w czym rzecz – odparłem.

– Wydawało mi się, że moje zadanie jest konkretne i jasne. Matterson ma dziwny sposób prowadzenia interesów.

Wzięła kacze udko i zaczęła ją z zapalem ogryzać.

– Nie dziwny, ale szachrajski. Oczywiście wszystko zależy od tego, o którym Mattersonie mowa. Bull Matterson jest oszustem, Howard po prostu zwykłym niechlujem.

– Chce pani powiedzieć, że zapomniał panią uprzedzić? – powiedziałem z niedowierzaniem.

– Coś w tym rodzaju. – Wycelowała we mnie kacze udko. – Co to za historia z tymi ciałami?

– Ach – uśmiechnąłem się – po prostu chciałem z panią porozmawiać. Wiedziałem, że coś takiego pani przyciągnie.

– Dlaczego? – patrzyła na mnie.

– Podziałało, prawda? – zauważyłem. – Jest to odmiana starej historii pewnego dowcipnisa, który wysłał telegramy do kilku swoich dobrych przyjaciół: „uciekaj, wszystko się wydało”. Dziewięciu w pośpiechu opuściło miasto. Każdy przechowuje jakiś szkielet w szafie.

– Czyli po prostu zmęczył pana brak towarzystwa w lesie – skomentowała sarkastycznie.

– Czy w środku lasu mógłbym nie skorzystać z okazji zjedzenia obiadu w towarzystwie tak czarującej kobiety?

– Nie wierzę panu – powiedziała sucho. – Może pan sobie dać spokój z komplementami. Z tego, co pan o mnie wiedział mogłam równie dobrze być starym dziewięćdziesięcioletnim pudłem, o ile, oczywiście nie rozpytywał się pan przedtem dookoła, ale najwyraźniej się pan rozpytywał. Co pan kombinuje, Boyd?

– Dobrze – powiedziałem. – Na początek takie pytanie. Czy kiedykolwiek zdarzyło się pani sprawdzić warunki porozumienia między Mattersonem a Trinavantem, oraz interesu, jaki Matterson zrobił z zarządem powierniczym masy spadkowej? Wydaje mi się, że akurat ta transakcja warta jest szczegółowej uwagi. Dlaczego nikt nic w tej sprawie nie zrobił?

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Do licha! Jeśli chodził pan zadając tego rodzaju pytania po Fort Farrell, to znajdzie się pan w kłopotach, gdy tylko usłyszysz o tym stary Bull.

– Tak – odpowiedziałem. – Rozumiem, że byłby skłonny zapomnieć o tym, że Trinavant kiedykolwiek istniał. Ale proszę się nie obawiać, nie dowie się o tym. Moje źródło informacji jest ściśle prywatne.

– Nie obawiam się – odparła chłodno. – Ale jeśli pan sądzi, że poradzi pan sobie z Mattersonem tak samo jak z Jimmym? Nie liczyłabym na to.

– Nie sądziłem, że się pani niepokoi i miałem rację – odparła z uśmiechem. – Ale dlaczego nikt nie zbadał tej śmierdzącej transakcji? Pani na przykład?

– Dlaczego miałabym to robić? – odparła bez namysłu. – To, ile Matterson dał w łapę członkom zarządu, nie ma żadnego wpływu na moje sprawy. Zadzieranie z Mattersonem nie da mi żadnych pieniędzy.

– Czy chce pani powiedzieć, że nie obchodzi pani to, że intencje Johna Trinavanta zostały tak przeinaczone, żeby pieniądze trafiły do kieszeni Mattersona? – zapytałem miękko.

Wyglądało na to, że rzuci we mnie talerzem. Twarz jej zbieleła, a na policzkach pojawiły się różowe plamy.

– Do diabła z tobą, człowieku! – powiedziała zapalczywie.

Powoli się uspokajała.

– Raz próbowałam – przyznała. – I nic nie działałam. Donner tak wszystko skutecznie poplątał w księgach Matterson Corporation, że zespół dobrze płatnych prawników musiałby spędzić dziesięć lat żeby się w tym połapać. Nawet ja nie mogłam sobie na to pozwolić, a mój adwokat poradził mi abym dała spokój. Dlaczego właściwie tak to pana interesuje?

Patrzyłem jak zbiera sos kawałkiem chleba; cenię kobiety ze zdrowym apetytem.

– Nie sądzę, żebym był zainteresowany. To jeszcze jedna kwestia do zastanowienia. Tak jak to, dlaczego Matterson chce na zawsze pochować Trinavanta.

– Jeśli będzie się pan starał wsadzić w to nos, to może pan stracić głowę – ostrzegła. – Matterson nie lubi takich pytań. – Odstawiła talerz i poszła do strumienia umyć ręce. Wracając wycierała je w męską chustkę do nosa.

Nalałem jej kubek kawy.

– Nie pytam Mattersona, pytam Trinavanta. Czy nie jest to coś, nad czym Trinavant czasami się zastanawia?

– Jasne! I tak jak wszyscy nie ma najmniejszego pojęcia – spojrzała na mnie uważnie. – Czego pan szuka, Boyd? I kim pan do cholery jest?



– Po prostu niezależnym geologiem, któremu się nie wiedzie. Czy Matterson czasami panią niepokoi?

– Rzadko; – Upiła gorącej kawy. – Spędzam tu bardzo mało czasu. Co roku przyjeżdżam tylko na kilka miesięcy, żeby go zdenerwować i to wszystko.

– I nadal nie wie pani, dlaczego jest taki niechętny Trinavantom?

– Nie.

– Ktoś powiedział – odezwałem się zamyślony patrząc w ogień – że Mattersonowi byłoby na rękę, gdyby wyszła pani za męża. Chodziło o to, żeby nie było tu w pobliżu nikogo o nazwisku Trinavant.

Zareagowała gorąco.

– Czy Howard coś... – przerwała nagle przygryzając wargę.

– Czy Howard, co?

– Mam wrażenie, że pana nie lubię, panie Boyd. – Wstała i otrzepała ubranie. – Zadaje pan za dużo pytań, na które nie znam odpowiedzi. Nie wiem ani kim pan jest, ani o co panu chodzi. Jeśli chce pan walczyć z Mattersonem, to pana sprawa. Mogę panu bezstronnie poradzić, żeby pan tego nie robił, ponieważ posieka pana na małe kawałki. Znów, co mnie to obchodzi? Jedno tylko panu powiem: niech pan mnie zostawi w spokoju.

– A co może mi pani zrobić gorszego niż Matterson?

– Nazwisko Trinavant nie jest zupełnie zapomniane – odparła. – Mam jeszcze dobrych przyjaciół.

– Oby okazali się lepszymi przyjaciółmi niż Jimmy – stwierdziłem kwaśno. Dopiero teraz zastanowiłem się, dlaczego ją prowokuję, nie ma to przecież żadnego sensu. Wstałem szybko.

– Proszę posłuchać, nie chcę się z panią spierać i nie mam żadnego powodu, żeby mieszać się w pani sprawy. Jestem całkiem niegroźnym facetem dopóki ktoś nie celuje do mnie z karabinu. Wrócę po prostu do Fort Farrell i zamelduję Howardowi Mattersonowi, że nie wpuściła mnie pani na swoją ziemię. Mnie na tym nie zależy.

– Niech pan tak zrobi – powiedziała zaskoczona i dodała: – Jest pan dziwnym facetem, panie Boyd. Pojawia się pan tu jako zupełnie obcy człowiek, odgrzebuje starą tajemnicę sprzed dziesięciu lat, o której wszyscy zapomnieli. Skąd się pan o tym dowiedział?

– Jestem przekonany, że mój informator nie chciałby, żeby wymieniano jego nazwisko.

– Jasne, że by nie chciał – powiedziała lekceważąco. – Zawsze mi się wydawało, że mieszkańcy Fort Farrell cierpią nie tylko na chroniczne tchórzostwo, ale również na

bardzo wygodny zanik pamięci.

– Może ma pani przyjaciół również w Fort Farrell? – powiedziałem miękko.

– Nie mam zamiaru tkwić tu do rana i dzielić się z panem swoimi sekretami, panie Boyd. – Zapięła suwak kurtki, bo noc robiła się chłodna. – Proszę sobie tylko jedno zapamiętać, niech się pan nie waży wchodzić na moją ziemię.

Odwróciła się zamierzając odejść.

– Proszę zaczekać – powiedziałem. – W lesie nie brakuje duchów, duszków, różnych potworów i innych rzeczy, które w nocy rzucają się na ludzi. Nie chciałbym, żeby zderzyła się pani po ciemku z niedźwiedziem. Odprowadzę panią do obozu.

– Ach jej, leśny rycerz! – powiedziała z obrzydzeniem, ale zaczęła aż zasypię ognisko ziemią. Gdy sprawdzałem strzelbę, rozejrzała się wokół po jasno oświetlonym przez światło księżyca koczowisku. – Założył pan przyzwoity obóz.

– Kwestia doświadczenia – powiedziałem. – Idziemy? – Ruszyła za mną.

– Dziękuję, że jednak pozwoliła mi pani wejść na swój teren, panno Trinavant – powiedziałem, gdy mijaliśmy kopiec kamieni.

– Łatwo mnie wziąć na słodkie słówka – odparła. – Tędy – pokazała kierunek.

### 3

Jej „obóz” bardzo mnie zaskoczył. Przez pół godziny wspinaliśmy się stromym zboczem pod górę, forsując mięśnie łydek, aż nieoczekiwanie stanęliśmy przed ciemną ścianą budynku. Wyjęła latarkę i ostry snop światła wydobył z mroku ściany z polnych kamieni i belek, a wyżej duże błyszczące powierzchnie okien. Pchnęła niezabezpieczone żadnym zamknięciem drzwi.

– To, co, może wejdzie pan do środka? – powiedziała z lekką irytacją w głosie.

Jeszcze bardziej zaskakujące okazało się ciepłe, centralnie ogrzewane i ogromne wnętrze budynku. Nacisnęła przełącznik i pojawił się mały krąg światła, które jednak nie zdołało rozproszyć ciemności w pomieszczeniu, w którym się znaleźliśmy. Za jedną ze ścian, całkowicie przeszkloną, rozciągał się wspaniały widok na dolinę. W księżycowej poświacie błyszcząca w oddali powierzchnia jeziora, wokół którego tydzień wcześniej prowadziłem badania.

Nacisnęła inne przełączniki i zapaliła więcej lamp oświetlających gładką drewnianą podłogę wyłożoną skórą, nowoczesne meble, lekkie regały pełne książek wzdłuż ścian, oraz stertę płyt na ziemi obok wbudowanego zestawu stereo tak, jakby komuś nagle przerwano zajęcie.

Leśna chata w wersji dla milionerów. Rozglądałem się dookoła, chyba z otwartymi

ustami.

– W Stanach wystarczyłoby urodzić się w takim miejscu, żeby mieć duże szanse, aby zostać prezydentem.

– Obejdzie się bez ludowych mądrości – powiedziała. – Jeśli chce pan drinka, proszę sobie nalać, bar jest tam. I może coś pan zrobić z kominkiem, nie jest on nieodzowny, ale lubię patrzeć na płomienie.

Znikła zamykając za sobą drzwi, a ja odstawiłem strzelbę. Pod potężnym kominem z polnych kamieni znajdowało się takie palenisko, że można by było na nim upiec łosia. Błyskały tam słabo czerwone węgliki, dołożyłem, więc kilka polan z ułożonego wygodnie pod ręką stosu i poczekałem aż pojawią się płomienie. Następnie rozejrzałem się po pokoju mając nadzieję, że Clare Trinavant nie pojawi się z powrotem zbyt szybko. Można się dużo o kimś dowiedzieć z wyglądu jego mieszkania.

Książki okazały się różnorodną zbieraniną: sporo współczesnych powieści, ale mało awangardowych dziwactw, solidna kolekcja angielskiej i francuskiej klasyki, półka biografii, trochę historii, głównie Kanady i, co ciekawe, spory zbiór archeologii, głównie z Bliskiego Wschodu. Wyglądało na to, że panna Trinavant ma umysł niezależny.

Dałem spokój książkom i przespacerowałem się wokół pokoju, zwracając uwagę na starą ceramikę i statuetki, wyglądające jakby pochodziły sprzed czasów Matuzalema, zdjęcia zwierząt na ścianach i rząd karabinów oraz rewolwerów w oszklonej szafie. Przyjrzałem się im z ciekawością przez szkło i mimo że broń wyglądała na dobrze utrzymaną, pokryta była warstwą kurzu. Następnie uwagę moją przyciągnęło zdjęcie potężnego brunatnego niedźwiedzia; nawet jeśli zrobiono je przez teleobiektyw, to i tak ktoś musiał podejść grubo za blisko.

– Trochę przypomina pana, nie sądzi pan? – odezwała się za plecami.

– Nie jestem taki wielki – odwróciłem się. – Trzeba by sześciu takich jak ja.

Zmieniła koszulę i założyła świetnie skrojone spodnie, których na pewno nie kupiła byle gdzie.

– Zajrzałam do Jimmiego – rzekła. – Nic mu chyba nie będzie.

– Nie uderzyłem go mocniej niż trzeba. Chciałem go tylko nauczyć manier. – Powiodłem ręką po pokoju. – Niezła chata.

– Boyd, przyprawia mnie pan o mdłości – powiedziała chłodno. – Równie dobrze może się pan stąd wynieść. Ma pan chory umysł i myśli pan, że mieszkam tu z Jimmim Waystandem.

– Halo! – powiedziałem – bardzo szybko wyciąga pani wnioski, panno Trinavant. Chciałem tylko powiedzieć, że ma pani wspaniały dom. Nie spodziewałem się znaleźć czegoś takiego w środku lasu.

Powoli znikły jej z policzków różowe plamy.

– Przepraszam, jeśli źle pana zrozumiałam. Może jestem teraz trochę przewrażliwiona, ale to pan jest za to odpowiedzialny, panie Boyd.

– Nie musi pani przeproszać, panno Trinavant.

Zaczęła chichotać i stopniowo roześmiała się głośno. Ja też i śmieliśmy się histerycznie przez pół minuty. W końcu odzyskała nad sobą kontrolę.

– Nie – powiedziała potrząsając głową – tak nie można, niech pan lepiej mówi do mnie Clare.

– Jestem Bob – powiedziałem. – Dobry wieczór, Clare.

– Dobry wieczór, Bob.

– Wcale nie miałem zamiaru sugerować, że Jimmy coś dla ciebie znaczy. Nie jest na to w wystarczającym stopniu mężczyzną.

Przestała się uśmiechać i założywszy ręce patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę.

– Bobie Boyd, nigdy nie poznałam człowieka, który by tak jak ty działał mi na nerwy. Jeśli ci się zdaje, że oceniam mężczyzn według tego, jak zachowują się w czasie bójki, to cholernie się mylisz. Problem z tobą polega na tym, że masz niewyparzony język: za każdym razem, gdy otwierasz usta, zakładasz na język rękawicę bokserską. A teraz, na Boga, trzymaj buzię na kłódkę i naley mi coś do picia.

– Nie powinnaś podkraść aforyzmów od księcia Edynburga, bo to obraza majestatu.

– Ruszyłem w stronę czegoś, co wyglądało na barek. – Czego się napijesz?

– Szkockiej z wodą, pół na pół. Mam tam bardzo dobrą whisky.

Istotnie, whisky była doskonała. Z szacunkiem podniosłem butelkę Islay Mist zastanawiając się, kiedy ostatnio Hamish McDougall widział się z Clare Trinavant. Ale nic nie powiedziałem. Zamiast tego trzymałem buzię na kłódkę jak mi poradziła i napełniłem szklanki.

– Od jak dawna tym razem jesteś w lesie? – zapytała, gdy podałem jej drinka.

– Prawie dwa tygodnie.

– A nie miałbyś ochoty na gorącą kąpiel?

– Clare, za to mogę oddać duszę – stwierdziłem z entuzjazmem. Woda w jeziorze jest cholernie zimna i pracując w terenie człowiek nie kąpie się tak często jak trzeba.

– Za tamtymi drzwiami – pokazała ręką – drugie drzwi na lewo. Wyłożyłam dla ciebie ręczniki.

– Mogę zabrać ze sobą szklankę? – zapytałem.

– Proszę bardzo.

Łazienka okazała się również godna podziwu. Wyłożona białą i ciemnoniebieską glazurą, była tak ogromna, że jeśli ktoś to lubi, dałoby się tam urządzać przyjęcie.

Wpuszczona w podłogę wanna wydawała się nie mniejsza niż średniej wielkości basen, a z kurków lała się parująca woda. Obok leżała góra kilometrowej wielkości ręczników.

Leżąc i moknąc w wannie myślałem o różnych rzeczach. O tym, dlaczego Clare Trinavant wymieniła nazwisko Howarda Mattersona, gdy poruszyłem temat jej ślubu. O rysunku etykietek na butelkach whisky, szczególnie jeśli pochodzą z wyspy Islay. Także o rozpiętym kołnierzu Clare Trinavant i zarysie jej szyi. O człowieku którego nigdy nie spotkałem: Bullu Mattersonie i o tym, jak wygląda. O kosmyku włosów za uchem Clare Trinavant.

Myśli te nie doprowadziły mnie jednak do żadnych wniosków, wyszedłem więc z wanny i dopijając whisky wytarłem się do sucha. Przez ściany domu, a dom był trzeba przyznać godny podziwu, sączyła się muzyka głuszac odległy warkot generatora. Gdy wróciłem do salonu, Clare siedziała na podłodze słuchając końcowych akordów pierwszej symfonii Sibeliusa.

Machnęła ręką w stronę baru i podniosła do góry pustą szklanę, nalałem więc nam obojgu i siedzieliśmy po cichu, aż muzyka umilkła. Clare lekko zadrżała.

– Zawsze mi się wydaje, że muzyka opisuje to – wskazała oświetloną blaskiem księżycą dolinę za oknem.

– Krajobrazy Finlandii nie różnią się zbyt od Kanady – powiedziałem. – Lasy i jeziora.

– Nie tylko leśny rycerz, ale jeszcze człowiek wykształcony – podniosła brew.

– Skończyłem uniwersytet – uśmiechnąłem się do niej.

– Przepraszam – zarumieniła się lekko. – Nie powinnam tego mówić, zachowuję się okropnie, prawda?

– Nie szkodzi – powiedziałem. – Dlaczego się akurat tutaj pobudowałaś?

– Twój tajemniczy informator powinien ci powiedzieć, że wychowywałam się niedaleko stąd. Wuj John zostawił mi tę ziemię. Jestem z nią związana, więc zbudowałam tu dom. – Zamilkła. – Ale skoro jesteś tak dobrze poinformowany, powinieneś też wiedzieć, że nie był moim prawdziwym wujem.

– Tak – odparłem. – Jedno mi się tylko nie podoba. Powinnaś częściej czyścić strzelby i rewolwery.

– Nie używam ich teraz – powiedziała. – Zabijanie zwierząt dla rozrywki straciło dla mnie urok. Teraz poluję z aparatem fotograficznym.

Wskazałem zbliżenie potężnych szczęk niedźwiedzia brunatnego.

– Na niedźwiedzie?

Skinęła głową, dodałem więc:

– Mam nadzieję, że miałaś pod ręką broń.

– Nic mi nie groziło – powiedziała.

Siedzieliśmy w przyjaznym milczeniu, patrząc na ogień. Po kilku minutach odezwała się Clare:

– Jak długo będziesz jeszcze pracować dla Matternona, Bob?

– Niedługo. Prawie skończyłem robotę, z wyjątkiem ziemi Trinawantów – uśmiechnąłem się – ale chyba będę musiał dać spokój, bo właścicielka jest trochę drażliwa.

– A później? – pytała dalej.

– Z powrotem na Terytorium Północno-zachodnie.

– Dla kogo tam pracujesz?

– Dla siebie. – Opowiedziałem jej trochę o swoich poszukiwaniach. – Pierwsze trafienie miałem już po osiemnastu miesiącach. Wystarczyło mi na następne pięć lat, ale w międzyczasie nie znalazłem nic ciekawego. Dlatego pracuję dla Matternona – żeby zarobić na dalsze prace.

– Szukasz złotej żyły na końcu tęczy? – zapytała po chwili namysłu.

– Coś w tym rodzaju – zgodziłem się. – A ty? Czym się zajmujesz?

– Jestem archeologiem – rzuciła nieoczekiwanie.

– Och! – powiedziałem niewiadomo dlaczego.

Podniosła się i odwróciła, spoglądając w moją stronę.

– Nie jestem dyletantką, Bob. Nie należę do tych bogatych gęsi hołubiących jakieś zajęcia dla rozrywki póki nie znajdą męża. Ja naprawdę Pracuję, możesz przeczytać moje prace.

– Nie bądź tak cholernie wrażliwa – powiedziałem. – Wierzę ci. Gdzie prowadzisz badania?

Roześmiała się słysząc pytanie.

– Głównie na Bliskim Wschodzie, choć kopałam też na Krecie. – Wskazała niewielką statuetkę na wpół nagiej kobiety w falbaniastej spódnicy. – To pochodzi z Krety, rząd grecki pozwolił mi to zabrać.

– Ciekawe, czy to Ariadne – wziąłem figurkę do ręki.

– Przyszło mi to do głowy – wyrzała przez okno. – Co roku staram się tu wrócić. Nad Morzem Śródziemnym ziemia jest naga i pozbawiona drzew. Nie mogę nie wracać do siebie.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć.

Rozmawialiśmy długo, a w międzyczasie zgasł ogień. Nie bardzo pamiętam, o czym, głównie o trywialnych sprawach, które wypełniają życie każdego z nas.

– Ojej, nagle zrobiłam się śpiąca – przerwała nagle. – Która godzina?

– Druga.

– No to nic dziwnego – rzekła. – Jest tu jedno wolne łóżko, jeśli chcesz zostać na noc. Trochę późno, żeby wracać do obozu. – Spojrzała na mnie uważnie. – Tylko pamiętaj, nie próbuj się do mnie dobierać. Raz spróbujesz i zaraz znajdziesz się na dworze.

– Tak jest, Clare, obiecuję.

Dwa dni później byłem z powrotem w Fort Farrell i gdy tylko znalazłem się w swoim pokoju w hotelu Mattersona, napełniłem wannę oddając się swojej ulubionej rozrywce – moczeniu we wrzątku, popijaniu i rozmyślaniu.

Z domu Clare wyszedłem wcześniej rano i ku mojemu zaskoczeniu, gospodyni zachowywała się z rezerwą i dużym dystansem. Przygotowała, co prawda porządne śniadanie, ale coś takiego dobra gospodyni robi odruchowo nawet dla najgorszego wroga. Pomyślałem, że może żałuje bratania się z przeciwnikiem; bądź co bądź pracuję dla Mattersona, a może była zirytowana, właśnie tym, że się nie próbowałem do niej dobrać. Z kobietami nigdy nie wiadomo.

W każdym razie pożegnała się chłodno. Gdy zauważyłem, że jej dom znajdzie się na brzegu nowego jeziora, gdy tylko Matterson wybuduje zaporę, odparła zawzięcie:

– Niech Matterson nie próbuje zatapiać mojej ziemi. Możesz mu powiedzieć w moim imieniu, że mam zamiar z nim walczyć.

– W porządku, powiem mu.

– Idź już lepiej, Boyd, bo masz na pewno mnóstwo pracy.

– Zgadza się – powiedziałem. – Ale nie będę pracować na twojej ziemi – Wziąłem broń. – Trzymaj się, Trinavant.

Poszedłem, więc, a gdy w połowie ścieżki obejrzałem się, żeby jeszcze raz spojrzeć na dom, zobaczyłem tylko postać Jimmiego Waystanda stojącego z rozstawionymi nogami jak holywoodzki cowboy na szczycie zbocza, żeby upewnić się, że odchodzę.

Zbadanie reszty posiadłości Mattersona nie zajęło wiele czasu, wróciłem więc wcześniej do głównej bazy i przez pół dnia kręciłem się bez zajęcia, czekając na helikopter. Godzinę po jego przylocie leżałem już w wannie w Fort Farrell.

Leniwie mieszałem wodę zastanawiając się, co mam do zrobienia. W pokoju zaczął dzwonić telefon, ale zignorowałem go, dosyć szybko się zmęczył i dał spokój. Muszę się spotkać z Howardem Mattersonem, następnie muszę porozmawiać z McDougalem, żeby potwierdzić pewne podejrzenia. Zostało jeszcze tylko napisanie raportu, odebranie forsy i złapanie najbliższego autobusu. W Fort Farrell nie trzymało mnie nic poza kłopotami.

Telefon znów zaczął dzwonić, wy dobyłem się, więc z wanny i poszedłem odebrać. Dzwonił Howard Matterson. Wydawał się zniecierpliwiony tym, że musi czekać.

– Słyszałem, że już pan wrócił – rozpoczął. – Czekałem na pana u siebie na górze.

– Wyparzam stare kości w wannie – powiedziałem. – Przyjdę, jak tylko skończę.

Zapadła na chwilę cisza, gdy przetrawiał moje słowa; nie był chyba przyzwyczajony do czekania na innych. W końcu powiedział:

– W porządku, niech się pan pośpieszy. Jak poszło?

– Znośnie – stwierdziłem. – Opowiem wszystko, gdy przyjdę. Streszczając w kilku słowach to, co pana interesuje: nie ma żadnych geologicznych przesłanek do podejmowania poważniejszych prac poszukiwawczych w dolinie Kinoxi. Szczegóły podam później.

– Otóż to, tyle chciałem wiedzieć. – Odłożył słuchawkę.

Ubrałem się bez pośpiechu i poszedłem do biura Mattersona. Tym razem musiałem poczekać nawet dłużej niż poprzednio: czterdzieści minut. Howard prawdopodobnie uznał, że mi się to należy po tym, jak Potraktowałem jego telefony. Ale gdy w końcu sekretarka mnie wprowadziła, okazał się w miarę uprzejmy.

– Cieszę się, że pana widzę – powiedział. – Były jakieś kłopoty?

Podniosłem brew.

– A miały być?

Uśmiech przemieścił mu się po twarzy, jakby nie wiedząc, czy zostać, czy zniknąć, ale w końcu wrócił na miejsce.

– Skądże – zapewnił Howard z przekonaniem. – Wiem przecież, że zatrudniłem specjalistę.

– Dziękuję – odparłem sucho. – Musiałem jednak komuś dać po buzi. Lepiej żeby pan o tym wiedział, bo może dostać pan skargę. Zna pan niejakiego Jimmiego Waystanda?

Matterson zajął się zapalaniem cygara.

– Na północnym krańcu? – zapytał nie patrząc na mnie.

– Tak jest. Doszło do bijatyki, ale poradziłem sobie jakoś – powiedziałem skromnie.

Matterson wyglądał na zadowolonego.

– Czyli, że przebadał pan cały teren?

– Nie, nie cały.

– Nie? A dlaczego? – Próbował wyglądać na zaskoczonego.

– Ponieważ nie walczę z kobietami – powiedziałem ostro. – Panna Trinavant zdecydowanie nie życzyła sobie, żebym prowadził badania jej ziemi na rzecz Matterson Corporation. – Nachyliłem się. – Mam wrażenie, że oświadczył pan panu Donnerowi, że wyjaśni pan ten drobiazg z panną Trinavant. Ale najwyraźniej nie zrobił pan tego.

– Próbowałem się z nią porozumieć, ale była nieobecna – zabębnił palcami w biurko.

– Przykro mi z tego powodu, ale nic już się nie da poradzić, jak sądzę.



Miałem wrażenie, że nie mówi prawdy, ale nic by nie dało, gdybym to powiedział.

– Jeśli chodzi o resztę terenu, to z tego, co widziałem, nie ma tam nic co warte by było zachodu.

– Żadnych śladów gazu lub ropy?

– Nic z tych rzeczy. Otrzyma pan dokładny raport. Jeśli mógłbym dostać do dyspozycji maszynistkę, to szybciej będzie miał pan sprawozdanie, a ja prędzej wyjadę z miasta.

– Jasne – orzekł. – Załatwię to. Proszę mi dać znać, gdy tylko pan skończy.

– Oczywiście – odparłem wstając. Zatrzymałem się przy drzwiach. - Aha, jeszcze jedna sprawa. Nad jeziorem w dolinie znalazłem ślady kurzawki. W tych okolicach często występuje w utworach osadowych. Warto dokładniej sprawdzić, bo może narobić panu kłopotów.

– Jasne, jasne – powiedział. – Niech pan to umieści w raporcie.

Wychodząc na ulicę zastanawiałem się, czy Matterson wie, o co chodzi. Ale przecież będzie miał wszystko wyjaśnione w moim sprawozdaniu.

Poszedłem na skwer Trinavanta i zobaczyłem, że porucznik Farrell nadal czuwa, pilnując gołębi. U Greka zamówiłem filizankę tak zwanej kawy i usiadłem za stołem. Jeśli McDougall był, choć w połowie takim dziennikarzem, jak mówił, niedługo powinien się zjawić. I rzeczywiście, po piętnastu minutach wmaszerował sztywno i bez słowa usiadł obok mnie.

Przyglądałem mu się, gdy mieszał kawę.

– O co chodzi, Mac, odebrało ci mowę?

Uśmiechnął się.

– Czekalem, aż zaczniesz mówić. Umiem słuchać.

– Nic nie może powstrzymać Mattersona przed zbudowaniem zapory – powiedziałem z namysłem – z wyjątkiem Clare Trinavant. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że teraz tam jest?

– Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli sam dokonasz tego odkrycia. Czy miałeś jakieś kłopoty, synu?

– Nic wielkiego. Co to za typek z tego Jimmiego Waystanda?

McDougall roześmiał się.

– To syn dozorca Clare, nieopierzony smarkacz.

– Ogląda za dużo hollywoodzkich westernów – powiedziałem i opisałem przebieg wydarzeń. McDougall wyglądał na zaniepokojonego.

– Z chłopakiem powinno się porozmawiać. Nie ma prawa śledzić ludzi na ziemi Mattersona, a jeśli chodzi o strzelbę... – Potrząsnął głową. – Ojciec powinien wybić mu

takie pomysły kijem z głowy.

– Chyba skierowałem go na właściwą ścieżkę. – Spojrzałem na McDougalla. – Kiedy ostatni raz widziałeś Clare Trinavant?

– Gdy przejeżdżała przez miasto jakiś miesiąc temu.

– I od tego czasu nie ruszała się od siebie z domu?

– O ile wiem, to nie. Nigdy nie wyjeżdża daleko.

Pomyślałem, że dla Howarda Mattersona przelecenie helikopterem siedemdziesięciu pięciu kilometrów z Fort Farrell nie byłoby zbyt wielkim kłopotem. Dlaczego więc tego nie zrobił? Może jest tak, jak mówi Clare, że jest niechlujny w interesach?

– Co jest między Clare a Howardem Mattersonem? – zapytałem.

– Chce się z nią ożenić – uśmiechnął się ponuro McDougall.

Otworzyłem usta, a po chwili wybuchłem śmiechem.

– Nie ma chyba na to najmniejszej szansy. Powinieneś być słyszeć, co mówiła o Mattersonach, ojcu i synu.

– Howard jest raczej gruboskórny – stwierdził McDougall. – Ma nadzieję, że dziewczyna z czasem zmięknie.

– Nic nie osiągnie trzymając się od niej z daleka – powiedziałem – ani zatapiać jej ziemię. A przy okazji, jak to wygląda od strony prawnej?

– Kiepsko. Wiesz, że większość hydroelektrowni w Kolumbii Brytyjskiej jest kontrolowana przez rząd. Z kilkoma wyjątkami; między innymi Aluminium Company of Canada zbudowała własną zaporę na Kitimat i jest to precedens, który natchnął Mattersona. Naciska rząd i idzie mu to bardzo dobrze. Jeśli komisja zasobów surowcowych uzna, że budowa leży w interesie publicznym, to Clare przegra.

– Jimson z „Fort Farrell Recorder” – uśmiechnął się smutno – przez cały czas nad tym pracuje, ale dobrze wie, że lepiej nie prosić mnie o współpracę. Zleca mi, więc bezpieczniejsze tematy, jak śluby i pogrzeby. Zgodnie z artykułem wstępnym, który pisał, gdy wychodziłem z redakcji, Matterson Corporation jest głównym obrońcą interesów publicznych.

– Chyba Howard mu o tym powiedział – stwierdziłem. – Właśnie przekazałem mu rezultaty badań. Przykro mi z tego powodu, Mac.

– To nie twoja wina, po prostu wykonałeś swoją robotę. – Spojrzał na mnie kątem oka. – Czy zdecydowałeś już, co będziesz robił?

– Z czym?

– Z całym tym zafajdanym układem. Myślałem, że miałeś dosyć czasu w lesie, żeby się zastanowić.

– Mac, nie jestem żadnym śmierdzącym rycerzem. Nie wiem nic, co mogłoby mieć

jakiegokolwiek znaczenie, ani nie potrafię zrobić tu nic pożytecznego.

– Nie wierzę ci – stwierdził McDougall.

– Możesz sobie wierzyć, w co tylko chcesz – powiedziałem. Zaczynałem mieć dosyć jego pytań i zainteresowania, a może czułem się trochę winny, chociaż nie wiem, dlaczego?

– Muszę teraz napisać sprawozdanie, odebrać pieniądze oraz wsiąść do autobusu, który mnie stąd zabierze. Wasze sprawy w Fort Farrell nic mnie nie obchodzą.

– Powinienem się tego spodziewać – odezwał się zmęczonym głosem i wstał. – Myślałem, że to ty jesteś tym człowiekiem. Myślałem, że będziesz miał dość ikry, żeby posłać Mattersona tam, gdzie jego miejsce, ale się chyba pomyliłem. – Wyciągnął palec w moim kierunku. – Coś wiesz. Wiem, że coś wiesz. Ale niezależnie od tego, dlaczego tak się boisz zrobić z tego użytek, mam nadzieję, że się tym udławisz. Jesteś pozbawioną ikry i kręgosłupa imitacją mężczyzny i cieszę się, że sobie pojedziesz z Fort Farrell, bo brzydziłbym się nawet przygać na ulicy, na której cię widziałem.

Odwrócił się i wyszedł chwiejnie na ulicę. Patrzyłem, jak przechodzi ślepo na drugą stronę placu. Żal mi go było, ale nic nie mogłem dla niego zrobić. Potrzebny mu był mężczyzna, który ma potrzebne informacje, Robert Grant, a nie Bob Boyd. Robert Grant jednak zmarł dziesięć lat temu.

Ostatni raz widziałem się krótko z Howardem Mattersonem oddając sprawozdanie. Wziął papiery oraz mapę i rzucił na biurko.

– Słyszałem, że spędził pan miły wieczór z Clare Trinavant?

– Zaprosiłem ją na obiad – powiedziałem. – Któż by tego nie zrobił?

– I odwiedził ją pan w domu.

– Owszem – odpowiedziałem lekko. – Myślałem, że to w pana interesie. Miałem nadzieję, że uda mi się ją trochę ugadać.

– I w moim interesie został pan na noc? – zapytał lodowato.

Dało mi to do myślenia. Na Boga, ten człowiek jest zazdrosny! Ale skąd miał takie informacje? Clare na pewno mu tego nie powiedziała, byłem, więc prawie pewny, że to młody Jimmy Waystand. Gówniarz próbuje zemścić się na mnie donosząc Mattersonowi. Cały Fort Farrell musi chyba wiedzieć, że Howard pała uczuciem do Clare, ale nic nie może zdziałać.

Uśmiechnąłem się uprzejmie do Mattersona.

– Nie, to było w moim interesie.

Jego twarz przybrała ciemnoczerwoną barwę i poderwał się na nogi.

– To wcale nie śmieszne – oświadczył grobowo. – Opiekujemy się tu wszyscy panną Trinavant i dbamy o jej reputację. – Ruszył wokół biurka zginając ręce i widać było, że

gotów jest rzucić się na mnie.

Niewiarygodne, ten facet jeszcze nie wydorósł. Zachowywał się jak nieopierzony nastolatek, który myśli przy pomocy mięśni, albo jak jeleni na rykowisku, gotów rzucić się na każdego obcego w obronie swego haremu. Oczywisty przypadek opóźnienia w rozwoju.

– Matterson – powiedziałem – Clare Trinavant jest w stanie sama troszczyć się o siebie, oraz o swoją reputację. A ty nie zrobisz jej reputacji wiele dobrego przy użyciu pięści. Tak się składa, że znam jej pogląd na tę sprawę. A z pewnością dowie się o wszystkim, bo jeśli tylko dotkniesz mnie palcem, wyrzucę cię przez najbliższe okno i sprawą zainteresuje się opinia publiczna.

Zrobił kilka kroków, pomyślał jeszcze raz i zatrzymał się w miejscu.

– Clare Trinavant zaproponowała mi kąpiel i nocleg, bynajmniej nie w swoim łóżku – powiedziałem. – A jeśli możesz w ten sposób o niej myśleć, to nic dziwnego, że niedaleko zaszedłeś. Teraz chciałbym dostać swoje pieniądze.

– Na biurku leży koperta – powiedział niskim zduszonym głosem. – Bierz ją i wynoś się.

Wyciągnąłem rękę, wziąłem i rozerwałem kopertę, wyjąłem ze środka pasek papieru. Był to czek wypisany na Matterson Bank na pełną umówioną sumę. Odwróciłem się i wyszedłem z biura kotłując się z gniewu, ale nie na tyle ślepo, żeby nie skierować się prosto do banku i nie zainkasować gotówki, zanim Howard wstrzyma płatność.

Z plikiem banknotów w kieszeni poczułem się lepiej. Poszedłem do pokoju, spakowałem swoje rzeczy i wyprowadziłem się w ciągu pół godziny. Idąc w dół King Street po raz ostatni oddałem honory porucznikowi Farrelowi, mężowi z brązu na placu Trinavanta. Minąłem lokal Greka i zatrzymałem się na przystanku. Autobus właśnie szykował się do odjazdu, z przyjemnością, więc wsiadłem do środka i pozbyłem się kłopotów.

Fort Farrell, zapadła dziura.

## IV

Zimą wykonałem jeszcze jedno zlecenie w dolinie Okanaganu na południu, niedaleko granicy Stanów Zjednoczonych i przed wiosennymi roztopami zacząłem szykować się do wyruszenia na Terytorium Północno-zachodnie gdy tylko stopnieją śniegi. Geolog nie ma specjalnie wiele do roboty wśród ośnieżonych gór; żeby szukać tego, co go interesuje, potrzebuje odsłoniętej ziemi. Tylko w czasie krótkiego lata miałem jakąkolwiek szansę, musiałem więc jeszcze trochę poczekać.

W tym okresie opisałem Susskindowi listownie, co wydarzyło się w Fort Farrell. Odpowiedź, jaką otrzymałem, upewniła mnie, że postąpiłem słusznie.

Dla psychiatry – pisał – ambiwalentna postawa Howarda Mattersona stanowi prawie klasyczny przypadek tego, na co istnieje wyjątkowo dobrze dobrane określenie: stosunek „miłość-nienawiść”. Nie lubię tego określenia, ponieważ zostało zarżnięte przez literaturę piękną (dlaczego większość pisarzy chwyta się za specjalistyczną terminologię psychiatryczną i deformuje znaczenia tak, że przestaje być wiadomo, o co chodzi?), ale nawet jeśli jest nieprecyzyjne, to dobrze oddaje symptomy. Howard pożąda dziewczyny, o jednocześnie nienawidzi jej, musi ją jednocześnie zniszczyć i posiadać. Innymi słowy, pan Matterson chce zarówno zjeść ciastko, jak i zachować je jak najdłużej. W sumie wygląda to na typowy przypadek niedojrzałości emocjonalnej, a przynajmniej dostrzec można wszystkie ważniejsze symptomy. Dobrze, że trzymasz się od niego z daleka, tacy ludzie potrafią być niebezpieczni. Żeby zrozumieć, co mam na myśli, przypomnij sobie chociażby Hitlera.

Ale ta Trinavant wygląda całkiem niczego sobie!

Przypomniałem sobie teraz coś, o czym powinienem był ci powiedzieć dawno temu. Mniej więcej w czasie, gdy wyjeżdżałeś z Montrealu pojawił się prywatny detektyw wypytując o ciebie, czy raczej o Roberta Granta. Niewiele się dowiedział. Natarłem mu uszu i odesłałem na kopach do wszystkich diabłów. Nic ci wtedy o tym nie mówiłem, bo w moim przekonaniu byłeś w stanie nienadającym się do przyjmowania tego rodzaju nowin, a później o wszystkim zapomniałem.

Dużo się wtedy zastanawiałem o co mu chodziło i do dziś nie mam w tej sprawie jasności. Detektyw nie miał z pewnością nic wspólnego z policją w Vancouver, ponieważ, jak wiesz, wyjaśniłem z nimi twoje sprawy, a nie było to wcale łatwe. Większość laików nie ma pojęcia o psychiatrii, a głowy policjantów i prokuratorów są nieprzeniknione jak najtwardszy dąb. Wydawało się im, że ustawa McNaughena to coś więcej niż zwykły prawny formalizm i powinna obowiązywać także psychiatrię. Przekonanie ich, żeby

zaczęli myśleć i dali spokój Bobowi Boydowi za to, co zrobił Robert Grant okazało się nie byle, jakim osiągnięciem. Ale poradziłem sobie.

Kto wynajął tego detektywa? Próbowałem sprawdzić, ale nic nie działałem; to nie moja specjalność. W każdym razie, działo się to wiele lat temu i prawdopodobnie nie ma już dziś znaczenia. Pomyślałem jednak, że nie zaszkodzi, jeśli dowiesz się, że poza twoim tajemniczym dobroczyńcą jeszcze ktoś inny się tobą interesował.

Wiadomość istotnie była ciekawa, choć o wiele lat przedawniona. Przeżuwałem ją przez pewien czas, ale ponieważ podobnie jak Susskindowi nie udało mi się do niczego dojść, dałem spokój.

Wiosną ruszyłem na północ nad MacKenzie i całe lato grzebałem się gdzieś między Wielkim Jeziorem Niewolniczym, a Zatoką Koronacji. Jest to życie samotnicze, bo mało tam ludzi, choć od czasu do czasu spotyka się traperów, a na dalekiej północy żyją zawsze wędrowni Eskimosi. Ten rok okazał się nieudany i przez pewien czas miałem ochotę dać sobie spokój z niepewną pracą i zamiast tego zatrudnić się na pensji jako niewolnik jakiejś wielkiej firmy. Ale wiedziałem, że tego nie zrobię; posmakowałem już zbyt wiele wolności, żeby dać się przyszpilić i źle bym sobie radził w dużym przedsiębiorstwie. Lecz jeśli miałem kontynuować, musiałem znów udać się na południe, żeby zgromadzić wyposażenie na następne lato, ruszyłem, więc z powrotem do cywilizacji.

Byłem prawdopodobnie zbyt głupi na to, żeby powstrzymać się przed powrotem do Kolumbii Brytyjskiej. Zgodnie z radą Susskinda chciałem zapomnieć o Fort Farrell, ale umysłu nie da się tak łatwo poddać kontroli.

Podczas płynących jeden za drugim samotnych dni, a tym bardziej samotnych nocy, rozmyślałem o losie, jaki spotkał Trinavantów. W pewnej mierze czułem się odpowiedzialny, ponieważ w chwili katastrofy sam znajdowałem się w Cadillacu i gdy myślałem o przyczynach katastrofy, prześladowało mnie nieokreślone poczucie winy. Czułem się również winny z powodu ucieczki z Fort Farrell; ostatnie słowa McDougalla trafiły mnie w żołądek, nawet mimo iż Susskind twierdził, że postąpiłem prawidłowo.

Myślałem również dużo o Clare Trinavant, a takie myśli dla samotnego człowieka w głuszy nie są zbyt zdrowe.

Wróciłem, więc i dla uniwersyteckiego zespołu badającego ruchy skorupy ziemskiej wykonałem zimowe zlecenie w okolicy Kamloops w Kolumbii Brytyjskiej. Zespół uchodził za uniwersytecki, ale ponieważ pod nazwą tą kryła się ekipa pracująca na zamówienie rządu Stanów Zjednoczonych, gdyż wyniki ich badań mogły pomóc w wykrywaniu podziemnych testów nuklearnych, badania nie były tak bardzo akademickie. Nie płacono najlepiej, a praca i ogólna atmosfera okazała się nieco zbyt krępująca jak na moje możliwości. Przepracowałem jednak całą zimę, oszczędzając ile się da.

W miarę zbliżania wiosny byłem coraz bardziej niespokojny, wiedziałem jednak, że nie mam dość pieniędzy, żeby na kolejny letni sezon poszukiwać wrócić na północ. Zaczynało wyglądać na to, że znalazłem się w ślepej uliczce i trzeba będzie pójść na stały żołd jakiejś firmy. Okazało się, co prawda, że dostałem trochę pieniędzy z innego źródła. Wolałbym pracować dla kogoś przez dwadzieścia lat niż dostać te pieniądze.

Otrzymałem list od niejakiego Jarvisa, współnika Susskinda. Pisał, że Susskind zmarł wskutek nieoczekiwanego ataku serca, a jako wykonawca testamentu zmarłego Jarvis informuje mnie, że Susskind zostawił mi pięć tysięcy dolarów.

Wiem, że pana związek z doktorem Susskindem był bardzo szczególny, o wiele głębszy niż normalny związek psychiatry z pacjentem. Proszę przyjąć moje najgłębsze wyrazy współczucia. Chciałbym również, żeby pan wiedział, że może pan liczyć na moją specjalistyczną pomoc, gdyby tylko jej pan potrzebował.

Poczułem się zagubiony. Nie znałem ojca i Susskind był dla mnie jak ojciec, stanowiąc jedyny stały punkt odniesienia na świecie. Nagle zostałem pozbawiony go, a z nim trzech czwartych swego życia. Nie widywaliśmy się zbyt często, jednak utrzymywaliśmy stały bliski kontakt dzięki korespondencji. Teraz nie będzie już więcej listów, nie będzie szorstkiego, zuchwałego i przemądrzałego Susskinda.

Ta wiadomość zmieniła kierunek moich myśli. Zacząłem się zastanawiać nad geologiczną strukturą północno-wschodniego interioru Kolumbii Brytyjskiej i nad tym, czy warto tego lata wracać na daleką północ. Postanowiłem pojechać do Fort Farrell.

Myśląc wstecz, rozumiem przyczyny takiej decyzji. Póki żył Susskind, istniała linia prowadząca do moich początków. Gdy go straciłem, linia ta znikła i znów musiałem rozpocząć walkę o swoją tożsamość, a jedyną drogą ku temu prowadzącą mogło być wyjaśnienie zagadek przeszłości niezależnie od tego, jak bolesne miały się okazać. Droga do przeszłości prowadziła zaś przez Fort Farrell, wiążąc się ze śmiercią trojga Trinavantów i narodzinami imperium Mattersona.

Wtedy oczywiście nie myślałem w ten sposób. Po prostu robiłem różne rzeczy nie myśląc zbyt wiele. Wymówiłem pracę, spakowałem rzeczy i w ciągu miesiąca byłem w drodze do Fort Farrell.

Nic się tam nie zmieniło.

Gdy wysiadłem z autobusu, na przystanku stał ten sam gruby i niski facet, co poprzednio, który zmierzył mnie dokładnie od stóp do głów.

– Witamy z powrotem – powiedział.

– Nie musi mi pan mówić, gdzie jest Matterson Building – uśmiechnąłem się do niego. – Ale niech mi pan powie, czy McDougall jest w mieście?

– Do zeszłego tygodnia był, a później go nie widziałem.

– Byłby pan dobry jako świadek w sądzie – stwierdziłem. – Wie pan, jak należy składać zeznania.

Ruszyłem w górę King Street na plac Trinavanta i zobaczyłem, że coś jednak się zmieniło. Lokal u Greka nazywał się teraz „Kawiarnia helleńska”.

Porucznik Farrell pozostał jednak taki sam, nie drgnął nawet o milimetr. Wynająłem pokój w hotelu Mattersona ciekaw, jak długo uda mi się tam zostać. Można się spodziewać, że gdy tylko zacznę przerzucać kamienie i szukać pod nimi różnych nieprzyjemnych rzeczy, Matterson może nie życzyć sobie nadal mnie gościć w swoim hotelu. Na razie to kwestia przyszłości, tymczasem warto zobaczyć jak sprawy stoją z Howardem.

Pojechałem windą na jego piętro. Miał nową sekretarkę i poprosiłem, żeby zawiadomiła swego szefa, że pan Boyd chce się z nim widzieć. W gabinecie Howarda znalazłem się w rekordowym czasie dwóch minut. Musiał być bardzo ciekaw, czego szukam w Fort Farrell.

On też się nie zmienił, choć wcale tego nie oczekiwałem. Pozostał tym samym postawnym mężczyzną z byczym karkiem i początkami otyłości, choć może teraz dawało się dostrzec trochę więcej tłuszczu.

– Proszę, proszę – powiedział. – Nie mogę się nadziwić, że pan wrócił.

– Nie wiem, dlaczego – odezwałem się niewinnie – skoro swego czasu proponował mi pan pracę.

– Co takiego? – spojrzał z niedowierzaniem.

– Proponował mi pan pracę. Powiedział pan, że zamierza prowadzić badania geologiczne całego terytorium należącego do Mattersonów i zaproponował mi tę pracę. Przypomina pan sobie?

Przypomniał sobie, że ma otwarte usta, więc je po chwili zamknął.

– Ale ma pan tupet! Myśli pan, że... – przerwał i zaśmiał się sucho – nie, panie Boyd, obawiam się, że zmieniliśmy w tej sprawie plany.

– Szkoda – powiedziałem – bo w tym roku okazało się, że nie jestem w stanie udać się na północ.

– Cóż się stało? – uśmiechnął się złośliwie. – Czyżby nie mógł pan znaleźć żadnego sponsora?

– Coś w tym rodzaju – odpowiedziałem, starając się nadać twarzy wyraz niepokoju.

– Życie jest ciężkie – oświadczył z zadowoleniem – ale z przykrością muszę stwierdzić, że moim zdaniem nigdzie tu w okolicy nie ma żadnej wolnej pracy dla kogoś z pańskiej specjalności. Powiem więcej, moim zdaniem nie ma tu w ogóle żadnej pracy dla pana. Sytuacja na rynku pracy w Fort Farrell jest w tym roku fatalna. – Coś przyszło



mu do głowy. – Oczywiście mogę pana zatrudnić jako portiera w hotelu. Wie pan, mam tam pewne wpływy. Jeśli oczywiście poradzi pan sobie z noszeniem bagaży.

Pozwoliłem mu trochę się pośmiać.

– Chyba jeszcze nie jestem na tym etapie – stwierdziłem wstając.

Nie wystarczyło to Howardowi, nie skończył jeszcze tarzać mnie twarzą w błocie.

– Proszę siadać – powiedział uprzejmie. – Porozmawiajmy o starych czasach.

– Czemu nie – zgodziłem się i usiadłem z powrotem. – Widział się pan ostatnio z Clare Trinavant?

To go nieco ostudziło.

– Nie mieszaj jej pan do tego – warknął.

– Chciałem tylko wiedzieć, czy jest w okolicy – powiedziałem wyjaśniająco. – To naprawdę miła kobieta, chciałbym ją jeszcze kiedyś spotkać.

Wyglądał jak ktoś, kto właśnie połknął sztuczną szczękę. Powoli zaczęło do niego docierać, że mogę być naprawdę zainteresowany Clare Trinavant. Wyglądało na to, że pomieszkam sobie w hotelu nawet jeszcze krócej niż myślałem. Doszedł do siebie.

– Nie ma jej niestety w kraju – oświadczył z satysfakcją. – Tak naprawdę, to nie ma jej nawet na tej półkuli i nieprędko wróci.

– Szkoda, chętnie znów bym się z nią pokłócił. A jednocześnie nie ona stanowiła główny powód mojego powrotu do Fort Farrell, choć gdyby nie wyjechała, mogła okazać się sprzymierzeńcem.

– Ma pan rację – wstałem ponownie – sytuacja jest trudna. – Tym razem nie zatrzymywał mnie, może nie o taką przyjazną pogawędkę mu chodziło.

– To tymczasem – ruszyłem w stronę drzwi.

– Czyżby zamierzał pan kręcić się po okolicy? – zapytał.

– To zależy od tego, czy sytuacja z pracą jest taka zła jak pan mówi - roześmiałem się w głos i zamknąłem drzwi zanim zdążył odpowiedzieć.

– Świetnego ma pani szefa! – odwróciłem się do sekretarki.

– Tak, proszę pana. – Patrzyła na mnie, jak na wariata, więc mrugnąłem do niej i ruszyłem dalej.

Prowokowanie Howarda Matterson było dziecinnym zagranieniem i do niczego nie prowadziło, ale od razu poczułem się lepiej. Dobrze to podziałało na moje słabnące morale. Osobiście nie miałem wiele do czynienia z Howardem i poza uwagami Clare Trinavant, i McDougalla nic o nim nie wiedziałem. Lecz teraz dowiedziałem się czegoś nowego: nic tak go nie cieszy jak kopanie leżącego. Mały pokaz sadyzmu Howarda sprawił, że poczułem się całkiem znośnie. Zapowiadało się, że przycinanie go do właściwego rozmiaru dostarczy mi trochę rozrywki.

Idąc King Street spojrzałem na zegarek i przyśpieszyłem kroku. Jeśli McDougall nadal trzyma się swego rozkładu jazdy, powinien właśnie siedzieć nad popołudniową kawą u Greka, przepraszam, w „Kawiarni helleńskiej”. I istotnie siedział, rozmyślając nad pustą filiżanką.

Zamówiłem przy barze dwie kawy, które nalano mi z chromowanego potwora buhającego parą na każdym złączu i hałasującego jak pierwszy człon startującej rakiety Atlas.

Wziąłem kawy i postawiłem filiżankę przed Macem. Jeśli był zdziwiony moim widokiem, to nie dał tego po sobie poznać. Mrugnął tylko mówiąc:

– Czego chcesz?

Usiadłem obok.

– Zmieniłem zdanie, Mac.

Nic nie odpowiedział, tylko widać było jak prostuje ramiona.

– Kiedy się tu pojawił ten znak dobrobytu? – wskazałem na ekspres do kawy.

– Kilka miesięcy temu, ale kawa jest paskudna – powiedział kwaśno. – Dobrze, że przyjechałeś, synu.

– Powiem krótko, bo coś mi się zdaje, że lepiej, żeby nas razem nie widziano zbyt często. Howard Matterson wie, że jestem w mieście i podejrzewam, że jest na mnie wściekły.

– Dlaczego miałyby być wściekły?

– Tuż przed wyjazdem, osiemnaście miesięcy temu, pokłóciłem się z nim. – Opowiedziałem Macowi, co się wówczas stało, oraz swoje podejrzenia, co do roli młodego Jimmiego Waystanda.

– Skurwysyn! – zachnął się Mac. – Wiesz, co zrobił Howard? Powiedział Clare, że chwaliłeś się mu tą nocą spędzoną u niej w domu. Wściekła się strasznie i klęła cię, na czym świat stoi. Nie należysz teraz do jej ulubionych gości.

– Uwierzyła mu?

– A kto by nie uwierzył? Któż inny mógł powiedzieć o tym Howardowi? Nie pomyślała o Jimmie. – Zachnął się nagle. – To w ten sposób dostał dobrą pracę przy budowie zapory! Pracuje teraz dla Matterson Corporation.

– A więc budują zapórę – powiedziałem.

– Jak najbardziej. Opinia publiczna została urobiona i Matterson poradził sobie z zastrzeżeniami Clare. Zaczęli budowę w zeszłym roku w lecie i pracują tak, jakby Matterson kazał im skończyć do wczoraj. W zimie oczywiście nie mogli wylewać betonu, ale wylewają go teraz całą dobę bez przerwy. Za trzy miesiące w dolinie będzie jezioro o powierzchni siedemnastu kilometrów. Zaczęli już wycinać drzewa, choć drzewa Clare

stoją jak stały. Mówi, że prędzej pozwoli je zatopić niż gdyby miały iść do tartaku Mattersona.

– Mam ci coś do powiedzenia – zmieniłem temat. – Ale to zbyt długie i skomplikowane jak na kawiarnię. Przyjdę dziś wieczór do ciebie do domu.

Twarz wyciągnęła mu się w uśmiechu.

– Wyjeżdżając Clare zostawiła mi trochę Islay Mist. Wiesz, że wyjechała, prawda?

– Howard nie omieszkał mnie o tym zawiadomić – powiedziałem sucho.

– Uhm – mruknął Mac i nagle wypił resztę kawy. – Właśnie sobie przypomniałem, że mam coś do załatwienia. Czekam na ciebie koło siódmej. – Wstał sztywno. – Moje kości zaczynają się starzeć – powiedział kwaśno i ruszył do wyjścia.

Wypiłem kawę nieco wolniej i wróciłem do hotelu. Ponieważ szedłem szybciej niż McDougall, prawie go dogoniłem na High Street, gdy skręcił w bok znikając w urzędzie telegraficznym. Poszedłem dalej. Nie miałem mu teraz do powiedzenia nic, co nie mogło poczekać do wieczora i, jak powiedziałem, im mniej widziano nas razem, tym lepiej. Za kilka dni będę bardzo dobrze znany w Fort Farrell i każdy pracownik Mattersonów, który pozostawałby ze mną w zbyt przyjaznych stosunkach ryzykował utratę posady. Nie chciałem, żeby z mojego powodu wylano McDougalla.

Nie wyrzucono mnie jeszcze z pokoju, ale tę sprawę będę musiał także omówić z Macem. Prawdopodobnie Howard nie sądził, że będę aż tak bezczelny, żeby zatrzymać się w „Matterson House” i nie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić. Jednak, gdy tylko zacznę robić mu kłopoty, dowie się i wyląduję na ulicy. Muszę zapytać Maca o jakieś mieszkanie.

Leżałem prawie do samej siódmej, a gdy przyszedłem do Maca, czekał przy rozpalonym kominku. Pokazał bez słowa butelkę na stole, nalałem, więc sobie drinka i usiadłem obok.

Przyglądałem się najpierw płonącym polanom.

– Nie jestem pewien, czy zechcesz uwierzyć w to, co ci opowiem - zacząłem.

– Trudno zaskoczyć dziennikarza w moim wieku – powiedział. - Dziennikarz jest jak lekarz lub ksiądz, bo ludzie opowiadają mu najróżniejsze historie, których nikomu nie powtarza. Byłbyś zaskoczony, jak wiele spraw z różnych powodów nie nadaje się do druku.

– Niech tak będzie, ale i tak to, co usłyszysz cię zaskoczy. Nigdy nikomu tego nie mówiłem. Tę historię zna tylko kilku lekarzy.

Zebrałem się w sobie i wszystko mu opowiedziałem: przebudzenie w szpitalu, leczenie Susskinda, operacje plastyczne, wszystko, razem z tajemniczymi trzydziestoma sześcioma tysiącami dolarów i dochodzeniem prywatnego detektywa.

– Dlatego powiedziałem ci, że nie wiem nic, co mogłoby się do czegoś przydać i nie kłamałem, Mac – zakończyłem.

– Boże, strasznie mi przykro z powodu tego wszystkiego – wymamrotał. – Powiedziałem ci wtedy coś takiego, czego nie powinno się nikomu mówić.

– Nic nie wiedziałeś – przerwałem – nie masz, za co przepraszać.

Wstał i odnalazł teczkę, którą pokazywał mi wcześniej. Wyjął zdjęcie Roberta Granta. Zaczął mi się dokładnie przyglądać, później spojrzął na fotografię i znów na mnie.

– Niewiarygodne – westchnął. – Nieprawdopodobne, do cholery. Nie ma nawet śladu podobieństwa.

– Zrobiłem tak, jak radził Susskind – powiedziałem. – Roberts, ten chirurg, miał odbitkę tego zdjęcia i używał jej, żeby wiedzieć, czego nie robić.

– Robert Grant, Robert B. Grant – wyszeptał. – Dlaczego do cholery nie starczyło mi rozumu, żeby wyjaśnić, co oznacza to B? Co ze mnie za reporter! – Schował zdjęcie do teczki. – Nie wiem, Bob. Mam teraz pełno wątpliwości. Nie wiem, czy powinniśmy się do tego teraz zabierać.

– Dlaczego nie? Nic się nie zmieniło. Trinavantowie nadal są martwi, a Matterson nadal przyciska pokrywkę. Dlaczego nie wziąć się do tego?

– Z tego, co mówiłeś wynika, że grozi ci spore niebezpieczeństwo - powiedział powoli. – Zaczynasz eksperymentować z własnym umysłem i nie wiadomo, co się stanie. Możesz zwariować. – Potrząsnął głową. – Nie podoba mi się to.

Wstałem i zacząłem chodzić po pokoju.

– Ja muszę odnaleźć prawdę, Mac, niezależnie od tego, co mówił Susskind. Póki żył, wszystko było w porządku, bo mogłem się na nim oprzeć. Ale teraz muszę się dowiedzieć, kim jestem. Nie potrafię żyć nie wiedząc tego. – Zatrzymałem się przed nim. – Nie robię tego dla ciebie, Mac, ale dla siebie. W czasie katastrofy byłem w tym samochodzie i mam wrażenie, że cała tajemnica wiąże się z katastrofą.

– Ale co możesz zrobić? – zapytał bezradnie Mac. – Nic przecież nie pamiętasz?

Usiadłem z powrotem.

– Mam zamiar wywołać trochę zamieszania. Matterson nie chce, żeby mówiono o Trinavantach. No to w ciągu najbliższych dni spowoduję, żeby mówiono tylko o nich. Wcześniej lub później coś się wyłoni. Ale przede wszystkim potrzebuję amunicji, a ty możesz mi jej dostarczyć.

– Naprawdę zamierzasz przebijać się przez to wszystko?

– Naprawdę.

Westchnął.

– Niech tak będzie, Bob. Co chcesz wiedzieć?

– Przede wszystkim dałbym wiele, żeby się dowiedzieć, gdzie był stary Matterson w czasie wypadku.

Mac skrzywił się kwaśno.

– Sam o tym myślałem wcześniej. Miałem takie nieprzyjemne podejrzenia, ale nic z tego. Zgadnij, kto jest jego alibi?

– Nie mam pojęcia.

– Ja, do cholery! – powiedział z obrzydzeniem Mac. – Prawie cały dzień siedział w redakcji „Recordera”. Chciałbym nie mieć takiej pewności, ale cóż począć.

– O jakiej porze dnia wydarzył się wypadek?

– Nic z tego – powiedział Mac. – Też o tym myślałem. Przeliczyłem czas bardzo dokładnie i nie ma absolutnie żadnej możliwości, żeby Bull Matterson był na miejscu wypadku.

– Bardzo wiele zyskał na śmierci Trinavanta – stwierdziłem. – Nikt inny nic nie zyskał, każdy inny stracił. Jestem przekonany, że ma to jakieś znaczenie.

– A kiedy to niby słyszałeś o milionerach, którzy zabijają innych milionerów? – Mac zamilkł nagle. – To znaczy, osobiście – dodał.

– Chcesz powiedzieć, że mógł kogoś wynająć do takiej roboty?

Mac wydawał się stary i zmęczony.

– Mógł, ale jeśli tak zrobił, to nie ma najmniejszej nadziei na udowodnienie tego. Morderca prawdopodobnie żyje gdzieś sobie w Australii i ma tłuste konto w banku. Minęło już prawie dwanaście lat, Bob, więc jak do cholery można w ogóle cokolwiek teraz udowodnić?

– Jakoś sobie poradzimy – powiedziałem z uporem. – To porozumienie między współnikami, czy rzeczywiście miało moc wiążącą?

– Na to wygląda – skinął głową. – John Trinavant był cholernym głupcem, że nie zerwał go, gdy się ożenił i założył rodzinę.

– A możliwość fałszerstwa?

– To jest myśl – zgodził się Mac, ale pokręcił głową. – Nic z tego. Stary Bull wygrzebał nawet żyjącego świadka jej podpisania. – Mac wstał, żeby dołożyć świeże polano do ognia, odwrócił się i powiedział bezradnie: – Nie wiem, co można zrobić.

– Matterson ma słaby punkt – powiedziałem. – Próbował wymazać nazwisko Trinavanta i musi mieć ku temu swoje powody. A ja spowoduję, że o Trinavantach będzie w Fort Farrell głośno. Musi na to jakoś zareagować.

– I co wtedy?

– I wtedy zagramy tak, jak będzie się narzucało. – Pomyślałem chwilę – Jeśli będzie trzeba, sam wyjdę na scenę. Rozpowiem, że jestem Robertem Grantem, facetem, który

był w samochodzie Trinavanta. Powinno to spowodować trzęsienie ziemi.

– Jeśli rzeczywiście coś nie jest w porządku z wypadkiem i jeśli Matterson ma z tym coś wspólnego, to ktoś ci się dobierze do tyłka – ostrzegł Mac. – Jeśli Matterson zabił Trinavantów, będziesz w niebezpieczeństwie. Kto popełnił trzy morderstwa, nie zawaha się przed czwartym.

– Potrafię się o siebie troszczyć – powiedziałem mając nadzieję, że to prawda. – Jest jeszcze jedna sprawa. Gdy zacznę robić zamieszanie, nie będę mógł dłużej mieszkać w hotelu Mattersona. Czy możesz mi polecić jakieś inne miejsce?

– Zbudowałem sobie letni domek na kawałku ziemi tuż za miastem - powiedział Mac. – Możesz się tam wprowadzić.

– Cholera, nie mogę tego zrobić. Matterson powiąże nas ze sobą i wtedy twoja głowa wyląduje na pieńku.

– Już mniej więcej nadeszła pora, żebym przeszedł na emeryturę - powiedział spokojnie Mac. – I tak miałem zamiar wycofać się jesienią, więc mogę to również zrobić trochę wcześniej. Jestem już starym człowiekiem, Bob, mam prawie siedemdziesiąt dwa lata i stare kości potrzebują odpoczynku. Będę mógł wreszcie zająć się łapaniem ryb, co sobie obiecuję od dawna.

– Niech tak będzie – zgodziłem się. – Ale pamiętaj, żeby zamknąć luki, zanim nadejdzie huragan. Matterson wywoła burzę.

– Nie boję się Mattersona – powiedział. – Nigdy się go nie bałem i on o tym wie. Po prostu wywali mnie i tyle. Cholera, w kolejce na moje miejsce może czekać przyszły zwycięzca nagrody Pulitzera. Pora się zbierać. Jest tylko jedna historia, którą chcę opisać tak, żeby znalazła się na pierwszych stronach w całej Kanadzie. Twoja głowa w tym, żebym ją dostał.

– Zrobię, co potrafię – powiedziałem.

Leżąc wieczorem w łóżku przyszła mi do głowy pewna myśl, od której poczułem, jak zamarza mi krew. McDougall zasugerował, że Matterson mógł wynająć kogoś do brudnej roboty, a istniała przerażająca możliwość, że tym kimś był pozbawiony skrupułów drań Robert Grant.

Przypuścimy, że Grant spartolił robotę i miał pecha, został ranny w czasie katastrofy? Jeśli Robert Grant jest potrójnym mordercą, to kim jestem ja, Bob Boyd?

Oblałem się zimnym potem. Może Susskind miał rację? Może odkryję w swej przeszłości takie rzeczy, że oszaleję?

Przez resztę nocy wierciłem się niespokojnie, próbując zapanować nad emocjami. Poszukiwałem okoliczności mogących świadczyć o niewinności franta. Z tego, co mówił Susskind, w chwili, gdy wydarzył się wypadek, Grant uciekał przed policją, poszukującą

go za napad na studenta. Czy Jest prawdopodobne, żeby w takiej sytuacji z premedytacją dokonał morderstwa tylko, dlatego, że ktoś go o to prosił?

Nie da się tego wykluczyć, jeśli postanowił w ten sposób zdobyć pieniądze na dalszą ucieczkę.

Ale skąd Bull Matterson wiedziałby, że Grant jest człowiekiem, o jakiego mu chodzi? Normalnie przecież nie pytasz pierwszego napotkanego studenta: „mam tu trzyosobową rodzinę, której chciałbym się pozbyć, co pan na to?” Bez sensu.

Doszedłem do wniosku, że całe nasze rozumowanie z McDougalem było pozbawione sensu, nawet, jeśli na pierwszy rzut oka wydawało się prawdopodobne. Jak można oskarżać o morderstwo szanowanego, choć bezwzględne miliona? Śmieszne.

Wtedy przypomniałem sobie o moim tajemniczym dobroczyńcy i trzydziestu sześciu tysiącach dolarów. Czyżby to była opłata za usługi Granta? I co z tym cholernym prywatnym detektywem? Jaka pełni rolę w całej historii?

Zapałem w niespokojny sen i znów zdawało mi się, że tonę w gorącym śniegu, patrząc jak moje ciało pokrywa się bąblami i czernieje. Tym razem pojawiło się coś nowego. Słyszałem dźwięki, dobiegający skądś suchy łoskot płomieni i tańczący czerwony odblask na śniegu, który skwierczał i zmieniał się w strumienie krwi.

2

Wychodząc następnego dnia rano na ulicę czułem się fatalnie. Byłem zmęczony, przygnębiony i całe ciało bolało mnie jak po pobiciu. Jasny blask słońca niewiele pomógł, ponieważ piekły mnie oczy i czułem się tak, jakbym miał pod powiekami piasek. W sumie byłem w kiepskim stanie.

Przy filiżance mocnej czarnej kawy poczułem się lepiej. Wiedziałaś, że nie będzie łatwo – myślałem. – I co, już masz dosyć? Przecież jeszcze, cholera jasna, nawet nie zaczęłaś, a później może być jeszcze gorzej.

Tego właśnie się boję, odpowiedziałem sobie.

Wyobraź sobie, jak zadasz bobu temu draniowi Mattersonowi - zareplikowałem. – Zapomnij o własnym strachu i myśl o nim.

Zanim skończyłem kawę, zdołałem jakoś wmówić w siebie trochę lepsze samopoczucie i poczułem się głodny. Zamówiłem, więc śniadanie i ono dopiero postawiło mnie na nogi. Zdziwiająca, jak wiele problemów psychicznych bierze się z pustego żołądka. Wyszedłem na King Street i rozejrzałem się dookoła. Sklep z nowymi samochodami był niedaleko w dole ulicy, a warsztat handlujący używanymi wozami

dostrzegłem daleko w górze. Sklep należał do Mattersona, więc nie chcąc napychać mu kieszeni pieniędzmi, powędrowałem do warsztatu.

Gdy rozglądałem się wśród leżącego wszędzie złomu, z baraku przy wejściu na plac wychylił się niski mężczyzna.

– Czym mogę służyć? Mam trochę dobrego i taniego sprzętu. Najlepsze samochody w całym mieście.

– Szukam małego wozu terenowego z napędem na cztery koła.

– Jak Jeep?

– Może być Jeep.

Potrząsnął przecząco głową.

– Ale mam Land-Rovera. Co pan na to? Moim zdaniem Land-Rover jest lepszy niż Jeep.

– Gdzie on jest?

Wskazał stos zużytego złomu na czterech kołach.

– Tu. Nie znajdzie pan nic lepszego. Angielska robota, proszę pana. Nie to, co byle jakie blachy z Detroit.

– Niech mnie pan tak bardzo nie namawia – powiedziałem i poszedłem rzucić okiem na Land-Rovera. Ktoś go zdrowo zajeździł: farba się łuszczyła i na karoserii pełno było wgnieceń w każdym miejscu możliwym, oraz w niektórych wcale nie tak możliwych. Wnętrze kabiny również nosiło ślady zużycia i było całe poobijane, ale Land-Rover to bądź, co bądź nie luksusowa limuzyna. Opony miał w porządku.

Cofnąłem się.

– Czy można zajrzeć pod maskę?

– Jasne – zwolnił zatrask i podniósł pokrywę silnika. – To dobry wóz, miał tylko jednego właściciela – powiedział.

– Jasne – rzuciłem. – Starszą panią, która jeździła nim tylko w niedzielę do kościoła.

– Niech pan nie myśli, że zalewam – odparł. – Kupiłem go od Jima Coopera, który ma warsztat naprawy ciężarówek zaraz za miastem. Sprzedał mi tego Land-Rovera i kupił sobie nowego. Ale ten może jeszcze całkiem sporo pojeździć.

Przyjrzałem się silnikowi i na wpół gotów byłem uwierzyć. Silnik wydawał się w doskonałym stanie i na obudowie nie było zacieków oleju. Ale stan wału korbowego to sprawa odrębna.

– Czy mogę wziąć go na próbę na pół godziny? – Zapytałem.

– Proszę bardzo – powiedział. – Kluczyk jest w stacyjce.

Wyjechałem na ulicę i skierowałem się na północ, gdzie wydawało mi się, że najłatwiej znajdę wyboistą drogę. Letni domek McDougalla też znajdował się na północ



od miasta, uznałem więc, że nie zaszkodzi sprawdzić dojazd na wypadek, gdybym musiał szukać go w pośpiechu. Trafiłem na odpowiednio wyboisty kawałek drogi i przyśpieszyłem, żeby wypróbować zawieszenie. Wydawało się w porządku, choć szkielec zgrzytał niezbyt przyjemnie, czym się jednak nie przejmowałem.

Zjazd na boczną drogę do domku Maca odnalazłem bez trudu. Droga, która okazała się naprawdę ciężka, pełna gór i dołów, pięła się w górę i w dół po zboczach wzgórz. W kilku miejscach stało trudno przejezdne błoto. Mogłem tu poeksperymentować z wielobiegową przekładnią, która stanowi o specyficznym uroku Land-Rowera. Wypróbowałem także napęd na przednie koła i stwierdziłem, że wszystko jest we względnym porządku.

Domek Maca był niewielki, ale pięknie położony na zboczu, ponad ciągnącym się daleko pasmem lasu. Tuż za domem płynął strumień, w którym powinno być trochę ryb. Spędziłem pięć minut oglądając posiadłość i ruszyłem z powrotem do miasta, żeby dobić targu z sympatycznym sprzedawcą.

Trochę się potargowaliśmy i w końcu uzgodniliśmy cenę ciut wyższą niż byłem przygotowany zapłacić i ciut niższą, niż on spodziewał się dostać, co sprawiło, że obaj byliśmy umiarkowanie niezadowoleni. Zapłaciłem i uznałem, że równie dobrze mogę rozpocząć swoją działalność tu, jak gdzie indziej.

– Czy pamięta pan człowieka o nazwisku Trinavant, John Trinavant?

Podrapał się po głowie.

– No tak, pamiętam, jasne, że pamiętam starego Johna. Śmieszne, nie myślałem o nim od lat. Był pana przyjacielem?

– Nie mogę powiedzieć, że go pamiętam – kontynuowałem. – Czy mieszkał tu w okolicy?

– Mieszkał tu? Panie, Fort Farrell to był on!

– A myślałem, że Matterson.

Splunął mi prawie na buty.

– Matterson! – Ton jego głosu dobitnie dał do zrozumienia, co myśli o Mattersonie.

– Słyszałem, że Trinavant zginął w wypadku samochodowym. Czy to prawda?

– Tak. Razem z żoną i synem. Na drodze do Edmonton. Dobre dziesięć lat temu. To była wyjątkowo paskudna sprawa.

– Jakim jechał samochodem?

– Czy to jakoś szczególnie pana interesuje, panie...? – spojrzał na mnie z namysłem.

– Nazywam się Boyd – powiedziałem. – Bob Boyd. Ktoś mnie prosił żebym się dowiedział, jeśli będę w tych stronach. Zdaje mi się, że swojego czasu Trinavant bardzo pomógł mojemu znajomemu, chodziło tam o jakieś pieniądze, o ile się nie mylę.

– Bardzo możliwe, z Johna Trinavanta był porządny gość. Nazywam się Sumerskill.

– Bardzo mi miło, panie Sumerskill – uśmiechnąłem się do niego. – Czy to u pana Trinavant kupił swój samochód?

Sumerskill roześmiał się głośno.

– Do licha, nie! Nie mieszkam wozów tej klasy. Stary John jeździł Cadillakiem, a w każdym razie miał własny sklep dalej przy ulicy, Fort Farrell Motors. Należy teraz do Mattersona.

Rozejrzałem się po ulicy.

– To dla pana silna konkurencja – stwierdziłem.

– Trochę tak – zgodził się – ale radzę sobie nieźle, panie Boyd.

– Gdy tak o tym pomyślę – mówiłem dalej – to odkąd przyjechałem, wszędzie widzę nazwisko Mattersona. Bank Mattersona, hotel Mattersona i chyba jest też korporacja Mattersona. Jak on to zrobił? Wykupił Trinavanta?

Sumerskill wykrzywił się.

– To co pan widział, to tylko szczyt góry lodowej. Matterson ma prawie na własność cały ten rejon: wyrąb lasu, tartaki, przetwórnictwo drewna. Jest o wiele większy niż stary John, to znaczy pod względem władzy. Ale nie jako człowiek, o nie. John Trinavant był najlepszym człowiekiem, jakiego znałem. A jeśli chodzi o to, że Matterson wykupił Trinavanta, no cóż, mógłbym to i owo panu opowiedzieć. Ale to stare sprawy i lepiej o nich zapomnieć.

– Wygląda na to, że się spóźniłem.

– Ano tak, niech pan powie swojemu przyjacielowi, że się spóźnił o dziesięć lat. Jeśli był winien staremu Johnowi forszę, to teraz już jej nie zwróci.

– Tam chyba nie chodziło o zwrot pieniędzy – powiedziałem. – Mój przyjaciel po prostu chciał odnowić znajomość.

Sumerskill skinął głową.

– Tak to bywa. Ja na przykład urodziłem się w Hazelton i wyjechałem stamtąd gdy tylko mogłem, ale oczywiście ciągnęło mnie z powrotem, więc po pięciu latach wróciłem. I wie pan co się okazało? Dwaj faceci, których przede wszystkim chciałem odwiedzić zmarli, dwaj pierwsi na mojej liście. Wszystko się zmienia, nie ma rady.

Wyciągnąłem rękę.

– No cóż, miło było zrobić z panem interes, panie Sumerskill.

– Do usług, panie Boyd. – Podaliśmy sobie ręce. – Jeśli będzie pan potrzebował części, proszę wpadać.

Wspiąłem się do kabiny i wychyliłem przez okno.

– Gdyby ten grat w ciągu najbliższych kilku dni zgubił silnik, to zaraz się u pana

zjawię – obiecałem, osładzając słowa uśmiechem.

Roześmiał się i pomachał mi ręką. Jadąc King Street uznałem, że pamięć o starym Johnie Trinavancie została odnowiona przynajmniej w jednym umyśle. Przy odrobinie szczęścia Sumerskill porozmawia o tym z żoną i kilkoma kumplami. Wiesz co? Rozmawiałem z jakimś obcym facetem o kimś, o kim przez całe lata zapomniałem. Pamiętasz pewnie starego Johna Trinavanta? Pamiętasz, jak otworzył „Recordera” i każdy myślał, że splajtuje?

I tak to pójdzie, a fale rozejdą się coraz szerzej i szerzej, szczególnie jeśli wrzucę jeszcze kilka kamieni do tego martwego stawu. Wcześniej czy później fale dojdą do starego okrutnego szczupaka, który rządzi stawem i miałem nadzieję, że szczupak zacznie działać.

Zatrzymałem się przed biurem służby leśnej i wszedłem do środka. Strażnik nazywał się Tanner i mimo wylewnej uprzejmości nie mógł nic mi pomóc. Powiedziałem mu, że przejeżdżam tędy i jestem zainteresowany zezwoleniem na wyrąb.

– Nic się nie da zrobić, panie Boyd – stwierdził. – Matterson Corporation ma stałe zezwolenia na większości państwowych lasów w tej okolicy. Tu i ówdzie są nie zajęte pojedyncze kieszenie, ale tak niewielkie, że można splunąć z jednego końca na drugi.

Potarłem szczękę.

– Czy można rzucić okiem na mapę? – zasugerowałem.

– Jasne – odparł szybko i wydobywszy dokładną mapę terenu rozłożył ją na biurku. – Tu ma pan to wszystko w zarysie – zakreślił palcem spory kawał terenu. – To jest własnością Matterson Corporation. A ten obszar – zakreślił o wiele większe koło – to tereny państwowe, na których korporacja Mattersona ma stałe zezwolenie na wyrąb.

Z zainteresowaniem przyjrzałem się mapie. Żeby odwrócić uwagę Tannera od tego, co naprawdę przyciągnęło moją uwagę, zapytałem:

– A co z działkami publicznymi? – Chodziło mi o tereny, na których wszystkie prace wykonuje służba leśna, udostępniając krótkoterminowe zezwolenia na wyrąb.

– W tej części kraju nie wydziela się działek publicznych, panie Boyd. Jesteśmy zbyt daleko od głównych szlaków, żeby służba leśna była w stanie je prowadzić. Większość terenów o stałych współczynnikach wyrębu leży dalej na południe.

– Wygląda to rzeczywiście na obszar zamknięty – przyznałem. – Czy jest, choć trochę prawdy w tym co się mówi, że Matterson Corporation popadła w kłopoty za nadmierny wyrąb?

Tanner spojrzał na mnie ostrożnie. W kodeksie służby leśnej nadmierny wyrąb uchodzi za najgorsze przestępstwo.

– Nie mogę nic na ten temat powiedzieć – stwierdził sztywno.

Pomyślałem, że może został przekupiony przez Mattersonów, ale w gruncie rzeczy to mało prawdopodobne. Przekupienie strażnika leśnego w Kolumbii Brytyjskiej to jak przekupienie kardynała kościoła rzymskiego: rzecz prawie niewykonalna. Pięćdziesiąt procent dochodów prowincji pochodzi z wyrębu i zalesianie jest obiektem kultu. Wykroczenia przeciw zasadzie zachowania drzewostanu są jak wykroczenia przeciw własnej matce.

Ponownie rzuciłem okiem na mapę.

– Dziękuję bardzo, że poświęcił mi pan tyle uwagi, panie Tanner - powiedziałem. – Był pan bardzo pomocny, ale wygląda na to, że nie mam tu, czego szukać. A czy istnieje jakaś szansa, że gdzieś tu się może zwolnić stała licencja?

– Jeszcze przez długi czas nie ma, co na to liczyć, panie Boyd. Matterson Corporation zainwestowała ostatnio dużo w tartaki i wytwórnie miazgi. Zależało im na długoterminowych licencjach.

– Bardzo rozsądnie – skinąłem głową – też bym tak zrobił. W każdym razie, jeszcze raz dziękuję, panie Tanner.

Wyszedłem nie zaspokajając jego pełnego ciekawości spojrzenia i pojechałem na przystanek autobusowy, gdzie odebrałem sporą ilość sprzętu geologicznego, który przysłałem tu przed przyjazdem. Gruby rewident pomógł mi załadować wszystko do Land-Rovera.

– Zamierza pan tu zostać? – zapytał.

– Przez pewien czas – odparłem. – Tylko przez pewien czas. Można powiedzieć, że jestem ostatnią nadzieją Trinavantów.

– Clare Trinavant? Chce pan bronić jej przed Howardem Mattersonem? – Lubieżny uśmiech rozlał mu się na twarzy.

– Nie Clare Trinavant – powiedziałem łagodnie, powstrzymując chęć dania mu po pysku. – Johna Trinavanta. A Howardem Mattersonem też potrafię się zająć, jeśli będzie się wtrącać. Ma pan tu gdzieś telefon?

Nie otrząsnął się jeszcze ze zdumienia.

– W holu – powiedział odruchowo.

Wyminąłem go, ale ruszył za mną.

– Hej, proszę pana, John Trinavant nie żyje, zginął ponad dziesięć lat temu.

Zatrzymałem się.

– Wiem, że nie żyje. W tym cała sprawa. Nie rozumiesz pan? A teraz proszę się zmywać, mam do załatwienia prywatną rozmowę telefoniczną.

Odwrócił się wzruszając z zakłopotaniem ramionami.

– Jakieś głupoty!

Uśmiechnąłem się, ponieważ następny kamień znalazł się w stawie i kolejne fale zaczęły irytować żarłocznego szczupaka.

Słyszałeś o tym stukniętym facecie, który właśnie zjawił się w mieście? Mówi, że jest ostatnią nadzieją Trinavantów. Myślałem, że chodzi mu o Clare, wiesz, Clare Trinavant, ale on mówi, że ma na myśli Johna. Kapujesz? Stary John przecież nie żyje od dziesięciu, nie, od dwunastu lat! Ten facet był tu dwa lata temu i pokłócił się z Howardem Mattersonem o Clare Trinavant. Skąd wiem? Powiedziała mi o tym Maggie Hope, była wtedy sekretarką Howarda. Ostrzegąłem ją, żeby nie trąbiła o tym na prawo i lewo, ale nic z tego. Howard ją wywalił. A ten facet musi być stuknięty. No bo przecież John Trinavant nie żyje.

Zadzwoń do redakcji „Recordera” i poproszę Maca.

– Znasz dobrego adwokata? – zapytałem.

– Mógłbym znaleźć – powiedział ostrożnie. – A do czego potrzebny ci adwokat?

– Potrzebuję adwokata, który nie będzie się bał narazić Mattersonowi. Znam prawo o eksploatacji zasobów naturalnych, ale potrzebuję kogoś, kto ubierze to co wiem w terminy prawnicze, wiesz, nada temu porządną prawniczą formę.

– Jest stary Fraser. Przeszedł już na emeryturę, ale jest moim przyjacielem i nie cierpi Mattersona. Wystarczy?

– Wystarczy – odpowiedziałem. – Jeśli nie jest zbyt stary, żeby występować w sądzie, gdyby zaszła taka potrzeba.

– O, Fraser może z pewnością iść do sądu. Co zamierzasz, Bob?

Uśmiechnąłem się.

– Zamierzam przeprowadzić badania na ziemi Mattersona. Spodziewam się, że Mattersonowi może się to nie spodobać.

W słuchawce rozległ się stłumiony dźwięk, więc ją łagodnie odłożyłem.

## V

W celu zapewnienia dojazdu ciężarówek, dostarczających materiały na budowę zapory i ciągników, wywożących drzewo z wyrębów, w dolinie Kinoxi wytyczono nową drogę. Była pełna dołów, słabo wyrównana i rozjeżdżona przez ciężki sprzęt. Na trudniejszych odcinkach w błocie ułożono trzydziestocentymetrowe pnie, od których dzwoniły zęby, a miejscami dla zapewnienia solidniejszego oparcia, zdjęto warstwę ziemi do skalnego podłoża.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Byłem jeszcze jednym mężczyzną, prowadzącym poobijany samochód, który wyglądał tak, jakby miał pełne prawo tu być. Droga prowadziła w dół niewielkiego zbocza, gdzie ulokowała się elektrownia: przysadzista, tonącą w morzu rozjeżdżonej gliny budowla. Brygada robotników budowlanych pościła się tam i klęła na czym świat stoi. W górę zbocza, wzdłuż spadającego kaskadami brunatnego wodospadu, biegł kanał wodny w postaci dziewięćdziesięciocentymetrowej rury mającej doprowadzać wodę do turbin. Po drugiej stronie strumienia droga pięła się zygzakami po zboczu na szczyt w kierunku tamy.

Byłem zdziwiony widząc ile zdołano dotychczas zrobić. McDougall miał rację: za trzy miesiące dolina Kinoxi znajdzie się pod wodą. Zjechałem z drogi i przez kilka minut obserwowałem wylewanie cementu, zwracając uwagę na to, jak gładko kierowano ruchem wielkich ciężarówek z piaskiem i żwirem. Organizacja bez zarzutu.

Wielka ciężarówka wioząca pnie przejechała w dół jak rydwan Kriszny i od podmuchu powietrza Land-Rover podskoczył na resorach. Mało prawdopodobne, żeby tuż za nią pojawiła się druga podobna, więc ruszyłem ostro pod górę, minąłem zaporeę i wjechałem w dolinę, ponownie zjechałem z drogi i zaparkowałem między drzewami, gdzie samochód nie powinien rzucać się w oczy. Wysiadłem i ruszyłem dalej piechotą, wspinając się zakosami pod górę i oddalając od drogi, aż znalazłem się na tyle wysoko, że miałem przed sobą całą dolinę jak na dłoni.

Wyglądała posępnie. Cicha dolina, którą pamiętałem, gdzie ryby skakały w strumieniu i sarny skubały młode pędy w lesie, znikła z powierzchni ziemi. Zostało po niej najeżone pniami karczowisko i stosy powycinanych zarośli wśród kolein wyjeżdżonych w błocie przez ciężarówki. Dalej, w pobliżu niewielkiego jeziora nadal dostrzec można było zielen drzew, ale nawet ze swojego miejsca słyszałem przenikliwy jazgot spalinowych pił, wgryzających się w drzewo.

Kolumbia Brytyjska jest nastawiona na ochronę swoich zasobów drewna. Na każdy dolar zarobiony w tej prowincji, pięćdziesiąt centów pochodzi w ostatecznym rachunku

z przemysłu drzewnego i rząd chce, aby ten szczęśliwy stan rzeczy nadal się utrzymywał. Z tego względu straż leśna pilnuje lasów i kontroluje wielkość wyrębów. Jest całe mnóstwo mężczyzn, którzy potrafią upajać się zrąbaniem wielkiego drzewa, a nie brakuje też chciwych skurwysynów, którzy chętnie im dostarczają tej rozrywki, gdyż każde takie drzewo daje tyle to a tyle metrów kwadratowych tarcicy w tartaku. Służba leśna ma więc co robić.

Zasada polega na tym, żeby ilość ściętego drewna, wyrażona w metrach kwadratowych, nie była większa niż roczny naturalny przyrost. Jeśli w Kolumbii Brytyjskiej zaczyna się mówić o drewnie w metrach kwadratowych, to przypomina to trochę astronoma liczącego odległości między odległymi gwiazdami w kilometrach. Lasy pokrywają tu 570.000 kilometrów kwadratowych, czyli mniej więcej cztery razy tyle, co powierzchnia Wielkiej Brytanii, a roczny przyrost lasu jest szacowany na dziewięćdziesiąt milionów metrów kubicznych. Z tego powodu roczny wyrąb jest ograniczony do osiemdziesięciu milionów, co powoduje, że zasoby nie tylko nie maleją, ale rosną.

Dlatego widok doliny Kinoxi tak mnie zaszokował. Zazwyczaj wyrąb polega na wycinaniu tylko dojrzałych drzew, tu jednak cięto wszystko. Prawdopodobnie jest to logiczne. Jeśli dolina ma zostać zalana, to zostawianie drzew nie ma sensu, ale widok był odrażający. Był to gwałt dokonywany na bezbronnej ziemi, coś, co nie zdarzyło się od czasów sprzed pierwszej wojny światowej, gdy wprowadzono prawodawstwo ochronne.

Spojrzałem w głąb doliny i szybko policzyłem. Nowe jezioro Mattersona pokryje obszar trzydziestu czterech kilometrów kwadratowych, z czego osiem i pół na północy należy do Clare Trinavant. Matterson wycina, więc dwadzieścia pięć i pół kilometra kwadratowego lasu, a służba leśna pozwala mu na to z powodu zapory. Ta ilość tarcicy wystarczy na sfinansowanie zapory i powinna zostać jeszcze spora nadwyżka. Wygląda na to, że Matterson jest wyjątkowo sprytnym facetem, ale jak na mój gust zbyt bezwzględny.

Wróciłem do Land-Rovera i pojechałem z powrotem w dół, mijając zaporę. W połowie zbocza znów się zatrzymałem i zjechałem na bok, tym razem nie zawracając sobie głowy ukrywaniem samochodu. Chciałem, żeby mnie zobaczono. Pogrzebałem w sprzęcie i znalazłem, co chciałem, coś, co może zrobić wrażenie na ignorancie. Po czym, dobrze widoczny z drogi, zacząłem się zachowywać podejrzanie. Wziąłem młotek i zacząłem stukać w skały, ryć w ziemi jak kopiący dziurę suseł, przyglądać się otoczkom przez szkło powiększające i chodzić po zboczu, wpatrując się intensywnie w tarczę trzymanego w ręku przyrządu. Prawie godzinę trwało, aż mnie zauważono. Pod górę ruszył łazik. Zatrzymał się i wysiedli dwaj mężczyźni. Gdy ruszyli w moją stronę, zdjąłem z nadgarstka zegarek, ukryłem go w dłoni i podniosłem z ziemi spory kawałek skały.

Bucioro zazgrzytały po kamieniach i odwróciłem się.

– Co pan tu robi? – odezwał się wyższy z nich.

– Prowadzę poszukiwania – odparłem nonszalancko.

– Jak tam poszukiwania, to teren prywatny!

– Nie wydaje mi się – powiedziałem.

– Co pan tu ma? – pokazał ręką drugi z nich.

– To? To jest licznik Geigera. – Zbliżyłem go do kawałka skały w ręku, oraz do fosforyzowanej tarczy zegarka i licznik zabzyczał jak oszalały komar. – Interesujące – orzekłem.

– Co to takiego? – nachylił się pierwszy.

– Może uran – powiedziałem. – Ale wątpię. Może być też tor. – Przyjrzałem się dokładniej kamieniowi i odrzuciłem go na bok. – Ten towar nie jest wiele wart, ale zawsze to wskazówka. Mamy tu interesującą strukturę geologiczną.

Spojrzeni po sobie trochę zbici z tropu. Większy z nich odezwał się pierwszy.

– Może i tak, ale nadal jest pan na terenie prywatnym.

– Nie może mi pan zabronić prowadzenia tu poszukiwań – odpowiedziałem uprzejmie.

– Czyżby? – zapytał groźnie.

– Dlaczego nie zapyta pan przełożonych? Tak chyba będzie lepiej.

– Tak jest, Novak – powiedział drugi – lepiej porozumieć się z Waystandem. To znaczy uran, albo to drugie świństwo, to może być istotne.

Wyższy zastanawiał się chwilę.

– Ma pan jakieś nazwisko? – zapytał.

– Nazywam się Boyd – powiedziałem. – Bob Boyd.

– W porządku, panie Boyd. Pojadę do szefa. Ale nadal sędzę, że będzie pan się musiał stąd szybko wynosić.

Patrzyłem z uśmiechem jak odchodzą i założyłem zegarek na rękę. A więc Waystand został tu jakimś szefem. McDougall powiedział, że Jimmy dostał dobrą pracę przy budowie zapory. Miałem z nim nieuregulowany rachunek. Spojrzałem do góry na biegnącą wzdłuż drogi linię telefoniczną. Wysoki facet, który ze mną rozmawiał powie Waystandowi, a Waystand zadzwoni do Fort Farrell. Nietrudno przewidzieć, że Howard Matterson wybuchnie.

Po niecałych dziesięciu minutach Jeep wrócił w towarzystwie drugiego samochodu. Rozpoznałem Waystanda, który w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy zmienił się znacznie, rozrosła mu się klatka piersiowa, wyglądał mężniej i nie sprawiał już wrażenia dzieciaka, jak poprzednio. Ale nadal nie dorównywał mi wagą i miałem wrażenie, że jeśli



będzie trzeba nadal dam sobie z nim radę, choć musiałbym działać szybko, zanim włączą się dwaj pozostali. Stosunek sił trzy do jednego nie wyglądał zbyt korzystnie.

Podchodząc Waystand uśmiechnął się złośliwie.

– A więc to ty. Tak pomyślałem, gdy usłyszałem nazwisko. Pozdrowienia od pana Mattersona i wynoś się pan stąd.

– Którego pana Mattersona?

– Howarda Mattersona.

– A więc nadal biegasz do niego na skargę, Jimmy? – stwierdziłem zgryźliwie.

Zacisnął pięści.

– Pan Matterson polecił, żeby usunąć cię z jego ziemi gładko, szybko i bez kłopotów.

– Panował nad sobą z widocznym wysiłkiem. – Masz u mnie dług, Boyd i bez kłopotu mogę ci odplacić; pan Matterson powiedział, że jeśli nie wyniesiesz się stąd spokojnie, to mam dopilnować, żebyś się w ogóle wyniósł. A teraz zbieraj się i wracaj do Fort Farrell. Albo pójdziesz sam, albo cię wyniosą.

– Mam prawo tu być – stwierdziłem.

– Dobrze chłopcy. – Waystand wykonał szybki ruch. – Biercie go.

– Chwileczkę – rzuciłem bez zwłoki. – Powiedziałem, co miałem do powiedzenia i idę. – Bez sensu byłoby dać się pobić, choć miałem szczerą ochotę zgasić Waystadnowi na twarzy ten wredny uśmieszek.

– Nie jesteś taki odważny, Boyd, jeśli stoisz przed gotowym do walki mężczyzną.

– Jeśli będzie trzeba, zawsze sobie z tobą poradzę – oświadczyłem – jeśli nie będziesz miał broni.

Nie wyglądał na zadowolonego, ale nic nie powiedział. Patrzyli, jak zbieram swój sprzęt i ładuję do Land-Rovera. Wtedy Waystand wspiął się do swojego Jeepa i ruszył powoli w dół. Jechałem za nim Land-Roverem, a za mną drugi Jeep. Nie chcieli ryzykować, że się im wymknę.

Zjechaliśmy na sam dół, Waystand zwolnił i dał mi znak, żebym się zatrzymał. Zatoczył koło i podjechał bliżej.

– Poczekaj tu, Boyd i nie próbuj żadnych dowcipów – powiedział. Wysiadł z samochodu i gestem ręki zatrzymał zjeżdżającą właśnie z góry ciężarówkę z kłocami drewna. Przez kilka minut rozmawiał o czymś z kierowcą i wrócił do mnie.

– Dobra, panie przemądrzały, ruszaj pan w drogę i nie wracaj tu więcej, choć osobiście nie miałbym nic przeciwko temu.

– Zobaczmy się jeszcze, Jimmy – powiedziałem. – Możesz być tego pewien. – Wrzuciłem bieg i ruszyłem w ślad za załadowaną ciężarówką, która zdążyła się już nieco oddalić.

Nie trwało długo, zanim ją dogoniłem. Posuwała się bardzo wolno i nie mogłem jej wyprzedzić, ponieważ było to jedno z tych miejsc, gdzie budując drogę wcięto się w ziemię do skalistego podłoża i po obu stronach ciągnęły się strome nasypy. Nie rozumiałem, dlaczego facet tak się wlecze, ale nie miałem zamiaru próbować wyprzedzania ryzykując, że przygniecie mnie dwadzieścia ton drewna i stali.

Ciężarówka zwolniła jeszcze bardziej i wlokłem się za nią wolniej, niż piechotą. Na ogół bywa tak, że skądinąd normalny sympatyczny facet, który siada za kierownicą, traci nawet ślady zdrowego rozsądku. Człowiek, który uprzejmie przytrzymał drzwi staruszce, za chwilę gotów jest zabić kobietę przejeżdżając jej po nogach z prędkością stu kilometrów na godzinę tylko dlatego, żeby zdążyć przed zmianą świateł, traktując to jako rzecz normalną. Facet przede mną musiał mieć jakieś kłopoty i w tym, że jechał tak wolno nie było nic dziwnego ani nienormalnego. Nie śpieszyło mi się zbytnio do Fort Farrell, ale i tak niecierpliwiłem się i przeklinałem za kierownicą; na tym polega natura związku człowieka z samochodem.

Spojrzałem w lusterko i zdziwiłem się. Facet przede mną musiał mieć najpewniej bardzo ważne powody, żeby jechać tak wolno, bo z tyłu zbliżała się inna ciężarówka z drewnem, osiemnastokołówka, czyli ponad dwadzieścia ton, sunąca z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zanim jej kierowca nacisnął na hamulce, podjechał tak blisko, że usłyszałem przenikliwe świsty hamowania silnikiem i zgrzyt hamulców. Wyrównał z nami prędkość dopiero, gdy brzydki kwadratowy przód ciężarówki znalazł się nie dalej niż pół metra za Land-Roverem.

Niezbyt apetyczna kanapka – ze mną w środku. Spostrzegłem, że kierowca za mną bawi się na całego i zrozumiałem, że jeśli nie będę uważać, to kanapka zrobi się czerwona – bynajmniej nie od ketchupu. Land-Rover nagle przechylił się na bok, bo z tyłu uderzył go ciężki zderzak ciężarówki, rozległ się przeciągły zgrzyt. Przycisnąłem lekko pedał gazu i przybliżyłem się o kilkanaście centymetrów do ciężarówki z przodu. Nie mogłem podejść bliżej, jeśli nie chciałem, żeby mi osiemdziesięciocentymetrowy pień nie rozbił przedniej szyby. Jadąc w stronę zapory zapamiętałem ten fragment drogi; ciągnął się na odcinku dwóch kilometrów, a dotychczas przejechaliśmy mniej więcej jedną czwartą. Najbliższe trzy czwarte zapowiadały się niebezpiecznie.

Kierowca z tyłu nacisnął klakson i ponieważ typ przede mną lekko przyśpieszył, zrobiło się z przodu trochę miejsca. Zwiększyłem nieco prędkość, ale nie dość szybko, ponieważ ciężarówka z tyłu znów mnie uderzyła, tym razem silniej. Wyglądało na to, że będzie bardziej nieprzyjemnie niż myślałem. Najwyraźniej przyśpieszaliśmy, a to mogło się okazać cholernie niebezpieczne.

Droga zaczęła opadać, prędkość wzrosła i pędziliśmy w dół siedemdziesiąt

kilometrów na godzinę. Ciężarówka z tyłu próbowała tymczasem wspiąć się na rurę wydechową wozu z przodu, nie przejmując się tym, że między nimi znajduje się mój Land-Rover. Kierownica zaczęła mi się ślizgać w spoconych rękach i bałem się nawet pomyśleć, co się dzieje ze skrzynią biegów. Raz przez ułamek sekundy zawisłem schwytny przez dwa potężne zderzaki ciężarówek. Odczułem wtedy siłę ciśnienia napierającego na ramę Land-Rovera i gotów jestem przysiąc, że na chwilę mój łazik uniósł się w powietrze. O przednią szybę uderzył pień, szkło popękało w mglistą nieprzejrzystą powierzchnię i nic już przed sobą nie widziałem.

Na szczęście nacisk zmalął i znów byłem wolny. Wystawiłem głowę przez boczne okno i okazało się, że dojeżdżamy do końca wąskiego odcinka drogi. Jeden z pni po lewej stronie ciężarówki przede mną leżał wyżej od pozostałych i wyglądało na to, że znajduje się dostatecznie wysoko, żeby zmieścić mi całą kabinę. Muszę koniecznie wydostać się i pułapki. Brak było miejsca na manewry, a jeśli nie wymyślę, jak się wydostać, ci sadystyczni dranie gotowi są trzymać mnie w szachu do samego tartaku.

Zakręciłem więc kierownicą licząc na szczęśliwy traf i okazało się, że nie miałem racji. Pień nie zerwał dachu kabiny – brakowało centymetra, usłyszałem jedynie rozdzierający dźwięk dartej blachy. W tym momencie nie mogłem się jednak cofnąć. Jak oszalały przyduśiłem akcelerator, pompując benzynę na pełnych obrotach do silnika, aż buksując po nierównościach wyrwałem się z pułapki prosto na wielką dagleżję. Zakręciłem kierownicą, kilkakrotnie zmieniając kierunek i tańcząc między drzewami starałem się posuwać mniej więcej równoległe do drogi.

Byłem już na wysokości pierwszej ciężarówki i dostrzegłszy cień szansy, nacisnąłem ostro na gaz wystrzeliwując przed nią na drogę i uciekając do przodu, a osiemnastokołowy potwór pędził za mną z wyciem klaksonu. Wiedziałem, że lepiej się nie zatrzymywać na rozprawę z kierowcami; nie stanęliby tylko dlatego, że czekam na drodze i ani ja, ani Land-Rover nie wyszlibyśmy na tym dobrze. Na razie miałem nad nimi przewagę, uciekałem więc nieprzerwanie, minąłem zjazd do tartaku i zatrzymałem się dopiero dwa kilometry dalej.

Stałem i podniosłem do góry ręce. Trzęsły się tak, że nie byłem w stanie nad nimi zapanować, a przy każdym ruchu przesiąknięta potem koszula lepiała się do ciała. Zapaliłem papierosa, poczekałem aż ustaną dreszcze i dopiero wtedy wysiadłem ocenić uszkodzenia. Przód wozu nie wyglądał zbyt źle, choć kapiąca woda wskazywała na uszkodzoną chłodnicę. Przednią szybę można było w całości spisać na straty, a poszycie kabiny wyglądało tak, jakby ktoś dobrał się do niego z tępym otwieraczem do konserw. Tył był bardziej porozbijany, wyglądał tak, jak wygląda przód po czołowym zderzeniu. Zajrzałem do środka i ujrzałem rozbitą skrzynię z połowym wyposażeniem i potłuczone

butelki odczynników. Nad przelewającym się po podłodze płynem unosił się odór chemikaliów, pośpiesznie więc wyłowilem ze środka licznik Geigera; delikatne instrumenty pomiarowe nie powinny pływać w stężonym kwasie.

Cofnąłem się i spróbowałem dokonać bilansu strat. Dwa rozbite nosy dla dwóch kierowców, może przetrącony kręgosłup dla Jimmiego Waystanda i nowiutki Land-Rover od pana Howarda Mattersona. Wobec Howarda gotów byłem pójść na pewne ustępstwa; mało prawdopodobne, żeby kazał mnie tak przycisnąć. Ale Jimmy Waystand na pewno kazał i zapowiadało się, że będzie musiał za to zapłacić w mało przyjemny dla niego sposób.

Po pewnym czasie wjechałem do Fort Farrell przyciągając zainteresowane spojrzenia przechodniów na King Street. Wjechałem na teren warsztatu Summerskilla, który podniósł głowę i powiedział zaniepokojony:

– Hej, ja nie jestem za to odpowiedzialny, to się stało gdy już pan kupił tego grata.

– Wiem – odparłem uspokajająco i wysiadłem. – Niech pan tylko doprowadzi go do ładu. Wydaje mi się, że potrzebna będzie nowa chłodnica i niech pan coś zrobi z tylnymi światłami.

Zatoczył pełne koło wokół Land-Rovera, odwrócił się i spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Co pan nim robił? Atakował pan czołg?

– Coś w tym rodzaju – zgodziłem się.

– Tylny zderzak jest zwinięty jak precel – machnął ręką. – Jak to możliwe?

– Może się rozgrzał i zwinął się w taki kształt – zasugerowałem. – Nie ma co deliberować. Ile trzeba panu czasu?

– Chce pan tylko, żeby dało się nim znów jeździć? Tylko doraźna naprawa?

– Zupełnie wystarczy.

Podrapał się w głowę.

– Mam starą chłodnicę Land-Rovera z tyłu w szopie, więc można powiedzieć, że ma pan szczęście. Powiedzmy, kilka godzin.

– W porządku – powiedziałem. – Wrócę za godzinę i pomogę panu. - Zostawiłem go i ruszyłem do biura Mattersona. Wszystko wskazuje na to, że dojdzie do kłótni z Howardem.

Wpadłem do biura i nie zmieniając prędkości odezwałem się do sekretarki:

– Idę porozmawiać z Mattersonem.

– Ale on jest zajęty – zaprotestowała z ożywieniem.

– Jasne – stwierdziłem nie zatrzymując się. – Howard to wyjątkowo zajęty człowiek.

– Otworzyłem drzwi i wszedłem do jego gabinetu. Howard konferował właśnie z Donnerem.

– Cześć Howard – powiedziałem. – Chyba chciał się pan ze mną widzieć?

– Co to znaczy, że wpada tu pan w ten sposób? – zapytał. – Nie widzi pan, że pracuję? – Nacisnął przełącznik. – Panno Kerr, co to ma znaczyć, że wpuszcza tu pani ludzi...

Sięgnąłem przez biurko i podniosłem mu rękę z interkomu, przerywając połączenie.

– Ona mnie nie wpuściła – powiedziałem miękko. – Nie mogła mnie zatrzymać, więc daj jej pan spokój. A teraz do rzeczy, chciałem o coś zapytać. Jakim prawem kazał pan Waystandowi mnie wyrzucić?

– Głupie pytanie – syknął. Spojrzał na Donnera. – Powiedz mu.

Donner strzelił palcami i powiedział dokładnie dobierając słowa:

– Wszelkie badania geologiczne na terenach należących do Mattersonów będą organizowane przez nas samych. Nie potrzebujemy, żeby pan je dla nas prowadził, panie Boyd. Mam nadzieję, że w przyszłości będzie się pan trzymał z daleka od ziemi Matterson Corporation.

– Możesz być tego pewien – wtrącił Howard.

– Howard – powiedziałem – od tak dawna masz zezwolenie na wyrąb, że zaczęło ci się wydawać, że cały ten cholerny teren jest twoją własnością. Za kilka lat może ubzdurasz sobie, że cała Kolumbia Brytyjska jest twoja. Głowa ci puchnie, Howardzie.

– Nie nazywaj mnie pan Howardem – syknął. – Do rzeczy.

– Proszę bardzo – mówiłem dalej. – Nie znajdowałem się na ziemi Mattersonów, ale na ziemi państwowej. Może tam grzebać każdy, kto ma zezwolenie na prowadzenie badań geologicznych. Licencja na uprawę i wyrąb lasu nie daje jeszcze prawa do tego, żeby mi zabronić wstępu. A jeśli sądzi pan, że jest inaczej, to nałożę na pana nakaz sądowy tak prędko, że się panu uszy zawiną dookoła głowy.

Potrwało chwilę, zanim zrozumiał, o czym mówię, a gdy zrozumiał spojrzał bezradnie na Donnera. Uśmiechnąłem się i powiedziałem naśladując Howarda:

– Powiedz mu.

– Jeżeli rzeczywiście znajdował się pan na ziemi należącej do Korony – orzekł Donner – a nie jest to rzecz pewna, to być może ma pan rację.

– Nie ma tu żadnych być może – stwierdziłem. – Wie pan, że mam rację.

– Nie wydaje mi się, żeby znajdował się pan na terenach państwowych. – powiedział nagle Matterson.

– Sprawdź pan na mapie – poradziłem. – Założę się, że od lat nie zaglądał pan do mapy. Za bardzo przyzwyczaił się pan do traktowania tej cholernej prowincji jak swojej własności.

Matterson podniósł palec na Donnera, który wyszedł z gabinetu, po czym spojrzał na

mnie twardo.

– Co chce pan osiągnąć, Boyd?

– Próbuję po prostu zarobić na życie – oświadczyłem beztrąsko. – Teren dookoła jest dobry do poszukiwań, można prowadzić badania równie dobrze, jak na północy, a tu jest znacznie cieplej.

– Może się okazać, że za ciepło dla pana – odparł kwaśno. – Zachowuje się pan prowokacyjnie.

Podniosłem brwi.

– Ja? Trzeba się było pofatygować rano na drogę do Kinoksi. Prędeż się zaprzyjaźnię z grizzly niż z niektórymi kierowcami stamtąd. W każdym razie, nie szukam popularności.

– A czego pan szuka?

– Może się pan dowie pewnego dnia, jeśli będzie pan miał dość oleju w głowie, Howardzie.

– Powiedziałem już, żebyś nie nazywał mnie pan Howardem – powiedział z irytacją.

Wrócił Donner z mapą, taką samą jak ta, którą oglądałem w biurze Tannera. Howard rozłożył ją na biurku.

– Proszę zwrócić uwagę – powiedziałem – że dolina Kinoksi jest podzielona między pana i Clare Trinavant, ona ma część północną, a pan o wiele większą część południową. Ale ziemia Mattersonów kończy się tuż przed progiem skalnym. Wszystko na południe od tego miejsca należy do Korony i mogę tam grzebać, kiedy tylko zechcę, jakieś pytania?

Matterson spojrział na Donnera, który lekko skinął głową.

– Wygląda na to, że pan Boyd ma rację.

– Zgadza się, że mam rację – odwróciłem się do Mattersona. – I jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałem porozmawiać; zniszczenie Land-Rovera.

– Nie ponoszę odpowiedzialności za sposób, w jaki prowadzi pan samochód – wlepił we mnie wzrok.

Jego ton przekonał mnie, że Howard wiedział co się stało.

– Dobrze – rzekłem. – W najbliższej przyszłości będę często korzystać z drogi do Kinoksi. Powiedz pan swoim kierowcom, żeby trzymali się z dala ode mnie, bo ktoś może zginąć w wypadku drogowym, a na pewno nie ja.

Pokazał mi tylko zęby w uśmiechu i rzekł:

– Rozumiem, że mieszkał pan w „Matterson House”. – Tak mocno zaakcentował czas przeszły, że zdanie niemal przełamało się na pół.

– Rozumiem, co chce pan powiedzieć – odparłem. – Wrogowie do grobowej deski, co, Howardzie?

Wyszedłem z gabinetu bez słowa i udałem się na dół do „Matterson House Hotel”.

Portier otworzył usta, ale zdążyłem odezwać się pierwszy.

– Rozumiem, że już się wyprowadziłem – stwierdziłem cierpko.

– Mmmm, tak, panie Boyd. Przygotowałem dla pana rachunek.

Zapłaciłem, poszedłem na górę, spakowałem torbę i zataszczyłem przez drogę do warsztatu Sumerskilla. Wyczołgał się spod Land-Rovera i przyjrzał mi się ze zdumieniem.

– Jeszcze nie skończyłem, panie Boyd.

– Nic nie szkodzi. Muszę znaleźć coś do jedzenia.

– Hej, panie Boyd – wstał z ziemi – to śmieszne, ale właśnie sprawdzałem podwozie i wie pan, jest wybrzuszone.

– Co to znaczy wybrzuszone?

Sumerskill rozsunął ręce mniej więcej na trzydzieści centymetrów, zgiął palce jakby trzymał niewielki prostokątny przedmiot i powoli zbliżył dłonie.

– To cholerne podwozie zostało ściśnięte – spojrzał z zakłopotaniem.

– Czy utrudni to jazdę?

– Nie bardzo – wzruszył ramionami – jeśli się za wiele nie oczekuje.

– To niech się pan tym nie przejmuje – poradziłem. – Będę z powrotem, gdy tylko wrzucę coś na ruszt.

Zjadłem w „Kawiarni helleńskiej”, mając nadzieję, że spotkam McDougalla, ale się nie pokazał. Nie chciałem szukać go w redakcji, pospacerowałem więc po mieście, starając się mieć oczy otwarte. Gdy w ciągu godziny nie natrafiłem na niego, wróciłem do warsztatu Sumerskilla, który właśnie kończył.

– To będzie razem czterdzieści pięć dolarów, panie Boyd – powiedział.

– I nie liczę drogo.

Wrzuciłem za siedzenie trochę zakupów, które zrobiłem po drodze i wyjąłem portfel, dodając te czterdzieści pięć dolarów do rachunku, jaki Matterson któregoś dnia będzie musiał mi zapłacić. Gdy liczyłem banknoty, Sumerskill powiedział:

– Niewiele mogłem zrobić z dachem kabiny. Wgiąłem blachę do środka i naciągnąłem na wierzch brezent, zawsze trochę osłoni przed deszczem.

– Dziękuję – powiedziałem. – Jeśli znów będę miał wypadek, co jest bardzo prawdopodobne, może pan na mnie liczyć.

Skrzywił się kwaśno.

– Jeszcze jeden taki wypadek jak ten i nie będzie, co naprawiać.

Wyjechałem z miasta do domku McDougalla i po rozładowaniu zaparkowałem na uboczu. Przebrałem się i zagrzałem wodę. Trochę wody zużyłem na zrobienie kawy, a w

reszcie uprałem spodnie i koszulę. Zakupy schowałem do spiżarni i zająłem się porządkowaniem sprzętu, sprawdzając, co zostało zniszczone. Oplakiwałem właśnie rozbity spektrometr, gdy usłyszałem samochód. Wystawiwszy przez okno głowę, zobaczyłem, że przy drzwiach zatrzymuje się stary poobtłukiwany Chevrolet. Zza kierownicy wyłonił się McDougall.

– Spodziewałem się, że cię tu zastanę – powiedział. – Powiedzieli mi w hotelu, że się wyprowadziłeś.

– Howard o to zadbał.

– Niecałe pół godziny temu miałem telefon od samego Pana Boga. Stary Bull wydawał się poruszony. Chce wiedzieć, kim jesteś, skąd jesteś, jakie masz zamiary i jak długo pozostaniesz w Fort Farrell. – Uśmiechnął się. – Zlecił mi rzecz jasna, żebym się dowiedział.

– Nie mam nic do powiedzenia.

Mac podniósł brwi. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że postanowiłem wykorzystać swe pochodzące od Boga prawo do trzymania buzi na kłódkę. Możesz powiedzieć staremu Mattersonowi, że nie życzę sobie kontaktów z prasą. Chcę go trochę potrzymać w zawieszeniu, niech sam do mnie przyjdzie.

– Całkiem słusznie – zgodził się Mac. – Ale on stracił cię z oczu. Nikt nie wie gdzie jesteś.

– Długo tego nie utrzymamy w tajemnicy – powiedziałem. – Nie w takim małym mieście jak Fort Farrell. – Uśmiechnąłem się. – A więc w końcu coś ruszyło starego z miejsca. Ciekawe, co?

– Z tego, co słyszałem w mieście, mogło to być cokolwiek. Ben Parker na przykład uważa, że jesteś stuknięty.

– Kto to jest Ben Parker?

– Facet z przystanku autobusowego. Clarry Summerskill natomiast wyraża się o tobie z najwyższym uznaniem.

– Co to jest „Clarry” Summerskill?

Mac uśmiechnął się przelotnie.

– Nazywa się Clarence,\* ale nie lubi swego imienia. Uważa, że nie pasuje do handlarza używanymi samochodami. Powiedział kiedyś, że nie może przecież wywiesić tablicy z napisem „Uczciwy Clarence”, bo ludzie by się śmiali. W każdym razie uważa, że ten, kto jest w stanie w ciągu trzech krótkich godzin zrobić z Land-Roverem to, co ty, musi być najtwardszym facetem w Kanadzie. Wywnioskował to stąd, że ty jesteś zupełnie nieuszkodzony. A w ogóle to co się stało?



[\* typ zamkniętego czterokołowego powozu konnego (przyp. tłum.).]

– Nastawię wodę na kawę – powiedziałem. – Land-Rover jest za domem, obejrzyj go sobie.

Mac wyszedł ocenić uszkodzenia i wrócił ze zdumioną miną.

– Zrzuciłeś go z urwiska? – zapytał.

Opowiedziałem mu, co się stało i spoważniał.

– Chłopcy grają ostro – powiedział.

– To jeszcze nic, zwykłe zabawy i rozrywki młodzieży. Osobista inicjatywa Jimmiego Waystanda. Nie sądzę, żeby Howard miał z tym coś wspólnego. Oni jeszcze nie zaczęli.

Zagwizdał czajnik.

– Wolałbym herbatę – powiedział Mac. – Staję się niespokojny i gdy wypiję za dużo kawy mogę wpaść w histerię, a lepiej tego unikać w naszej sytuacji, prawda? – Zaparzył, więc mocną czarną herbatę, która miała smak gotowanych jednopensówek.

– A dlaczego w ogóle pojechałeś nad zaporę?

– Chciałem poruszyć Howarda – wyjaśniłem. – Chciałem, żeby zwrócono na mnie uwagę.

– Udało ci się – sucho stwierdził Mac.

– Ile kosztuje cała zapora?

– Biorąc wszystko razem – zastanowił się Mac – zaporę, elektrownię i linie przesyłowe, powinno dojść do sześciu milionów dolarów. Nie taka wielka inwestycja jak na Peace River, ale też niczego sobie.

– Według moich szacunków – powiedziałem – Matterson powinien zebrać z doliny Kinoxi drewno za mniej więcej dziesięć milionów dolarów. Pamiętaj, że wycina wszystko, a nie tylko niecały jeden procent, na który normalnie zezwala służba leśna. Daje mu to cztery miliony na czysto.

– Nieźle – stwierdził Mac.

– Jest jeszcze lepiej. Matterson nie potrzebuje teraz tych czterech milionów dolarów, bo musiałby zapłacić od nich podatki, ale elektrownia wymaga konserwacji, a trzeba też wziąć pod uwagę potrącenia na dekapitalizację w przyszłości, reinwestuje, więc trzy miliony dolarów i to załatwia sprawę. Zarabia na czysto milion i ma darmową energię do swoich fabryk na bliższą i dalszą przyszłość.

– Nie mówiąc już o forsie, jaką robi sprzedając energię – dokończył Mac. – To wysokoprocentowa śmietanka.

– Tak, jakby miał osobne wejście do Fort Knox – potwierdziłem.

Mac chrząknął.

– To pachnie Donnerem. Ten facet ma wyjątkowy talent do znajdowania pieniędzy tam, gdzie nikt inny nie widzi nic interesującego. I wszystko legalnie.

– Sądzę, że Clare Trinavant jest sentymentalnym dzieckiem – powiedziałem. – Pozwala, żeby emocje zastąpiły myślenie. Dolina Kinoxi zostanie zalana i Clare nie jest w stanie tego powstrzymać.

– Więc?

– Więc ma w górze doliny osiem i pół kilometra kwadratowego lasu, który pójdzie na zmarnowanie, a ona straci trzy miliony dolarów tylko, dlatego, że ma urazę do Mattersonów. Czy ona zdaje sobie z tego sprawę?

Mac potrząsnął głową.

– Clare nie jest człowiekiem interesu, nie pociąga jej to. Jej finansami zarządza bank w Vancouver. Wątpię, żeby się nad tym zastanawiała.

– A służba leśna nie ma tu nic do powiedzenia? Marnowanie takiej ilości tarcicy nie wydaje się rozsądne.

– Nie słyszałem, żeby służba leśna ściagała kogokolwiek, kto nie wycina lasu – zauważył. – Nie było jeszcze takiego przypadku.

– Mając widoki na trzy miliony dolarów sama może zbudować tartak – powiedziałem z przekonaniem – jeśli nie chce, żeby zarobił na tym Matterson.

– Trochę chyba na to za późno, co?

– Na to niestety wygląda – kontynuowałem ponuro. – Jest bardziej podobna do Howarda Mattersona, niż jej się zdaje. On też kieruje się emocjami, choć w sposób łatwiejszy do przewidzenia – uśmiechnąłem się.

– Wygląda na to, że nie trzeba wiele, żeby Howard zaczął skakać przez obręcz.

– Niech ci się nie zdaje, że tak samo będzie ze starym Mattersonem – powiedział Mac ostrzegawczo. – Jest twardszy i bardziej wyrachowany. Nie zaatakuje wprost, ale z takiej strony, że nie będziesz się tego zupełnie spodziewał. – Zmienił temat.

– Jaki będzie następny ruch?

– Jeszcze raz to samo. Stary Matterson odezwał się prędko, więc pewnie trafiliśmy w bolące miejsce. Nadal będę prowokował plotki o Trinavantach i zapuszczę korzenie w pobliżu zapory.

– Po co się kręcić koło zapory? Co ona ma do rzeczy?

Podrapałem się w głowę.

– Nie wiem, mam tylko takie przeczucie, że gdzieś tam znajdę odpowiedź. Nie ma pewności, że to mój pobyt nad zaporą spowodował zainteresowanie Bulla Mattersona. Następną sprawą, chciałbym pojechać do domu Clare. Jak się tam można dostać nie

jadąc przez ziemie Mattersonów? Po dzisiejszych wydarzeniach nie byłoby to zbyt rozsądne.

– Jest droga od tyłu – powiedział Mac. Nie pytał, dlaczego chcę tam pojechać, ale zamiast tego wydobyl starą zużytą mapę. Obejrzałem ją i westchnąłem. Droga dookoła była cholernie długa i oddałbym duszę za helikopter Matterson Corporation.

2

Następny dzień spędziłem w Fort Farrell szerząc plotki i to na dużą skalę. Wcześniej mówiłem o Trinavantach tylko z dwiema osobami, ale teraz pokryłem oddziaływaniem sporą część populacji miasta. Czułem się jak skrzyżowanie prywatnego detektywa z ankieterem Gallupa. Wieczorem, w domku McDougalla podsumowałem wyniki tak jak to mają w zwyczaju ankieterzy i uporządkowałem ustalenia.

Szczególnie zwracała uwagę łatwość, z jaką ludzkie nazwisko może zostać wykreślone z publicznej świadomości. Z ludzi, którzy osiedlili się w Fort Farrell w ciągu ostatnich dziesięciu lat, aż osiemdziesiąt pięć procent nigdy nie słyszało o Johnie Trinavancie, podobnie jak młodzież, która dorastała po jego śmierci.

Pozostałym, na ogół starszym trzeba było trochę ożywić pamięć i wspominali go prawie zawsze dobrze. Doszedłem do wniosku, że Szekspir miał rację: „Zło uczynione przez ludzi, żyje po ich śmierci, dobro wraz z nimi schodzi do grobu”. Nadal na całym świecie dzieje się tak samo. Każdy morderca bez trudu znajdzie swe nazwisko w gazecie, ale jeśli uczciwy człowiek zechce obwieścić światu, że przez dwadzieścia pięć lub pięćdziesiąt lat żył szczęśliwie z żoną, musi zapłacić z własnej kieszeni!

W mieście dawało się odczuć powszechną niechęć wobec Mattersonów, Połączoną często z lękiem. Matterson Corporation dzierżyła w ręku nici ekonomicznego życia społeczności, mogła, więc pośrednio lub bezpośrednio wywierać nacisk na wszystkich. Prawie w każdej rodzinie w Fort Farrell ktoś pozostawał na liście płac Mattersona, więc na trudne pytania odpowiadano niechętnie.

Reakcje na nazwisko Trinavanta były wyraźniej określone. Ludzie Wydawali się zaskoczeni, że o nim zapomnieli. „Nie wiem, dlaczego, ale od lat nie myślałem o starym Johnie”. Ja wiedziałem. Gdy jedyne źródło opinii publicznej w mieście sznuruje usta na jakiś temat, gdy listy do redakcji o zmarłym po prostu nie są drukowane, gdy ktoś potężny po cichu zniechęca do rozmów o nim, to nikt nie ma ochoty pamiętać. Życie miewa eksplozje aktywności i wielorakie uwarunkowania, a także martwą przepaść zapomnienia.

Rozpytywałam o budowę pomnika Johna Trinavanta obok pomnika porucznika

Farrella na placu Trinavanta. „Nie wiem, dlaczego, ale jakoś nigdy pomysł nie ruszył z miejsca. Może nie było dość pieniędzy na budowę, ale przecież stary John wpompował dość pieniędzy w to miasto. Można by pomyśleć, że ludziom wstyd, ale nie, wszyscy po prostu zapomnieli co Trinavant zrobił dla Fort Farrell”.

Miałem dość refrenu: „nie wiem, dlaczego”. Ręce mi opadały, gdy uświadamiałem sobie, że oni naprawdę nie wiedzą, dlaczego. Bull Matterson szczelnie przycisnął przykrywkę nad nazwiskiem Trinavanta. Niewiele ustępował Hitlerowi i Stalinowi w sztuce kontroli myśli i coraz większe robił na mnie wrażenie rozmiar wysiłku włożonego w tę operację, choć nadal nie miałem pojęcia, co leży u jej podstaw.

– Gdzie zostali pochowani Trinavantowie? – zapytałem Maca.

– W Edmonton – odparł krótko. – Bull tego dopilnował.

Trinavantom nie dane było nawet spocząć w mieście, które zbudowali.

Po całodniowym intensywnym buszowaniu po Fort Farrell postanowiłem dać miastu wolny dzień. Jeśli dwie rozmowy spowodowały reakcję Bulla, to praca tego jednego dnia powinna postawić go na rzesach, kierując się, więc elementarną wiedzą psychologiczną postanowiłem zniknąć z pola widzenia i dać mu czas, żeby się zaczął gotować.

Wykluczało to kręcenie się wokół zapory, postanowiłem, więc odwiedzić dom Clare Trinavant. Nie bardzo wiedziałem, dlaczego chcę tam pojechać, może dlatego, żeby trzymać się z dala od Mattersona; miejsce było tak samo dobre jak każde inne. Miałem nadzieję, że może uda mi się znaleźć trochę czasu, żeby złowić kilka ryb w strumieniu, a przy okazji głębiej przemyśleć całą sprawę.

Omijając tereny Mattersonów wytrzymałem się na bocznych drogach i gdy po zrobieniu przeszło dwustu kilometrów dotarłem wreszcie na miejsce, czułem się obolały i rozbity. Dom był jeszcze większy niż go zapamiętałem, niska i rozłożysta budowla przykryta ciepłym gontowym dachem z czerwonego cedru. Obok stał drugi dom, mniejszy i prostszy, a z szarego kamiennego komina unosił się dym. Ze środka wyłonił się mężczyzna ze strzelbą, którą oparł w zasięgu ręki o ścianę.

– Pan Waystand? – zawołałem.

– To ja.

– Mam do pana list od McDougalla z Fort Farrell.

McDougall nie puścił mnie bez listu, gdyż Waystand, ojciec Jimmiego, był bardzo lojalny wobec Clare Trinavant i należało oczekiwać, że jego stosunek do Boba Boyda okaże się wrogi.

„Pobiłeś jego syna i obraziłeś Clare, a przynajmniej on tak sądzi – stwierdził Mac. – Lepiej będzie, jeśli mu to wyjaśnię. Dam ci list.”

Waystand miał około pięćdziesięciu lat i głęboko pobrużdżoną twarz orzechowej

barwy. Zaczął wolno czytać, poruszając przy tym wargami. Gdy skończył, rzucił na mnie szybkie spojrzenie twardych niebieskich oczu i przeczytał jeszcze raz od początku, żeby sprawdzić, że za pierwszym razem dobrze wszystko zrozumiał.

– Stary Mac twierdzi, że jest pan w porządku – powiedział nieco niechętnie.

Powoli wypuściłem powietrze.

– Nie do mnie należy ocena, sam pan musi zdecydować. Ale w większości spraw mam zaufanie do tego, co mówi McDougall. A pan?

Twarz Waystanda złamała się opornie w uśmiechu.

– Ja chyba też. Co mogę dla pana zrobić?

– Niewiele – powiedziałem. – Potrzebuję miejsca na obóz, a jeśli odżałuje pan rybę z potoku, to byłbym wdzięczny.

– Pstrągi są do pana dyspozycji – odrzekł. – Ale nie warto rozbijać obozu, w domu jest wolne łóżko, jeśli to panu nie przeszkadza. Syn wyjechał – patrzył mi w oczy bez mrugnienia powieką.

– Dziękuję – powiedziałem. – To bardzo uprzejmie z pana strony, panie Waystand.

Nie musiałem jednak łapać ryb, ponieważ Waystand ugotował smaczny gulasz i zaprosił mnie na obiad. Okazał się człowiekiem o powolnych ruchach, małomównym, którego proces myślowy biegł na wolnych obrotach, co nie oznacza, że Waystand był ograniczony, potrzebował tylko trochę więcej czasu, żeby dojść do słusznych konkluzji. Gdy zjedliśmy, spróbowałem pociągnąć go za język.

– Od dawna pracuje pan dla panny Trinavant?

Wyjął z ust fajkę i wypuścił kłęb jasnoniebieskiego dymu.

– Od dawna – stwierdził niezbyt treściwie.

Siedziałem milcząc i czekałem, aż poruszą się tryby. Palił w zamyśleniu przez kilka minut i powiedział w końcu. – Byłem przedtem u starego.

– U Johna Trinavanta?

Skinął głową.

– Zacząłem pracować dla Johna Trinavanta jeszcze jako niedorostek zaraz po skończeniu szkoły. I przez cały czas później byłem u nich.

– Ludzie mówią, że był dobrym człowiekiem – powiedziałem.

– Trudno o lepszego. – Zapadł z powrotem w kontemplację czerwonego węglika płonącego w fajce.

– Szkoda, że zdarzył się ten wypadek – powiedziałem.

– Wypadek?

– No tak, wypadek samochodowy.

Znów zapadła dłuższa cisza, po czym wyjął fajkę z ust.

– Może dla niektórych był to wypadek.

Wstrzymałem oddech.

– A dla pana nie?

– Pan Trinavant był dobrym kierowcą – powiedział. – Nie jechałby za szybko wiedząc, że na szosie jest lód.

– Nie ma pewności, że to on prowadził. Za kierownicą mogła być żona albo syn.

– Nie w tym samochodzie – powiedział Waystand z przekonaniem. – To był fabrycznie nowy Cadillac, którego kupił dwa tygodnie wcześniej. Pan Trinavant nie pozwoliłby nikomu prowadzić go, zanim sam nie dotarł silnika.

– To, co się pana zdaniem stało?

– Zdarzyło się wtedy sporo dziwnych rzeczy – powiedział tajemniczo.

– Na przykład? – zapytałem.

Postukał cybuchem o obcas.

– Zadaje pan mnóstwo pytań, panie Boyd, i nie wiem, dlaczego miałbym na nie odpowiadać, poza tym, że stary Mac o to prosi. Nie mam dla pana za dużo sympatii i chcę się upewnić, co do jednej rzeczy. Czy szykuje pan coś, co zaszkodzi panie Trinavant?

Spojrzałem mu w oczy.

– Nie, panie Waystand.

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę i machnął ręką.

– Wszystkie te lasy, setki tysięcy hektarów, wszystko to ma Bull Matterson z wyjątkiem tej drogi, którą John zostawił panie Trinavant. Ma tartaki i celulozownie, prawie wszystko to, co zbudował John. Nie wydaje się panu, że ten wypadek zdarzył się w wygodnym momencie?

Poczułem zniechęcenie. Waystand nie miał nic więcej niż te same niejasne podejrzenia, które prześladowały Maca i mnie.

– Czy ma pan może jakieś dowody potwierdzające, że to nie był wypadek? – zapytałem. – Cokolwiek?

– Nic określonego – potrząsnął głową.

– A co o tym myśli Cl... panna Trinavant? Co myślała później, nie tylko wtedy, gdy się to wydarzyło.

– Nie rozmawiałem z nią wiele, to nie moja sprawa, a ona nic mi nie mówiła. – Wytrząsnął popiół na palenisko i położył fajkę na kominku. – Idę spać – stwierdził krótko.

Zostałem przez pewien czas sam, krążąc myślami wokół całej sprawy, aż w końcu też poszedłem do łóżka w skromnie umeblowanym pokoiku, należącym do Jimmiego Waystanda. Pomieszczenie miało w sobie coś ponurego, było tak samo anonimowe jak

pokoje hotelowe; łóżko, prymitywna umywalnia, szafa i kilka nagich półek. Wyglądało na to, że Jimmy wyniósł się na dobre i zabrał ze sobą wszystkie rzeczy osobiste. Zrobiło mi się szkoda starego Waystanda.

Następnego dnia złapałem kilka ryb w potoku i zająłem się rąbaniem szczap, bo stos drewna opałowego wydawał się przerzedzony. Na dźwięk siekiery wyszedł z domu Waystand i przyglądał mi się przez pewien czas przy pracy.

– Siły panu nie brakuje – powiedział w końcu – ale źle ją pan wykorzystuje. Nie tak się rąbie.

Oparłem się o siekiere z uśmiechem.

– Zna pan lepszy sposób?

– Jasne. – Rozstawił nogi, wziął siekiere, podniósł do góry niedbale i opuścił. Odszczepiło się jedno bierwiono, przy drugim uderzeniu następne i następne.

– Rozumie pan? – powiedział. – Wszystko zależy od ruchu nadgarstka. – Pokazał jeszcze raz powoli i oddał mi siekiere. – Niech pan spróbuje.

Rąbałem, jak mi pokazał i mimo że nie miałem wprawy, praca okazała się łatwiejsza.

– Zna się pan na tym – powiedziałem.

– U pana Trinavanta byłem kiedyś drwalem, ale później miałem wypadek. Przygniótł mnie trzydziestocentymetrowy pień i uszkodził kręgosłup. – Uśmiechnął się powoli. – Dlatego nie wrywam panu siekiery, rąbanie nie robi mi dobrze na kręgosłup.

Rąbałem przez pewien czas i zapytałem:

– Zna się pan na wartości drzewa?

– Trochę. Byłem sektorowym i przy okazji poznałem się trochę na szacowaniu wartości.

– Matterson wyczyszcza swoją część doliny Kinoxi – powiedziałem. – wycina nie tylko normalny dozwolony przez służbę leśną przydział, ale wszystko. Jaka jest pana zdaniem wartość drewna z kilometra kwadratowego?

Namyślał się przez pewien czas i w końcu powiedział: – Niecałe siedemset tysięcy dolarów.

– Czy nie sądzi pan – zapytałem – że panna Trinavant też coś powinna u siebie zrobić? Straci mnóstwo pieniędzy jeśli te drzewa zostaną zatopione.

Skinął głową.

– Wie pan, od śmierci Johna Trinavanta na tym terenie nigdy nie prowadzono wyrębu. W ciągu ostatnich dwunastu lat drzewa przybrały wagi i jest tu mnóstwo dojrzałego drewna, które już dawno powinno zostać zebrane. Moim zdaniem, jeśli przeprowadzić pełen wyrąb, to ten teren wart jest sześćset tysięcy dolarów za kilometr kwadratowy.

Gwizdnałem. Zbyt nisko oszacowałem jej straty. Pięć milionów zielonych to mnóstwo forsy. – Czy nie rozmawiał z nią pan na ten temat?

– Nie było jej tu, więc nie mogłem jej tego powiedzieć – wzruszył raczej ospale ramionami – a nie jestem zbyt mocny w pisaniu.

– Może lepiej ja do niej napiszę? – zasugerowałem. – Jaki jest jej adres? Waystand zastanowił się.

– Niech pan napisze na adres banku w Vancouver. Przekażą list dalej.– Podał mi adres banku.

Zostałem jeszcze do późnego popołudnia, narąbałem całe morze drewna przeklinając przy każdym uderzeniu Jimmiego Waystanda. Nie miał prawa zostawiać starego na pastwę losu. Widać było, że nie ma żadnej pani Waystand, a człowiek, szczególnie, jeśli ma kłopoty z kręgosłupem, nie powinien być sam.

Gdy odjeżdżałem, stary powiedział:

– Jeśli spotka pan mojego chłopaka, niech mu pan powie, że może wrócić kiedy tylko zechce. – Uśmiechnął się ponuro. – To znaczy, jeśli uda się panu podejść blisko, a on się na pana nie rzuci.

Nie mówiłem mu, że już spotkałem Jimmiego.

– Przekażę mu wiadomość, gdy go spotkam, a spotkam go na pewno.

– Słusznie pan zrobił, że go pan wtedy uderzył – powiedział Waystand. – Nie myślałem tak, gdy się to stało, ale z tego, co panna Trinavant później powiedziała zrozumiałem, że mu się należało. – Wyciągnął rękę. – Nie mam do pana żalu, panie Boyd.

– Ja też – powiedziałem i podaliśmy sobie ręce.

Wrzuciłem bieg i ruszyłem w drogę zostawiając Waystanda. Stał patrząc za mną i przez dłuższy czas widziałem w lusterku jego malejącą i raczej smutną postać.

Miałem dobry czas do Fort Farrell, ale gdy wjeżdżałem na wąską drogę do domku McDougall, było już ciemno. W połowie drogi, na środku ciasnego zakrętu, zatrzymał mnie zagrzebany w błocie samochód i tylko z dużą trudnością udało mi się precyzyjnie. Był to Lincoln Continental, krążownik wielkości okrętu wojennego, zupełnie nienadający się na taką drogę. Zawieszenie było zbyt niskie i musiał szorować brzuchem na każdym wyboju. Kłapa bagażnika była taka wielka, że mógłby na niej wylądować helikopter.

Przyśpieszyłem i zobaczyłem, że w oknach pali się światło. Sfatygowanego Chevroleta Maca nie było w zasięgu wzroku, zastanawiałem się, więc, kto mógł przyjechać z wizytą. Będąc z natury człowiekiem ostrożnym i nie wiedząc, jakie kłopoty mogły wyniknąć w czasie mojej nieobecności, zacumowałem po cichu i podkradłem się przez podwórze, żeby zanim wejść do środka zajrzeć przez okno.



Przed płonącym kominkiem siedziała spokojnie czytając książkę kobieta. Kobieta, której nigdy jeszcze nie widziałem.

## VI

Otworzyłem drzwi i nieznajoma podniosła głowę.

– Pan Boyd?

Przyjrzałem się jej. Wyglądała tak nie na miejscu w Fort Farrell jak modelka z Vogue. Wysoka, chuda i wyniszczona w sposób, który z nieznanym powodów uchodzi za szczyt elegancji, sprawiała wrażenie, jakby żywiła się tylko sałatą i chrupkim pieczywem – bez masła, a befszytk z ziemniakami zabiłby ją przeciążając nieprzywykły system pokarmowy. Od stóp do głów należała do świata, o którym mieszkańcy Fort Farrell niewiele wiedzą. Rozgrzany i rozpędzony świat lat sześćdziesiątych: proste i gładkie włosy, mini spódniczka, wysokie buty z grubej skóry. Nie był to mój ulubiony świat, ale jestem prawdopodobnie staromodny. W każdym razie, styl na podłotkę z pewnością raził u tej ponad trzydziestoletniej kobiety.

– Tak, nazywam się Boyd.

Wstała.

– Jestem Atherton – powiedziała. – Przepraszam za wtargnięcie do domu, ale w tych stronach jest to przyjęte.

Po akcencie doszedłem do wniosku, że jest Kanadyjką małpującą brytyjską wymowę.

– Co mogę dla pani zrobić, pani Atherton? – zapytałem.

– Ach, nie chodzi o to, co pan może zrobić dla mnie, ale o to, co ja mogę zrobić dla pana. Słyszałam, że pan tu zamieszkał i postanowiłam wpaść zapytać, w czym mogę pomóc. Taka dobrosąsiedzka wizyta.

Wyglądała równie dobrosąsiedzko jak Brigitte Bardot.

– To bardzo miło z pani strony, że się pani fatygowała – powiedziałem – ale nie wydaje mi się, żebym potrzebował pomocy. Jestem już dorosły, pani Atherton.

Spojrzała na mnie do góry.

– Nie wątpię – zauważyła z podziwem. – Ależ pan ogromny.

Zauważyłem, że poczęstowała się whisky Maca.

– Proszę jeszcze sobie nalać – zaproponowałem ironicznie.

– Dziękuję, chyba tak zrobię – odparła nonszalancko. – Pan też się napije?

Zapowiadało się, że pozbycie się jej będzie wymagać ciężkiej pracy. Nic nie można poradzić na natrętą kobietę, jeśli nie chce się jej wyrzucić, a to nie w moim stylu.

– Nie, raczej nie – odpowiedziałem.

– Proszę bardzo – stwierdziła i bez wahania wlała sobie pełną szklankę pieczołowicie przechowywanej przez Maca Islay Mist. – Długo pan zamierza zostać w Fort Farrell,

panie Boyd?

Usiadłem.

– Dlaczego pani pyta?

– No wie pan, nie zdaje pan sobie sprawy, z jaką niecierpliwością wyglądam każdej nowej twarzy w tej dziurze. Nie wiem, dlaczego jeszcze tu tkwię, naprawdę nie wiem.

– Czy pan Atherton pracuje w Fort Farrell? – zapytałem ostrożnie.

Roześmiała się.

– Nie ma żadnego pana Athertona, już nie ma.

– Przepraszam.

– Nie ma, za co przepraszać, drogi panie; on nie umarł, po prostu rozwiedliśmy się. – Założyła nogę na nogę i pozwoliła mi dobrze przyjrzeć się swoim udom, bo te mini spódniczki niewiele zakrywają. Jednak dla mnie kobiece kolano jest zjawiskiem anatomicznym, a nie publiczną rozrywką i marnowała tylko czas.

– Dla kogo pan pracuje? – zapytała.

– Na własny rachunek – wyjaśniłem – jako geolog.

– Ojej, ściśle wykształcenie. Lepiej niech mi pan o tym nie opowiada, na pewno dla mnie to grubo za mądre.

Zacząłem się zastanawiać nad sprawą sąsiedztwa. Dom Maca był położony zupełnie na uboczu i trzeba wyjątkowego Samarytanina, żeby jeździć po lesie pod Fort Farrell niosąc ulgę i pocieszenie, szczególnie, jeśli wymaga to utopienia Lincolna Continentala w błocie. Rola pani Atherton nie wyglądała zbyt przekonująco.

– Czego pan szuka, uranu? – zapytała.

– Może być uran. Cokolwiek, co się opłaci. – Zastanawiałem się, skąd jej przyszedł do głowy akurat uran. Coś mi zabręczało w głowie i na cały głos odezwał się dzwonek alarmowy.

– Słyszałam, że okoliczne tereny zostały wyjątkowo dobrze spenetrowane. Być może traci pan czas. – Zaśmiała się niepokojąco i obdarzyła mnie olśniewającym uśmiechem. – Ale nie znam się zupełnie na takich technicznych sprawach. Wiem tylko to, co mi ktoś powie.

Uśmiechnąłem się do niej z otuchą.

– Wie pani, wolę zaufać własnym oczom. Nie jestem zupełnie zielony, pani Atherton.

Rzuciła mi niewiarygodnie skromne spojrzenie.

– Nie mam, co do tego wątpliwości. – Jednym haustem pomniejszyła zawartość szklanki o jedną trzecią. – Czy interesuje się pan historią, panie Boyd?

Patrzyłem na nią niemo, zaskoczony zmianą tematu.

– Nie myślałem o tym wiele. Jaką historią?

Zakołysała szklanką.

– Mieszkając w Fort Farrell, coś trzeba robić, żeby nie zwariować - powiedziała. – Miałam na myśli, czy nie zapisze się pan do Towarzystwa Historycznego Fort Farrell. Przewodniczącą jest pani Davenant. Poznał ją pan może?

– Nie, nie poznałem. – Nie miałem zielonego pojęcia, do czego zmierza, ale jeśli pani Atherton interesuje się historią, to ja jestem lemurem z zaplecionym w koło ogonem.

– Nie wpadłby pan na to, ale jestem bardzo nieśmiała – oświadczyła. Miała cholerną rację; nigdy bym na to nie wpadł. – Nie chciałabym sama zapisywać się do Towarzystwa Historycznego. Wie pan, być nowicjuską wśród tych wszystkich starych wyg. Ale jeśli zrobić to razem z kimś, to ma się wtedy jakieś wsparcie i sprawy wyglądają inaczej.

– I chce się pani zapisać do towarzystwa historycznego razem ze mną?

– Podobno Fort Farrell ma bardzo ciekawą przeszłość. Czy wie pan, że miasto zostało założone przez porucznika Farrella w... no... wiele lat temu? I pomagał mu człowiek o nazwisku Trinavant, to właściwie rodzina Trinavantów zbudowała miasto?

– Czyżby? – zapytałem sucho.

– Szkoda tych Trinavantów – powiedziała lekko. – Cała rodzina zginęła niedawno temu. Czy to nie straszne, że rodzina, która zbudowała całe miasto w ten sposób znikła z powierzchni ziemi?

Znów zadzwonił mi w głowie sygnał, tym razem ogłuszająco. Od mojego przyjazdu do miasta pani Atherton była pierwszą osobą, która z własnej woli poruszyła temat Trinavantów. Wszystkim pozostałym musiałem w tym pomagać. Przebiegłem w myślach wszystko, co powiedziała dotychczas i uświadomiłem sobie, że najpierw próbowała zniechęcić mnie w niezbyt subtelny sposób do badań geologicznych, oraz podjęła temat uranu. Wcześniej próbowałem zmylić robotników przy zaporze mówiąc, że zajmuję się poszukiwaniem uranu.

– Z pewnością jednak nie cała rodzina zginęła – powiedziałem. – Żyje chyba jeszcze panna Clare Trinavant?

Wydawała się zaskoczona.

– Chyba tak – przyznała układnie – ale słyszałam, że nie jest prawdziwą Trinavant.

– Czy znała pani Trinavantów? – zapytałem.

– O tak – odparła skwapliwie, zbyt skwapliwie. – Bardzo dobrze znałam Johna Trinavanta.

Postanowiłem sprawić jej zawód i wstałem.

– Przykro mi, pani Atherton. Nie wydaje mi się, żebym był zainteresowany miejscową historią. Zajmuję się sprawami technicznymi i to nie moja działka. – Uśmiechnąłem się. – Może gdybym zamierzał zapuścić korzenie w Fort Farrell, zająłbym

się poznaniem historii miasta, ale nie prowadzę osiadłego trybu życia, przenoszę się z miejsca na miejsce.

Spojrzała na mnie niepewnie.

– To nie zostanie pan w Fort Farrell na dłużej?

– To zależy od tego, na co trafię. Z pani słów wynika, że nie ma tu za bardzo, czego szukać. Nawet negatywne wskazówki są dla mnie cenne i bardzo dziękuję za okazane zainteresowanie.

Wydawała się zagubiona.

– Czyli że nie zapisze się pan do towarzystwa – powiedziała niepewnie. – Nie jest pan zainteresowany porucznikiem Farrellem i Trinavantami i... ehm... i innymi założycielami miasta?

– A dlaczegoż miałbym być zainteresowany? – odparłem zdziwiony.

Wstała.

– Oczywiście, rozumiem. Mogłam się tego spodziewać. No cóż, panie Boyd, niech pan prosi, o co pan chce, a postaram się panu pomóc jak potrafię.

– Gdzie można się z panią skontaktować? – zapytałem łagodnie.

– Och... hmm... recepcjonista w hotelu Matternsona będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

– Jestem pewien, że odezwę się do pani z prośbą o pomoc – powiedziałem i podniosłem udrapowane na krześle futro. Pomogłem jej się ubrać i wtedy zauważyłem leżącą na kominku kopertę. Była zaadresowana do mnie.

Otworzyłem ją i znalazłem w środku wiadomość od McDougalla -"PRZYJEDŹ DO MIESZKANIA, GDY TYLKO WRÓCISZ, MAC".

– Będzie pani potrzebowała trochę pomocy, żeby wydobyć swój wóz na szosę – powiedziałem. Wezmę Land-Rovera i podholuję panią.

Uśmiechnęła się.

– Wygląda na to, że pomaga mi pan więcej niż ja panu, panie Boyd. – Zachwiała się na wysokich obcasach i na chwilę przywarła do mnie.

Uśmiechnąłem się do niej.

– To tylko sąsiedzka przysługa, pani Atherton, tylko sąsiedzka przysługa.

2

Zatrzymałem się przed ciemnym o tej porze biurem redakcji „Recordera” i zobaczyłem, że w mieszkaniu na górze palą się światła, a gdy wszedłem, zatkało mnie ze zdumienia.

Na wielkim fotelu na przeciwko drzwi siedziała Clare Trinavant, a całe mieszkanie pokrywała walająca się na podłodze powyrzucana zawartość szaf i półek. Gdy otworzyłem drzwi, McDougall odwrócił się w moją stronę i stanął nieruchomo z naręczem koszul.

Clare spojrzała na mnie bez wyrazu.

– Cześć, Boyd.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Witamy w domu, Trinavant. – Zaskoczyło mnie, że tak się ucieszyłem na jej widok.

– Mac powiedział, że należą się panu przeprosiny – rzekła.

Zmarszczyłem brwi.

– Nie wiem, za co miałyby pani przeproszać.

– Mówiłam bardzo nieprzyjemne rzeczy na pana temat, gdy wyjechał pan z Fort Farrell. Dopiero teraz dowiedziałam się, jak bardzo nie miałam racji, że to Howard Matterson i Jimmy Waystand razem ukartowali obrzydliwą intrygę. Przykro mi z tego powodu.

Wzruszyłem ramionami.

– To dla mnie bez znaczenia. Przykro mi tylko, że się to pani musiało przytrafić.

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Ma pan na myśli moją reputację? W Fort Farrell nie mam żadnej reputacji. Jestem tu uważana za dziwną kobietę, która jeździ za granicę, wykopuje garnki i woli się bratać z brudnymi Arabami, zamiast żyć w spokoju wśród dobrych chrześcijan.

Rozejrzałem się wskazując na panujący wokół bałagan.

– Co się tu dzieje?

– Właśnie zostałem wywalony – powiedział rzeczowo McDougall. – Jimson zapłacił mi dziś po południu i kazał do rana wynieść się z mieszkania. Chciałbym skorzystać z Land-Rovera.

– Jasne – powiedziałem. – Przykro mi, Mac.

– Mnie nie – odparł. – Musiałeś trafić starego Bulla w bolesne miejsce.

Spojrzałem na Clare.

– Co cię tu sprowadza? Właśnie miałem zamiar pisać do ciebie list. Na twarzy pojawił się jej dziecinny uśmiech.

– Czy pamiętasz tę historię, którą kiedyś mi opowiedziałeś? O facecie, który wysłał do dwunastu swoich przyjaciół telegram „Uciekaj, wszystko się wydało”? – Skinęła głową w stronę Maca i włożyła rękę do kieszeni tweedowej spódnicy. – Pewien podrabiany Szkot, który nazywa się Hamish McDougall również potrafi wysłać taki telegram. – Rozwinęła kartkę papieru i odczytała głośno: – „JEŚLI CHCESZ MIEĆ CZYSTE SUMIENIE, PRZYJEŹDŹAJ NATYCHMIAST”. Jak ci się to podoba jako zachęta do

powrotu?

– Sprowadziło cię to błyskawicznie – przyznałem – ale to nie był mój pomysł.

– Wiem, Mac mi wyjaśnił. Byłam w Londynie, przeglądałam literaturę w British Museum. Mac wiedział gdzie mnie znaleźć. Przyleciałam pierwszym samolotem. Siadaj, Bob – zaprosiła mnie gestem. – Mamy do omówienia kilka ważnych spraw.

Gdy przysuwałem krzesło, Mac powiedział:

– Opowiedziałem jej o tobie, synu.

– Wszystko?

Skinał głową.

– Musiała wiedzieć. Uważam, że miała prawo wiedzieć. John Trinavant był jej najbliższym krewnym, a ty byłeś w Cadillacu, gdy zginął.

Nie bardzo mi się to spodobało. Opowiedziałem Macowi swoją historię w zaufaniu i niechętnie widziałem jej rozprowadzenie. Historia mojego życia nie jest łatwa do zaakceptowania dla kogoś obcego.

Clare zobaczyła wyraz mojej twarzy.

– Nie martw się, obiecałam Macowi, że dalej się to nie rozejdzie. Teraz po kolei: o czym chciałeś do mnie napisać?

– O lesie na twojej ziemi w północnej części doliny Kinoxi. Czy wiesz ile jest wart?

– Nie zastanawiałam się nad tym zbyt długo – przyznała. – Nie obchodzi mnie wyrąb lasu. Wiem tylko, że Matterson nie na tym nie zarobi.

– Sprawdziłem ze starym Waystandem – rzekłem. – Potwierdził moje szacunki, a raczej powiedział, że zaniżyłem wartość. Jeśli nie zetniesz tych drzew, stracisz pięć milionów dolarów.

Otworzyła szeroko oczy.

– Pięć milionów dolarów! – westchnęła. – Ależ to niemożliwe.

– A co w tym niemożliwego? – spytał Mac. – To wyrąb całego lasu, Clare, wszystkich drzew. Posłuchaj, gdy Bob mi o tym powiedział, sprawdziłem w specjalistycznej literaturze. Normalne zezwolenia na wyrąb wydawane przez służbę leśną są ściśle ograniczone. Można wycinać tylko pół procenta dojrzałej masy drzewnej, co daje około trzy tysiące dolarów z kilometra kwadratowego. Kinoxi jest teraz golone do gołej ziemi, tak jak to robiono na początku dwudziestego wieku. Bob ma rację.

Na jej policzkach pojawiły się różowe plamy.

– Co za skurwysyński oszust – powiedziała zawzięcie.

– Kto?

– Donner. Proponował dwieście tysięcy dolarów za prawo wyrębu, ale mu powiedziałam, żeby poszedł się utopić w jeziorze Mattersonów, gdy tylko będzie

odpowiednio głębokie.

Spojrzałem na Maca, który wzruszył ramionami.

– To właśnie cały Donner.

– Chwileczkę, czy w ogóle próbował podnieść cenę?

Potrząsnęła głową.

– Nie zdążył. Wyrzuciłam go z domu.

– Jeśli tylko Matterson będzie w stanie coś zdziałać, nie pozwoli zatopić lasu – stwierdziłem. – Przynajmniej, jeśli spodziewa się zarobku. Mogę się założyć, że niedługo pojawi się z następną ofertą. Ale nie bierz nawet pensa poniżej czterech milionów, Clare. I tak da mu to wystarczający zysk.

– Nie wiem co robić – powiedziała. – Nie mam ochoty paść Mattersona swoimi pieniędzmi.

– Nie bądź sentymentalna. Wyciągnij z niego ile tylko się da, a gdy już będziesz miała pieniądze w garści, zastanów się jak go przycisnąć. Jeśli ktoś nie lubi Mattersona, to mając kilka wolnych milionów może mu narobić mnóstwo kłopotów. Jeśli uważasz, że to brudne pieniądze, nie musisz ich trzymać.

– Masz oryginalny sposób myślenia, Bob – roześmiała się.

Uderzyła mnie pewna myśl.

– Czy któreś z was zna panią Atherton?

Brwi Maca zaczęły unosić się do góry jak dwie białe gąsienice aż dotknęły linii włosów nad czołem.

– Lucy Atherton? A gdzie do diabła na nią trafiłeś?

– U ciebie w domu.

Oniemiał na chwilę i nadał się jak indor. Spojrzałem na Clare.

– Lucy Atherton jest siostrą Howarda. Należy do rodziny Mattersonów – wyjaśniła.

Nagle w jednym błysku olśnienia pojąłem co się stało.

– A więc o to jej chodziło. Próbowała wywiedzieć się jak bardzo jestem zainteresowany Trinavantami. Wiele nie osiągnęła.

Opowiedziałem im o spotkaniu z panią Atherton, a gdy skończyłem Mac podsumował:

– Mattersonowie są sprytni. Wiedzieli, że nie będzie mnie w domu, bo muszę się tu pakować, a ty nie masz pojęcia, kim ona jest. Stary Bull wysłał ją na rekonesans.

– Powiedz mi o niej coś więcej.

– Jest akurat między dwoma małżeństwami. Atherton był chyba jej drugim mężem i rozwiodła się z nim jakieś sześć miesięcy temu. Dziwne, że nadal się tu kręci. Najczęściej krąży między Nowym Jorkiem, Miami i Las Vegas. Z tego, co o niej



słyszałem, jest chyba nimfomanką.

– To pozerająca mężczyzn jędza – stwierdziła beznamiętnie i cicho Clare.

– Istotnie. Gdy wyciągałem Continentala z błota musiałem się cholernie namęczyć, żeby uniknąć zgwałcenia. Rzecz nie w tym, że nie interesuję się kobietami, ale jest tak cholernie chuda, że można się na śmierć pokaleczyć na jej wystających kościach, a poza tym czasami sam lubię podejmować decyzje.

– Czyli wiemy już na pewno, że Bull zaczyna się niepokoić – rzekł z satysfakcją Mac.

– Dziwne tylko, że nie obchodzi go, czy my o tym wiemy, czy nie. Domyślił się przecież, że zapytasz mnie o Atherton.

– Zastanowimy się nad tym innym razem – stwierdziłem. – Robi się późno i trzeba przewieźć to wszystko do domu.

– Lepiej pojedź z nami, Clare – powiedział Mac. – Możesz spać w łóżku Boba, a młody człowiek prześpi jedną noc w lesie.

Clare stuknęła mnie palcem w tułów i zrozumiałem, że coraz lepiej przychodzi jej odczytywanie wyrazu mojej twarzy.

– Sama się będę troszczyć o swoją reputację, Boyd. Może myślałeś, że mam zamiar nocować w hotelu Mattersona? – zapytała jadownicie.

### 3

Podjeżdżając pod domu głośno zmieniłem biegi i dał się słyszeć szelest liści, gdy coś ciężkiego chowało się w zaroślach.

– Dziwne – powiedział zaskoczony Mac. – W tej okolicy nigdy nie było jeleni.

Światła reflektorów wyrwały z mroku front domu i zobaczyłem jakąś postać chowającą się za drzewa.

– To nie żaden jeleni – rzuciłem i wyskoczyłem zanim jeszcze Land-Rover na dobre stanął w miejscu. Pobiegłem za uciekającym, ale zatrzymałem się słysząc dobiegający z tyłu dźwięk tłuczonego szkła i zawróciwszy rzuciłem się do domu. W drzwiach zderzyłem się z kimś, kto chciał wybiec na dwór, ale mężczyznę mojej wagi nie jest łatwo zatrzymać, więc samą siłą bezwładności wepchnąłem go z powrotem do środka.

Wycofał się i znikł w ciemnym wnętrzu, a ja sięgnąłem do kieszeni po zapalki. Nagle jednak poczułem jak dławi mnie kwaśny odór nafty. Opary były tak gęste, że zdałem sobie sprawę, że cały dom musi dosłownie tonąć w nafcie i zapalenie zapalki byłoby jak zapalenie cygara w magazynie prochu.

W ciemności coś się poruszyło i jednocześnie zza drzwi wejściowych usłyszałem kroki Maca.

– Nie wchodź tu, Mac – krzyknąłem.

Oczy przyzwyczajały się do panujących ciemności i w tylnej ścianie pomieszczenia dostrzegłem jaśniejszy ślad okna. Przyklęknąłem na jedno kolano i powoli się rozejrzałem. W pewnej chwili jaśniejsza plama na krótko znikła, gdy ktoś przesunął się na jej tle. Zobaczyłem go. Przesuwał się z lewej strony na prawą, próbując niezauważenie dotrzeć do drzwi. Rzuciłem się tam, gdzie powinny znajdować się jego nogi. Złapałem go i oparł się na mnie, ale nie udało mi się przewrócić go na podłogę.

Nagle poczułem w ramieniu ostry ból i puściłem jego nogi. Zanim zdążyłem przetoczyć się na bok, dostałem butem w twarz. Gdy dotarłem do drzwi, słychać już było tylko cichnący w lesie odgłos kroków i zobaczyłem, że Clare nachyliła się nad leżącą postacią.

Był to Mac. Gdy się zbliżyłem, podniósł się chwiejnie na nogi.

– Co z tobą?

Trzymał się za brzuch.

– On... tylko uderzył... mnie – wysapał boleśnie. – Straciłem oddech.

– Nie przejmuj się – rzekłem.

– Wnieśmy go lepiej do domu – powiedziała Clare.

– Nic z tego – zaoponowałem zdecydowanie. – Dom w każdej chwili może wybuchnąć jak bomba. Przynieś latarkę z samochodu, Clare. Powinna być w kabinie.

Clare poszła do Land-Rovera, a Mac z moją pomocą przeszedł kilka kroków do leżącego pnia i usiadł z trudnością. Dyszał jak stary parowóz i kląłem tego, kto go tak urządził. Wróciła Clare z latarką i skierowała strumień światła na mnie.

– Boże! – krzyknęła – co ci się stało w twarz?

– Ktoś po niej przeszedł. Daj mi tę latarkę. – Wszedłem do domu i rozejrzałem się. Smród nafty przyprawiał o mdłości i w świetle latarki zrozumiałem, dlaczego: wszystko było powywracane, prześcieradła i koce zerwane z łóżek, materace pocięte nożami, a ze środka wywleczono siano. Wszystko razem leżało oblane naftą na stosie po środku pokoju. Podłoga pływała.

Zabrałem benzynową latarnię, kilka puszek ze spizarni i dołączyłem do pozostałych.

– Musimy przenocować na dworzu – oświadczyłem. – W domu jest zbyt niebezpiecznie i najpierw trzeba będzie wszystko posprzątać. Dobrze, że nie rozpakowałem samochodu, mamy dzięki temu koce.

Mac czuł się lepiej i oddychał swobodniej.

– Co z domem? – zapytał.

Powiedziałem mu i przeklinał dopóty, dopóki nie przypomniał sobie, że Clare cały czas podtrzymuje go za ramię.

– Przepraszam – wymamrotał – uniosłem się trochę.

Zaśmiała się nisko.

– Od śmierci wujka Johna nie słyszałam takich przekleństw. Kto to mógł zrobić, Bob?

– Nie wiem, nie widziałem niczyjej twarzy. Ale Mattersonowie działają szybko. Pani Atherton złożyła sprawozdanie i stary Matterson nie czekał.

– Lepiej zgłosić to na policję – powiedziała.

– Wiele nam to da – parsknął Mac. – Gibbons to dobry facet, ale zanim chociażby w ogóle porozmawia z Mattersonem będzie potrzebował dowodów, a jakie masz dowody? Nic, co Gibbons mógłby wykorzystać.

– Rozbijmy obóz i wtedy porozmawiamy. I lepiej nie za blisko domu – Powiedziałem.

Rozbiliśmy się na polanie pięćset metrów dalej. Zaświeciłem lampę i zająłem się rozpalaniem ogniska. Bolało mnie lewe ramię, a gdy przyłożyłem do niego rękę, pobrudziłem się krwią.

– Co się stało? – zapytała niespokojnie Clare.

Zaskoczony spojrzałem na krew.

– Boże, chyba dostałem nożem!

4

Następnego dnia rano zostawiłem Clare i Maca przy sprzątanii i pojechałem do Fort Farrell. Rana barku nie była zbyt poważna, czyste przecięcie mięśnia, które Clare bez większych kłopotów zabandażowała. Ręka bolała i była trochę sztywna, ale gdy ustało krwawienie, nie przeszkadzało mi to zbytnio.

– Dokąd jedziesz? – zapytał Mac.

– Z wizytą – odparłem krótko.

– Nie pchaj się w kłopoty, słyszysz?

– Nie ja będę miał kłopoty – obiecałem.

Pompa paliwa nawalała, zostawiłem, więc Land-Rovera u Clare Summerskilla i udałem się piechotą na posterunek policji tylko po to, żeby dowiedzieć się, że sierżanta Gibbonsa nie ma w Fort Farrell. Nie było w tym nic dziwnego. Zazwyczaj posterunkowy Królewskiej Konnej Policji w głębi kraju ma do obsłużenia dużą parafię, a rejon Gibbonsa należał do wyjątkowo rozległych.

Policjant na posterunku wysłuchał, co miałem mu do powiedzenia i zmarszczył brwi, gdy dowiedział się o pchnięciu nożem.

– Czy rozpoznał pan tych ludzi?

Potrząsnąłem głową.

– Było zbyt ciemno.

– Czy pan, albo pan McDougall, ma wrogów?

– Może się okazać, że ludzie ci są zatrudnieni u Mattersonów – powiedziałem ważąc słowa.

Twarz policjanta zamknęła się, jakby ktoś zaciągnął zasłonę.

– Ponad połowa Fort Farrell – powiedział ostrożnie – pracuje dla Mattersonów. Dobrze, panie Boyd, przyjrzę się sprawie. Byłbym zobowiązany, gdyby złożył pan powiadomienie na piśmie.

– Przyślę je panu – powiedziałem zniechęcony.

Najwyraźniej nic nie zdziałam bez oczywistych dowodów.

– Kiedy spodziewa się pan powrotu sierżanta Gibbonsa?

– Za kilka dni, dopilnuję, żeby dowiedział się o pańskiej sprawie.

Nie wątpię, pomyślałem gorzko. Policjant z ulgą przerzuci taką gorącą sprawę na swego przełożonego. Sierżant przeczyta moją skargę, powęszy dookoła, nic nie znajdzie i da spokój. Trudno mu to zresztą mieć w tych okolicznościach za złe.

Opuściłem posterunek i poszedłem do biurowca Mattersonów po drugiej stronie ulicy. Pierwszą osobą, na którą natrafiłem w holu, była pani Atherton.

– Witam – zawołała radośnie. – Dokąd pan idzie?

Spojrzałem jej w oczy.

– Idę na górę wyrwać pani braciszкови jaja.

Zachichotała zimno po swoimemu.

– Na pana miejscu dałabym spokój; zatrudnił ochronę. Nie uda się panu do niego zbliżyć. – Spojrzała na mnie badawczo. – A więc stary Szkot opowiedział panu o mnie.

– Same nieprzyjemne rzeczy – rzekłem.

– Naprawdę zostawiłabym Howarda w spokoju – powiedziała, gdy ruszyłem do windy. – Skok z ósmego piętra nie wyszedłby panu na zdrowie. Ponadto stary chce pana widzieć. Dlatego tu jestem, czekałam na pana.

– Bull Matterson chce mnie widzieć?

– Tak jest. Posłał mnie po pana.

– Jeśli chce się ze mną spotkać, to jestem dostatecznie często w mieście – powiedziałem. – Znajdzie mnie bez trudu.

– Czy to ładnie tak traktować starszego człowieka? – zapytała. – Mój ojciec ma siedemdziesiąt siedem lat, panie Boyd. Nie bywa ostatnio zbyt często w mieście.

Potarłem policzek.

– Nie musi, prawda? Inni biegają za jego sprawami. Dobrze, pani Atherton. Spotkam

się z nim.

Uśmiechnęła się słodko.

– Wiedziałam, że się pan zgodzi. Mam samochód przy wejściu.

Wsiedliśmy do Lincolna i wyjechaliśmy z miasta w kierunku południowym. Najpierw myślałem, że kierujemy się do Lakeside, czyli miejscowego odpowiednika podmiejskiego osiedla dla bogatych, gdzie mieszkają wszyscy dyrektorzy Matterson Corporation, ale minęliśmy je jadąc dalej na Południe. Zdałem sobie sprawę, że Bull Matterson nie jest po prostu jednym z dyrektorów i nie uważa się zapewne jedynie za członka wyższej warstwy społeczeństwa. Jest królem i powinien mieszkać w odpowiedniej dla siebie rezydencji.

Po drodze pani Atherton nie mówiła wiele, przynajmniej od chwili, gdy ordynarnie ją usadziłem. Nie byłem w nastroju do przyjaznych pogawędek i dałem jej to jasno do zrozumienia. Nie sprawiała wrażenia zmartwionej. Palila papierosa za papierosem i trzymała kierownicę jedną ręką. Kobieta w mini prowadząca wielki samochód silnie oddziałuje na wyobraźnię, co również jej nie martwiło. Najwyraźniej jednak wolała sądzić, że jestem tym zakłopotany, bo co jakiś czas spoglądała na mnie spod oka.

Rezydencja Mattersona stanowiła kopię francuskiego zamku, trochę tylko większą od Chateau Frontenac w Quebecu i pozwalała domyśleć się, jakiego rodzaju człowiekiem jest jej właściciel. Zawsze myślałem, że przemysłowi magnaci w typie Jima Friska, zdolni najpierw do ogołocenia jakiegoś przedsiębiorstwa czy linii kolejowej po to, żeby następnie móc sprowadzić sobie z Europy średniowieczny zamek lub pałac, wymarli w dziewiętnastym wieku. Niewiarygodne, że ten typ ludzi istnieje do dziś, jednak przerośnięte zamczysko, do którego właśnie się zbliżaliśmy, było tego wyraźnym dowodem.

Weszliśmy do niewiele mniejszego niż średniej wielkości boisko piłkarskie holu, obstawionego zbrojami i innym śmieciem. A może zbroje były autentyczne? Nie miałem pojęcia, ale w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia; fałszywe czy nie, świadczyły o charakterze Mattersona. Ominąwszy rozłożystą klatkę schodową, wsiedliśmy do upchniętej dla niepoznaki w rogu windy. Winda nie była zbyt wielka, a gdy jechaliśmy na górę, pani Atherton starała się skorzystać z okazji. Przycisnęła się do mnie mówiąc z wyrzutem:

– Nie jest pan dla mnie zbyt miły, panie Boyd.

– Nie czuję się zbyt dobrze w towarzystwie jadowitych żmij – stwierdziłem.

Uderzyła mnie, więc jej oddałem. Nie mam nic przeciwko gadaniu o delikatności w sprawach płci tak długo, jak długo kobieta sama się zachowuje delikatnie. Jeśli jednak zaczyna się szarpać, to całe to gadanie na nic się nie zda. Nie można mieć przecież wszystkiego na raz. Nie uderzyłem jej silnie, tak tylko, żeby zadzwoniły jej zęby. Nie

spodziewała się tego i spojrzała na mnie w konsternacji. W jej świecie wali się mężczyźni po buzi na okrągło i przyjmują to jak dzentelmeni, ale oto jeden z biednych zahipnotyzowanych królików nie poddał się i ośmielił się ugryźć.

Drzwi windy otworzyły się bezszelestnie. Wybiegła i wskazała w głąb korytarza.

– Idź tam i niech cię szlag trafi – wyszczała chrapliwie i pobiegła w przeciwnym kierunku.

Otworzyły się drzwi wytapetowanego książkami i przytłaczającego jak grobowiec gabinetu. Niejedną dobrą krowę zarżnięto na okładki do stojących tam książek i zaciekało mnie, czy błyszczą delikatnym brązem, dlatego, że często się do nich zagląda, czy dlatego, że pucybut przejeżdża po nich, co rano szczotką przy okazji czyszczenia butów swojego pana. Na przeciwległej ścianie wysokie okna sięgały od podłogi do sufitu, a między oknami stało potężne biurko pokryte zieloną skórą ze złoceniami na rogach.

Za biurkiem siedział mężczyzna, Bull Matterson.

Wiedziałem, że jest o pięć lat starszy od McDougalla, ale czerstwy mężczyzna ze szczeciniastym, lecz krótkim wojskowym wąsem barwy, tak jak i włosy, świeżo odlanego żeliwa wyglądał, jakby był o pięć lat młodszy od Maca. Był wysoki, szeroki w barach, z potężną klatką piersiową o mięśniach, które nie zamieniły się wcale w tłuszcz. Najwidoczniej nie zarzucił gimnastyki. Jediną oznaką podeszłego wieku były ciemne wątrobiane plamy na wierzchu dłoni i przygaszony blask niebieskich oczu.

– Niech pan siada, panie Boyd – pokazał ręką. – Tak się pan nazywa, prawda?

– Tak się nazywam – potwierdziłem. – I chyba postoję. Nie sądzę, żebym został tu długo.

– Jak pan sobie życzy – powiedział nieco chłodno. – Zaprosiłem tu pana z pewnego powodu.

– Mam nadzieję – powiedziałem.

Cień uśmiechu przemknął po stalowej twarzy.

– Mówię głupstwa – zgodził się. – Ale niech się pan nie obawia, nie jestem stetryczalym staruszką. Chcę wiedzieć, co pan robi w Fort Farrell.

– Wszyscy naokoło chcą to wiedzieć – rzekłem. – Nie wydaje mi się, żeby to była pana sprawa, panie Matterson.

– Czyżby? Zaczyna pan grzebać w mojej ziemi i myśli pan, że to nie moja sprawa?

– Ziemi państwowej – uściśliłem.

Z irytacją machnął ręką na to rozróżnienie.

– Co pan tu robi, panie Boyd?

– Próbuję zarobić na życie.

Przyjrzał mi się z namysłem.

– Nic pan nie osiągnie próbując mnie szantażować, młody człowieku. Lepszy próbowali, ale nikomu się nie udało.

Podniosłem brwi.

– Szantaż! O nic pana nie prosiłem, panie Matterson i nie mam zamiaru o nic prosić. Gdzie tu miejsce na szantaż? Może mieć pan różne tajemnice, panie Matterson, ale nie obchodzi mnie, ile można na nich zarobić.

– Dlaczego interesuje się pan Johnem Trinavantem? – zapytał wprost.

– A co to pana obchodzi?

Trzasnął pięścią w masywny blat i całe biurko podskoczyło.

– Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, smarkaczu!

Nachyliłem się nad biurkiem.

– Na Boga, za kogo się pan uważa? I za kogo uważa pan mnie? – Nagle usiadłem bardzo spokojnie. – Nie jestem jednym z mieszkańców Fort Farrell, których wmanewrował pan w milczenie. Myśli pan, że nie ruszę palcem, gdy próbuje pan spalić staremu człowiekowi dom?

Twarz pokryła mu się szkarłatem.

– Czy oskarżasz mnie o podpalenie, młody człowieku?

– Dokładniej, o próbę podpalenia – powiedziałem. – Nie udało się.

Odchylił się do tyłu.

– A czyj to dom miałbym próbować podpalić?

– Nie wystarczyło panu wyrzucenie starego McDougalla z pracy tylko, dlatego, że pana zdaniem zadaje się z niewłaściwymi ludźmi, próbował pan...

Podniósł rękę.

– Kiedy ta tak zwana próba podpalenia miała miejsce?

– Tej nocy.

Nacisnął guzik.

– Przyślij tu moją córkę – powiedział szorstko do ukrytego mikrofonu. – Panie Boyd, zapewniam pana, że nie podpalam domów. A jeśli bym podpalał, to tak, że spaliłyby się na popiół, nie ma mowy o żadnych zaważonych próbach. A teraz, wróćmy do tematu. Dlaczego interesuje się pan Johnem Trinavantem?

– Może interesuje mnie przeszłość kobiety, z którą zamierzam się ożenić? – Powiedziałem to pod wpływem chwili, ale w gruncie rzeczy pomysł nie był taki zły.

– Aha, łowca posagów – parsknął.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Jeśli byłbym łowcą posagów, to zarzuciłbym sieć na pana córkę – zwróciłem uwagę

– ale mam za słaby żołądek.

Nie dowiedziałem się, co by na to odpowiedział, bo w tej chwili do pokoju weszła Lucy Atherton. Matterson obrócił się i spojrzał na nią.

– W nocy dokonano próby podpalenia domu McDougalla – powiedział. – Kto to zrobił?

– Skąd mogę wiedzieć? – zapytała opryskliwie.

– Nie kłam Lucy – powiedział ochryple. – Nigdy nie byłaś w tym dobra. Spojrzała na mnie z niechęcią i wzruszyła ramionami.

– Mówię ci, że nie wiem.

– Czyli że nie wiesz – powiedział Matterson. – Niech tak będzie. Kto wydał rozkaz, ty, czy Howard? I nie przejmuj się obecnością Boyda. Mów prawdę, słyszysz?

– No, więc, niech będzie, że to ja – wybuchła. – Wtedy myślałam, że to dobry pomysł. Wiedziałam, że chciałeś się pozbyć stąd Boyda.

Matterson przyjrzał się jej z niedowierzaniem.

– I myślałaś, że wypłosisz go paląc dom starego Maca? Wychowałem imbecyla. Czegoś tak głupiego jeszcze nie słyszałem! – Wyciągnął rękę i wskazał na mnie. – Spójrz na tego człowieka. Postanowił zaatakować Matterson Corporation i już zaczął zaciskać pętlę wokół Howarda. Czy wydaje ci się, że spalenie jakiegoś domku spowoduje, że da spokój?

Nabrała powietrza.

– Tato, ten człowiek mnie uderzył.

– Dopiero, gdy ona uderzyła mnie. – Uśmiechnąłem się.

Matterson nie zwrócił na mnie uwagi.

– Lucy, nie jesteś jeszcze na tyle damą, żebym nie mógł spuścić ci lania. Powinienem to zrobić już dawno temu. A teraz wynoś się stąd w podskokach. – Poczekał, aż znajdzie się koło drzwi. – I pamiętaj, dość sztuczek. Załatwię to po swoim.

Trzasnęła drzwiami.

– Pana metody są oczywiście legalne – powiedziałem.

Przyjrzał mi się nabiegłymi krwią oczami. – Wszystko, co robię, jest legalne. – Uspokoił się i wyjął książeczkę czekową z szuflady. – Przykro mi z powodu domku McDougalla, to nie w moim stylu. Jakie są straty?

Zastanowiłem się, że to ja zrobiłem Clare wykład na temat sentymentalizmu. A ponadto, Macowi należały się te pieniądze.

– Tysiąc dolarów powinno wystarczyć – powiedziałem. I dodałem: – jest jeszcze sprawa mojego zniszczonego Land-Rovera.

Spojrzał na mnie spod stalowych brwi.



– Nie próbuj szantażu – Powiedział zimno. – Co to za historia?

Opowiedziałem mu, co się stało na drodze do doliny Kinoxi.

– Howard kazał Waystandowi pozbyć się mnie, a Waystand zrobił to na swój sposób.

– Wygląda na to, że wychowałem całą rodzinę głupków – mruknął i wypisawszy czek, rzucił go przez biurko. Na 3000 dolarów.

– Ostrzegł pan swoją córkę – powiedziałem. – A co z Howardem? Jeszcze jedna sztuczka i dorobi się guza, sam tego dopilnuję.

Matterson ocenił mnie spojrzeniem.

– Prawdopodobnie poradziłby pan sobie z nim, nie jest to takie trudne. – W jego głosie czuło się obrzydzenie wobec własnego syna i przez chwilę zrobiło mi się go żal. Podniósł słuchawkę. – Daj mi biuro Howarda w korporacji.

Zakrył mikrofon ręką.

– Nie robię tego dla Howarda, Boyd. Mam zamiar się pozbyć pana, ale zrobię to zgodnie z prawem i nieodwołalnie.

Telefon zatrzeszczał.

– Howard? Posłuchaj uważnie. Zostaw Boyda w spokoju. Nie rób nic, ja sam się tym zajmę. Jasne, że będzie jeździł nad zaporę, ma do tego pełne prawo, ale co właściwie może tam zrobić? Po prostu zostaw go w spokoju, zrozumiałeś? Powiedz, czy miałeś coś wspólnego z tą sprawą w domu McDougalla ostatniej nocy? Nie wiesz, o co chodzi? No to zapytaj swoją głupią siostrę.

Cisnął słuchawkę na widełki i spojrzał na mnie twardo.

– Czy to wystarczy?

– Jasne – powiedziałem. – Nie szukam kłopotów.

– Będzie pan je miał – obiecał. – O ile nie wyniesie się pan z Fort Farrell. Z taką przeszłością, bez trudności znajdzie się pan w pudle.

Nachyliłem się nad biurkiem.

– Z jaką przeszłością, panie Matterson? – zapytałem miękko.

– Wiem kim pan jest – powiedział grobowym głosem. – Nowa twarz mnie nie oszukała, Grant. Masz pan kartotekę policyjną długości mojego ramienia. Przestępstwa, kradzież, handel narkotykami, napaść. I jeśli choć raz zrobi pan coś niezgodnego z prawem w Fort Farrell, natychmiast pana wsadzę. Nic tu nie kombinuj, Grant. Zostaw wszystko tak jak jest, a będziesz bezpieczny.

Odetchnąłem głęboko.

– Kładzie pan kawę na ławę, prawda?

– Zawsze tak robiłem, i nigdy nikogo nie ostrzegałem więcej niż jeden raz – powiedział zdecydowanie.

– A więc kupił pan sierżanta Gibbonsa.

– Nie bądź pan głupi – powiedział Matterson. – Nie muszę kupować policjantów, bo i tak są po mojej stronie. Gibbons będzie działać zgodnie z prawem, a pan jesteś zapisany na czarnej liście.

Ciekaw byłem skąd wie, że jestem Grantem i wtedy nagle zrozumiałem, kto zatrudnił niegdyś prywatnego detektywa. Ale Matterson nie wynająłby detektywa, gdyby nie czuł się zagrożony. Zrozumiałem, że nadal coś ukrywa i zebrałem się na odwagę, żeby powiedzieć:

– Do diabła z panem, Matterson. Zrobię, co zechcę.

– No to szkoda mi pana – powiedział ponuro. – Posłuchaj, chłopcze, trzymaj się od tego z dala. Nie zwracaj sobie głowy sprawami, które ciebie nie dotyczą. – W jego głosie dał się słyszeć szczególny ton. Gdyby chodziło o kogoś innego, można by pomyśleć, że błagalny.

– Jak mam wrócić do Fort Farrell? – zapytałem. – Przywiozła mnie tu pana córka, ale wątpię, czy będzie miała ochotę odwiedzić mnie z powrotem.

Matterson uśmiechał się chłodno.

– Spacer dobrze panu zrobi. To tylko dziesięć kilometrów.

Wzruszyłem ramionami i wyszedłem bez słowa. Zamiast windy wybrałem schody. Wielki hol na parterze okazał się pusty. Wydostanie się z tego domu było jak wyjście z więzienia i zatrzymałem się na schodach oddychając świeżym powietrzem. Wewnątrz napięcie tak się zagęszczało, że trudno było się tam czuć swobodnie.

Lincoln Lucy Atherton nadal stał tam, gdzie go zostawiła i zauważyłem, że w stacyjce tkwią kluczyki. Wsiadłem i pojechałem do Fort Farrell. Spacer zrobi jej nawet lepiej niż mnie.

5

Zaparkowałem Lincolna przed biurowcem Mattersonów, zrealizowałem czek i poszedłem odebrać Land-Rovera. Clarry Summerskill powiedział:

– Naprawiłem pompę, panie Boyd, ale należy się za to piętnaście dolarów. Chyba lepiej pan wyjdzie kupując inny wóz, ten gotów się w każdej chwili rozsypać. Właśnie dostałem Jeepa, który powinien panu odpowiadać. Wezmę Land-Rovera jako część należności.

Uśmiechnąłem się.

– Ile mi pan za niego da?

– Panie Boyd, pan go zajeździł – powiedział z przekonaniem. – Przyda mi się tylko na

części zamienne, ale i tak dostanie pan za niego dobrą cenę.

Potargowaliśmy się i w końcu pojechałem do domu Maca łazikiem Clare i Mac właśnie kończyli porządki, choć w środku nadal czuć było naftę. Mac spojrzał zdumiony na tysiąc dolarów, które mu dałem w banknotach.

– Co to takiego?

– Odszkodowanie – rzekłem i opowiedziałem, co się stało.

Skinał głową. – Ze starego Bulla jest bezwzględny drań – powiedział – ale nigdy nie złapano go na niczym nielegalnym. Mówiąc prawdę, byłem trochę zaskoczony tym, co się stało wczoraj w nocy.

– Ciekawa jestem skąd wiedział, że jesteś Grantem – powiedziała z namysłem Clare.

– Wynajął w tym celu detektywa, ale nie w tym rzecz. Chciałbym wiedzieć, dlaczego uważał za konieczne sprawdzenie mnie tyle lat temu? Zaskoczył mnie też jego charakter.

– Co masz na myśli?

– Spróbujcie spojrzeć na to w ten sposób – powiedziałem. – Zaskoczyło mnie to, że wygląda na uczciwego człowieka. Może jest bezwzględny jak Dżyngis Chan i twardy jak hikora, ale wydaje mi się, że nie jest krętaczem. Wszystko, co mówił sprawiało takie wrażenie. Co jednak może ukrywać taki człowiek?

– On sam zaczął mówić o szantażu – rzuciła z namysłem Clare – chcesz, więc wiedzieć, czym można go szantażować?

– A co ty o nim sądzisz, Mac? – zapytałem.

– Mniej więcej to samo. Powiedziałem, że nigdy nie złapano go na niczym nielegalnym, bo tak jest. W mieście się mówi, że takiej forsy nie można zrobić zgodnie z prawem, ale to tylko plotki zazdrosnych nieudaczników. Może rzeczywiście jest uczciwy.

– No to, czym można go szantażować?

– Myślałem o tym – powiedział Mac. – Może lepiej usiądź synu, bo to, co mam ci do powiedzenia może zbić cię z nóg. Clare nastaw czajnik, bo i tak jest pora na herbatę.

Clare uśmiechnęła się i napełniła czajnik. Mac zaczekał, aż wróci.

– Ma to pewien związek również z tobą – powiedział. – Macie teraz oboje słuchać uważnie, ponieważ jest to skomplikowane.

Wydawało się, że trochę zwleka, nie wiedząc, od czego zacząć. W końcu powiedział:

– Ludzie teraz są inni niż kiedyś, szczególnie młodzi. Dawno minęły czasy, gdy można było odróżnić bogatego od biedaka po sposobie ubierania się. Szczególnie, jeśli chodzi o nastolatków i studentów.

– W tym Cadillacu w czasie katastrofy znajdowały się cztery osoby: John Trinavant, jego żona i dwóch młodych ludzi: Frank Trinavant i Robert Grant, i obaj byli studentami.

Frank był synem bogatego człowieka, a Robert w najlepszym razie ladaco. Ale po ubraniu nie można się było w tym zorientować. Wiecie, jacy są studenci, noszą rodzaj mundurków. Obaj chłopcy mieli na sobie dżinsy, rozpięte pod szyją koszule i obaj byli bez marynarek.

– Do czego u licha zmierzasz, Mac – zapytałem powoli.

– Cierpliwości, już do tego dochodzę. Skąd wiesz, że jesteś Robertem Grantem?

Otworzyłem usta, żeby mu powiedzieć. I zaraz je zamknąłem. Uśmiechnął się sardonicznie.

– Stąd, że ci o tym powiedziano, ale nie w oparciu o własne doświadczenia.

– Myślisz, że może być Frankiem Trinavantem? – zapytała z niedowierzaniem Clare.

– Może – rzekł Mac. – Nigdy nie miałem przekonania do tego psychiatrycznego belkotu. Frank był dobrym chłopakiem, tak jak ty, Bob. Sprawdziłem przeszłość Granta i doszedłem do wniosku, że nigdy w życiu nie spotkałem większego skurwysyna. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jakim cudem mógłbyś być Grantem. Twój psychiatra Susskind sprytnie to wytłumaczył teorią podwójnej osobowości, ale nie dałbym za nią centa. Sądzę, że po prostu jesteś Frankiem Trinavantem, czyli nadal sobą, tylko, że pozbawionym pamięci.

Siedziałem oniemiały. Po chwili mózg zaczął znów pracować, ale w bardzo dziwny sposób.

– Ostrożnie, Mac. Susskind nie popełniłby takiego błędu.

– Dlaczego nie? – zapytał Mac. – Pamiętaj, że powiedziano mu, że jesteś Grantem. Musisz zdać sobie sprawę, jak to wyglądało. To Matterson zidentyfikował ciała i ustalił, że trójka umarłych to Trinavantowie. W przypadku Johna Trinavanta i jego żony nie było miejsca na pomyłki, ale to on zdecydował, że zmarły chłopiec jest Frankiem Trinavantem. – Mac zachnął się. – Widziałem fotografie policyjne ciał i nie wiem, w jaki sposób Matterson połapał się, kto jest, kim.

– Muszą być przecież jakieś sposoby identyfikacji – rzekła Clare.

Mac spojrział na nią wstrzęmięzliwe.

– Nie wiem, czy widziałaś kiedykolwiek naprawdę poważny wypadek samochodowy, szczególnie taki, w którym zapaliła się benzyna. Bob był poparzony tak, że nie można go było rozpoznać, a przecież przeżył. Drugi chłopak został poparzony i zginął. Siła wybuchu zerwała im buty z nóg i gdy ich znaleziono żaden nie miał na ręku zegarka. Koszule mieli prawie całkowicie spalone i nosili prawie takie same dżinsy. Obaj byli barczyści i mniej więcej tej samej wagi.

– To śmieszne – powiedziałem. – Jeśli nie jestem Grantem, to skąd bym miał tyle wiadomości z geologii nie ucząc się jej?

– To prawda – skinął głową Mac. Pochylił się do przodu i poklepał mnie po kolanie – ale Frank Trinavant też się uczył geologii. Miał pisać pracę magisterską.

– Na Boga! – wybuchnąłem. – Mam uwierzyć w tę szaloną historię? A więc obaj kończyli geologię? Czy znali się wcześniej?

– Nie wydaje mi się – powiedział Mac. – Grant był na uniwersytecie w Kolumbii Brytyjskiej, a Trinavant w Albercie. Powiedz mi Bob, zanim pójdę dalej, czy jest coś takiego, co świadczy, że nie mam racji? Czy masz jakiś określony dowód na to, że jesteś Robertem Grantem, a nie Frankiem Trinavantem?

Przemyślałem wszystko gorączkowo do bólu. Od kiedy Susskind wziął mnie pod opiekę, wiedziałem, że jestem Grantem, ale tylko dlatego, że tak mi powiedziano. Nie zastanawiając się wiele uznałem, że tak jest. Gdy teraz okazało się, że pewność tę można podważyć, byłem wstrząśnięty. Niezależnie od tego, jak bardzo się starałem, nie mogłem nic wymyślić, w jedną ani w drugą stronę.

– Nie mam żadnych dowodów – potrząsnąłem głową.

– Prowadzi to do dziwnej sytuacji – powiedział Mac spokojnie. – Jeśli jesteś Frankiem Trinavantem, to dziedziczysz spadek starego Johna, co stawia Bulla Mattersona w cholernie kłopotliwym położeniu. Cała sprawa spadku znów zaczyna się wikłać. Być może nadal będzie w stanie obronić w sądzie ważność tej umowy o prawie pierwokupu, ale fundusz powierniczy przejdzie w całości w twoje ręce i wyjdą na jaw wszystkie jego finansowe kombinacje.

Opadła mi szczęka.

– Poczekaj chwilę, Mac. Nie posuwajmy się zbyt daleko.

– Ja tylko staram się pokazać logiczne konsekwencje – powiedział. – Jeśli jesteś Frankiem Trinavantem, i jeśli możesz to udowodnić, to jesteś bogaty. Ale pieniądze będziesz musiał odebrać Mattersonowi, a jemu się to nie spodoba. Niezależnie od faktu, że zostanie uznany za kanciarza. Będzie miał szczęście, jeśli wymiga się od więzienia.

– Nic dziwnego, że nie chce, żebyś się tu kręcił – powiedziała Clare.

Potarłem policzek.

– Mówisz Mac, że wszystko sprowadza się do identyfikacji ciała przez Mattersona. Czy twoim zdaniem zrobił to celowo, czy się pomylił? Czy w ogóle można mówić o pomyłce? Z tego, co wiem i co mogę udowodnić, nadal mogę być przecież Grantem.

– Myślę, że Bull chciał, żeby Trinavantowie zmarli – odparł sucho Mac. – Sądzę, że podjął ryzyko. Pamiętasz, że ranny był w ciężkim stanie, spodziewano się, że w ciągu dwunastu godzin umrze. Jeśli Matterson nie miałby szczęścia, czyli jeśli byś mimo wszystko przeżył jako Frank Trinavant, to okazałoby się, że popełnił całkiem uzasadniony w takich okolicznościach błąd. Sam mógł przecież nie wiedzieć, kto jest, kim, ale podjął

ryzyko i opłaciło się tak, jak nawet on nie mógł się spodziewać. Przeżyłeś, ale bez pamięci, a on ochrzcił cię jako Granta.

– Mówił o szantażu – powiedziałem. – I sądząc z tego, co mówisz, miał wszelkie podstawy, żeby przypuszczać, że będę chciał go szantażować, jeśli jestem Grantem. Ktoś taki jak Grant nie cofnąłby się przed szantażem. Ale czy Frank Trinavant mógłby go szantażować?

– Nie – odpowiedziała bez namysłu Clare. – On był inny. Ponadto domaganie się należnych praw nie jest szantażem.

– Cholera, ta historia sama się gryzie we własny ogon – powiedział Mac z niesmakiem. – Jeśli jesteś Grantem, nie możesz go szantażować, bo nie masz, o co. Dlaczego więc Matterson mówi o szantażu? – przyglądał mi się z namysłem. – Moim zdaniem Matterson popełnił przestępstwo, którego byłeś świadkiem i boi się, że wszystko wyjdzie na jaw, ponieważ pozbawiłoby go to wszelkiego oparcia.

– Jakie przestępstwo?

– Wiesz, o czym mówię – sapnął Mac – nie ma, co udawać, że nie wiadomo, o co chodzi. Powiedzmy otwarcie, że chodzi o morderstwo.

Później nie rozmawialiśmy już więcej na ten temat. Stwierdzenie Maca było zbyt ostateczne i nie warto było spekulować nie mając żadnych konkretnych dowodów, to znaczy: spekulować głośno. Mac uciekł do domowych zajęć i odmówił dalszych deliberacji, ale zauważyłem, że cały czas patrzy na mnie uważnie, aż w końcu miałem dość jego pytającego spojrzenia, wyszedłem na dwór i usiadłem nad strumieniem. Pod pretekstem kupowania nowych koców i materaców dla Maca Clare wzięła Jeepa i pojechała do miasta.

Mac postawił mnie w sytuacji, z jaką nigdy jeszcze nie miałem w życiu do czynienia. Wspomniałem okres swoich ponownych narodzin w szpitalu w Edmonton i tak jak nigdy jeszcze dotychczas, spróbowałem odnaleźć jakąkolwiek wskazówkę pozwalającą ustalić, kim jestem. Nic jednak nie skutkowało; nagle okazało się, że mam do wyboru dwie równie możliwe przeszłości. Znacznie bardziej odpowiadał mi Trinavant. Słyszałem wystarczająco dużo o Johnie, żeby móc być dumnym, że jestem jego synem. Jeśli jednak okaże się, że jestem Frankiem, skomplikują się moje stosunki z Clare.

Rzuciłem kamień do wody, leniwie zastanawiając się nad tym, jak bliskie jest pokrewieństwo między Frankiem i Clare, i na ile może uniemożliwić małżeństwo, ale doszedłem do wniosku, że nie może.

Po tym, gdy Mac na zakończenie użył krótkiego i dosadnego słowa, żeby określić całą sytuację, potrzebowaliśmy czasu. Wcześniej rozważyliśmy już z grubsza różne możliwości w odniesieniu do Mattersona, ale do niczego nie doszliśmy. Matterson miał alibi

w postaci samego Maca.

Obracałem w myślach różne warianty i przypuszczenia, myśląc o Grancie i Trinavancie jako o dwóch osobach, które mogłem znać w odległej przeszłości, ale jako o obcych ludziach, bez odniesienia do samego siebie. Była to technika, której nauczył mnie Susskind, służąca zmniejszeniu stopnia uczuciowego zaangażowania w kłopoty Granta. Nic oczywiście nie osiągnąłem i gdy wróciła Clare dałem spokój.

Znów nocowałem w lesie, ponieważ Clare jeszcze nie wyjechała do siebie w dolinę Kinoxi, a dom miał tylko dwa pomieszczenia. Znów miałem Sen. Po gorącym śniegu płynęły strumienie krwi i rozlegała się kaskada dźwięków jakby rozstępowała się ziemia. Obudziłem się nie mogąc nabrać powietrza ze zdławionym w gardle zimnym nocnym powietrzem. Rozpaliłem ognisko, zrobiłem kawę i wypilem spoglądając w stronę domu, gdzie promień światła w oknie wskazywał, że i tam ktoś przez pół nocy nie śpi.

Zastanowiłem się, czy to Clare.

## VII

Później nie działo się zbyt wiele. Nie robiłem żadnego ruchu przeciw Bullowi Mattersonowi, a McDougall do niczego mnie nie namawiał. Musiał chyba zdać sobie sprawę, że potrzebuję czasu, żeby poradzić sobie z nowym problemem.

Clare pojechała do siebie do domu w dolinie Kinoxi. Gdy się żegnaliśmy, powiedziałem:

– Może nie powinnaś była zabraniać mi przeprowadzenia badań na swojej ziemi. Być może trafiłbym na większą odkrywkę magnezu albo czegoś innego i nie doszłoby wtedy do zatopienia doliny.

– Przypuśćmy, że znalazłbyś coś teraz – powiedziała wolno – czy to by zmieniło sytuację?

– Jeśli trafienie byłoby naprawdę duże, mogłoby się okazać, że rząd woli mieć kopalnię niż zaporę, kopalnia daje większe zatrudnienie.

– To, dlaczego nie przyjedziesz i nie sprawdzisz? – Uśmiechnęła się. – Taka ostatnia próba.

– Dobrze – powiedziałem. – Daj mi tylko jeszcze trochę czasu na uporządkowanie moich spraw.

Zająłem się badaniami, ale trzymałem się z dala od zapory. Mimo gwarancji bezpieczeństwa Mattersona, mogło coś wyniknąć na przykład między mną a Jimmim Waystandem, albo z tymi dwoma kierowcami ciężarówek, jeśli bym się na nich natknął, a wolałem uniknąć kłopotów, przynajmniej dopóki nie uspokoję się wewnętrznie. Szperałem, więc na ziemiach państwowych na zachodzie, nie szukając niczego konkretnego i tylko na w pół skupiając się na pracy.

Po dwóch tygodniach wróciłem do Fort Farrell, równie niezdecydowany, co przedtem. W nocy często miałem sny i nie robiło mi to wcale dobrze. Sny zmieniały się i stawały przerażająco realistyczne: spalone ciała rzucone na ziemi w zaśnieżonej dolinie, trzask rzucających czerwony blask na śnieg płomieni i klekoczący z przerażającą intensywnością dźwięk. Gdy wróciłem do domu do Maca, byłem wykończony. Mac bardzo się mną przejął.

– Przykro mi, że to spowodowałem, synu – powiedział. – Może nie należało poruszać tego tematu.

– Dobrze zrobiłeś – stwierdziłem ciężko. – Nie jest to dla mnie łatwe, Mac, ale radzę sobie. Rozumiesz chyba, jaki to wstrząs, że od ciebie zależy, jaką wybierzesz sobie przeszłość.



– Jestem narwany – rzekł impulsywnie Mac. – Dziesięć minut namysłu, i nie zrobiłbym takiego głupstwa. Od czasu, gdy otworzyłem swoją głupią gębę, cały czas robię sobie wyrzuty.

– Zapomnij o tym – powiedziałem.

– Ale ty nie możesz zapomnieć. – Zamilkł na chwilę. – Jeśli wycofasz się teraz i zapomnisz o wszystkim, nie będę ci miał tego za złe, chłopcze. Nie usłyszysz ode mnie żadnych oskarżeń, nie tak jak poprzednio.

– Nie wycofam się – powiedziałem. – Zbyt wiele się już wydarzyło. Po pierwsze, stary Matterson próbował mnie wystraszyć, a ja się tak łatwo nie poddaję. Są też inne powody.

Spojrzał na mnie domyślnie.

– Nie skończyłeś jeszcze sobie tego porządkować w głowie. Może teraz rzucisz okiem na ziemię Clare, tak jak jej obiecałeś? Potrzeba ci więcej czasu.

Nie był stworzony do roli amora, ale życzył mi dobrze i nie był to zły pomysł, więc parę dni później wyruszyłem Jeepem na północ Kinoxi. Od czasu mojej poprzedniej podróży droga nie polepszyła się ani trochę i gdy wreszcie zobaczyłem wielki dom Clare, byłem bardziej zmęczony niż gdybym szedł cały czas piechotą.

Na spotkanie wyszedł swoim wolnym, sztywnym krokiem Waystand i zapytałem:

– Czy panna Trinavant jest w pobliżu?

– Na spacerze w lesie – odparł krótko. – Zostaje pan?

– Tymczasem tak – powiedziałem. – Panna Trinavant prosiła, żebym zrobił badanie terenu. – Skinął głową, ale nic nie powiedział.

– Nie widziałem pańskiego syna, więc nie mogłem przekazać mu wiadomości.

Ciężko wzruszył ramionami.

– I tak by to pewnie nic nie dało. Jadł pan coś?

Zjedliśmy razem posiłek, po czym narąbałem mu jeszcze trochę drzewa, a on patrzył z uznaniem na postępy mojej techniki trzymania siekiery. Spociwszy się, zrzuciłem koszulę i po chwili Waystand zapytał – To nie moja sprawa, ale czy to niedźwiedź tak pana zmasakrował?

Spojrzałem na blizny i jaśniejsze plamy na skórze.

– Coś znacznie mniej przyjemnego – odparłem. – Miałem wypadek samochodowy.

– Aha. – Nie powiedział nic więcej, ale na jego twarzy pojawił się wyraz zaintrygowania. Po chwili odszedł, a ja nadal rąbałem.

Tuż przed zachodem słońca wróciła z lasu Clare i bardzo się ucieszyła z mojej wizyty. Pytała o Mattersona, czy podejmował ostatnio jakieś kroki, ale gdy powiedziałem, że nic się nie działo, tylko skinęła głową.

Zjedliśmy w domu obiad i Clare była ciekawa, jak wyglądać będą badania geologiczne

jej ziemi, wyjąłem, więc rządową mapę i wyjaśniłem, co chcę zrobić i jak zamierzam się do tego zabrać.

– Jaka jest szansa trafienia na cokolwiek? – zapytała.

– Sądząc z tego, co znalazłem u Mattersona na południu, obawiam się, że niewielka. Mimo to jednak szansa istnieje zawsze; odkrycia zdarzają się w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. – Zacząłem opowiadać o geologii i stopniowo zdryfowałem na wspomnienia z północnego zachodu.

– Dlaczego tam nie wrócisz, Bob? – zapytała nagle. – Dlaczego nie wyjedziesz z Fort Farrell? Pobyt tu nie służy ci najlepiej.

– Jesteś trzecią osobą, która mi to proponuje – zauważyłem. – Matterson, McDougall, a teraz ty.

– Moje powody mogą być takie same jak Maca – odparła – ale nie łącz mnie z Mattersonem.

– Wiem, Clare – powiedziałem. – Przepraszam. Ale ja nie wyjadę.

Wiedziała, że moja decyzja jest ostateczna i nie naciskała więcej.

Zamiast tego zapytała:

– Czy mogę z tobą pójść w teren?

– Dlaczego nie, to twoje ziemie – rzekłem. – Będziesz mogła mieć mnie na oku, czy nie chowam czegoś dla siebie.

Początkowo zamierzaliśmy wyruszyć wcześniej rano, ale pierwszego dnia nie zaszliśmy zbyt daleko. Najpierw ja zasnąłem, a prawie mi się to nie zdarza. Po raz pierwszy od prawie trzech tygodni spałem spokojnie bez snów i obudziłem się wypoczęty, ale było już późno. Clare broniła się, że nie miała serca mnie budzić, a ja niezbyt miałem jej to za złe. Następnie pojawili się tyleż niespodziewani, co niemile widziani goście.

Byłem w swoim pokoju, gdy usłyszałem helikopter. Przez okno zobaczyłem jak lekko ląduje na placu za domem. Wysiadł Howard Matterson z Donnerem, a Clare wyszła im naprzeciw. Wirnik zatrzymał się i pilot zeskoczył na ziemię, wyglądało, więc na to, że Matterson planuje zabawić nieco dłużej niż kilka minut.

Rozmowa wyglądała na kłótnię. Howard mówił jak nakręcony, Donner dorzucał od czasu do czasu trzy grosze, a Clare stała z kamienną twarzą i odpowiadała monosylabami. Następnie Howard pokazał ręką w stronę domu i Clare wzruszyła ramionami. Wszyscy troje znikli za rogiem, a po chwili usłyszałem ich głosy z salonu.

Zastanowiłem się i zdecydowałem, że to nie mój interes. Clare zna wartość drewna na swojej ziemi i byłem pewien, że nie odda go Howardowi za bezcen. Zająłem się pakowaniem plecaka.

Cały czas dobiegał mnie niski głos Howarda, z lżejszymi, bezbarwnymi wtrąceniami

Donnera. Odnosiło się wrażenie, że Clare mówi niewiele i miałem nadzieję, że głównie jest to „Nie”. Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Clare.

– Przyłączysz się do nas? – Usta miała ściągnięte, a różowe plamy na policzkach, które poznałem już wcześniej, oznaczały niebezpieczeństwo.

Ruszyłem za nią i na mój widok Howard nadał się i zaczerwienił.

– Co on tu robi? – zapytał.

– Co cię to obchodzi? – odparła Clare. Wskazała Donnera. – Przyprowadziłeś swojego posłusznego księgowego, a to jest mój doradca. - Odwróciła się do mnie.

– Podwoili ofertę – wyjaśniła lodowatym tonem. – Proponują pół miliona dolarów za prawo całkowitego wyrębu na ośmiu i pół kilometrach kwadratowych mojej ziemi.

– Czy przedstawiłaś im kontrpropozycję? – zapytałem.

– Pięć milionów dolarów.

Uśmiechnąłem się do niej. – Bądź rozsądna, Clare, w ten sposób Mattersonowie nic nie zarobią. Zaproponuj jakąś kompromisową sumę. Jeśli na przykład odejmiesz ich ofertę od twojej, to można będzie spisać kontrakt. Cztery i pół miliona papierów.

– Śmieszne – powiedział Donner.

– Co w tym śmiesznego? – zaatakowałem. – Dobrze pan wie, że liczyliście panowie na zbyt wygórowany zysk.

– Nie wtrącaj się do tego – odparował Howard.

– Zostałem tu zaproszony, Howardzie – wyjaśniłem. – A ty nie. Przykro mi, że popsulem wam waszą sprytną grę, ale tak to bywa. Wiesz, że ten las nie był cięty od dwunastu lat i zdajesz sobie sprawę, ile dojrzałego drewna tylko czeka na wyrąb. Wielkie drzewa dadzą doskonały surowiec w tartaku, prawda? Sądzę, że oferta jest rozsądna i albo ją przyjmujecie, albo dajcie sobie spokój.

– Na Boga, dajemy spokój – powiedział zdecydowanie Howard. – Idziemy, Donner.

Roześmiałem się.

– Nie spodoba się to twojemu ojcu. Posieka ci jaja na kawałki, Howardzie. On chyba nigdy nie zmarnował takiej okazji przez nadmiar chciwości.

To go zatrzymało. Spojrzał na Donnera i zapytał:

– Czy można tu gdzieś porozmawiać na uboczu?

– Proszę bardzo – rzekła Clare. – Na dworzu jest pełno miejsca.

Wyszli i Clare powiedziała:

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– Wiem, że mam rację, ale Howard może robić trudności. On należy do tych, którzy jak raz wybiorą kurs, to już go więcej nie zmieniają. Brak mu elastyczności, która jest bardzo ważna u człowieka interesu. Obawiam się, że może zrobić z siebie durnia.

– Co masz na myśli?

– Jest tak nastawiony na to, żeby cię wykiwać, że może mu to uniemożliwić zawarcie rozsądnego kontraktu, a Donner go nie jest chyba w stanie kontrolować. Należy, więc spodziewać się komplikacji. Czy zostawisz mi targowanie się z nim?

Uśmiechnęła się.

– Wygląda na to, że wiesz, co robisz.

– W zasadzie wiem. Ale dotychczas udawało mi się ubić dobry interes najwyżej z handlarzem używanych samochodów. Może się okazać, że to konkurencja nie dla mnie. Nigdy nie targowałem się o miliony dolarów.

– Ja też – powiedziała. – Ale jeśli to, co słyszałam o handlarzach używanych samochodów jest prawdą, to nie są łatwiejsi w interesach niż inni. Wyobraź sobie, że Howard to Clarry Summerskill.

– Nie chciałbym obrażać Clarence'a.

Wrócili Howard i Donner.

– No cóż – powiedział serdecznie Howard – wydaje mi się, że pora uporządkować sprawę. Nie będę zwracał uwagi na obraźliwe zachowanie Boyda i złożę nową propozycję. Clare, jeszcze raz podwajam ofertę do okrągłego miliona dolarów. Więcej dać nie mogę.

Spojrzała na niego chłodno.

– Cztery i pół.

– Jest pani zbyt sztywna, panno Trinavant – wtrącił bezbarwnym głosem Donner.

– A wy jesteście jak dotychczas aż za swobodni – odparłem. Uśmiechnąłem się do Howarda. – Mam propozycję. Sprowadźmy Tannera, ze straży leśnej, żeby dokonał niezależnej wyceny. Jestem pewien, że Clare zgodzi się z podaną przez niego liczbą, jeśli ty się zgodzisz.

Nie obawiałem się, że pójdzie Matterson na to i rzeczywiście. Jego głos zabrzmiał jak lodołamacz.

– Nie traćmy czasu na głupstwa. Zapora jest już prawie gotowa, za dwa tygodnie zamykamy zawory. Za niecałe cztery miesiące cały ten teren będzie pod wodą i do tego czasu trzeba wywieźć stąd drewno. Jest to bardzo krótki okres, wymagający zaangażowania wszystkich moich ludzi, nawet, jeśli zacznę już teraz.

– To zróbmy interes teraz – powiedziałem. – Czekam na rozsądną ofertę.

Howard spojrział na mnie z intensywną niechęcią.

– Czy możemy zachowywać się rozsądnie, Clare? – poprosił. – Czy nie lepiej będzie rozmawiać bez tego typu?

– Wydaje mi się, że Bob dobrze sobie radzi – powiedziała Clare.

– Półtora miliona – wtrącił szybko Donner.

– Cztery i pół – powiedziała twardo Clare.

Howard wydał dźwięk wyrażający swoje niezadowolenie i Donner powiedział:

– Podwyższamy ofertę, panno Trinavant, ale pani nie rusza z miejsca.

– Dlatego, że znam wartość tego, co mam.

– Dobrze, Donner – powiedziałem – spuścimy cenę. Powiedzmy, cztery i jedna czwarta. Jaka jest wasza kontrpropozycja?

– Na Boga! – zawołał Howard. – Czy on ma prawo negocjować w twoim imieniu, Clare?

Spojrzała mu w oczy

– Tak.

– Do diabła z tym wszystkim – powiedział. – Nie mam zamiaru mieć do czynienia ze zbankrutowanym geologiem, który nie ma nawet dwóch jednocentowych monet, żeby je o siebie potrzebować.

– W takim razie nie zrobimy interesu – powiedziała wstając. – Przepraszam bardzo, ale mamy sporo pracy. – Nigdy nie podziwiałem jej bardziej niż w tej chwili; w pełni zaufała umiejętności negocjacji człowieka, którego ledwo znała. Aż się spościłem.

Wtrącił się prędko Donner.

– Nie róbmy nic pośpiesznie. – Trącił łokciem Howarda. – Spróbujmy do czegoś dojść. Pytał mnie pan o kontrpropozycję, panie Boyd. Oto ona: równo dwa miliony dolarów. I ani centa więcej.

Donner wydawał się w miarę spokojny, ale Howard gotów był w każdej chwili wybuchnąć. Przyleciał tu mając nadzieję, że kupi towar wart pięć milionów za pół miliona, a oto teraz został przyparty do muru i wcale mu się to nie podobało. Przez chwilę zastanowiłem się, czy nie popełniam błędu. Moja ocena opierała się na prowizorycznych szacunkach wartości drewna, które mogły być błędne, gdyż nie jestem leśnikiem, oraz na słowach starego Waystanda, człowieka, który jest stróżem u Clare.

Poczułem spływający po plecach pot.

– Nic z tego – powiedziałem.

Howard eksplodował.

– Dobrze! – krzyczał. – To by było na tyle. Wynosimy się stąd, Donner. Wzięłaś sobie głupca na doradcę, Clare. Nawet człowiekowi, który kona z pragnienia na pustyni Boyd nie byłby w stanie wyjaśnić, jak się pije wodę. Jeśli zdecydujesz się na naszą ostatnią propozycję, to wiesz, gdzie mnie zastać.

Ruszył w stronę drzwi. Spojrzałem na Donnera, któremu najwidoczniej nie było to w smak i zrozumiałem, że mam jednak rację. Donner gotów był do dalszych podchodów i ciuciubabki, oraz szykował następną ofertę, stracił jednak, tak jak się spodziewałem

kontrolę nad Howardem. Zapamiętały w złości Howard nie pozwoli na dalsze targi i to, czego się obawiałem, właśnie miało nastąpić.

– Najwyższa pora, żeby oddzielić plewy od ziarna – powiedziałem. – Zawołaj tu starego Waystanda, Clare.

Spojrzała na mnie zdziwiona, ale posłusznie wyszła na zewnątrz i usłyszałam jak woła starego. Howard również zatrzymał się patrząc na mnie niepewnie i wiercąc nogą, a Donner przyglądał mi się chłodno.

Wróciła Clare.

– Ostrzegałem cię Howardzie – powiedziałem – że nie spodoba się to twojemu staremu. Jeśli przepuścisz dobry interes, na którym można świetnie zarobić, to sądzę, że nie pozwoli ci więcej kierować Matterson Corporation. Co ty na to, Donner?

Donner uśmiechnął się cienko. – Cóż mogę powiedzieć?

Zwróciłem się do Clare.

– Weź pióro i papier. Napisz oficjalny list do Bulla Mattersona proponując mu prawo wyrębu za cztery i ćwierć miliona. Starguje się do czterech i mimo to zarobi okrągły milion papierów. I napisz, że wolisz raczej mieć do czynienia z mężczyzną niż ze smarkaczem. Waystand może zanieść ten list jeszcze dziś.

Clare poszła do biurka i usiadła. Pomyślałem, że Howard rzuci się na mnie, ale Donner uwiesił mu się u płaszcza i pociągnął go do tyłu Wycofali się niespokojnie szepcząc. Mniej więcej domyślałem się, co Donner mówi. Jeśli ten list dotrze do starego Bulla, będzie dowodem na to, że Howard zawałił intratny interes. Z tego, co widziałem, stary gardził swoim synem i przydzielił mu nawet Donnera w charakterze piastunki. Bull Matterson nigdy nie przebaczy synowi, że przepuścił koło nosa milion dolarów.

Wszedł Waystand i Clare podniosła wzrok.

– Chciałabym, żebyś zawiózł list do Fort Farrell, Matthew.

Szepty po przeciwnej stronie pokoju wzniosły się do syczącego crescendo i w końcu Donner powiedział niespokojnie:

– Proszę zaczekać minutę, panno Trinavant. – Zwrócił się bezpośrednio do mnie bez żadnych dalszych sugestii, że nie mam prawa negocjować.

– Czy mówił to pan poważnie, Boyd, że zgodzi się pan na cztery miliony dolarów?

– Panna Trinavant zgodzi się – powiedziałem.

Zacisnął na chwilę usta.

– Dobrze. Jestem upoważniony do wyrażenia zgody. – Wyjął z kieszeni formularz kontraktu. – Potrzebne jest tylko wpisanie sumy i poświadczony przez świadków podpis panny Trinavant.

– Nic nie podpiszę, zanim nie sprawdzi tego mój prawnik – powiedziała chłodno. –

Będziecie musieli poczekać.

Donner skinął głową. Niczego innego nie oczekiwał, sam był legalistą i jego własny umysł w ten sposób pracował.

– Im prędzej tym lepiej, jeśli można prosić. – Wyjął pióro i wypełnił puste miejsce pośrodku kontraktu, po czym wcisnął pióro w rękę Howarda. Howard zawahał się.

– Lepiej będzie, jeśli podpiszesz. – powiedział Donner.

Howard zacisnął usta i nabazgrał podpis. Wyprostował się i wskazał na mnie trzęsącym palcem.

– Poczekaj, Boyd, tylko poczekaj. Nigdy już więcej mi tego nie zrobisz, nigdy.

Uśmiechnąłem się.

– Jeśli cię to pocieszy, Howardzie, byłeś bez szans. Mieliśmy cię na półmisku od początku. Przede wszystkim wiedzieliśmy, co mamy, a po drugie musiałem się sporo napracować, żeby w ogóle przekonać Clare do sprzedaży. Nie obchodziło jej czy sprzeda, czy nie, a to daje cholerną przewagę w negocjacjach. Ale ty chciałeś kupić, musiałeś kupić. Twój stary nigdy nie pozwoliłby ci przepuścić takiej okazji.

Donner powiedział.

– Wszyscy państwo są świadkami podpisu pana Mattersona. – Podpisał kontrakt i rzucił go na stół. – To chyba wszystko.

Howard odwrócił się na piętach i wyszedł bez słowa, a Donner ruszył jego śladem. Clare powoli podarła na kawałki list, który pisała i podniosła spojrzenie na Waystanda.

– Wygląda na to, że nie będziesz musiał jechać do Fort Farrell, Matthew.

Waystand zaszurał butami i zwolna się rozpromienił.

– Wygląda na to, że ktoś się panią opiekuje tak, jak trzeba, panno Clare. – Skinął mi po przyjacielsku głową i wyszedł.

Nogi się pode mną ugięły, więc usiadłem.

– Kieliszek dobrze ci robi – powiedziała przytomnie Clare. Poszła do baru i przyniosła mi porcję whisky zdolną ściąć z nóg słonia. – Dziękuję ci, Bob.

– Nie spodziewałem się, że nam uda – powiedziałem. – Myślałem, że wszystko popsuję. Gdy Howard zaczął wychodzić... – potrząsnąłem głową.

– Zaszantażowałeś go – powiedziała. – Śmiertelnie boi się ojca i skorzystałeś z tego, żeby go zaszantażować.

– Należało mu się. Próbował nabić cię w butelkę. Stary Bull prawdopodobnie nigdy się o tym nie dowie, będzie szczęśliwy, że zarobił milion. – Spojrzałem na nią. – Co zrobisz z tymi czterema milionami?

Zaśmiała się.

– Będę teraz mogła zorganizować swoje własne wykopaliska. Nigdy wcześniej nie

mogłam sobie na to pozwolić. Ale przede wszystkim muszę załatwić sprawy z tobą. Nie podobało mi się to, co Howard powiedział o zbankrutowanym geologu.

– Hej! – powiedziałem – nic takiego nie zrobiłem.

– Osiągnąłeś więcej, niż ja byłabym w stanie. Nie każdy potrafi w ten sposób stawić czoła Howardowi. Nie chciałabym grać z tobą w pokera, Bobie Boyd. Za prowadzenie negocjacji należy ci się honorarium.

Nie przyszło mi to do głowy.

– Zachowujmy się jak ludzie interesu – kontynuowała Clare. – Odwaliłeś kawał roboty i należy ci się zapłata. Co powiesz na dwadzieścia procent?

– Na Boga, to za dużo – zauważyłem, że oko jej zabłysło. – Dziesięć procent.

– Zgodzimy się pośrodku – rzekła. – Piętnaście procent. Bierzesz i koniec.

Napełniłem usta whisky i prawie się zakrztusiłem, gdy zdałem sobie sprawę, że właśnie zarobiłem sześćset tysięcy dolarów.

2

Tak jak mówiłem, tego rana wyruszyliśmy w drogę późno i nie zaszedłszy daleko zatrzymaliśmy się, żeby coś przegryźć. Ze sposobu, w jaki Clare rozpałała ogień widać było, że umie sobie radzić w lesie. Ognisko było nie za duże, takie jak trzeba i nie groziło spalaniem całego lasu.

– Jak to się stało, że Waystand dla ciebie pracuje? – zapytałem.

– Matthew? Pracował u wujka Johna. Był dobrym drwalem, ale miał wypadek.

– Mówił mi o tym – przytaknąłem.

– Wiele przeszedł – opowiadała Clare. – Mniej więcej w tym samym okresie zmarła jego żona, miała chyba raka. W każdym razie został sam z dzieckiem, które wymagało opieki, więc wujek John zaproponował mu, żeby zajął się domem w Lakeside. Nie mógł już więcej pracować jako drwal.

– A później ty wzięłaś go do siebie?

– Tak jest. Pilnuje domu, gdy mnie nie ma. – Zachmurzyła się. – Przykro mi jednak z powodu Jimmiego, chłopak zdziczał. Doszło między nimi do wielkiej kłótni i Jimmy poszedł do pracy w Matterson Corporation.

– Prawdopodobnie o to się pokłócili – powiedziałem. – Praca była zapłatą za doniesienie na mnie Howardowi.

Zarumieniła się.

– Chodzi ci o tę noc u mnie w domu?

– Jimmy ma u mnie za to dług – powiedziałem. – I jeszcze za coś innego. –



Opowiedziałem jej o szaleńczym zjeździe drogą z Kinoxi między dwiema ciężarówkami z drewnem.

– Mogłeś się zabić! – powiedziała.

– Oczywiście, ale uznano by to za wypadek – uśmiechnąłem się. – Stary Bull zapłacił jak dżentelmen i mam teraz Jeepa.

Wyjąłem geologiczną mapę okolicznych terenów i wyjaśniłem Clare, co zamierzam zrobić. Szybko się wciągnęła.

– Nie różni się to zbyt od wyszukiwania miejsca na wykopaliska archeologiczne – powiedziała. – Tylko inne cechy ukształtowania terenu bierze się pod uwagę.

Skinałem głowę.

– Te tereny należą do pasma Gór Skalistych. Jest to obszar wypiętrzeń górotwórczych spowodowanych ruchami kontynentu. Ruchów tych nie da się zauważyć gołym okiem, są bardzo powolne i długotrwałe. Mówiąc w skrócie, wypiętrzenia następują tam, gdzie masyw kontynentu zostaje ściśnięty i podnosi się ku górze. Z tego powodu, nawet, jeśli na południu nie natrafiłem na nic ciekawego, istnieje możliwość, że tu zalega coś interesującego. Powinniśmy zacząć od samego szczytu doliny.

Nie było to daleko, nie dalej niż siedemnaście kilometrów, ale gdy tam dotarliśmy byliśmy wykończeni. Po drodze nie znalazłem nic, co byłoby godne uwagi, ale też niczego się nie spodziewałem; szliśmy w miarę możliwości prosto i zamierzaliśmy prowadzić eksplorację schodząc w dół zygzakami od jednej strony doliny do drugiej. Wtedy praca jest łatwiejsza.

Gdy rozbiliśmy obóz, już się ściemniło. Noc była bezksiężycowa i tylko wesoło strzelające ognisko rozświetlało ciepłym blaskiem ciemności. Wokół, aż do samego wylotu doliny, rozpościerała się czarna pustka kryjąca cały ocean lasu: daglezi, świerków, jodeł, zachodnich czerwonych cedrów. Wszystko to są drzewa o dużej wartości rynkowej.

– Ile masz tu lasu? – zapytałem.

– Prawie cztery tysiące hektarów – powiedziała Clare. – Wuj John zostawił mi w spadku.

– Oplaciło by się założyć własny niewielki tartak – powiedziałem. – Masz tu mnóstwo dojrzałego drzewa, które trzeba zacząć wycinać.

– Musiałabym przewozić całe drewno przez ziemie Mattersona - powiedziała. – Długa droga dookoła jest nieekonomiczna. Pomyślę o tym.

Zostawiłem jej gotowanie i poszedłem naciąć gałęzi na dwa legowiska po przeciwnych stronach ogniska. Clare zręcznie radziła sobie przy garnkach, Prawie bez zbędnych ruchów i najwyraźniej nie mógłbym jej niczego w tej dziedzinie nauczyć. Niedługo

rozszedł się smakowity aromat.

- Chodź jeść – zawołała. Uśmiechnęła się nakładając mi gulasz
- Nie taki dobry, jak kaczka, którą mnie kiedyś poczęstowałaś.
- Nic mu nie brakuje – powiedziałem. – Może uda się jutro złapać kilka ryb.

Jedząc rozmawialiśmy bez pośpiechu, wypiliśmy kawę. Clare poszperała w plecaku i wydobyła butelkę.

- Napijesz się?

Zawahałem się. Nie byłem przyzwyczajony do picia alkoholu w terenie, nie z powodu jakiś wielkich zasad, ale ilość alkoholu, którą można upchnąć w plecaku nie starcza na długo, więc na ogół po prostu wcale go nie brałem. Ale w dniu, w którym zarobiło się sześćset tysięcy dolarów, wszystko jest możliwe

- Jeden łyk dobrze mi robi.

Noc była spokojna. W północno-wschodnim interiorze Kolumbii Brytyjskiej nawet w lecie rzadko zdarzają się zimne noce, dziś jednak było ciepło. Miękka, pachnąca noc z gwiazdami wśród chmur. Popijałem alkohol i zapach dymu z ogniska połączony z torfiastym aromatem whisky na języku spowodował, że byłem odprężony i rozluźniony. Może obecność młodej kobiety miała również na to wpływ, bo tam, gdzie zazwyczaj zdarza mi się obozować nie widuje się zbyt wielu kobiet, a jeśli już są, to mają płaskie nosy, wystające kości policzkowe, czarne zęby i cuchną stęchłym olejem, co może zachwycać Eskimosów, ale nie mnie.

Rozpiąłem guzik koszuli, żeby wpuścić trochę powietrza i rozsiadłem się wygodniej.

- Nie wyobrażam sobie żadnego innego życia niż takie – powiedziałem.
- Możesz robić, co zechcesz – powiedziała Clare.
- Na to wygląda, prawda? – Nie myślałem jeszcze zbyt wiele o pieniądzach, choć miałem świadomość, że jestem teraz całkiem bogaty.

- Co masz zamiar zrobić? – zapytała.

– Znam takie miejsce – powiedziałem rozmarzony – zaraz na północ od Wielkiego Jeziora Niewolniczego, gdzie mając trochę forsy, tyle żeby sfinansować prawdziwą ekspedycję, człowiek ma szansę się wzbogacić. Konieczne są badania magnetometryczne, co wymaga użycia samolotu, albo jeszcze lepiej śmigłowca i na to właśnie potrzeba pieniędzy.

– Ale ty już jesteś bogaty – zauważyła. – A raczej będziesz, gdy tylko kontrakt zostanie zrealizowany. Będziesz miał więcej niż odziedziczyłam po wujku Johnie, a nigdy nie wydawało mi się, że jestem jakoś szczególnie biedna.

Spojrzałem na nią.

- Przed chwilą powiedziałem, że nie zamieniłbym swojego życia na żadne inne. Ty

masz archeologię, ja mam geologię. I doskonale zdajesz sobie sprawę, że ani dla ciebie ani dla mnie nie jest to zwykła rozrywka.

Uśmiechnęła się.

– Chyba masz rację. – Przyjrzała mi się z bliska. – Ta blizna tam, na piersi, czy to...?

– Wypadek? Tak, to ten wypadek. W miejscach osłoniętych nie zwracają sobie za bardzo głowy chirurgią plastyczną.

Wyciągnęła powoli rękę i dotknęła fragmentu blizny czubkami palców.

– Clare – powiedziałem – znałaś Franka Trinavanta. Wiem, że mam inną twarz, ale jeśli jestem Frankiem, to musi być we mnie coś z niego. Czy nic takiego nie widzisz?

Zmieszała się.

– Nie wiem – powiedziała niechętnie. – To było tak dawno temu i byłam taka młoda. Wyjechałam z Kanady mając szesnaście lat, a Frank miał dwadzieścia dwa. Traktował mnie jak siostrę i nigdy tak naprawdę go nie poznałam. – Potrząsnęła głową.

– Nie wiem – powtórzyła.

Przesuwała palcami wzdłuż blizny. Otoczyłem ją ramionami i przytuliłem.

– Nie przejmuj się, to nie ma znaczenia.

Uśmiechnęła się i westchnęła.

– Masz rację, to nie ma najmniejszego znaczenia. Nie obchodzi mnie, kim jesteś, ani skąd przychodzisz. Wiem tylko, że jesteś Bob Boyd.

Całowaliśmy się gorączkowo i pod koszulą objęła mnie ramieniem, przyciągając bliżej. Rozległ się syk i nieoczekiwane „uuuuf”, gdy pół kubka dobrego scotcha wpadło do ogniska i wybuchło, wysoko żółto-niebieskim płomieniem.

Później w nocy powiedziałem sennie:

– Trudna z ciebie kobieta, przez ciebie nazbierałem dwa razy więcej gałęzi niż potrzeba na posłanie.

Dała mi sójkę w bok.

– Wiesz co? – zapytała zamyślona.

– Co?

– Pamiętasz, gdy spałeś u mnie w domu za pierwszym razem, gdy ostrzegłam cię, żebyś się do mnie nie zbliżał?

– Mmmm, pamiętam.

– Musiałam cię ostrzec. Inaczej bym przepadła.

Otworzyłem jedno oko.

– Naprawdę?

– Nawet wtedy – powiedziała. – Nadal mi miękną nogi i robię się cikliwa, gdy o tym pomyślę. Czy wiesz, że jesteś niezwykłym mężczyzną, Bobie Boyd? Może nie potrafie

sobie z tobą poradzić? Lepiej nie emanuj tak męskością przy innych kobietach.

– Nie bądź niemądra – powiedziałem.

– Mówię poważnie.

Kilka minut później zapytała.

– Nie śpisz?

– Nie.

– Nie pomyślisz, że jestem głupia, jeśli ci coś powiem?

– Zależy, co.

Zamilkła na chwilę i powiedziała:

– Tymi negocjacjami naprawdę zarobiłeś swoje pieniądze i nigdy o tym nie zapomnij. Jestem z tego powodu szczególnie zadowolona.

– Dlaczego? – zapytałem sennie.

– Jesteś cholernie dumny – odparła. – Być może nigdy byś nie ruszył palcem w moją stronę, gdybyś się nad tym zbyt wiele zastanawiał. Obawiałam się, że odstraszy cię to, że mam pieniądze, ale teraz ty też masz pieniądze i już się nie boję.

– Bzdura! – powiedziałem. – Co znaczy marne sześćset tysięcy? Chcę zgarnąć całą pulę. – Przyciągnąłem ją bliżej. – Chcę wszystkiego, co masz.

Westchnęła głęboko i znów do mnie przywarła. W końcu, gdy pierwszy świt szarzał na niebie, zasnęła obejmując mnie ręką, z głową na moim ramieniu.

### 3

Badania, na które wystarczyłyby cztery dni, przeciągnęły się na dwa tygodnie. Być może czas ten stanowił dla nas rodzaj przedślubnego miesiąca miodowego, ale podobnie postępuje tyle ludzi, że nie jest to największe przestępstwo na świecie. Wiem tylko, że przeżywałem najszcześniejszy okres mojego życia.

Rozmawialiśmy, cały czas rozmawialiśmy! Żeby dwoje ludzi mogło się naprawdę poznać, potrzebne jest całe morze słów, a przecież najważniejsze sprawy obywają się w ogóle bez słów. Gdy dwa tygodnie dobiegały końca, wiedziałem o archeologii o wiele więcej niż przedtem, a Clare dowiedziała się o geologii wystarczająco dużo, żeby zdać sobie sprawę, że badania nic nie dały.

Wcale się tym jednak nie martwiliśmy. Trzy ostatnie dni spędziliśmy nad niewielkim jeziorem, które odkryliśmy wśród wzgórz. Obozowaliśmy nad samym brzegiem i codziennie rano i po południu pływaliśmy nie przejmując się brakiem kostiumów. Później, trzęsąc się z zimna, nawzajem wycieraliśmy się do sucha ręcznikami. Nocami szumiał las, a my po cichu rozmawialiśmy, najczęściej o nas samych i o tym, co zrobić

z resztą życia. Dopiero później się kochaliśmy.

Ale wszystko ma swój koniec. Pewnego ranka Clare powiedziała z namysłem.

– Matthew jest już chyba na granicy ogłoszenia poszukiwań. Czy zdajesz sobie sprawę, jak długo nas nie ma?

Uśmiechnąłem się.

– Matthew nie jest taki głupi. Sądzę, że doszedł do wniosku, że można mi zaufać. – Potarłem policzek. – Ale pora wracać.

– Tak – przytaknęła ponuro.

Uprzątnęliśmy obóz i w milczeniu spakowaliśmy sprzęt. Pomogłem jej założyć plecak i powiedziałem:

– Clare, wiesz, że nie możemy zaraz się pobrać?

Głos miała miękki i zdziwiony.

– Dlaczego nie?

Kopnąłem kamień.

– Nie byłoby to uczciwe. Jeśli ożenię się z tobą i zostanę tu, wszystko wybuchnie i mogłabyś zostać skrzywdzona. Jeśli ma dojść do przesilenia, to wolałbym, żeby to nastąpiło zanim weźmiemy ślub.

Otworzyła usta, chcąc oponować, a w każdej sprawie miała własne zdanie, ale nie dałem jej dojść do słowa.

– Jeśli Susskind miał rację – powiedziałem – to, gdy zacznę zbyt głęboko kopać w przeszłości, mogę zwariować. Nie chcę, żeby to spadło na ciebie.

– A jeśli się z tobą zgodzę, to, jakie masz plany? – zapytała po chwili.

– Zamierzam wszystko wydobyć na powierzchnię, ale przed ślubem. Teraz mogę walczyć nie tylko o siebie. Jeśli mi się uda, weźmiemy ślub. Jeśli nie, no to cóż, przynajmniej żadne z nas nie zrobi nieodwracalnego błędu.

Powiedziała spokojnie.

– Jesteś najzdrowszym umysłowo człowiekiem, jakiego widziałam. Jestem gotowa postawić na to całe swoje życie.

– Ale ja nie – odrzekłem. – Nie masz pojęcia jak to jest, Clare: nie mieć przeszłości, albo raczej mieć dwie przeszłości. To pożera mnie od środka. Muszę wiedzieć i muszę podjąć związane z tym ryzyko. Susskind powiedział, że może mnie to przełamać na pół i nie chcę, żebyś została w to nadmiernie wmieszana.

– Ale ja już jestem nadmiernie wmieszana! – krzyknęła. – Już teraz.

– Nie tak bardzo, jak po ślubie. Posłuchaj, jeśli teraz weźmiemy ślub, to może się zdarzyć, że się zawaham w momencie, w którym nie wolno się wahać, nie zaatakuję tak ostro jak trzeba, albo nie zaryzykuję wtedy, kiedy będzie trzeba. Za dużo myślałbym

o tobie. Daj mi miesiąc, Clare, tylko miesiąc.

– Dobrze, miesiąc – powiedziała – tylko miesiąc.

Dotarliśmy do niej do domu późno wieczorem zmęczeni i bez humoru. W ciągu dnia mało się do siebie odzywaliśmy. Matthew Waystand wyszedł nam na spotkanie, uśmiechnął się do Clare, obdarzył mnie badawczym spojrzeniem.

– Ogień rozpalony – rzucił opryskliwie.

Poszedłem do swojego pokoju i z ulgą zrzuciłem plecak, a gdy zmieniłem koszulę i spodnie, Clare pławała się już w gorącej wannie. Poszedłem do domu do Waystanda, który siedział z fajka przed kominkiem.

– Wyjeżdżam niedługo – powiedziałem. – Niech pan pilnuje panny Trinavant.

– Myśli pan, że potrzebuje więcej opieki niż normalnie? – spojrzał na mnie kwaśno.

– Niewykluczone – stwierdziłem siadając. – Czy wysłał pan list, który napisała przed wyruszeniem? – Chodziło mi o wysłanie kontraktu z Mattersonem do jej prawnika w Vancouver.

Skinał głową.

– Przyszła odpowiedź. – Pokazał ruchem głowy. – Jest u niej.

– To dobrze. – Czekałem aż się odezwie, a gdy milczał wstałem. – Już idę. Muszę wracać do Fort Farrell.

– Niech pan zaczeka – rzekł. – Myślałem o tym, o co mnie pan pytał. Chciał pan wiedzieć, czy w tym czasie, gdy stary John został zabity, nie wydarzyło się coś szczególnego. Przypomniałem sobie coś takiego, ale nie wiem, czy można to uznać za niezwykle.

– Co takiego?

– Tydzień później stary Bull kupił sobie nowy samochód. Buicka.

– Nie – odparłem – nie powiedziałbym, że to niezwykle.

– Dziwne tylko – powiedział Waystand – że zastąpił nim samochód, który miał od trzech miesięcy.

– To rzeczywiście dziwne – powiedziałem cicho. – A co było nie w porządku ze starym?

– Nie wiem – odparł lakonicznie Waystand. – Ale co mogło być nie w porządku po trzech miesiącach?

– A co się z nim stało?

– Też nie wiem, po prostu zniknął.

Zastanowiłem się. Dowiedzieć się, co dwanaście lat temu stało się i samochodem, jest prawie niemożliwością, szczególnie z samochodem, który po prostu zniknął. Mała nadzieja, że natrafi się na jakiś ślad, ale przecież nie da się tego wykluczyć. Może warto

sprawdzić w urzędzie komunikacji.

– Dziękuję, Matthew – powiedziałem. – Nie masz nic przeciwko temu, że będę ci mówić Matthew?

Zmarszczył brwi.

– Długo panu zeszło na tym badaniu geologicznym. Jak się ma panna Trinavant?

Uśmiechnąłem się.

– Nigdy nie miewała się lepiej – sama mi to powiedziała. Dlaczego jej nie zapytasz?

Zamruczał.

– Nie wydaje mi się, żebym miał ją pytać. Tak, nie mam nic przeciw temu, żebyś nazywał mnie po imieniu. W końcu, po to jest imię, prawda?

4

Wczesnie rano następnego dnia ruszyłem w drogę. Krótką wymianę zdań z Clare trudno nazwać kłótnią, ale pozostało po niej pewne napięcie. Uważała, że nie mam racji i chciała zaraz brać ślub, a ja byłem innego zdania i kłóciliśmy się jak dzieci. Napięcie zostało złagodzone nocą w łóżku; zaczynaliśmy zachowywać się jak normalne małżeństwo.

Prawnik Clare uznał, że kontrakt Mattersona jest znośny i Clare podpisała. Miałem zostawić go w biurze Howarda w zamian za podpisany przez niego duplikat. Tuż przed wyjazdem Clare powiedziała jeszcze:

– Nie pchaj bez sensu głowy pod topór, Bob. Stary Bull lubi machać siekierą.

Uspokoilem ją i ruszyłem Jeepem na szlak. Do Fort Farrell dotarłem jeszcze przed południem. McDougall kręcił się po domu i spojrzął na mnie domyślnie.

– Wyglądasz, jakbyś sporo przesiedział w lesie. Trafiłeś na złotą żyłę?

– Niemalże – odparłem i opowiedziałem mu historię z Donnerem i Howardem.

Zdawało się, że dostanie konwulsji. Krztusił się, dławił, walił nogą o podłogę.

– Chcesz powiedzieć, że zarobiłeś sześćset tysięcy dolarów za obrażanie Howarda Mattersona? – wybuchnął w końcu. – Daj mi płaszcz, zaraz lecę do niego do biura.

Zaśmiałem się.

– Dokładnie tak było. – Podałem mu kontrakt. – Dopilnuj, żeby dotarło to do Howarda, ale nie ruszaj się stamtąd, zanim nie dostaniesz podpisanej przez niego kopii. I lepiej porównaj każde słowo.

– Możesz być pewien, że tak zrobię – powiedział Mac. – Temu łobuzowi nie można ufać. Jakie masz plany?

– Wybieram się nad zaporę – powiedziałem. – Howard tego nie lubi. Co się tam

działo ostatnio?

– Sama zapora już jest na ukończeniu. Kilka dni temu zamknęli zawory i jezioro zaczęło się wypełniać. – Zachichotał. – Mają trudności z dostarczeniem części generatorów. Te rzeczy są takie wielkie i ciężkie, że ledwo dają radę z transportem. Słyszałem, że zakopały się w błocie przed samą elektrownią.

– Rzucę na to okiem – powiedziałem. – Mac, gdy będziesz w mieście, chciałbym cię o coś prosić. Zaczynaj rozpowiadać między ludźmi, że to ja jestem tym facetem, który przeżył wypadek, w którym zginęli Trinavantowie.

Zachichotał.

– Czyli, że chcesz zwiększyć napięcie. Dobrze, zrobię to. Przed zachodem słońca każdy mieszkaniec Fort Farrell będzie wiedział, że jesteś Grantem.

– Nie – powiedziałem ostro. – Nie wymieniaj żadnych nazwisk. Po prostu powiedz, że jestem facetem, który przeżył wypadek, nic więcej. – Spojrzał na mnie zdumiony.

– Mac, nie wiem, czy jestem Grantem i nie wiem, czy jestem Frankiem Trinavantem – dodałem wyjaśniająco. – Bull Matterson może myśleć, że jestem Grantem, ale wolę utrzymać obie możliwości otwarte. Być może w ten sposób w pewnym momencie będę mógł go zaskoczyć.

– To niebezpieczne – powiedział z namysłem Mac. Zmrużył oczy. – A więc podjąłeś decyzję, synu.

– Tak, podjąłem decyzję.

– To dobrze – odparł z przekonaniem. – Jak Clare? – zapytał jeszcze.

– W porządku.

– Przeprowadziłeś chyba bardzo dokładne badania jej ziemi.

– Tak jest – przyznałem gładko. – Jestem teraz absolutnie pewien, że nie ma tam nic, co byłoby warte kopania. Całe dwa tygodnie pracy.

Widać było, że ma ochotę jeszcze podrażnić temat, więc ruszyłem do wyjścia.

– Jadę nad zaporę – oświadczyłem. – Do zobaczenia wieczorem. Zrób dokładnie tak, jak prosiłem. – Wsiadłem do Jeepa i zostawiłem go sam na sam z własnymi myślami.

Matterson Corporation miała kłopoty z generatorami, tak jak mówił Mac. Ich hydroelektrownia nie dorównywała wielkością budowie na Peace River czy pod Portage Mountain, ale i tak generatory nie bardzo się nadawały do przewozu po terenowych drogach. Dostarczono je statkiem ze Stanów i bez trudności przetransportowano koleją tak blisko jak się dało, później jednak zaczęły się kłopoty.

Prawie roześmiałem się w głos przejeżdżając obok budynku elektrowni u stóp skalnego progu. Potężna ciężarówka do przewozu drewna załadowana sprzętem tonęła w błocie, a dookoła kręcili się spoceni i klnący na czym świat stoi ludzie. Druga ekipa,



tonąc po kolana w morzu błota, układała pnie na drodze do elektrowni, a zostało im jeszcze dobre dwieście metrów.

Zatrzymałem się i syciłem oczy widokiem. Nie zazdrościłem tym ludziom. Dostarczenie generatorów w stanie nieuszkodzonym na miejsce, graniczyć będzie z cudem. Podniosłem głowę i przyglądając się nadpływającym od zachodu, od strony Pacyfiku chmurom pomyślałem, że zanosi się na deszcz. Jedna przyzwoita ulewa i wszystko się dziesięciokrotnie skomplikuje.

Nadjechał Jeep i zarzucił hamując w błocie. Ze środka wysiadł Jimmy Waystand i podszedł do mnie. – Co tu do diabła robisz?

Wskazałem na tonącą ciężarówkę

– Piękny widok.

Twarz mu pociemniała.

– Nie jesteś tu mile widziany – powiedział ostro. – Wynoś się!

– Byłeś ostatnio w kontakcie z Bullem Mattersonem? – zapytałem uprzejmie. – A może Howard nie przekazał rozkazu?

– Do diabła! – powiedział niecierpliwie. Widać było, że korci go, żeby się mnie pozbyć, ale bardziej niż mnie boi się Bulla.

– Jeden fałszywy ruch z twojej strony Jimmy – stwierdziłem łagodnie – a Bull Matterson dostanie pozew sądowy. Trochę go to będzie kosztować, jak sądzę zapłaci to z twojej wypłaty. Weź się lepiej do roboty i uprzątnij ten bałagan zanim znów zacnie padać.

– Znów padać? – powiedział impulsywnie. – Przecież wcale nie padało.

– Tak? To skąd to błoto?

– Skąd do diabła mam wiedzieć? – odparł. – Po prostu zrobiło się błoto. Nagle... – przerwał i spojrzał na mnie wrogo. – Po co ja do cholery z tobą gadam? – Odwrócił się i pomaszerował do swojego Jeepa.

– Pamiętaj! – krzyknąłem – Bądź grzeczny, bo oberwiesz.

Patrzyłem jak odjeżdża, po czym z zainteresowaniem przyjrzałem się glinie. Wyglądała jak zwykła glina. Nachyliłem się, wziąłem trochę do ręki i roztarłem w palcach. Była śliska, bez grudek i gładka jak mydło. Nadawała się doskonale do smarowania świrdrów do wierceń naftowych. Matterson mógłby zarobić parę groszy butelkując ją i sprzedając. Spróbowałem końcem języka, nie czuć było słonawego smaku, ale należało się tego spodziewać, gdyż ludzki język nie jest zbyt precyzyjnym przyrządem pomiarowym.

Przyglądałem się jeszcze przez chwilę ślizgającym się i potykającym w błocie ludziom, po czym z tyłu Jeepa wziąłem dwa puste pojemniki na próbki. Wszedłem w sam środek

bajora, brudząc się przy tym gruntownie i napełniłem pojemniki szarawą śliską substancją. Następnie wróciłem do Jeepa, schowałem pojemniki i ruszyłem z boczem pod górę.

Ani na stoku, ani na przecinającej go drodze nie dostrzegłem ani śladu błota. Na zaporze wykonywano jeszcze drobniejsze prace, ale zawory już zamknięto i za betonową ścianą zaczęła gromadzić się woda. Teren zniszczeń sprzed miesiąca pokrywało już gładkie lustro wody. Dobrze, że w ten sposób ukryto dowody ludzkiej chciwości. Nowe jezioro rozpościerało się płytko w oddali, ze sterzącymi gdzieś pojedynczymi drzewami, zbyt nędznymi nawet dla Bulla Mattersona. Te drzewa umrą, gdy tylko korzenie nasiąkną wodą. Przewrócą się i zgniją w wodzie.

Spojrzałem raz jeszcze na gorączkową aktywność po drugiej stronie tamy. Ludzie sprawiali wrażenie mrówek wokół mrowiska, mrówek taszczących ciało chrząszcza, którego znalazły w lesie. Ale ludziom z ciężarówką nie szło tak dobrze, jak mrówkom.

Wydobyłem jedną z próbek, przyjrzałem się jej uważnie i dokładnie zabezpieczyłem starymi gazetami. Dziesięć minut później znajdowałem się już na drodze do Fort Farrell.

Koniecznym potrzebowałem skorzystać z mikroskopu.

## VIII

Gdy Mac wrócił z miasta, głowiłem się jeszcze nad mikroskopem. Cisnął na stół pudło z zakupami tak, że zatrzęsło preparatem.

– Co tam masz, Bob?

– Kłopoty – powiedziałem nie podnosząc głowy.

– Dla nas?

– Dla Mattersona – odparłem. – Jeśli to to, co myślę, wówczas cała zapora nie jest warta dwóch centów. Ale mogę się mylić.

Mac roześmiał się perliście.

– To najlepsza wiadomość, jaką słyszałem od lat. Jakie kłopoty ma Matterson?

Wstałem.

– Spójrz i powiedz mi, co widzisz.

Nachylił się zaglądając w okular.

– Niewiele widać, tylko kawałek skały, a przynajmniej tak mi się zdaje.

– Z tej substancji składa się glina – objaśniłem. – Istotnie, jest to skała. Co możesz o niej powiedzieć? Spróbuj opisać ją tak, jakbyś tłumaczył ślepemu.

Po chwili milczenia powiedział:

– Nie znam się na tym wcale. Nie wiem jaka to skała, ale jest tu kilka większych kulistych kawałków i sporo mniejszych płaskich drobinek.

– Czy można powiedzieć, że te płaskie cząsteczki mają kształt kart?

– Może i tak, choć są po prostu cienkie i płaskie. – Wyprostował się Przecierając oczy. – Jakiej to jest wielkości?

– Większe okrągławe kamyki to ziarna piasku, które są całkiem duże. Małe płaskie cząsteczki mają grubość około dwóch mikronów. Z nich składa się glina. W tym przypadku wydaje mi się, że to montmorylonit.

– Nie nadążam za tobą – sapnął Mac. – Co to jest mikron? Do szkoły chodziłem dawno temu, a od tego czasu wszystko się zmieniło.

– Jedna tysięczna milimetra – powiedziałem.

– A ten mont-czy-jak-mu-tam?

– Montmorylonit, po prostu minerał tworzący glinę. Występuje raczej powszechnie.

– No to nie wiem, czym tu się przejmować – wzruszył ramionami.

– Mało, kto by wiedział – odparłem. – Ostrzegałem przed tym Howarda Mattersona, ale ten cholerny głupiec nie sprawdził. Ma tu ktoś w okolicy urządzenie wiertnicze, Mac?

Uśmiechnął się.

– Myślisz, że znalazłeś ropę?

– Muszę wykonać odwiert w dwunastu metrach miękkiej gliny.

Potrząsnął głową.

– Nic z tego. Jeśli ktoś chce kopać studnię, bierze Petera Burke'a z Fort St. John. – Spojrzał na mnie z ciekawością. – Wydajesz się tym zaniepokojony.

– Jeśli się czegoś szybko nie zrobi – powiedziałem – to zapora się rozleci. A przynajmniej tak mi się zdaje.

– To by mnie nie zmartwiło – powiedział z przekonaniem Mac.

– Ale mogłoby pokrzyżować mi plany – zauważyłem. – Nie będzie zapory, nie będzie też jeziora Mattersona, a Clare straci cztery miliony dolarów, bo służba leśna nie zezwoli na wyrąb.

Mac patrzył na mnie z otwartymi ustami.

– Chcesz powiedzieć, że to się może stać teraz?

– Może się zdarzyć nawet dziś w nocy. Albo dopiero za sześć miesięcy. Mogłem się też pomylić i w ogóle nic się nie stanie.

Usiadł.

– Dobrze, poddaję się. Co może rozwalić taki wielki kawał betonu w ciągu jednej nocy?

– Kurzawka – powiedziałem. – Wyjątkowo mordercze świństwo. Przy różnych okazjach spowodowała śmierć wielu ludzi. Nie mam czasu na wyjaśnienia, Mac. Jadę do Fort St. John, potrzebny mi dostęp do dobrego laboratorium.

Wyszedłem prędko, a uruchamiając Jeepa obejrzałem się i ujrzałem, że w domu Mac drapie się w głowę i nachyla nad mikroskopem. Za chwilę okno zostało daleko w tyle, a koła buksowały, gdyż zbyt szybko dodawałem gazu.

Niezbyt podobał mi się pomysł jechania nocą trzystu czterdziestu kilometrów, ale miałem dobry czas i dotarłem na miejsce, gdy Fort St. John spał. Z wyjątkiem rafinerii gazu na Tylor Fiat, która pracuje na okrągło, miasto było jak wymarłe. W „Condil Hotel” zarejestrował mnie senny portier i przed śniadaniem złapałem jeszcze kilka godzin snu.

Pete Burkę odmówił.

– Przykro mi, panie Boyd, nic z tego. Mam trzy wieże wiertnicze i wszystkie są w terenie. Przez najbliższy miesiąc nie będę mógł panu pomóc. Wszystkie terminy mam zajęte.

Fatalna wiadomość.

– Nawet za premię, wysoką premię? – zapytałem.

Rozłożył ręce – przykro mi.

Wyjrzałem z okna biura na podwórze.

- Tam ma pan wiertnię – powiedziałem. – Czego jej brakuje?
- Jaka tam wiertnia! – zaśmiał się. – To muzealny eksponat.
- A czy poradzi sobie z dwunastoma metrami miękkiej gliny i pobraniem próbek?
- Jeśli tylko o to panu chodzi, to może i tak, jeśli działać ostrożnie. - Roześmiał się. – To była moja pierwsza wieża, z którą zaczynałem interes, a już wtedy się rozlatywała.
- To może się dogadamy – powiedziałem – jeśli dorzuci pan kilka pięciocentymetrowych świrdrów rdzeniowych.
- Poradzi pan sobie z tym? Nie mam wolnych ludzi.
- Dam sobie radę – powiedziałem i zajęliśmy się ustalaniem ceny.

Zostawiłem ładowanie urządzenia do Jeepa Burke'owi i poszedłem na poszukiwanie jakiegoś geologa. Znalazłem go w dyrekcji kompanii naftowej i wycygałem na kilka godzin prawa do korzystania z jego laboratorium. Jeden pojemnik z próbką gliny wystarczył, żeby dowiedzieć się tego co trzeba: tak jak podejrzewałem, próbka zawierała głównie montmorylonit, stężenie soli w wodzie wynosiło niecałe cztery gramy na litr – następny zły znak – a pół godziny spędzone na intensywnym czytaniu „Mineralogii stosowanej” Grima pozwoliło domyślać się najgorszego.

Same domysły jednak w takim przypadku nie wystarczą. Dla uzyskania pewności konieczne jest wykonanie wierceń. Wczesnym popołudniem jechałem już do Fort Farrell z urządzeniem wiertniczym, które wyglądało tak, jakby zbudowano je w oparciu o rysunki z „De Re Metallica” Agricoli.

2

Następnego dnia rano, wdychając aromat gorących bułeczek, które postawił przede mną Mac, oświadczyłem:

– Potrzebuję pomocnika, Mac. Znasz może jakiegoś krzepkiego młodzieńca, który nie boi się Mattersona?

– Siebie.

Spojrzałem na jego wątłą postać.

– Chcę wciągnąć sprzęt wiertniczy na zbocze obok tamy. To zajęcie nie dla ciebie, Mac.

– Chyba masz rację – powiedział zniechęcony. – Będę mógł pójść z tobą?

– Jasne, że tak, jeśli czujesz się na siłach. Ale potrzebny mi ktoś do pomocy.

– A co z Clarrym Summerskilem? Nie lubi Mattersona, a ty mu się spodobałeś.

– Nie ten rodzaj krzepkiego młodzieńca miałem na myśli – stwierdziłem z powątpiewaniem.

– Jest w niezłej formie – powiedział Mac. – Jeśli ktoś, komu na imię Clarence, zdołał dożyć jego wieku, to musi być twardy.

Po namyśle pomysł wydał się lepszy. Potrafiłem obsługiwać wiertnię, ale urządzenie jakie wzięłem sobie na głowę pochodzi chyba z epoki kamiennej i mechanik może się okazać potrzebny.

– Dobrze – stwierdziłem. – Pogadaj z nim. Jeśli się zgodzi, poproś żeby wzięł skrzynkę z narzędziami, może będzie musiał podreperować rozsypującego się diesla.

– Zgodzi się – powiedział zadowolony Mac. – Jest zbyt ciekawy, żeby nie skorzystać z takiej okazji.

Gdy mijaliśmy elektrownię kierując się drogą pod górę, było jeszcze wcześniej rano. Wyglądało na to, że ekipa budowlana Mattersona nie zrobiła tymczasem żadnych postępów z opornym generatorem. Błota nie ubyło, sprawiało tylko wrażenie jeszcze bardziej zbełtanego. Nie tracąc czasu na przyglądanie się, pojechaliśmy dalej i zatrzymałem się mniej więcej w połowie drogi pod górę.

– Jesteśmy na miejscu. – Wskazałem ręką na zbocze. – Pierwszy odwiert zrobimy dokładnie pośrodku, tam.

Clarry spojrział w górę na rozciągającą się powyżej skarpy jednolitą betonową ścianę zapory.

– Całkiem spora, prawda? Musiała swoje kosztować. – Odwrócił wzrok w dół wzgórza. – A ci ludzie z budowy nie będą nam robić kłopotów?

– Nie wydaje mi się – powiedziałem. – Zostali ostrzeżeni, żeby się trzymać z daleka. – Wewnętrznie nie byłem o tym tak bardzo przekonany; pokręcić się trochę po okolicy to jedno, a wiercenia to już zupełnie coś innego. – Wyładujmy sprzęt.

Najcięższy okazał się silnik, który napędzał całe monstruum. Podczas gdy Mac został przy Jeepie, przeciągnęliśmy go razem z Clarrym szarpiąc i pchając przez zbocze do wybranego przeze mnie miejsca. Reszta była już prostsza, choć czasochłonna i wszystkie przygotowania zajęły nam prawie dwie godziny.

Urządzenie było w strasznym stanie i gdyby nie Clarry wątpię, czy kiedykolwiek zdołałbym je uruchomić. Największy kłopot mieliśmy z silnikiem, rozklekotanym starym dwusuwem, który za nic nie chciał ruszyć i dopiero gdy Clarry czule do niego przemówił po tuzinie nieudanych prób, ruszył z głośnym terkotem. Tłoki tak dzwoniły, że podświadomie cały czas czekałem, aż wał korbowy wyrwie się z obudowy. Tymczasem trzymał się chyba tylko przez przypadek i dzięki jakiejś emanującej z Clarry'ego magii, wszedłem więc w ziemię i zaczęliśmy wiercić.

Tak jak się spodziewałem, hałas przyciągnął ciekawskich. Drogą nadjechał z dołu na pełnym gazie Jeep, zatrzymał się tuż za moim i dwaj znajomi z poprzedniego spotkania

panowie rzucili się biegiem w naszą stronę.

– Co pan tu do cholery robi? – wołał Novak, starając się przekrzyknąć warkot silnika.

Przyłożyłem ręce do uszu. – Nie słyszę!

Podszedł bliżej. – Co pan wyprawia?

– Przeprowadzam wiercenia rdzeniowe.

– Wyłącz pan to cholerstwo – zawołał.

Potrząsnąłem głową i machnąłem ręką w dół zbocza. Odeszliśmy na odległość, w której uprzejma konwersacja nie przeciążała tak bardzo bębneków.

– Co to znaczy: wiercenia rdzeniowe? – zapytał ostro.

– Dokładnie to, co powiedziałem: robię dziurę w ziemi, żeby zobaczyć co jest pod spodem.

– Nie może pan tu wiercić.

– Dlaczego?

– Ponieważ... ponieważ...

– Żadne ponieważ – przerwałem. – Mam pełne prawo do przeprowadzania wierceń na terenach państwowych.

Nie wydawał się przekonany.

– Zajmiemy się tym – oświadczył bojowo i ruszył wielkimi krokami do Jeepa. Patrzyłem jak odjeżdża i wróciłem nadzorować podnoszenie pierwszego rdzenia.

Wiercenie w glinie idzie na ogół jak po maśle, a nie potrzebowałem też schodzić głęboko. W miarę, jak wydobywaliśmy kolejne odcinki rdzeni, numerowałem je, Mac zabrał je i układał w Jeepie. Skończyliśmy pierwszy otwór zanim pojawił się z wizytą Jimmy Waystand.

Clarry z żalem wyłączał silnik, gdy Mac trącił mnie w bok mówiąc:

– Nadchodzą kłopoty.

Ruszyłem na spotkanie zbliżającego się Waystanda. Widać było po nim, że ma dość zmartwień na dole przy elektrowni. Pokryty warstwą gliny do połowy ud i cały pochlapany błotem nie wydawał się w najlepszym usposobieniu.

– Znowu zaczyna nam pan robić trudności? – zapytał.

– To zależy od pana – odparłem. – Nie robię tu nic, co by mogło wam zaszkodzić.

– Nie? – wskazał na wieżę wiertniczą. – Czy dr Matterson o tym wie?

– Jeśli ktoś mu nie doniósł, to nie – powiedziałem. – Nie muszę pytać go o pozwolenie.

Waystand stuknął się w czoło, że aż mu głowa odskoczyła.

– Robi pan sobie wiercenia rdzeniowe między zaporą Mattersona, a elektrownią Mattersona i wydaje się panu, że nie jest potrzebne jego zezwolenie? Chyba pan oszalał.

– Ta ziemia należy do państwa – powiedziałem. – Jeśli Matterson chce mieć ją na własność, niech podpisze traktat z rządem. Mogę tu robić tyle dziur co w szwajcarskim serze i Matterson nie ma nic do gadania. Niech pan do niego zadzwoni i mu to powie. Niech pan mu też powie, że nie przeczytał mojego raportu i czekają go poważne kłopoty.

Waystand zaśmiał się.

– Czekają go kłopoty? – powiedział z niedowierzaniem.

– Owszem – odparłem. – A sądząc z gliny na pana spodniach, pana też. Te same co jego. I niech pan to powtórzy Howardowi dokładnie tak, jak powiedziałem.

– Powtórzę – stwierdził Waystand. – I gwarantuję, że nie zrobi już pan żadnych innych wierceń. – Splunął na ziemię obok mojego buta i poszedł do samochodu.

– Ostro grasz, Bob – zauważył Mac.

– Może tak – przyznałem. – Dalej, do roboty. Chcę mieć dzisiaj jeszcze dwa odwierty. Jeden na dalszym skraju i drugi przy drodze.

Z pomocą Maca i Clarry'ego przeciągnąłem kolumnę przez zbocze na nowe miejsce i wydrążyłem następny otwór na dwanaście metrów, po czym mozolnie przetaszczyliśmy sprzęt do miejsca w pobliżu Jeepa. Po wykonaniu trzeciego odwiertu praca na dziś została zakończona i załadowaliśmy urządzenie do wozu. Zamierzałem wykonać jeszcze o wiele więcej wierceń i normalnie zostawiłbym wszystko na miejscu. Nie pracowaliśmy jednak w normalnych warunkach i jeśli wieża zostałaby na zboczu, następnego dnia rano okazałoby się, że jest jeszcze bardziej do niczego niż zwykle.

Zaczelśmy zjeżdżać ze wzgórza, ale na dole zatrzymał nas samochód, który wyjechał na środek blokując drogę. Wysiadł z niego Howard Matterson i zbliżył się do mnie.

– Boyd, mam już pana całkowicie dosyć – powiedział zawzięcie. Wzruszyłem ramionami.

– A cóż takiego zrobiłem tym razem?

– Jimmy Waystand mówi, że wiercił pan tam na górze. To ma się już nie powtórzyć.

– Może się nie powtórzy – zgodziłem się. – Jeśli się okaże, że znalazłem to, czego szukam. Nie musiałbym wiercić, Howardzie, jeśli przeczytałby pan mój raport. Uprzedzałem pana, żeby zwrócić uwagę na ku...

– Nie obchodzi mnie żaden cholerny raport – przerwał. – Nie obchodzi mnie też żadne odwierty. Interesuje mnie natomiast, że, jak słyszałem, pan jest tym człowiekiem, który przeżył wypadek, w którym zginął stary Trinavant.

– Ludzie tak mówią? – zapytałem niewinnie.

– Cholernie dobrze wie pan, że mówią. I chcę, żeby się to natychmiast skończyło.

– A jak ja mogę na to wpłynąć? – zapytałem. – Nie odpowiadam za to co ludzie mówią. Mogą sobie mówić co chcą, nic mnie to nie obchodzi. Ale chyba pana to obchodzi



– uśmiechnąłem się do niego miło. – Ciekawe dlaczego.

Howard ściemniał na twarzy.

– Posłuchaj Boyd, czy Grant, czy jak się tam nazywasz, nie próbuj pan wsadzać nosa w sprawy, które pana nie dotyczą. Mój stary już pana ostrzegął, a teraz ja ostrzegam jeszcze raz. Nie jestem taki miękki jak mój ojciec, który głupieje na stare lata, i radzę panu, żeby się pan stąd wyniósł zanim ktoś panu nie pomoże.

Pokazałem na jego samochód.

– Jak się mogę wynieść, jeśli tam stoi to pudło?

– Dowcipniś – powiedział Howard, ale wrócił do samochodu i zjechał z drogi. Podjechałem i zatrzymałem się obok niego.

– Howardzie – powiedziałem – nie daję tak łatwo za wygraną. I jeszcze jedna sprawa. Nie sądzę, żeby pana ojciec był miękki. Może to do niego dojść i wtedy osobiście się pan przekona, jaki jest miękki.

– Daję panu dwadzieścia cztery godziny – powiedział Howard i ruszył. Teatralne wyjście zepsuło mu błoto na drodze: koła nie złapały przyczepności, samochód ześliznął się w bok i tyłem uderzył o głąz. Uśmiechnąłem się, pomachałem mu ręką i odjechałem do Fort Farrell.

– Wczoraj rzeczywiście coś na ten temat słyszałem – odezwał się z namysłem Clarry Summerskill. Czy to prawda, panie Boyd?

– Czy co prawda?

– Że pan jest tym facetem, Grantem, który miał wypadek razem z Johnem Trinavantem?

Spojrzałem na niego z ukosa.

– Czy nie mógłbym być kimś innym niż Grant?

– Jeśli brał pan udział w tym wypadku, to nie wiem kim innym niż Grant może pan być. – Summerskill był zaskoczony. – Jaką grę pan prowadzi, panie Boyd?

– Nie myśl o tym za dużo, Clarry – poradził Mac. – Mógłby ci się mózg przegrzać. Boyd wie co robi. Mattersonów to niepokoi, prawda? To dlaczego miałyby martwić ciebie?

– Nie jestem zmartwiony – odparł Clarry trochę raźniej. – Po prostu nie rozumiem, co tu się dzieje.

Mac zachichotał.

– Nie tylko ty. Ale z wolna wszystko się wyjaśni.

– Powinien pan uważać na Howarda Mattersona, panie Boyd - powiedział Clarry. – On ma niski punkt wrzenia. Gdy go poniesie, staje się zupełnie nieobliczalny. Czasami mam wrażenie, że z niego prawdziwy czubek.

Też tak myślałem, ale powiedziałem tylko: – Nie martwi mnie to zbytnio, umiem dawać sobie z nim radę.

Gdy zatrzymaliśmy się przed domem Maca, Clarry zapytał: – Czy to nie terenówka panny Trinavant?

– Owszem – odparł Mac – a oto i Clare.

Pomachała wychodząc nam na spotkanie.

– Byłam niespokojna – powiedziała. – Przyjechałam zobaczyć, co się tu dzieje.

– Cieszę się, że jesteś – powiedział Mac. Uśmiechnął się do mnie. – Znow będziesz musiał spać w lesie.

– Wóz w porządku, panno Trinavant? – zapytał Clarry.

– Bez zarzutu – zapewniła go.

– To świetnie. No cóż, panie Boyd, pora jechać do domu, żona będzie się dziwić, dlaczego mnie jeszcze nie ma. Czy będzie mnie pan jeszcze potrzebować?

– Nie wiem – powiedziałem. – Posłuchaj, Clarry, Howard Matterson widział cię ze mną. Czy nie będziesz miał z tego powodu jakiś kłopotów? Nie jestem tu teraz zbyt popularny.

– Jeśli o mnie chodzi to nie. Matterson próbuje od lat przejąć mój interes i jeszcze mu się nie udało. Jak będę potrzebny, niech mi pan da znać, panie Boyd. – Potrząsnął głową. – Ale bardzo bym chciał wiedzieć co tu się dzieje.

– Dowiesz się Clarry – zapewnił go Mac. – Gdy tylko my sami będziemy wiedzieć.

Summerskill pojechał do domu, a Mac zagonił mnie i Clare do domu.

– Bob zrobił się bardzo tajemniczy – powiedział. – Wbił sobie do głowy, że zaporą może się zawalić. Jeśli tak się stanie, będziesz o cztery miliony do tyłu, Clare.

Spojrzała na mnie prędko.

– Mówisz poważnie?

– Tak. Będę w stanie powiedzieć więcej, gdy rzucę okiem na rdzenie, które mam w Jeepie. Rozładujmy je, Mac.

Niedługo na stole leżała seria cylindrycznych rdzeni o średnicy pięciu centymetrów. Ułożyłem je w kolejności i odłożyłem te, których nie potrzebowałem. Wybrałem do zbadania rdzenie pokryte cienką warstewką wilgoci, gładkie i śliskie w dotyku. Sprawdziwszy numerację ustaliłem, że pochodzą z głębokości dziewięciu metrów. Ułożyłem je w trzech grupach i wyjaśniłem Clare:

– Te rdzenie pochodzą z trzech otworów, które wykonałem dziś na zboczu między zaporą, a elektrownią. – Potarłem jeden z nich i przyjrzałem się wilgoci na palcu. – Gdyby zamiast tych rdzeni leżały tu laski dynamitu, byłyby znacznie mniej niebezpieczne.

Mac odsunął się nerwowo do tyłu, uśmiechnąłem się więc.

– Same rdzenie nie są niebezpieczne, niepokoi mnie tylko to świństwo na zboczu. Czy wiecie co to znaczy tiksotropowy?

Clare potrząsnęła głową, ale Mac zmarszczył brwi.

– Powiniennem wiedzieć – przyznał – ale na śmierć zapomniałem.

Podszedłem do półki i wziąłem do ręki tubkę.

– Używam tego do włosów, jest to żel tiksotropowy. – Odkręciłem nakrętkę i wycisnąłem na palce trochę zawartości. – Tiksotropowy, znaczy „zmieniający się przy dotknięciu”. To smarowidło jest bardzo gęste, ale gdy rozetrzeć je w palcach, o tak, zamienia się w ciecz. Wsmarowuje się je w głowę, przywiera do każdego włosa. Jeśli się teraz uczesać, żel po chwili zastygnie prawie do stanu stałego, utrzymując w ten sposób włosy w miejscu.

– Bardzo ciekawe – przyznał Mac. – Czyżbyś zamierzał otworzyć zakład fryzjerski, synu?

Nie odpowiedziałem. Zamiast tego wziąłem jeden z rdzeni.

– To jest glina. Wiele tysięcy lat temu osadził ją tu lodowiec. Lód zmielił skaliste podłoże w pył i pył ten następnie wypłukiwała woda, aż osadził się na dnie jeziora lub morza. Ta glina osadziła się raczej w słodkowodnym jeziorze. Coś wam pokażę. Masz ostry nóż, Mac?

Podał mi kuchenny nóż, którym wyciąłem ze środka jednego z rdzeni dwa kawałki długości dziesięciu centymetrów. Jeden z nich postawiłem na stole.

– Przygotowałem się do pokazu – powiedziałem – bo ludzie nie chcą w to wierzyć, zanim nie zobaczą na własne oczy i prawdopodobnie będę musiał to samo pokazać również Bulłowi Matteredsonowi, zanim mu to przeniknie przez jego grubą czaszkę. Mam tu kilka ciężarków. Ile kilogramów waszym zdaniem ten gliniany cylinder wytrzyma?

– Nie mam pojęcia – powiedział Mac. – Ale rozumiem, że chcesz nam coś udowodnić.

– Przekrój podstawy wynosi niewiele ponad siedem centymetrów kwadratowych – powiedziałem. Położyłem pięciokilogramowy odważnik na cylindrze i szybko dodałem następny. – Dziesięć kilogramów.

– Dołożyłem dwa kilogramy. – Umieściłem na wierzchu dalsze dwa odważniki. Dodawałem kolejne ciężarki budując na cylindrze gliny prawdziwą wieżę. – Nie mam więcej odważników: piętnaście kilogramów. Na razie udowodniliśmy, że ta glina utrzyma nacisk około dwóch i pół kilograma na centymetr kwadratowy. W rzeczywistości jest znacznie bardziej wytrzymała.

– No i co z tego? – zapytał Mac. – Pokazałeś, że jest wytrzymała. Co z tego wynika?

– Czyżby rzeczywiście była taka wytrzymała? – zapytałem miękko. – Daj mi dzbanek i łyżkę z kuchni.

Zamruczał coś o cyrkowych sztuczkach, ale przyniósł, o co prosiłem. Mrugnąłem do Clare i podniosłem drugi fragment rdzenia.

– Panie i panowie, zapewniam was, że w rękawie mam tylko swoją własną rękę. – Włożyłem gliniany cylinder do dzbanka i zamieszałem intensywnie tak, jak ciasto na naleśniki. Mac przyglądał mi się nieporuszony, ale Clare wydawała się zamyślona.

– To jest właśnie substancja tiksotropowa – powiedziałem zdecydowanie wylewając zawartość dzbanka na stół. Po powierzchni rozlała się szeroko kałuża cienkiego błota. Spłynęła do krawędzi stołu i zaczęła kapać na podłogę.

– Skąd się wzięła woda? – zaprotestował Mac. – Nalałeś ją wcześniej do dzbanka – stwierdził oskarżająco.

– Dobrze wiesz, że nie. Sam przyniosłeś dzbanek z kuchni. – Wskazałem na brudną kałużę. – Jaki nacisk to wytrzyma, Mac?

Mac oniemiał. Clare wyciągnęła rękę i zanurzyła palec w wodzie.

– Ale skąd wzięła się tu woda, Bob?

– Była cały czas w glinie. – Wskazałem na ułożone odważniki nadal przyciskające drugi cylinder. To świństwo składa się w pięćdziesięciu procentach z wody.

– Nadal trudno mi uwierzyć, choć widziałem na własne oczy – stwierdził sucho Mac.

– Mogę to zrobić jeszcze raz, jeśli sobie życzysz – zaproponowałem.

Uderzył ręką o stół.

– Nie kłopotz się. Wy tłumacz mi tylko, jakim sposobem to coś może trzymać wodę jak gąbka.

– Pamiętasz co ci pokazałem pod mikroskopem? Widziałeś wtedy dużo małych blaszek jakiegoś minerału. – Skinął głową. – Te blaszki są bardzo małe, każda ma około pięć setnych milimetra, ale w centymetrze kwadratowym są ich miliony. Cała rzecz w tym, że są ułożone jak domek z kart. Budowałeś kiedyś domki z kart, Clare?

– Próbowałam, ale nigdy nie udało mi się wiele osiągnąć. – Uśmiechną się. – Wuj John był w tym ekspertem.

– Wiesz więc, że domek z kart składa się głównie z pustej przestrzeni między kartami. – Postukałem w rdzeń. – W tej przestrzeni właśnie Znajduje się woda.

Mac nadal patrzył z niedowierzaniem, ale powiedział:

– Brzmi prawdopodobnie.

– To jeszcze nie wszystko, prawda? – zapytała cicho Clare. – Nie pokazałeś nam przecież tylko iluzjonistycznej sztuczki?

– Istotnie – przyznałem. – Tak jak mówiłem, materiał ten podlegał pierwotnie

sedymentacji na dnie morza lub jeziora. Obecna w wodzie sól ma działanie podobne do elektrolitu, powodując zlepianie się całej struktury. Jeśli jednak sól zostanie wymyta lub jeśli od początku jest jej niewiele, a tak się dzieje ze złożem, które osadziło się w słodkiej wodzie, efekt zlepiania jest tu daleko słabszy. Clare, jaka jest najbardziej charakterystyczna cecha domku z kart?

– Łatwo się rozpada.

– Tak jest! Domki z kart są bardzo niestabilne. Mogę opowiedzieć wam kilka historii, żebyście zrozumieli dlaczego tę substancję nazywa się kurzawką. Złoża kurzawki znajdują się wszędzie tam, gdzie sięgały zlodowacenia, głównie w Rosji, Skandynawii i Kanadzie. Jakiś czas temu, w połowie lat pięćdziesiątych, doszło do katastrofy w Nicolet w Quebecu. Osunął się pas gruntu, porywając szkołę, warsztat samochodowy, kilka domów i buldożer. Wyglądało to tak, jakby ktoś wyrwał spod budynków dywan. Szkoła wpadła na most na rzece i wybuchł w niej pożar, a w ziemi powstał lej o długości stu osiemdziesięciu metrów, szerokości stu dwudziestu i głębokości dziewięćdziesięciu.

Odetchnąłem głęboko.

– Nigdy nie udało się ustalić, co upłynniło kurzawkę. A oto następny przykład. Zdarzyło się to w miejscowości Surte w Szwecji, a Surte jest sporym miastem. Kłopot w tym, że wjechało do rzeki Gota. Ponad trzydzieści milionów metrów sześciennych ziemi ruszyło z miejsca, zabierając ze sobą tory kolejowe, odcinek autostrady i domy trzystu obywateli. Wyrwa w ziemi miała rozmiary kilometr na pół. Osuwisko spowodowało użycie kafara do budowy fundamentów budynku.

– Kafara! – Mac zapomniał zamknąć usta.

– Upłynnienie kurzawki nie wymaga wcale wielkiej wibracji. Mówiłem wam, że jest tiksotropowa, zmienia się pod wpływem dotyku, a w odpowiednich warunkach nie musi to być wcale silny dotyk. Gdy raz ruszy, duży obszar terenu przechodzi ze stanu stałego w płynny. Wtedy grunt zaczyna się przemieszczać, i przemieszcza się cholernie szybko. Katastrofa w Surte trwała od początku do końca trzy minuty. Jeden z domów przesunął się o sto dwadzieścia metrów. Jak by się wam podobało, gdyby nagle nasz dom wystartował z szybkością prawie czterdziestu kilometrów na godzinę?

– Wcale by mi się nie podobało – stwierdził ponuro Mac.

– Czy pamiętacie co się stało w Anchorage? – zapytałem.

– Największy kataklizm na Alasce – powiedział Mac. – Ale to było prawdziwe trzęsienie ziemi.

– O tak, trzęsienie ziemi też tam wystąpiło, ale nie ono zniszczyło Anchorage. Zainicjowało natomiast osunięcie się kurzawki. Okazało się, że większa część miasta jest zbudowana na kurzawce i Anchorage wyruszyło w drogę, jak się okazało, w kierunku

Pacyfiku.

– Nie wiedziałem o tym – powiedział Mac.

– Są tuziny innych przykładów – mówiłem dalej. – W czasie wojny brytyjskie bombowce atakując fabrykę chemiczną w Norwegii spowodowały osunięcie się terenu o powierzchni pięćdziesięciu tysięcy metrów kwadratowych. Można wymienić także Aberfan w Południowej Walii, gdzie sytuacja wyglądała nieco inaczej, gdyż zawaliła się kopalnia węgla, główną przyczyną była jednak kurzawka. Zapadła się szkoła pełna dzieci.

– I sądzisz, że zapora jest w niebezpieczeństwie? – zapytała Clare.

Pokazałem gestem rdzenie z odwiertów na stole.

– Wziąłem trzy próbki z trzech miejsc na zboczu, z których wynika, że kurzawka występuje na całej jego szerokości. Nie wiem jak daleko sięga w dół i w górę, ale przypuszczam, że daleko. Na dole pojawiło się pełno błota. Osunięcie kurzawki może przemieszczać się z prędkością trzydziestu pięciu kilometrów na zboczu nachylnym pod kątem jednego stopnia. Nachylenie skarpy wynosi około piętnastu stopni, więc jeśli kurzawka ruszy, to bardzo szybko. Elektrownia zostanie przykryta warstwą trzydziestu metrów błota, a prawdopodobnie osunie się również fundament zapory. Jeśli do tego dojdzie, to całe nowe jezioro Mattersona pójdzie w diabły. Wątpię, żeby z elektrowni coś zostało.

– Lub ktoś w środku – powiedziała cicho Clare.

– Lub ktoś w środku – przytaknąłem.

Mac podniósł rękę i z szacunkiem przyjrzał się rdzeniom.

– Nie rozumiem tylko dlaczego do tej pory nic nie drgnęło. Pamiętam, że na tym terenie prowadzono wyrąb i zwalano drzewa. Wielka dojrzała dagleżja wali w ziemię z łoskotem, o wiele mocniej niż kafar. Całe zbocze powinno było się osunąć lata temu.

– Sądzę, że to z powodu zapory. Moim zdaniem, warstwa kurzawki wychodzi na powierzchnię gdzieś po drugiej stronie zapory. Wszystko było w porządku dopóki nie zbudowano tamy, gdyż po zamknięciu zaworów zaczęła gromadzić się woda, wywierając rosnący nacisk na odkrywkę kurzawki na całym zboczu.

– To możliwe – skinął głową Mac.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała Clare.

– Muszę jakoś zawiadomić o tym Mattersona – powiedziałem. – Próbowałem wyjaśnić to Howardowi dziś po południu, ale nie dał mi dokończyć. W raporcie napisałem wyraźnie, żeby uważać na kurzawkę, ale nie sądzę, żeby go w ogóle czytał. Miałaś rację Clare, Howard jest niedbały w interesach. – Przeciągnąłem się. – Ale tymczasem chciałbym dowiedzieć się więcej o tych próbkach, szczególnie o zawartości wody.

– Jak to zrobisz? – zapytał Mac z zainteresowaniem.

– Bardzo prosto. Wytnę próbkę, zważę ją, następnie wygotuję wodę na kuchni i znów ją zważę. Różnica powie mi, ile było wody.

– Najpierw zrobię kolację – powiedziała Clare. – A ty mógłbyś posprzątać ten bałagan, który narobiłeś na stole.

Po kolacji zająłem się ustaleniem zawartości wody. Lepkość kurzawki zależy od składu mineralnego i od ilości związanej wody. Tak się nieszczęśliwie składa, że w tym przypadku miałem do czynienia ze słabym montmorylonitem, co w połączeniu z zawartością około czterdziestu procent wody średnio w trzech próbkach, dawało wytrzymałość na nacisk około trzech ton na metr kwadratowy.

Jeśli się nie pomyliłem i woda z jeziora wymywa pokład kurzawki, to sytuacja powinna się szybko zacząć pogarszać. Podwojenie zawartości wody spowoduje obniżenie punktu krytycznego raptem do ośmiuset kilogramów na metr kwadratowy i nawet jakiś ciężkonogi robotnik może spowodować osunięcie całego zbocza.

– Czy można w ogóle coś na to poradzić? – zapytała Clare. – To znaczy, czy można uratować tamę?

Westchnąłem.

– Nie wiem, Clare. Przede wszystkim powinno się otworzyć zawory – żeby spuścić wodę z jeziora, znaleźć wylot ławicy kurzawki i może wtedy uda się ją odizolować. Na przykład przykrywając ją warstwą betonu. Ale w ten sposób kurzawka pod zboczem nadal pozostanie groźna.

– To co należy zrobić?

Uśmiechnąłem się.

– Wpompować więcej wody. – Roześmiałem się głośno widząc wyraz twarzy Maca. – Naprawdę, Mac, ale wpompowuje się roztwór solankowy z dużą ilością rozpuszczonych składników. Powoduje to ściślejsze upakowanie ziarna i kurzawka przestanie być tiksotropowa.

– Same sprytne pomysły, co? – rzekł sceptycznie Mac. – Wyjaśnij mi w takim razie jedną rzecz. W jaki sposób spowodujesz, żeby Matterson Corporation w ogóle posłuchała tego, co masz im do powiedzenia? Nie bardzo sobie wyobrażam, że wpadniesz jutro do biura Howarda i namówisz go do otwarcia zaworów. Pomyśli, że zgłupiałeś.

– Ja mogę mu powiedzieć – zaproponowała Clare.

– Z punktu widzenia Howarda – parsknął Mac ze wstrętem – i ty, i Bob naciągnęliście go na cztery miliony dolarów, które jemu się należały. Jeśli spróbujecie namówić go na zamknięcie prac przy zaporze, zacznie podejrzewać, że planujecie następną podobną sztuczkę. Nie będzie wiedział jaką, ale tak właśnie pomyśli.

– A co ze starym Bullem? – zapytałem. – Może on uwierzy.

– Może uwierzyć – przyznał Mac. – Z drugiej strony, prosiłeś, żebym rozpowiedział całą historię po Fort Farrell i mogło to już do niego dotrzeć. Nie liczyłbym zbyt na jego cierpliwość w stosunku do ciebie.

– Do licha! – powiedziałem. – Prześpijmy się do jutra. Może coś nam przyjdzie do głowy rano.

Obozowałem na polanie, ponieważ Clare zajęła moje łóżko i nie mogłem zasnąć myśląc o tym, co zdołałem. Czy w ogóle coś osiągnąłem? Fort Farrell przed moim przyjazdem był już wystarczająco nieprzejrystym stawem. Teraz jednak woda tak się wzburzyła, że w ogóle nic nie było widać. Cały czas starałem się sprowokować jakąś reakcję w związku z tajemnicą śmierci Trinavantów i jak dotychczas nakłuwanie Mattersonów nic nie dało.

Zacząłem się nad tym zastanawiać i przypomniałem sobie o czymś dziwnym. Stary Bull od samego początku wiedział kim jestem i szybko się zaniepokoił. Z tego wywnioskowałem, że jest jakaś tajemnica dotycząca Mattersonów. To on starał się przecież wymazać nazwisko Trinavantów.

Z drugiej jednak strony, Howarda poruszyło początkowo coś innego: nasza kłótnia wokół Clare, to, że nie zdołał uniemożliwić mi prowadzenia badań na terenach państwowych i to, że pokrzyżowałem mu tani wykup lasów Clare. Dopiero po tym wszystkim poprosiłem Maca, żeby rozpowiedział historię, że przeżyłem katastrofę z Trinavantami, po czym Howard natychmiast dostał przyśpieszenia dając mi dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie miasta. Było to bardzo dziwne! Bull Matterson wiedział kim jestem, ale nie powiedział swojemu synowi: dlaczego? Czyżby było to coś, co chciał utrzymać w tajemnicy przed Howardem?

A sam Howard, jakie jest jego miejsce w tym wszystkim? Dlaczego był taki poruszony, gdy dowiedział się kim jestem? Czy to możliwe, że stara się osłaniać ojca?

Usłyszałem trzask złamanej gałązki i szybko usiadłem. Między drzewami przesuwiał się w moją stronę czyjś cień i Clare powiedziała ciepło:

– Chyba nie myślałeś, że zostawię cię samego w lesie?

– Mac będzie zgorszony – zachichotałem.

– Mac śpi – powiedziała kładąc się obok mnie. – Ponadto nie jest tak łatwo zgorszyć dziennikarza w jego wieku. Nie jest już przecież dzieckiem.



– Porozmawiam z Howardem, może uda się go skłonić do myślenia.

– Czy sądzisz, że możesz ot tak po prostu wejść do biurowca Mattersonów? – zapytał z powątpiewaniem Mac.

– Pojadę nad zaporę i zacznę wiercić – powiedziałem. – Howard przybiegnie wtedy w podskokach. Czy poprosisz Clarry'ego, żeby się do nas przyłączył?

– To powinno skusić Howarda – przytaknął Mac.

– Może dojdź do bójki – ostrzegła Clare.

– Zaryzykuję – powiedziałem i zaatakowałem podstępnie gorącą bułeczkę. – Może właśnie tego trzeba, żeby wywlec sprawę na światło dzienne. Jestem już zmęczony ciągłymi podchodami. Tym razem zostaniesz w domu, Mac.

– Chcesz, żebym trzymał się z dala – zaśmiał się Mac. – Nie możesz mi zabronić prowadzenia badań na terenach państwowych – powiedział naśladując mnie. – Przetarł oczy. – Kłopot w tym, że jestem trochę zmęczony.

– Żle spałeś?

– Za dużo było tej nocy ruchu dookoła – powiedział wpatrując się w talerz. – Ludzie wchodzili i wychodzili o zwariowanych porach. Równie dobrze można by próbować spać na Grand Central Station.

Clare spuściła oczy, a jej szyja i twarz pokryły się głęboką różowością. Uśmiechnąłem się z zainteresowaniem.

– Może to ty powinieneś spać w lesie, tam było bardzo spokojnie.

Odsunął krzesło.

– Pojadę po Clarry'ego.

– Powiedz mu, że mogą być kłopoty i niech się dobrze zastanowi, czy chce jechać. On nie jest w to bezpośrednio zamieszany.

– Clarry nie będzie miał nic naprzeciw małej bójce z Howardem.

– Nie chodzi mi o Howarda – powiedziałem. Miałem na myśli raczej Jimmiego Waystanda i jego dwóch chłopców na posyłki.

Clarry jednak przyjechał i ruszyliśmy w górę drogą do doliny Kinoxi. Clare też chciała jechać, ale zdusiłem ten pomysł w zarodku.

– Gdy wrócimy, będziemy głodni – powiedziałem. – I może trochę poturbowani. Zrób dobry obiad, przygotuj bandażę i wodę utlenioną.

Na drodze obok elektrowni i na zboczu nikt nas nie zatrzymywał. Wjechaliśmy prawie na samą górę, ponieważ chciałem zrobić odwiert tuż poniżej zapory. Istotne znaczenie miało to, żeby się dowiedzieć, czy warstwa kurzawki wchodzi pod zaporę.

Clarry i ja przeciągnęliśmy silnik przez zbocze i ustawiliśmy wieżę. Nikt nie zwracał na nas najmniejszej uwagi, mimo że byliśmy widoczni jak na dłoni. Daleko w dole nadal

walczono z tkwiącym w błocie generatorem i zrobiono już spore postępy, zużywając przy okazji tyle drewna, ile tartak Mattersona przerabia na dobę. Dochodziły nas przekleństwa i okrzyki rozkazów, ale gdy Clarry uruchomił silnik, wszystko utonęło w terkocie i zaczęliśmy wiercić.

Mac nerwowo przestępował z nogi na nogę.

– Czy jesteście tu bezpieczni? A jeśli teraz puści?

– Wszystko możliwe – powiedziałem. – Ale nie wydaje mi się, po prostu jeszcze nie.

– Uśmiechnąłem się. – Nie mam ochoty zjechać na sam dół, szczególnie z tamą na plecach.

– Tak mówicie, jakby szykowało się trzęsienie ziemi – powiedział Clarry.

– Już ci mówiłem, żebyś nie przemęczał mózgu – odparł Mac. – Mówimy dokładnie o trzęsieniu ziemi.

– Hej! – Clarry rozejrzał się wokół. – Jak można przewidzieć trzęsienie ziemi?

– Właśnie nadciąga – powiedziałem i wskazałem ręką. – Oto i Howard z wywieszoną flagą sztormową.

Szedł przez stok, a tuż za nim podążał Jimmy Waystand. Gdy się zbliżył, zobaczyłem, że kipi ze złości.

– Ostrzegalem cię, Boyd – wrzeszczał – a teraz dostaniesz za swoje.

Stałem mu na drodze czekając aż się zbliży i starałem się mieć Waystanda na oku.

– Howard, jest pan głupcem, że nie przeczytał pan mojego raportu. – Powiedziałem.

– Niech pan spojrzy na to błoto na dole.

Zdawał się nie słyszeć ani słowa z tego, co do niego mówię. Wyciągnął w moim kierunku palec.

– Wynoś się pan stąd natychmiast, nie chcemy tu pana.

– My! Chodzi panu chyba o swego ojca i o siebie. – Ale to do niczego nie prowadziło. Nie było sensu zaczynać z nim kłótni, jeśli są do omówienia ważniejsze sprawy.

– Niech pan posłucha, Howardzie – powiedziałem – i niech się pan na Boga uspokoi. Czy pamięta pan, że ostrzegalem pana przed kurzawką?

Spojrzał na mnie nienawistnie.

– Co to jest kurzawką?

– Czyli, że nie czytał pan raportu, wszystko tam było wyjaśnione.

– Do diabła z raportem, nic tylko lamentuje pan nad tym cholernym raportem. Zapłaciłem za niego i to moja sprawa czy go czytałem czy nie.

– Niestety nie, w najmniejszym stopniu. Ludzie mogą zgi...

– Przestań pan do cholery truć na ten temat! – krzyknął.

– Lepiej go posłuchaj – wtrącił ostro Mac.

– Trzymaj się od tego z dala, stary głupcze – rozkazał Howard. – I ty też, Summerskill. Obaj pożałujecie, że zwiążaliście się z tym człowiekiem. Osobiście tego dopilnuję.

– Howard, zostaw pan McDougalla w spokoju – powiedziałem – albo skręcę ci kark. Clarry Summerskill splunął artystycznie prosto na but Howarda.

– Nie będziesz mnie tu straszył, Matterson.

Howard zrobił krok do przodu i podniósł pięść.

– Stój – powiedziałem szybko. – Idą posiłki, Howardzie. – Skinąłem głową w stronę drogi, od której zbliżały się dwie osoby, potykając się na nierównym terenie: kierowca w liberii podtrzymujący pod ramię drugiego mężczyznę.

W końcu Bull Matterson wyszedł z twierdzy.

Clarry'emu opadła szczeka i gapił się na starego i na wielkiego czarnego Bentleya zaparkowanego na drodze.

– Cholera jasna! – powiedział miękko. – Od lat nie widziałem starego Bulla.

– Może przyszedł bronić swego młodego byczka – powiedział sarkastycznie Mac.

Howard ruszył chcąc pomóc staremu, wzruszający obraz synowskiego przywiązania, ale Bull strząsnął ze złością pomocną dłoń. Wydawało się, że doskonale jest w stanie iść o własnych siłach.

– Niech to, stary jest w lepszym stanie niż ja – zachichotał Mac.

– Mam wrażenie, że będzie to moment prawdy – powiedziałem.

Mac spojrzał na mnie filuternie.

– Czy nie mówi się tak w czasie corridy, gdy matador wyciąga szpadę, żeby zabić byka? Na tego byka będzie ci potrzebna wyjątkowo ostra szpada.

Stary w końcu dotarł do nas i rozejrzał się twardo dookoła.

– Wracaj do wozu – powiedział krótko do szofera. Rzucił okiem na wieżę wiertniczą, po czym odwrócił się do Jimmiego Waystanda.

– Kto ty jesteś?

– Waystand. Pracuję na budowie na dole.

– Czyżby? – uniósł brwi Matterson. – To wracaj do roboty.

Waystand spojrzał niepewnie na Howarda, który nieznacznie skinął głową.

Matterson spojrzał na Clarry'ego.

– Ty też tu nie jesteś potrzebny – powiedział ostro. – I ty też, McDougall.

– Zaczekaj koło Jeepa, Clarry – powiedziałem cicho. – McDougall zostaje – dodałem.

– Niech sam się zdecyduje – rzekł Matterson. – No, McDougall?

– Chciałbym, żeby walka była uczciwa – powiedział radośnie Mac. – Dwóch na dwóch. – Roześmiał się.

– Bob niech sobie radzi z Howardem, a my dwaj nadajemy się akurat na mistrzostwa trzeciego wieku. – Sprawdził ręką, czy obudowa silnika wieży jest jeszcze ciepła z wierzchu, po czym nonszalancko oparł się o nią zadkiem.

– Doskonale. Wszystko mi jedno, czy ktoś usłyszy to, co mam do powiedzenia. – Matterson odwrócił głowę. Wbił we mnie zimne niebieskie oczy i musiało być coś ze mną nie w porządku, jeśli kiedykolwiek sądziłem, że wyblakły na stare lata. – Ostrzegłem cię, Grant, ale nie posłuchałeś.

– Czy naprawdę sądzisz, że ten facet jest Grantem – zapytał Howard – że brał udział w wypadku?

– Zamknij się – powiedział lodowato Matterson nie odwracając głowę – Ja się tym zajmę. Zrobiłeś już dosyć błędów. Ty i twoja głupia siostra. – Nie spuszczał ze mnie wzroku. – Czy masz coś do powiedzenia, Grant?

– Mam dużo do powiedzenia, ale nie o tym, co stało się z Johnem Trinavantem i jego rodziną. To co mam do powiedzenia jest o wiele ważniej...

– Nic innego mnie nie obchodzi – wtrącił sucho Matterson. – Więc gadaj, albo się zamknij. Czy masz coś do powiedzenia? Jeśli nie, to masz się stąd wynosić i osobiście tego dopilnuję.

– Tak – powiedziałem powoli. – Mogę mieć kilka rzeczy do powiedzenia. Ale ci się nie podobają.

– W moim życiu jest pełno rzeczy, które mi się nie podobają – powiedział kamiennym głosem Matterson. – Jedna więcej niewiele zmieni. – Nachylił się trochę do przodu i opadła mu warga. – Ale uważaj ze swoimi oskarżeniami, bo mogą się na tobie zemścić. Zobaczyłem, że Howard porusza się niespokojnie.

– Boże! – powiedział patrząc na Maca. – Nie naciskaj za bardzo.

– Mówiłem ci, żebyś się zamknął – stwierdził stary. – Więcej nie będę powtarzać. No i co, Grant: mów co masz do powiedzenia, ale zapamiętaj sobie: nazywam się Matterson i ta część kraju należy do mnie. Jest moja tak samo, jak wszyscy, którzy tu mieszkają. Tych, którzy nie należą do mnie mogę się pozbyć i oni o tym wiedzą. – Uśmiechnął się smutno. – Na ogół nie mówię w ten sposób, bo to nie popłaca, ludzie nie lubią takich prawd. Ale to jest prawda i dobrze o tym wiesz.

Podniósł ręce.

– I myślisz, że ktokolwiek uwierzy tobie, a nie mnie? Szczególnie jeśli wyjdzie na jaw twoja kronika policyjna? Słowo narkomana i handlarza narkotykami wobec mojego? A teraz mów co masz do powiedzenia i do diabła z tobą, Grant.

Spojrzałem na niego z namysłem. Najwyraźniej sądził, że coś wygrzebałem i otwarcie wzywał mnie do odkrycia kart, licząc, że przy pomocy policyjnej kartoteki Granta zdoła

mnie skompromitować. Byłoby to świetne zagranie, gdybym rzeczywiście coś wiedział, a nie wiedziałem, oraz gdybym był Grantem.

Powiedziałem:

– Zastanawiam się dlaczego mówisz na mnie Grant?

Powierzchnie jego stalowej twarzy nieznacznie się przesunęły.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał ostro.

– Powinieneś wiedzieć – odrzekłem. – To ty zidentyfikowałeś ciała. – Uśmiechnąłem się smutno. – A co, jeśli jestem Frankiem Trinavantem?

Nie drgnął, ale twarz pokryła mu brudna szarość. Poruszył się lekko, próbując coś powiedzieć i trudny do opisanie dźwięk wyrwał mu się z ust.

Zanim ktokolwiek zdołał go podtrzymać, rąbnął o ziemię jak jedno z jego własnych ściętych drzew.

Howard rzucił się do przodu i nachylił nad starym. Spojrzałem mu przez ramię. Bull żył i oddychał chrapliwie. Mac złapał mnie za rękaw i odciągnął do tyłu.

– Atak serca – powiedział. – Widywałem to już wcześniej. Dlatego prawie nie ruszał się z domu.

W chwili prawdy moja szpada okazała się ostra, być może zbyt ostra. Ale czy to była chwila prawdy? Nie wiedziałem. Nadal nie wiedziałem czy jestem Grantem czy Frankiem Trinavantem. Nadal byłem zagubioną duszą szperającą na oślep w przeszłości.

## IX

Wszystko zawisło na włosku.

Przekrzykiwaliśmy się z Howardem nad leżącym ciałem Mattersona. Krzyczał głównie Howard, ja próbowałem go uspokoić. Od strony stojącego na drodze Bentleya nadbiegł szofer i Mac odciągnął mnie na bok.

– Będzie zbyt zajęty przy swoim ojcu – powiedział pokazując kciukiem Howarda – ale Jimmy Waystand, jeśli się tu zjawi, zajmie się tobą. Howard spuści swoich chłopców jak psy na zająca. Lepiej się wynośmy.

Nie chciałem odchodzić, bo stary wyglądał fatalnie i miałem ochotę dopilnować wszystkiego, ale zrozumiałem, że Mac ma rację. Trzeba się szybko wynosić.

– Dobrze – powiedziałem – zbierajmy się.

Clarry Summerskill wyszedł nam na przeciw.

– Co się stało? – zapytał. – Uderzył pan starego?

– Boże święty! – powiedział Mac z niesmakiem. – Miał atak serca. Wsiadajmy do Jeepa.

– A co ze sprzętem wiertniczym? – zapytał Clarry.

– Zostawiamy go – powiedziałem. – Zrobiliśmy wszystko, co się dało.

Spojrzałem do tyłu, w stronę małej grupy osób na zboczu poniżej zapory.

– A może za dużo?

Jechałem w dół spodziewając się kłopotów, ale minęliśmy elektrownię i nic się nie stało. Gdy znaleźliśmy się na drodze wyjazdowej, napięcie zmalowało.

– To co powiedziałaś, zbiło starego z nóg – powiedział Mac z namysłem. – Ciekawe dlaczego.

– Zaczynam się zastanawiać nad Bullem Mattersonem – rzekłem. – Nie wydaje mi się taki zły.

– Po tym co ci zrobił? – Mac był oburzony.

– Jasne, że jest twardy i nie przebiera w środkach póki są skuteczne, ale myślę, że zasadniczo jest człowiekiem uczciwym. Jeśli świadomie dokonałby fałszywej identyfikacji ciała, wiedziałby, kim jestem. Nie zdziwiłoby go to na tyle, żeby spowodować atak serca. To był dla niego cholerny szok, Mac.

– Istotnie – potrząsnął głową. – Nie pojmuję tego.

– Ja też nie – stwierdził Clarry. – Czy ktoś może mi wyjaśnić, co tu się dzieje?

– Mógłbyś mi pomóc w jednej sprawie, Clarry – powiedziałem. – Pojedź do urzędu komunikacji i sprawdź, czy Bull Matterson zarejestrował nowego Buicka mniej więcej

w połowie września 1956 roku. Słyszałem, że tak.

– Co z tego? – zapytał Mac.

– Co się stało ze starym wozem? Matthew Waystand powiedział, że Matterson miał go od trzech miesięcy. Zajmujesz się handlem używanymi samochodami, Clarry. Czy w ogóle można sprawdzić teraz co się stało z tym samochodem?

– Po dwunastu latach? – zapytał Clarry wznoszącym się głosem. – Moim zdaniem to niemożliwe. – Podrapał się w głowę. – Ale spróbuję.

Podjechaliśmy do domu Maca i Clarry wrócił do miasta swoim wozem. Opowiedziałem Clare co się stało i bardzo się zmartwiła.

– Mówiłam na niego kiedyś wujek Bull – powiedziała. Podniosła głowę. – Nie był wcale złym człowiekiem. Dopiero gdy Donner wszedł do interesów, Matterson Corporation stała się bezwzględna.

– Donner nie rządzi – zauważył Mac z powątpiewaniem. – Jest tylko wynajętym fachowcem. Bull Matterson zbiera teraz owoce szwindli z zarządkiem powierniczym Trinavanta.

– Nie sądzę, żeby dla niego były to szwindle – powiedziała cicho. – Dla Bulla to dobrze przeprowadzona transakcja, w której nie ma nic nieuczciwego.

– Ale wyjątkowo niemoralna – zauważył Mac.

– Prawdopodobnie tego rodzaju myśli w ogóle nie powstają mu w głowie – powiedziała. – Zmienił się w maszynkę do robienia pieniędzy. Czy naprawdę jest chory, Bob?

– Gdy go widziałem ostatni raz, nie wyglądał zbyt dobrze – odparłem. – Mac, co teraz robimy?

– Z czym? W sprawie Trinavantów, czy zapory? – wzruszył ramionami. – Nie sądzę, żeby to tym razem zależało od ciebie, Bob. Piłkę ma teraz Howard i prawdopodobnie będzie próbował się na tobie zemścić.

– Trzeba koniecznie coś zrobić w sprawie zapory. Może porozmawiam z Donnerem?

– Nie uda ci się z nim spotkać. Howard spreparuje dla niego własną wersję wydarzeń. Jedyne co możesz zrobić, to trzymać się krzesła i uważać, żeby nie spaść. Najlepiej wyjedź z miasta.

– Byłoby znacznie lepiej, gdybym nigdy nie usłyszał o Fort Farrell. – Spojrzałem na Clare. – Przepraszam.

– Nie bądź niemądry – rzekł Mac. – Rura ci zmięknęła tylko, dlatego, że stary Bull dostał ataku serca? Cholera, nawet nie myślałem, że on ma serce. Walcz dalej, Bob. Postaraj się pójść za ciosem, póki nie odzyskali równowagi.

– Mogę wyjechać z miasta – powiedziałem wolno – pojechać do Fort St. John

i spróbować zrobić tam trochę ruchu. Może ktoś się zainteresuje zaporą, której grozi zawalenie.

– Wszystko jedno, dokąd pojedziesz – stwierdził Mac – bo jedna rzecz jest pewna. Mattersonowie są wściekli jak szerszenie i nikt w Fort Farrell nie podniesie palca, żeby cię wspomóc przeciwko dyszącemu żądzą mordy Howardowi. Stary Bull miał rację, to miasto jest własnością Mattersonów i każdy o tym wie. Nikt cię teraz nie będzie słuchać, Bob. A jeśli chodzi o podróż do Fort St. John, to musisz jechać przez Fort Farrell. Radzę ci poczekać do zmroku.

Spojrzałem na niego.

– Zglupiałeś? Nie jestem zbiegiem.

– Myślałem o tym – powiedział poważnie. – Teraz, gdy Bull nie stoi na drodze, nikt nie jest w stanie powstrzymać Howarda. Na pewno nie Donner. A Jimmy Waystand razem z innymi cymbałami mogą cię niezłe pokiereszować. Pamiętasz, Clare, co się stało kilka lat temu z Charley'em Burnsem? Złamana noga, złamana ręka, cztery pęknięte żebra i skopana twarz. Ci smarkacze są groźni i mogą się założyć, że już cię szukają, więc lepiej nie jedź o tej porze do Fort Farrell.

– Ale mnie nic nie powstrzyma przed pojechaniem do Fort Farrell - powiedziała Clare wstając.

Mac zamrugał.

– Po co?

– Spotkać się z Gibbonsem. Już najwyższa pora, żeby włączyła się policja.

– A co pomoże Gibbons? – wzruszył ramionami Mac. – Przy tutejszych układach jeden sierżant Królewskiej Konnej nie na wiele się zda.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedziała. – Jadę do niego. – Wymaszerowała z domu i po chwili usłyszeliśmy odgłos uruchamianego silnika.

– Co to takiego mówiłeś wcześniej o tym, żeby pójść za ciosem, póki nie odzyskali równowagi? – zapytałem sardonicznie.

– Nie czepiaj się słów. Powiedziałem trochę za dużo, bo nie zdążyłem jeszcze wszystkiego przemyśleć.

– Kim był ten Burns?

– Facetem, który nie miał podejścia do Howarda. Został pobity, każdy wie, dlaczego, ale nikt nic nie mógł udowodnić Howardowi. Burns wyjechał z miasta i nigdy tu nie wrócił. Dopiero teraz sobie o nim przypomniałem, a nie zalaż on Howardowi za skórę nawet w połowie tak jak ty. Nigdy jeszcze nie widziałem Howarda tak wściekłego, jak dziś rano. – Wstał i spojrzał na palenisko. – Mam ochotę na herbatę, wyjdę na chwilę po drewno.



Wyszedł, a ja zacząłem się zastanawiać nad tym, co robić. Tymczasem wcale się nie zbliżyłem do rozwiązania tajemnicy Trinavantów, a człowiek, od którego wszystko zależy znajduje się prawdopodobnie w szpitalu. Poczulem chęć pojechania do Fort Farrell, wejścia do biurowca Mattersonów i przyłożenia Howardowi w gębę. Nic by to nie rozwiązało, ale sprawiłoby mi przynajmniej satysfakcję.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i już nie musiałem jechać do Fort Farrell. Na progu stał Howard ze strzelbą w rękach, a okrągły wylot lufy wydawał się ogromny jak bezdenne studnia.

– Ty skurwysynu – powiedział dysząc chrapliwie – co to za historie z Frankiem Trinavantem?

Zrobił kilka kroków do przodu nie spuszczając mnie z muszki. Za nim do domu wśliznęła się Lucy Atherton ze złośliwym uśmiechem na twarzy. Zacząłem podnosić się z krzesła, na co Howard powiedział:

– Nie ruszaj się, cwaniaczku, siedź gdzie siedziałeś.

Opadłem z powrotem.

– Dlaczego interesujesz się Frankiem Trinavantem, Howardzie? – zapytałem. – Przecież zmarł dawno temu. – Trudno mi było utrzymać spokojny ton głosu. Jeśli się stoi na wprost wylotu lufy, struny głosowe zaczynają zachowywać się dziwnie.

– Boisz się, Boyd? – zapytała Lucy Atherton.

– Cicho bądź – powiedział Howard. Zwiłżył wargi i powoli nachylił się do przodu patrząc na mnie. – Czy jesteś Frankiem Trinavantem?

Roześmiałem się głośno. Powinienem był się opanować, ale wybuchnąłem śmiechem.

– Odpowiadaj, do diabła! – krzyknął załamującym się głosem. Posunął się o krok do przodu, a twarz drgała mu konwulsyjnie. Nie spuszczałem oka z jego prawej ręki i opartego na spuście palca, modląc się, aby mechanizm spustowy nie okazał się zbyt miękkim. Czekałem aż podejdzie jeszcze bliżej dając mi szansę, że zdążę odtrącić lufę, ale Howard zatrzymał się w miejscu.

– Słyszysz? – powiedział trzęsącym się głosem. – Masz odpowiadać i masz mówić prawdę. Czy jesteś Frankiem Trinavantem?

– Co to ma za znaczenie? – powiedziałem. – Mogę być Grantem, mogę być Trinavantem. W każdym razie byłem w samochodzie, prawda?

– Tak, masz rację – powiedział. – Byłeś w samochodzie. – Stał się niepokojąco spokojny i zaczął przyglądać się mojej twarzy. – Znałem Franka i widziałem zdjęcia Granta. Nie jesteś podobny do żadnego z nich. Czyli że miałeś operację plastyczną. Musiało bardzo boleć – mam nadzieję.

Lucy Atherton zachichotała.

– Tak jest – powtórzył Howard. – Byłeś w samochodzie. Dopiero, jeśli się przyjrzeć naprawdę uważnie, widać ślady blizn, Lucy. Cienkie jak włos.

– Wydajesz się zainteresowany, Howardzie – powiedziałem.

– Zastanawiałem się nad tym; cały czas mówisz do mnie Howardzie. Tak jak Frank. Czy jesteś Frankiem?

– Co za różnica?

– Jasne – zgodził się. – co za różnica? Co widziałeś w samochodzie? Teraz powiesz mi wszystko, albo twoją śliczną buzią czeka następna porcja chirurgii.

– To ty mi powiedz, co widziałem, a ja ci powiem, czy się nie mylisz.

Twarcz mu się zbiegła w gniewie i poruszył się lekko, ciągle jednak znajdował się poza zasięgiem moich ramion. Czuję się niepewnie siedząc na krześle; nie jest to pozycja, z której można szybko skoczyć do przodu.

– Dostyc gierki – rzucił ostro. – Mów!

Od strony drzwi odezwał się głos:

– Rzuć tę strzelbę, Howard, albo odstrzelę ci kręgosłup.

Spojrzałem szybko na drzwi i zobaczyłem Maca celującego z dubeltówki w Howarda. Howard zamarł i zaczął się powoli obracać na ugiętych nogach.

– Broń, Howard – powiedział ostro Mac. – Odlóż ją. Nie będę powtarzać.

– Posłuchaj go – wtrąciła się prędko Lucy. – Ma broń.

Howard opuścił strzelbę, a ja wstałem i wyjąłem mu ją z rąk. Gdyby upadła na podłogę, mogłaby wypalić. Cofnąłem się i spojrzałem na Maca, który uśmiechnął się ponuro.

– Dziś rano włożyłem broń do Jeepa na wypadek, gdyby była potrzebna – powiedział.

– Na szczęście. Dobra, Howard: podejdź do ściany. Ty też, siostrzyczko Lucy.

Zbadałem broń Howarda. Była odbezpieczona i gdy odwiódłem zamek, z komory wypadł nabój. Niewiele brakowało a miałbym odstrzeloną głowę.

– Dzięki, Mac – powiedziałem.

– Nie pora teraz na uprzejmości – odparł. – Howard, siadaj na podłodze plecami do ściany. Ty też, Lucy, nie wstydź się.

Twarcz Howard wyrażała nienawiść.

– Daleko nie uciekniesz, Boyd – powiedział. – Moi ludzie cię dopadną.

– Boyd? – zapytałem. – Myślałem, że jestem Grantem. Albo Trinavantem? Męczy cię, Howardzie to, że nie wiesz, prawda? Nie jesteś pewien.

Odwróciłem się do Maca.

– Co robimy?

Uśmiechnął się.

– Jedź za Clare. Dopilnuj, żeby postawiła Gibbonsa na nogi. Można go teraz przymknąć za napad z bronią w ręku. Przypilnuję go tu.

Spojrzałem z powątpiewaniem.

– Nie spuszcza go z muszki.

– Będzie zbyt wystraszony żeby się ruszyć. – Mac poklepał dubeltówkę. – Załadowana grubym śrutem. Z tej odległości przetnie go równo na pół. Słyszysz, Howard?

Matterson nic nie powiedział i Mac dodał:

– Dotyczy to także siostrzyczki Lucy. Niech się pani nie rusza z miejsca, pani Atherton.

– Dobrze Mac – powiedziałem. – Do zobaczenia za pół godziny. – Wziąłem karabin Howarda i rozładowałem rzucając naboje w kąt pokoju. Biegając do Jeepa cisnąłem broń w krzaki i po chwili byłem już w drodze.

Ale nie na długo. Przed samym wjazdem na szosę do Fort Farrell jest zakręt i w chwili gdy obróciłem kierownicę i Jeep zaczął skręcać zobaczyłem, że w poprzek drogi leży zwalone drzewo. Ledwo zdążyłem nacisnąć hamulec, a już samochód uderzył przodem w przeszkodę. Na szczęście zwoleń na zakręcie, ale i tak zderzenie nie zrobiło dobrej masce, a mnie głowa prawie przeszła na wylot przez przednią szybę.

Poczułem, że ktoś próbuje wyciągnąć mnie z kabiny. Rozległ się przenikliwy gwizd i krzyk:

– Mam go!

Ktoś złapał mnie za koszulę i szarpiąc ciągnął na zewnątrz. Spuściłem głowę i ugryzłem go w rękę. Krzyknął i puścił, co dało mi chwilę na zebranie myśli. Ponieważ zauważyłem, że napastnik jest sam i znów wyciąga ręce, skoczyłem do drzwi po drugiej stronie wozu. Przód kabiny Jeepa jest zbyt mały, żeby facet o mojej budowie mógł w środku wygodnie walczyć.

Nadal byłem zamroczony po zderzeniu, ale nie na tyle, żeby nie zobaczyć, że mężczyzna obiega samochód od tyłu. Nieszczęśliwie dla siebie zbliżył się trochę zbyt szybko i kolanem trafił prosto na mój but, co zupełnie go zneutralizowało. Korzystając z tego, że jęczy z bólu na ziemi, rzuciłem się do lasu. Rozległy się krzyki i tupot buciorów. Biegło za mną co najmniej dwóch mężczyzn.

Noszę na sobie tyle cielska, że moje wyniki w sprincie nie są nadzwyczajne, ale w razie potrzeby potrafię włączyć całkiem przyzwoite przyśpieszenie. Faceci za mną też radzili sobie dobrze, więc przez najbliższe pięć minut sytuacja nie uległa zmianie. Marnowali jednak oddech na krzyki, podczas gdy ja trzymałem buzię zamkniętą i niedługo zaczęli zostawać w tyle.

Zaryzykowałem rzut oka przez ramię. W zasięgu wzroku nie było nikogo, choć nadal dobiegały mnie ich przekleństwa. Przycupnąłem więc za drzewem i wstrzymałem oddech. Okrzyki się zbliżyły i usłyszałem trzask gałęzi pod butami. Pierwszy mężczyzna przebiegł obok mnie i przepuściłem go, schylając się po kamień, który akurat mieścił się w garści. Usłyszałem, że zbliża się drugi, wyszedłem więc z za drzewa prosto na niego.

Nie miał czasu, żeby się zatrzymać i w ogóle, żeby cokolwiek zrobić. Otworzył zaskoczony usta, zamknąłem mu je więc koncentrując całą siłę na prostym uderzeniu pięścią w szczękę. Decydujące znaczenie miał oczywiście kamień, który trzymałem w garści. Poczulem słabe chrupnięcie i stopy wybiegły spod niego. Upadł na plecy, przerolował i nie wykonał więcej żadnych ruchów.

Nasłuchiwałem chwilę. Facet, który pobiegł przodem nadal był niewidoczny, ale cały czas go słyszałem. Usłyszałem też inne krzyki dobiegające z drogi i oceniłem, że musi być tam co najmniej dwunastu ludzi, wykonałem więc zwrot o dziewięćdziesiąt stopni w stosunku do pierwotnego kursu, starając się poruszać możliwie szybko i bezszmerowo.

Nie zastanawiałem się wtedy zbyt nad sytuacją, ale zdałem sobie sprawę, że Matterson spuścił psy i Jimmy Waystand prawdopodobnie prowadzi całą sforę. W pierwszej kolejności musiałem się od nich oderwać, co nie było takie łatwe. Miałem do czynienia z drwalami, którzy czują się w lesie jak w domu i prawdopodobnie znają go lepiej niż ja. Z całą pewnością lepiej ode mnie znali okolicę, postarałem się więc pobiec w innym kierunku niż mogli się spodziewać, sądząc, że zdołam ich w końcu całkowicie zgubić.

Las położony w tak małej odległości od miasta składa się głównie z młodych cienkich drzew bez większej wartości handlowej, ścinanych głównie na potrzeby domowych gospodarstw w Fort Farrell. W takim lesie człowieka widać między drzewami z daleka, szczególnie jeśli ma na sobie, tak jak ja, czerwoną wełnianą koszulę. Już myślałem, że umknąłem pogoni, gdy rozległy się krzyki i zrozumiałem, że zostałem zauważony.

Przestałem martwić się hałasem i ponownie skupiłem się na szybkości. Biegłem pod górę i w płucach narastał mi ciężar. Z grzbietu wzgórze spojrzałem na drugą stronę doliny i zobaczyłem prawdziwy las z wielkimi drzewami. Jeśli tam dotrę, będę miał szansę wymknięcia się pogoni, ruszyłem więc całą parą w dół jak goniony przez lisa zając.

Sądząc z dobiegających okrzyków, odległość nie malała, ale niewielka to pociecha. Dwunastu upartych mężczyzn, odpoczywając na zmianę, może w dłuższym pościgu zagonić jednego uciekiniera. Ale pojedynczy uciekinier miał jedną przewagę: dawka adrenaliny we krwi strzeliła mi do góry na samą myśl co się stanie, jeśli zostanę schwytany. Nie miałem co do tego złudzeń; tuzin krzepkich drwali nie marnuje sił na wyścigi po lesie po to tylko, żeby w końcu pograć w domino. Jeśli mnie dopadną,

prawdopodobnie zostanie urządzony na resztę życia. Raz na Północnym Zachodzie widziałem co się dzieje, gdy człowieka wezmą pod buty; produkt końcowy z trudnością przypomina ludzką istotę.

Była to więc pogoń na śmierć i życie, bo wiedziałem, że jeśli nie ucieknę, okaleczą mnie na resztę życia. Nie zwracałem uwagi na rozsadzające mi nogi bóle w mięśniach, na szarpiący suche gardło oddech i narastającą kolkę w boku. Nastawiłem się tylko na długi, bardzo długi bieg w poprzek doliny. Nie oglądałem się do tyłu, żeby sprawdzić czy są blisko, bo pochłania to czas. Niewiele, za każdym razem gdy odwracasz głowę tracisz nie więcej niż ułamek sekundy, ale ułamki sekund sumują się i w końcu mogą mieć zasadnicze znaczenie. Starłem się tylko obracać nogami, uważać na teren przede mną i nie zbaczając nadmiernie z linii prostej, wybierać najłatwiejszą drogę.

Uszy miałem nastawione na wiatr i słyszałem dobiegające z tyłu okrzyki, niektóre bliższe i silniejsze, inne słabsze i bardziej oddalone. Sfora wyciągnęła się i na czoło wysunęli się najsprawniejsi. Gdyby było ich tylko dwóch, tak jak poprzednio, zatrzymałbym się i walczył, ale wobec tuzina nie miałem szans, wyciągałem więc nogi i biegłem jak się dało, nie zwracając uwagi na narastający ból w boku.

Drzewa były już bliżej, wielkie sięgające do nieba drzewa, daglezie, czerwone cedry, świerki, jodły: wielki las, który rozciąga się po sam Yukon. Między drzewami będę miał szansę na walkę. Ich pnie są tak wielkie, że można za nimi schować ciężarówkę, co dopiero człowieka, a w przebijającym wśród liści i gałęzi słońcu kładą się nieregularne, mylące cienie. Można się ukryć za zwalonymi pniami, w jamach w ziemi, a na grubym iglastym poszyciu, jeśli się patrzy pod nogi, prawie nie słychać kroków. Las daje poczucie bezpieczeństwa.

Dobiegłem do pierwszych wysokich drzew i zaryzykowałem rzut oka wstecz. Najbliższy z goniących był o dwieście metrów za mną, reszta wyciągnęła się za nim w długą linię. Schowałem się za pień, zmieniłem kurs i przebiegłem do następnego drzewa. Tu, na obrzeżu lasu nie rósł tak gęsto jak w głębi i człowieka można było dostrzec nawet ze sporej odległości, ale i tak lepsze to niż dać się złapać na otwartym terenie.

Poruszałem się teraz wolniej, od szybkości ważniejsza jednak stała się cisza. Przemykałem zygzakami od pnia do pnia, a chcąc mieć pewność, że nie zostanę zauważony, cały czas kontrolowałem sytuację z tyłu. Pościg zmienił się w zabawę w kotka i myszkę, w której ja pełniłem rolę myszy.

Zacząłem odzyskiwać oddech, serce jednak nadal waliło mi z całej siły, jakby postanowiło wyrwać się z płuc. Uśmiechnąłem się heroicznie na myśl, że reszta towarzystwa jest w nie lepszym stanie. Zapuszczałem się coraz głębiej w las. Za mną wszystko ucichło i przez chwilę sądziłem, że dali spokój. Niedługo jednak usłyszałem

z lewej strony wołanie i odpowiedź z prawej. Rozciągnęli się i zaczęli przeczesywać las.

Biegłem dalej, mając nadzieję, że nie ścigają mnie doświadczeni tropiciele. Mało prawdopodobne, ale zawsze trzeba brać pod uwagę taką możliwość. Do zachodu pozostało jeszcze dużo czasu, prawie dwie godziny i ciekaw byłem, na jak długo chłopcom Matternsona wystarczy zapas. Potrzebowałem dobrej kryjówki, żeby się przycziąć i przepuścić pogoń, rozglądałem się więc uważnie, zapadając coraz głębiej i głębiej wśród zieleni.

Między drzewami wyłoniły się sterczące gałęzi i skały obiecując mnóstwo miejsc do ukrycia. Zignorowałem je. Nie przepuszczają takiej okazji i przeszukają każdy zakątek. Zajmie im to trochę czasu; człowiekowi wystarczy jedna kryjówka, ale wokół są dziesiątki miejsc, w których można zapaść i w tym cała moja nadzieja. Usłyszałem z tyłu okrzyk i oceniłem, że mam od nich lepszy czas. Tracę cenne minuty na wsadzanie nosa w każdy zakamarek, zbaczając z drogi, żeby zajrzeć za zwalone drzewo lub do obiecująco wyglądającej jamy wśród korzeni.

Nie chciałem dać się zbyt głęboko zapędzić w las. Martwiłem się o Maca, który nie może przecież wiecznie trzymać na muszce Howarda i jego siostry. Clare pojechała na spotkanie z Gibbonssem, ale wtedy sprawy nie wyglądały jeszcze tak groźnie i Gibbons może nie ruszyć tyłka dostatecznie prędko. Chciałem więc wrócić do domu Maca i każdy następny metr w głąb lasu oznaczał dodatkowy metr z powrotem.

Wszędzie dookoła pięły się w górę świerki, których potężne pnie na pierwszych pięciu metrach pozbawione były prawie gałęzi. W końcu jednak znalazłem, czego szukałem: młody cedr z konarami na tyle nisko nad ziemią, żeby się na niego wspiąć. Wdrapałem się na górę i wczółgałem na jeden z konarów. Liczyłem na to, że gałęzie osłonią mnie z ziemi, ale na wszelki wypadek zdjąłem niedyskretną czerwoną koszulę i zwinąłem w węzełek. Zacząłem czekać.

Przez ponad dziesięć minut nic się nie działo, aż nagle pojawili się tak bezszelestnie, że najpierw dostrzegłem ruch, a później usłyszałem kroki. Na skraju polany pojawił się mężczyzna i rozejrzał dookoła. Zamarłem. Był nie dalej niż pięćdziesiąt metrów ode mnie. Stał cicho, przyglądając się drugiej stronie polany, powoli przesuwał głowę w miarę jak dokładnie przepatrywał każdy kawałek terenu. Na jego gest wyłonił się następny mężczyzna i obaj ruszyli przez polankę lekkim krokiem.

Człowiek rzadko patrzy do góry. Kości czaszki zachodzą nad oczy tam, gdzie znajdują się brwi, żeby osłaniać oczy przed bezpośrednimi promieniami słońca. Patrzenie do góry wymaga ponadto napięcia mięśni karku. Wszystko to zostało prawdopodobnie tak urządzone przez naturę, żeby chronić delikatny narząd wzroku przed blaskiem słońca. W każdym razie tak się składa, że tylko doświadczony tropiciel zwróci uwagę na

wierzchołki drzew. Normalnemu człowiekowi coś takiego nie przychodzi do głowy, a wbudowany częściowo fizjologiczny, częściowo psychologiczny mechanizm jeszcze potęguje opór.

Ci dwaj nie stanowili wyjątku. Przeszli przez polanę jak bohaterowie Fenimore Coopera i na chwilę zatrzymali się pod cedrem.

– Wygląda na to, że go nie złapiemy – odezwał się jeden.

– Cicho! Może gdzieś tu być w pobliżu – przerwał drugi niecierpliwym gestem.

– Niemożliwe. Pewnie jest już dziesięć kilometrów stąd. A ponadto bolą mnie stopy.

– Jeszcze cię bardziej rozbolą, gdy Waystand się dowie, że zawałeś robotę.

– Głupi smarkacz!

– Może się z nim zmierzysz? Spróbuj, ale nie daję ci wielkich szans. W każdym razie Matterson chce mieć tego typu, ruszaj się, więc i przestań jęczeć.

Poszli dalej przez polanę, ale nie zmieniałem pozycji. W oddali usłyszałem okrzyk, ale poza tym panowała cisza. Poczekałem pełne piętnaście minut i dopiero wtedy zeskoczyłem na ziemię, choć było chłodno, zostawiłem koszulę schowaną na górze.

Nie wracałem tą samą drogą, skróciłem sobie czas skręcając od razu w kierunku domu Maca. Jeśli uda mi się tam dotrzeć, i jeśli Mac nadal trzyma Howarda w garści, to będzie z niego cenny zakładnik, gwarancja bezpieczeństwa. Stąpałem uważnie przyglądając się każdemu kawałkowi otwartej przestrzeni zanim zaryzykowałem przez nią przejść i do samego skraju lasu nikogo nie spotkałem.

W każdej grupie ludzi zawsze znajdzie się ktoś niechętny dźwiganiu ciężaru wspólnej pracy i skłonny do wymigiwania się od roboty. Siedział oparty plecami o pień drzewa i zwijał papierosa. Najwyraźniej miał kłopoty z nogami, ponieważ zauważyłem rozwiązane sznurówki, prawdopodobnie przed chwilą zdejmował buty.

Jego obecność była mi wyjątkowo nie na rękę, bo mimo że się obijał, to jednak ustawił się idealnie na brzegu lasu i miał na oku cały obszar dzielący mnie do domu Maca. Jeśli Waystand chciałby wystawić straż, nie mógł wybrać lepszego miejsca.

Wycofałem się bezgłośnie i rozejrzałem za uzbrojeniem. Atak musi być prędko i nieoczekiwany. Nie wiedziałem ilu ludzi zaalarmuje jego krzyk, a jedno piśnicie wystarczy, żebym znów musiał uciekać. Wybrałem grubą gałąź i oczyściłem nożem. Gdy wróciłem nadal tkwił tam gdzie przedtem. Zapalił papierosa i z rozkoszą zaciągał się dymem.

Zatoczyłem koło, bardzo cicho zbliżyłem od tyłu do drzewa, za którym siedział. Wyłaniając się podniosłem drąg. Dostał w głowę zanim się zorientował. Trafiłem go w skroń i nawet nie westchnął. Papieros wypadł mu z bezwładnych palców. Upuściłem kij, stanąłem przed nim automatycznie przydeptując żarzący się niedopałek, od którego

zajmowały się już sosnowe igły. Pośpiesznie chwyciłem faceta pod pachy i odciągnąłem w mniej rzucające się w oczy miejsce.

Na chwilę wpadłem w panikę sądząc, że nie żyje, ale zajęczał i lekko uniósł powieki, po czym znów zapadł w nieświadomość. Nie miałem wyrzutów sumienia, że uderzyłem człowieka, który się tego nie spodziewał, ale nie chciałem nikogo zabijać. Nie dlatego, że nie miałem na to ochoty, ale dlatego, że można za to zawisnąć na szubienicy. Woląłem zapewnić sobie współpracę Gibbonsa, a prawo bardzo wyraźnie określa odpowiedzialność za uśmiercenie człowieka.

Miał na sobie ciemnoszarą koszulę, dokładnie taką jakiej potrzebowałem, rozebrałem go więc i przeszukałem na wszelki wypadek kieszenie. Nie miał w nich wiele: portfel z trzema dziesięciodolarowymi banknotami i osobistymi rzeczami, kilka monet, pudełko zapalek, paczkę tytoniu i scyzoryk. Zabrałem zapalki i scyzoryk, a resztę zostawiłem. Założyłem koszulę w neutralnym, miło nie rzucającym się w oczy kolorze, spełniającą również rolę przebrania.

Umieściłem go w miejscu, gdzie jak sądziłem istniało małe prawdopodobieństwo, żeby ktoś go przypadkowo nadepnął, po czym nie zwlekając wyszedłem z lasu i przez zarośla ruszyłem w stronę domu Maca, który zgodnie z moimi obliczeniami nie powinien być oddalony więcej niż półtora kilometra. Pokonałem połowę odległości, gdy ktoś mnie zawołał. Na szczęście był zbyt daleko, żeby w gasnącym świetle zobaczyć twarz.

– Hej, ty tam! Co się stało?

Przyłożyłem dłonie do ust.

– Zgubiliśmy go!

– Wszyscy mają się zebrać przy domu McDougalla! – krzyknął. – Matterson chce z wami porozmawiać!

Poczułem, jak uderzyło mi serce. Co z Macem? Pomachałem i krzyknąłem:

– Idę tam!

Ruszył w przeciwnym kierunku, mijając go odwróciłem się i pochyliłem. Gdy tylko znikł mi z oczu, zacząłem biec i zatrzymałem się dopiero, gdy w gęstniejących ciemnościach zobaczyłem światła. Zatrzymałem się, nie bardzo wiedząc co robić dalej. Trzeba się dowiedzieć, co się stało Macowi, obszedłem więc dom, żeby zbliżyć się z drugiej strony, gdzie nikt się mnie nie spodziewał. Zbliżyłem się i usłyszałem głosy rozmawiających ludzi.

Ktoś wyniósł na dwór lampę naftową i postawił ją na progu. Z miejsca koło strumienia, gdzie leżałem na ziemi dostrzegłem około dwudziestu dyskutujących przed domem mężczyzn. Doliczając dwunastu, którzy pobiegli za mną i jeszcze nie wrócili z lasu, dawało to razem ponad trzydziestu. Wyglądało na to, że Howard zbiera armię.



Przez długi czas, może godzinę, nie ruszałem się z miejsca próbując odgadnąć co się dzieje. Nie dostrzegłem żadnych śladów Maca i Clare, ani Gibbonsa. Później pojawił się Waystand. Wydawał się zmęczony i wyczerpany, ale ja nie czułem się lepiej i wcale go nie żałowałem. Zadał komuś oczywiste pytanie i odesłano go do domu. Patrzyłem jak wchodzi do środka i niedługo wyjaśniły się przyczyny zgromadzenia, bo prawie natychmiast wyszedł znów na dwór w towarzystwie Howarda.

Howard stanął na progu i podniósł ręce. Ucichło wszystko z wyjątkiem skrzeku żab wokół mnie.

– Dobra – zaczął. – Wiecie dlaczego tu jesteście. Macie szukać człowieka, który nazywa się Boyd. Większość z was widziała go w Fort Farrell i wiecie jak wygląda. Wiecie też, dlaczego go szukamy, prawda?

Podniósł się pomruk.

– Dla tych, którzy doszli później, powtarzam. Ten człowiek, Boyd, pobił mojego ojca. Uderzył człowieka prawie dwa razy od siebie starszego, właściwie starca. Mój ojciec ma siedemdziesiąt sześć lat. Ile lat ma waszym zdaniem Boyd?

Słyszając reakcję tłumu, poczułem jak krew mi zamarza w żyłach.

– Teraz wiecie, dlaczego go szukam! – krzyknął Howard. Pomachał ręką. – Przez cały czas, aż go nie znajdziecie, jesteście na pełnej płacy, a ten, kto go pierwszy zauważy, dostanie sto dolarów.

Przez tłum przeszedł okrzyk i Howard ręką nakazał milczenie.

– Ponadto – krzyczał dalej – ci, którzy go schwytają dostaną po tysiąc dolarów!

Przez chwilę wszyscy wrzeszczeli, a Howard nie przeszkadzał. Widziałem skrzywiony uśmiech na jego twarzy w ostrym świetle latarni. Podniósł ramiona do góry, żeby ich znów uciszyć.

– Chwilowo go zgubiliśmy. Jest gdzieś tam w lesie i idę o zakład, że się boi. Ale uważajcie, gdyż jest uzbrojony. Przyszedłem tu porachować mu kości za to, co zrobił mojemu ojcu, a on wziął mnie na muszkę, więc uważajcie.

Waystand szepnął mu coś do ucha.

– Mogę się mylić, chłopcy, bo Waystand twierdzi, że gdy uciekał do lasu nie miał przy sobie broni, co tylko ułatwia sprawę. Podzielę was na grupy i możecie ruszać. Gdy go schwytacie, trzymajcie go na miejscu i wyślijcie do mnie wiadomość. Pamiętajcie, macie nie przyprowadzać go do Fort Farrell. Facet łatwo się wymyka i nie chcę mu dawać okazji do ucieczki. Trzymajcie go na miejscu aż przyjdę. Zwiążcie go. Jeśli nie będziecie mieli sznura, to złamcie mu nogę. Nie będę rozpaczał, jeśli go trochę zmiękczycie.

Wybuchł dziki śmiech. Howard mówił dalej.

– Dobra. Waystand, Novak, Simpson i Henderson prowadzą cztery grupy do lasu.

Chodźcie do domu, to wam wszystko wytłumaczę.

Wszedł do środka, za nim Waystand i trzech pozostali. Zostałem jeszcze kilka minut na miejscu. Nie było niestety sposobu podsłuchania o czym mówią w domu. Wycofałem się wolno i ostrożnie, i znikłem w ciemnościach.

Howard niewątpliwie szykował linch. Łobuz podburzył żądną mojej krwi tłum i od czasu, gdy za moją głowę wyznaczono tysiąc dolarów nagrody, nigdzie w pobliżu Fort Farrell nie będę bezpieczny. Ci jego drwale są bezwzględni, a nakarmił ich takimi cholernymi kłamstwami, że nawet nie warto próbować nic wyjaśniać.

Nagle przyszła mi do głowy szczęśliwa myśl, przeczłogałem się więc do miejsca, gdzie obozowałem ostatniej nocy i byłem głęboko wdzięczny losowi za to, że spałem na dworzu i że byłem na tyle leniwy, żeby nie odnieść rano rzeczy do domu. Plecak leżał tam, gdzie go zostawiłem, szybko wrzuciłem do środka wyjęte wcześniej rzeczy. Teraz miałem przynajmniej niezbędne do dłuższego pobytu w lesie minimum. Brakowało mi tylko broni i żywności.

Od strony domu znów dobiegły hałasy i odgłos kilku uruchamianych silników. Ktoś szedł po omacku przez zarośla, wycofałem się dalej od domu, nadal nie zdecydowany, co robić. Nigdy w życiu nie znajdowałem się w tak trudnym położeniu, z wyjątkiem chwili, gdy obudziłem się w szpitalu z wymazaną pamięcią. Podciągnąłem pasy plecaka i pomyślałem ponuro, że jeśli człowiek jest w stanie poradzić sobie z tamtym doświadczeniem, poradzi sobie także i z tym.

Rusz głową – nakazałem sobie – pomyśl, gdzie będziesz bezpieczny. Przyszło mi do głowy, że najbezpieczniej będzie znaleźć się w więzieniu, jako gość honorowy, rzecz jasna. Sierżant Królewskiej Konnej nie pozwoli nikomu wdrzeć się do środka, ale czy na pewno, uznałem więc, że w jednej z cel Gibbonsa będę co najmniej równie bezpieczny jak gdzie indziej dopóty, dopóki wszystko się nie uspokoi na tyle, żeby znalazła się chociaż jedna osoba na tyle przytomna, żeby mnie wysłuchać. Ruszyłem więc w stronę miasta, okrążając je i starając się nie iść drogami. Chciałem dotrzeć do warowni Gibbonsa możliwie najmniej uczęszczanym szlakiem.

Powinienem był przewidzieć, że Howard wystawi posterunki. Nie miał najmniejszej ochoty na to, żeby policja wmieszała się do jego porachunków. Jeśli dotarłbym do Gibbonsa, wszystko by się skończyło. Howard w żaden sposób nie ukryłby faktu, że nie uderzyłem starego Matternona i prawda wyszłaby na jaw, a na to nie mógł pozwolić. Więc mimo iż sądził, że jestem gdzieś w lesie, zabezpieczył się, obstawiając posterunek na wypadek, gdybym jednak próbował dotrzeć do Gibbonsa.

Wtedy oczywiście o tym nie pomyślałem, choć idąc cichymi uliczkami Fort Farrell zachowywałem się bardzo ostrożnie. Miasto rozciągało się wzdłuż jedynej głównej ulicy,

wybrałem więc taką drogę, którą można było dotrzeć na posterunek mijając jedynie kilka domów. Świecił księżyc, okoliczność niepomysłna, próbowałem więc trzymać się cały czas w cieniu. Po drodze nikogo nie spotkałem i zaczynałem mieć nadzieję, że mi się udało. Modliłem się, żeby Gibbons był na miejscu.

Dostrzeżono mnie sto metrów od posterunku. Prawdopodobnie będąc tak blisko celu stałem się trochę nieostrożny. Nagle oślepił mi błysk latarki w oczy i usłyszałem krzyk:

– To on!

Schyliłem się i skoczyłem w bok czując jak coś z całej siły uderza mnie w plecak. Od samego uderzenia straciłem równowagę i upadłem na ziemię. Latarka zaświeciła szukając mnie, a gdy znalazła, dostałem butem w żebra. Przetoczyłem się gorączkowo wiedząc, że jeśli się nie podniosę, skopią mnie na śmierć. Buty drwali są ciężkie, na czubkach obite blachą i silnym kopnięciem można człowiekowi połamać całą klatkę piersiową, wbić żebra w płuca.

Turlałem się więc jeszcze szybciej, próbując mimo plecaka uciec przed tą cholerną latarką.

– Bierz drania, Jack! – zawołał ochryply głos i źle wycelowany kopniak trafił mnie z tyłu w prawe udo. Oparłem się rękoma na ziemi i zatoczyłem koło machając wściekle nogami, starając się zrzucić tego, kto spadł mi na plecy.

Uderzył chyba głową o ziemię, ponieważ nagle zwiotczał. Strząsnąłem go z pleców akurat w sam czas, żeby stanąć oko w oko z następnym bysiorowatym osobnikiem. Typ z latarką stał dalej z tyłu, nie dając mi nadziei na ucieczkę w ciemności, ale przynajmniej szanse się wyrównały.

Nie mam żadnych dziwnych przesądów na temat uczciwej walki. Jest to wymysł cywilizacji, a trudno mówić o cywilizacji, jeśli trzydziestu ludzi staje przeciwko jednemu. Ponadto uczyłem się walki na Terytorium północno-zachodnim, a zasady markiza de Queensberry nie mają zastosowania na północ od sześćdziesiątego równoleżnika. Machnąłem boczną krawędzią buta w kolano napastnika, przejeżdżając mu po goleni i na koniec stając z całej siły na stopie tuż nad podbiciem. Lewą ręką trzasnąłem go w brzuch, a prawą z otwartymi palcami sięgnąłem do twarzy tak, że wnętrzem dłoni odepchnąłem mu głowę do tyłu, a palce wsadziłem w oczy.

W międzyczasie zdobył się na kilka solidnych uderzeń, ale już za chwilę musiał skupić się na własnych kłopotach. Zawył z bólu, gdy obtarłem mu goleń do kości i podniósł ręce, żeby osłonić oczy. Jeszcze raz uderzyłem go w brzuch. Wypuścił głośno powietrze i zaczął upadać. Jestem dużym facetem i całkiem silnym, więc po prostu podniosłem go do góry i cisnąłem na jego przyjaciela z latarką.

Zetknęli się i latarka zgasła. Gdy upadła na ziemię, usłyszałem odgłos tłuczonego się

szkła. Nie czekałem, na dalszy rozwój wypadków, bo mogło ich być więcej. Wziąłem nogi za pas i wyniosłem się z miasta.

2

Okolo północy znajdowałem się głęboko w lesie i miałem wszystkiego dość. Od samego miasta gonili za mną i prawie złapali. Gdy zmyliłem pogoń, prawie wpadłem na następny oddział ludzi Mattersona, który najwyraźniej został wywołany z lasu. Zrezygnowałem więc z powrotu do cywilizacji i skierowałem się na zachód w nadziei, że nie będą oczekiwać, że skieruję się w sam środek głuszy.

Ruszając na zachód nie miałem skonkretyzowanych planów, zdołałem Jednak oderwać się od pogoni i spokojniej obmyśleć plan działania. Księżyc był wysoko na niebie i znalazłem spokojną jamę między jakimiś skałami, gdzie z ulgą zrzuciłem plecak. Byłem zmęczony. Od dziesięciu godzin prawie bez przerwy uciekałem, a coś takiego nie robi najlepiej na samopoczucie. Byłem też głodny, ale poza zaciśnięciem pasa nic nie mogłem na to poradzić.

Uznałem, że tymczasem jestem bezpieczny. Mało prawdopodobne, żeby Matterson zorganizował porządne poszukiwania w nocy, nawet jeśli wie na jakim obszarze się ukrywam. Jedyne niebezpieczeństwo, że ktoś natknie się na mnie przypadkiem. Potrzebowałem odpoczynku i snu, ponieważ następny dzień zapowiadał się jeszcze bardziej urozmaicony.

Zdjąłem buty i zmieniłem skarpetki. W najbliższej przyszłości stopy będą moją główną bronią i nie chciałem, żeby się zbuntowały. Następnie pociągnąłem łyk wody z przymocowanej do plecaka manierki. Napeliłem ją przechodząc przez strumień, więc wody miałem dość, ale wolałem gospodarować nią oszczędnie, gdyż nie znając okolicy obawiałem się, że następnym razem nie znajdę strumienia wtedy, kiedy go będę potrzebował.

Usiadłem wygodnie, z rozkoszą ruszając palcami stóp i zacząłem się zastanawiać nad wydarzeniami minionego dnia. Dopiero teraz mogłem spokojnie zebrać myśli; wcześniej całą uwagę pochłaniała mi walka o przetrwanie.

Najpierw pomyślałem o Clare zastanawiając się, co u diabła mogło się jej przytrafić. Pojechała zawiadomić Gibbonsa na tyle wcześnie, że z policjantem lub bez niego powinna była wrócić do Maca na długo przed zachodem słońca. Jednak w czasie, gdy Howard Matterson nawoływał do linczu, nie dostrzegłem żadnych śladów jej obecności. Dawało to dwie możliwości. Po pierwsze, mogła znajdować się w środku w domu, co oznaczało, że została uwięziona, a po drugie, mogło jej tam nie być, co oznaczało, że nie

mam najmniejszego pojęcia gdzie jej szukać.

Następna sprawa: Mac. Mattersonowi udało się uwolnić, co oznacza, że musiał zneutralizować Maca. Czyli że Mac, podobnie jak Clare, został wyłączony z gry, co znaczyło, że z naszej trójki tylko ja jestem wolny i zdolny do działania. A jedyne, co byłem w stanie dotychczas zrobić, to maratońskie biegi.

Przypomniałem sobie przemówienie Howarda i dokładne instrukcje, jakie wydał, próbując zgadnąć, jakie są jego zamiary. Miano mnie zatrzymać tam gdzie zostanę złapany, póki on sam się nie zjawi. Nie wiem, co mógł wtedy zrobić innego niż mnie zabić, czyli że sytuacja nie była wesoła.

Z pewnością nie pozbawiłby mnie życia otwarcie, wątpię, czy jego ludzie pozwoliliby na to. Ale mogłem przecież zginąć „przypadkowo”, przypuśćmy, że Howard zezna, że zabił mnie w obronie własnej. Coś takiego można zorganizować na wiele sposobów. Mogę też „uciec” Howardowi i nigdy już się nie odnaleźć. W głębi lasu nie brakuje takich miejsc, w których ciało można ukryć na całe wieki.

Kazało to nieco inaczej spojrzeć na Howarda Mattersona. Dlaczego chce mojej śmierci? Odpowiedź: ponieważ to on, a nie stary Bull, jest jakoś związany z wypadkiem samochodowym. W jaki sposób? Odpowiedź: prawdopodobnie sam go zorganizował i przypuszczalnie jest mordercą.

Sprawdzałem, gdzie w czasie wypadku był Bull, ale nigdy nie przyszło mi do głowy sprawdzić Howarda. Trudno wyobrazić sobie dwudziestojednoletniego chłopaka jako mordercę, jeśli pod ręką jest ktoś inny ze wszystkimi niezbędnymi motywami i kwalifikacjami. Niedopatrzenie z mojej strony. Pytanie: gdzie był Howard w czasie, gdy wydarzyła się katastrofa? Odpowiedź: nie wiem, ale łatwo mogę się domyśleć.

Gdyby schwytał mnie i odprowadził do Fort Farrell, cała historia wyszłaby na jaw. Musi się więc mnie pozbyć, a jedynym na to sposobem jest następne morderstwo.

Wzdrygnąłem się lekko. Życie mnie dotychczas nie oszczędzało, ale nigdy wcześniej nie byłem ścigany przez mordercę. Doświadczenie niezwykle, a być może ostatnie w życiu. Nadal mogłem rzecz jasna się wycofać. Mogłem ruszyć dalej na zachód, a później na południowy zachód w stronę wybrzeża i dotrzeć do Stewart albo Prince Rupert, tam mogłem zniknąć i nigdy więcej nie wracać do Fort Farrell. Ale wiedziałem, że nie zrobię tego ze względu na Maca i Clare, szczególnie Clare.

Wyciągnąłem z plecaka koc i owinąłem się nim dokładnie. Śmiertelnie zmęczony, nie nadawałem się do podejmowania poważnych decyzji. Będzie dość czasu w ciągu dnia, żeby się martwić o to, co dalej robić. Zapadłem w sen z objającymi się w głowie echem słowami Maca „nie poddawaj się, idź za ciosem póki nie odzyskali równowagi”.

Rada była bardzo dobra, niezależnie od tego, czy odzyskali równowagę, czy nie.

Zasypiając ustaliłem dwie rzeczy. Po pierwsze, że muszę walczyć na terenie, który sam wybiorę i który będę dobrze znać. Jedynym miejscem w okolicy, które dobrze znam, jest dolina Kinoxi, a znam ją tak dobrze dlatego, że przeprowadziłem tam szczegółowe badania i teraz mogę tam każdego wprowadzić w błąd.

Drugą cenną myślą było postanowienie, żeby uczynić z polowania na Boba Boyda wyjątkowo nieopłacalne przedsięwzięcie. Powinienem im jasno uzmysłwić, że prześladowanie mnie nie jest warte tysiąca dolarów, a drwali można o tym przekonać tylko przy użyciu siły. Trzech z nich prawdopodobnie już na to wpadło: jeden miał zmasakrowane kolano, drugi szczękę, a trzeci rozbitą do kości głowę. Jeśli zniechęcanie ich będzie wymagało ostrzejszych środków, to moja w tym głowa, żeby je zastosować.

Wywabienie na otwarty teren Howarda, który krył się jak dotąd za plecami swoich zbirów, wymagało wystraszenia ich wszystkich. Wystraszenie przeciętnego drwala to kawał roboty. Rzecz jest przede wszystkim niebezpieczna, a drwale nie są z natury zbyt lękliwi. Nie miałem jednak innego wyjścia, musiałem się od nich uwolnić, co wymagało takiej skuteczności w działaniu, żeby zmusić ich do głębokiego namysłu, zanim znów spróbują zapracować na ten tysiąc dolarów.

## X

Następnego dnia o świcie byłem już w drodze. Kierowałem się na północ. Oceniałem, że znajduję się około dwadzieścia kilometrów na zachód od Fort Farrell, szedłem więc równoległe do drogi prowadzącej do Kinoksi, starając się trzymać na tyle od niej daleko, żeby nie zagarnęła mnie sieć łapaczy Mattersona. Głód zaczynał ugniatać żołądek, nie osłabiając mnie co prawda; mogłem iść jeszcze mniej więcej przez półtora dnia, a nie wykluczone, że będzie to konieczne. Później pożywienia stanie się palącym problemem.

Posuwałem się do przodu, godzina za godziną utrzymując równe tempo, nieco szybsze, niż zwykle w czasie wypraw badawczych. Jak na tutejsze ukształtowanie terenu, szło mi się nawet wygodnie i robiłem przypuszczalnie mniej więcej cztery kilometry na godzinę. Często oglądałem się do tyłu, nie po to, żeby wiedzieć ile uszedłem, ale żeby sprawdzać, czy idę prosto. W terenie bardzo łatwo zboczyć i większość ludzi nieświadomie po trochu zmienia kierunek. Dlatego we mgle lub podczas śnieżycy łatwo się zgubić mimowolnie zataczając koła. Jest to podobno spowodowane tym, że nogi są różnej długości, przez co długość kroków nie jest taka sama. Dawno temu skontrolowałem własną skłonność do zbaczania z kursu i ustaliłem, że mam tendencję do skręcania o około 4° od linii prostej w prawo. Wiedząc o tym, nietrudno wyćwiczyć się i świadomie korygować różnicę.

Zawsze dobrze sprawdzać teorię, a wołałem też wiedzieć jak jest ukształtowany teren za mną, co może się przydać, gdybym nagle musiał uciekać. Istniała również możliwość, że zostaną zauważony z oddali, a dobrze zdawałem sobie sprawę, że przy średnim zaludnieniu w tej części kraju, jedna osoba na półtora kilometra kwadratowego, mała jest szansa, że uznany zostaną za przypadkowego spacerowicza.

Idąc trochę się pożywiłem. Zebrałem i schowałem kilka kilogramów grzybów. Grzyby są bardzo dobre, ale nigdy nie jadłem ich na surowo i wołałem nie eksperymentować. Prawdopodobnie nie otrujęm się, ale nie chciałem, żeby jakieś żołądkowe kłopoty pozbawiły mnie możliwości działania. Schowałem więc grzyby na później, choć ślina mi ciekła z ust.

Często odpoczywałem, ale zawsze krótko, mniej więcej pięć minut na godzinę. Dłuższa przerwa usztywniłaby mięśnie nóg, a musiałem cały czas utrzymywać pełną gotowość. Nawet w południe nie zatrzymałem się na długo. Założyłem tylko czyste skarpety, brudne przepłukałem w strumieniu i przyczepiłem z wierzchu do plecaka, żeby schły w czasie drogi. Napelniłem manierkę i ruszyłem dalej na północ.

Dwie godziny przed zachodem słońca zacząłem rozglądać się za nie rzucającym się

w oczy miejscem na obóz. Znalazłem je na szczycie wzniesienia, dającego dobry widok na doliny po obu stronach. Zrzuciłem plecak i przez pół godziny tylko rozglądałem się dookoła, upewniając się, że w pobliżu nikogo nie ma. Następnie rozpakowałem plecak i wydobylem własny sprzęt ratowniczy.

Na Terytorium Północno-zachodnim całymi miesiącami przebywam sam na odludziu, a ponieważ amunicja do karabinu jest ciężka i trudno dużo jej zabrać, staram się oszczędzać naboje i stosuję inne sposoby zdobywania świeżego mięsa. Kilka przedmiotów, które nosiłem w płaskim pudełku po czekoladzie, stanowiło rezultat wielu lat doświadczeń i zawsze leżało w gotowości na dnie plecaka.

Zające wychodzą bawić się na otwartym terenie na krótko przed zachodem, wybrałem więc trzy druty na sidła, starannie unikając nadziania się na leżące w puszcze haczyki na ryby. Kiedyś na samym początku sezonu zraniłem się haczykiem i zignorowałem skaleczenie. Zaropiało i zanim lato dobiegło połowy musiałem wrócić do najbliższej osady handlowej ze zgangrenowanym palcem wielkości banana. Niewielkie skaleczenie kosztowało mnie tysiąc dolarów i niewiele brakowało, żebym stracił rękę, od tego czasu więc bardzo uważam z haczykami.

Dookoła nie brakowało zajęczych śladów, ustawiłem więc sidła w trzech miejscach i zająłem się szukaniem drewna na ogień. Wybierałem tylko drobny chrust, upewniając się, że jest suchy. Zaniósłem drewno do obozu i ułożyłem niewielkie ognisko. Nie zapalałem go jednak. Będzie dość czasu po zmierzchu, gdy nawet ta odrobina dymu zniknie w mroku. Wyszukałem niewielką brzozę, myśliwskim nożem wyciąłem pas kory i ułożyłem ją jako osłonę wokół ognia, opierając na kamykach tak, żeby wytworzyć od dołu dodatkowy ciąg.

Pół godziny po zachodzie słońca rozpalilem ogień i wycofałem się sto metrów w głąb lasu, żeby sprawdzić, czy jest widoczny. Był widoczny dlatego, że wiedziałem gdzie jest, ale żeby go wypatrzyć trzeba kogoś z moim doświadczeniem. Zadowolony wróciłem, naląłem na patelnię trochę wody i nastawiłem grzyby. Gdy zaczęły się gotować, poszedłem sprawdzić, co się złapało w sidła. Dwa były puste, w trzecim jednak szamotał się młody królik. Nie miał wiele mięsa, ale dziś wieczór musiałem się tym zadowolić.

Po kolacji obszedłem okolicę, wróciłem do obozu i zaryzykowałem papierosa. Tego dnia zrobiłem prawie pięćdziesiąt kilometrów na północ. Jeśli teraz skręcę na północny zachód, powinno mi zostać około dwudziestu pięciu kilometrów do doliny Kinoksi tak, że wyjdę mniej więcej w jednej trzeciej długości, na wysokości obozu drwali Mattersona. Może się to okazać niebezpieczne, ale trzeba zacząć oddawać ciosy. Krążenie po okolicy jest całkiem przyjemne, ale nigdzie mnie nie zaprowadzi; muszę zejść między ludzi i pomieszać im szyki.



Po chwili upewniłem się, że ogień zgasł i poszedłem spać.

2

Około drugiej po południu następnego dnia wdrapałem się na szczyt wzniesienia i ujrzałem przed sobą dolinę Kinoxi. Od czasu, gdy byłem tu ostatnio, jezioro Mattersona znacznie się rozszerzyło i pokrywało teraz około jednej trzeciej planowanego zasięgu, zatapiając wykarczowaną ziemię. Stałem mniej więcej na wysokości północnego skraju zasięgu wody. Teren wyrębu rozciągał się o wiele szerzej i dalej w głąb doliny, prawie, jak mi się zdawało do granicy ziemi Trinavantów. Matterson dokładnie wygolił swoją ziemię.

W miarę jak postępował wyrąb, obóz drwali przesuwał się w górę doliny i dostrzegłem go w oddali. Schowałem się znowu za grzbiet wzgórz i oddzielony nimi od doliny ruszyłem na północ. Niebezpieczeństwo tymczasem nie było raczej wielkie. Cała moja dotychczasowa działalność koncentrowała się wokół Fort Farrell i zapory, która znajdowała się na Południe u wylotu doliny.

Starałem się wcielić w Howarda Mattersona i spróbowałem myśleć jak on, a nie przychodziło mi to łatwo. Boyd narobił kłopotów w Fort Farrell, uwaga, prawie go tam złapaliśmy, może jeszcze raz zechce spróbować.

Boyd interesował się zaporą, próbował tam wiercić, uwaga więc na zaporę, bo może tam wrócić. Ale Boyd nigdy nie interesował się zbytnio doliną Kinoxi, czego miałby tam szukać?

Wiedziałem, czego szukam: chcę narobić kłopotów! Na tym terenie prowadziłem badania, znam tam każdy zakręt strumienia, wszystkie jamy i wąwozy. Planowałem, że będę trzymać się gęstego lasu na północy, wciągnąć do środka ludzi Howarda i ukarać ich tak, żeby się bali iść za mną dalej. Musiałem przełamać obławę i zmusić Howarda do wyjścia na otwarty teren.

Najlepszym miejscem, żeby zacząć robić kłopoty, wydał mi się obóz drwali Mattersona.

Przeszedłem sześć kilometrów na północ i zlokalizowałem obóz. Leżał na płaskim terenie wewnątrz doliny, dokładnie pośrodku wykarczowanego lasu. Teren dookoła był jak na moje potrzeby zbyt odkryty, ale nic na to nie mogłem poradzić, uznałem więc, że dostanę się tam tylko po ciemku. Resztę dnia wykorzystałem na dokładne przestudiowanie problemu.

Wyglądało na to, że ruch w obozie jest niewielki, nie dostrzegłem również żadnych

oznak aktywności wyżej w dolinie, gdzie powinni pracować drwale. Howard prawdopodobnie odciągnął większość swoich ludzi od pracy, żeby mnie szukali i miałem nadzieję, że nadal siedzą na tyłkach wokół Fort Farrell. Z wyglądającego na kuchnię baraku unosił się pióropusz dymu i na myśl o jedzeniu burczało mi w brzuchu. Następnym powodem, żeby zejść do obozu.

Przez następne trzy godziny nieustannie studiowałem zabudowania i nie dostrzegłem więcej niż sześciu ludzi. Odległość była zbyt duża, żeby mieć pewność, ale domyślałem się, że na miejscu zostali sami weterani, kucharze i pomocnicy zajmujący się obozem, którzy byli albo zbyt starzy, albo zbyt słabi, żeby się do czegoś przydać przy wyrębie oraz przy polowaniu na Boba Boyda. Nie spodziewałem się z tej strony większych kłopotów.

Widząc jedne i domyślając się pozostałych skutków działalności Howarda, zacząłem trzeć policzki. Oderwał od pracy wszystkich drwali, płacąc im cały czas pełną dniówkę, żeby mnie szukali. Marnował w ten sposób mnóstwo czasu i pieniędzy. Jeśli robotnicy szybko nie wrócą do pracy, może zabraknąć czasu na dokończenie wyrębu i zmarnuje się drewno, chyba że Howard otworzył zawory w tamie, żeby nie przybywało wody. Kłopotów finansowych korporacja jednak nie uniknie, wyrąb był zsynchronizowany z pracą tartaków, więc przerwanie ciągłego napływu drewna z doliny da o sobie znać. Jeśli ludzie szybko nie wrócą do pracy trzeba będzie zatrzymać tartaki.

Howard bardzo chce mnie schwytać: kolejna cegielka w murze podejrzeń, jaki wznosiłem. Może nie są to dowody w sensie prawniczym, ale dla mnie mają dostateczną wartość.

Gdy zbliżył się zmrok poczyniłem przygotowania. Wyjąłem koce, przytroczyłem je na zewnątrz plecaka i gdy zrobiło się dostatecznie ciemno, ruszyłem w dół. Znałem dogodną ścieżkę i prędko znalazłem się na granicy obozu. W dwóch barakach paliły się światła, ale poza odgłosami fałszującej harmonii nie dostrzegano żadnych śladów życia. Lekko stąpając prześliznąłem się przez obóz i skierowałem w stronę kuchni. Uznałem, że nie ma powodu, żeby się nie zaopatrzyć w spiżarni Howarda.

W kuchni paliło się światło i drzwi były szeroko otwarte. Zajrzałem przez okno i stwierdziwszy, że w zasięgu wzroku nikogo nie ma, wszedłem do środka. Na piecu gotował się wielki kocioł i zapach gulaszu przyprawił mnie o zawrót głowy, nie miałem jednak czasu na luksusy, chciałem dostać się do spiżarni.

Znalazłem ją w głębi kuchni: małe pomieszczenie obstawione dookoła półkami z konserwami. Zacząłem ładować puszki do plecaka uważając, żeby nie stukały. Przekładałem je ubraniami, a na wierzch dodałem niewielki worek mąki. Miałem się właśnie ulotnić, gdy ktoś wszedł do kuchni. Szybko zamknąłem za sobą z powrotem drzwi.

Jedyne wyjście ze spiżarni prowadziło przez kuchnię, stwarzając naturalne zabezpieczenie przed skłonnyimi do podkradania jedzenia wiecznie głodnymi drwalami. Z tego samego powodu w pomieszczeniu nie było okna, musiałem więc czekać w środku, aż kuchnia opustoszeje, albo aż będę zmuszony do użycia siły...

Uchyliłem lekko drzwi i zobaczyłem mężczyznę stojącego przy kuchni i mieszającego drewnianą łyżką zawartość kotła. Posmakował, włożył łyżkę z powrotem do kotła i poszedł do stołu po sól. Zauważyłem, że jest starszy i utyka, co raczej wykluczało użycie wobec niego przemocy. Nigdy nie zrobił mi nic złego, ani nie brał udziału w obławie, nie mogłem więc potraktować go brutalnie za winy Howarda.

Siedział w kuchni całą wieczność, w rzeczywistości nie dłużej niż dwadzieścia minut i miałem wrażenie, że nigdy się stamtąd nie ruszy. Niespokojnie kręcił się dookoła – umył kilka talerzy, załadował stojak na naczynia i ustawił obok kuchni, żeby wyschły, skierował się do spiżarni jakby chciał coś przynieść, ale w połowie drogi zmienił zamiar, gdy już zacząłem się obawiać, że jednak będę musiał go unieszkodliwić, jeszcze raz posmakował zawartość kotła, wzruszył ramionami i wreszcie wyszedł na zewnątrz.

Wyśliznąłem się ze schowka, sprawdziłem, czy droga wolna i wymknąłem się na dwór ze zdobyczą. Wpadłem tymczasem na pewien pomysł. Postanowiłem zrobić zamieszanie, zamieszanie jak wszyscy diabli. Obóz oświetlały elektryczne lampy i już wcześniej zwróciłem uwagę na dochodzący z samego skraju basowy warkot spalinowego generatora. Idąc za dźwiękiem, pamiętając jedynie, żeby trzymać się w cieniu, znalazłem go bez trudu.

Generator zajmował osobny barak. Na wszelki wypadek, zanim zacząłem robić rzeczy nieodwracalne, rozejrzałem się dookoła i sprawdziłem, że najbliższy barak mieści magazyn pił. Między dwoma budynkami znajdował się zbiornik oleju napędowego o pojemności czterech tysięcy litrów, który, jak świadczył o tym zwykły rurkowy wskaźnik, był wypełniony do połowy. Na dodatek, w narzędziowni znalazłem bardzo poręczną siekierę ciesielską, która bez trudności przebiła cienką metalową osłonę wskaźnika w zbiorniku.

Hałas był donośny i z zadowoleniem usłyszałem plusk wylewającej się z nieregularnego otworu ropy. Zdążyłem uderzyć jeszcze kilka razy, zanim dobiegły mnie zaniepokojone okrzyki, a wtedy już ślizgałem się po zalanej ropą ziemi. Cofnąłem się prędko, zapaliłem wcześniej przygotowaną papierową pochodnię, rzuciłem nią w zbiornik i pobiegłem skryć się w ciemności.

W pierwszej chwili myślałem, że pochodnia zgasła, gdy nagle rozległ się wybuch i płomień strzeliły pod niebo. Zobaczyłem jeszcze postać biegającego niepewnie wokół ognia człowieka, po czym możliwie jak najprędzej oddaliłem się stamtąd, choć

spodziewałem się, że nie będą mnie ścigać.

### 3

O świcie leżałem wygodnie w rozwidleniu konarów wielkiego drzewa, zaszyty w głębi lasu na północy doliny. Wieczorem zjadłem zimną choć obfitą kolację z mielonej wołowiny z grochem i przespałem się kilka godzin. Jedzenie bardzo mi polepszyło samopoczucie i gotów byłem na wszystkie nowe pomysły Mattersona. Przygotowując się wewnętrznie na trudy dnia, próbowałem zgadnąć, co Howard wymyśli.

Dowiedziałem się, zanim jeszcze zszedłem z drzewa. Usłyszałem pracujące na niskich obrotach wirniki i nad głową, nisko ponad koronami drzew, przeleciał śmigłowiec. Poczulem na twarzy podmuch wirnika i na ziemię posypały się sosnowe igły. Helikopter oddalił się na północ, nie ruszałem się jednak z miejsca i po kilku minutach znów się pojawił, tyle że trochę dalej na zachód.

Zeskoczyłem na ziemię, doprowadziłem do ładu ubranie i zarzuciłem plecak. Howard wydedukował to, co chciałem, żeby wydedukował i rekonesans z powietrza stanowił jego pierwszy ruch. O tej porze nie zdążył jeszcze prawdopodobnie przerzucić do doliny swoich batalionów, ale prawdopodobnie pojawią się niedługo, zacząłem się więc rozglądać tymczasem za zajęciem, żeby czymś wypełnić czas.

Helikopter przemieszczał się stopniowo w dół doliny i należało się spodziewać, że niedługo zacznie drugą turę. Zająłem więc dogodną pozycję, żeby się mu przyjrzeć. Wrócił kierując się ku karczowisku w centrum doliny. Wyteżając oczy dostrzegłem w środku tylko dwóch ludzi: pilota i jednego pasażera. Domyśliłem się, że jeśli mnie zauważą, to nie wylądują od razu, gdyż pilot będzie musiał zostać przy maszynie, a pasażer nie odważy się ruszyć w pogoń w pojedynkę. Dawało mi to trochę czasu.

Wymyśliłem całkiem prosty, oparty głównie na psychologii plan, którego powodzenie zależało od tego, czy prawidłowo oceniłem charakter chłopców Howarda, co miało okazać się w praktyce. Plan opierał się na użyciu nieskomplikowanej techniki łowieckiej i byłem ciekaw, czy sztuczki, których nauczyłem się na północy, sprawdzą się na ludziach tak, jak sprawdzały się na zwierzętach.

Przeszedłem około kilometra, aż natrafiłem na znaną mi ścieżkę zwierząt i zająłem się budową pułapki. Sidła są dobre na zająca, ale na jelenia – albo człowieka – potrzeba czegoś więcej. Ponadto jeleni nie ma pojęcia o geometrii i mechanice, i nie zrozumie zasady działania pułapki z opadającym ciężarem, którą chciałem skonstruować, nawet, jeśli zadać sobie kłopot i spróbować mu wytłumaczyć. Wystarczy tylko nie zostawić zapachu człowieka i jeleni się złapie. Ale człowiek na pierwszy rzut oka rozpozna taką

pułapkę, musiałem więc zbudować ją bardzo uważnie.

Wiedziałem, że w pewnym miejscu ścieżka przecinała strome zbocze tak, że z jednej strony otwierała się głęboka na dwa metry skarpa, a z drugiej wznosiła metrowa skalna ściana. Idąc ścieżką, nie sposób było ominąć tego miejsca. Na samej krawędzi ściany umieściłem głaz o średnicy sześćdziesięciu centymetrów i podparłem go małym kamieniem, żeby zawisł nad ścieżką gotów spaść nawet przy lekkim pchnięciu. Następnie wyciągnąłem przybory łowieckie i z wędkarskiej żyłki przygotowałem pętlę wielkości ludzkiej stopy, drugi koniec doprowadzając między przygiętymi gałązkami i kamieniami do kamienia, na którym opierał się głaz.

Zbudowanie pułapki zajęło mi dobre pół godziny i od czasu do czasu dochodził mnie warkot helikoptera patrolującego drugą stronę doliny. Zamaskowałem pętlę i przeszedłem nad nią, żeby się upewnić, czy całość wygląda wystarczająco niewinnie. Zrobiłem co mogłem i ruszyłem ścieżką do miejsca gdzie czterysta metrów dalej przechodziła przez podmokłą łąkę. Wychodząc na suchy teren po drugiej stronie polany starałem się zostawić najróżniejsze ślady swojej obecności: świeżo połamane źdźbła trawy, ślady stóp i plamy mokrej gliny na suchej ziemi. Poszedłem ścieżką dalej, skręciłem w bok i szerokim kołem wróciłem do pułapki.

To dopiero połowa planu. Druga połowa polegała na tym, żeby dojść ścieżką do pobliskiej polany, przez którą przepływa potok. Zrzuciłem plecak obok ścieżki i starałem się zorientować kiedy będzie wracać helikopter. Gdy uznałem, że następnym razem przeleci nad polaną, zszedłem do strumienia i zająłem się napełnianiem manierki.

Miałem rację, nadleciał tak nieoczekiwane, że sam byłem zaskoczony. Wysokie świerki stłumiły dźwięk, aż nagle pojawił się nad moją głową. Zaskoczony spojrzałem do góry i zobaczyłem białą plamę twarzy zwróconą w moim kierunku. Zrzuciłem się więc w kierunku drzew, żeby się schować tak, jakby sam diabeł deptał mi po piętach. Maszyna zawróciła w miejscu, drugi raz przeleciała nad polaną, zatoczyła większe koło, zawróciła i prędko odleciała do wylotu doliny. Matterson w końcu znalazł Boyda.

Wróciłem na polanę, z żalem oddarłem kawałek koszuli i zawiesiłem na kolczastych krzakach w pobliżu ścieżki. Dopilnuję, żeby moi myśliwi zrobili co trzeba, choćbym miał prowadzić ich za nosy. Zostawiłem plecak w miejscu, z którego będę miał dogodny widok na pułapkę i ułożyłem się na ziemi, a oczekiwanie skróciłem czyszcząc z kory myśliwskim nożem gruby kawał drąga.

Według moich obliczeń helikopter powinien szybko wrócić. Prawdopodobnie nie musi lecieć dalej niż do zapory, czyli około piętnastu kilometrów, na co potrzebuje około ośmiu minut. Dając piętnaście minut na podjęcie prawidłowej decyzji i następne osiem na powrót, otrzymywało się razem około pół godziny. Przyleci z ludźmi, ale poza pilotem

nie może wziąć na raz więcej niż cztery osoby. Zostawi więc pierwszą czwórkę i ruszy po następną, na co potrzebuje znów około dwudziestu minut.

Czyli że w ciągu dwudziestu minut muszę się pozbyć czterech ludzi. Niezbyt wiele czasu, ale powinno, mam nadzieję, wystarczyć.

Wracający helikopter dał się słyszeć dopiero po trzech kwadransach i po zmieniającym się warkocie silnika poznałem, że wylądował na polanie. Następnie wystartował i zatoczył koło, a ja zacząłem się obawiać, że jeśli nie odleci zgodnie z moimi przewidywaniami, cały plan będzie na nic. Z ulgą więc usłyszałem, że skierował się na południe. Z uwagą obserwowałem ścieżkę, czekając, aż przynęta chwyci.

Niedługo usłyszałem z oddali okrzyk z wyraźnym odcieniem tryumfu: przynęta została połknięta w całości. Spojrzałem przez zasłonę liści i zobaczyłem jak szybkim krokiem nadchodzą ścieżką. Trzech było uzbrojonych, dwóch w strzelby, jeden w sztucer, co wcale mi się nie spodobało, ale pomyślałem, że nie ma to znaczenia, ponieważ akurat ta operacja opiera się na zaskoczeniu.

Posuwali się prawie biegiem. Byli młodzi i wypoczęci, jak żołnierze współczesnej armii i tak jak współcześni żołnierze zostali dostarczeni na linię frontu w luksusowych warunkach. Jeśli próbowałbym uciec przed nimi, dopadliby mnie przy pierwszym kilometrze, mój plan był jednak inny. Poprzednio musiałem uciekać, bo zostałem zaskoczony, teraz sytuacja uległa zmianie. Nie zdawali sobie sprawy, że tym razem wcale nie polują na mnie, ale są zwierzyną.

Najpierw posuwali się parami, ale gdy ścieżka zwężyła się między ścianą z jednej strony i skarpią z drugiej, musieli iść jeden za drugim. Gdy zbliżyli się do pułapki, wstrzymałem oddech. Pierwszy ominął pętlę i zakląłem po cichu, ale drugi włożył stopę prosto do środka i usunął kamień. Głaz spadł na numer trzy trafiając go w udo. Zaskoczony chwycił się swego poprzednika i obaj spadli na dół razem z głazem, który ważył dobre siedemdziesiąt kilogramów.

Rozległy się okrzyki i przekleństwa, a kiedy się uspokoiło na ziemi siedział mężczyzna patrząc ze zdumieniem na złamaną nogę, a drugi wrzeszczał, że wściekle boli go biodro.

Dowódcą był Novak, czyli ten sam potężnie zbudowany mężczyzna, z którym już kiedyś rozmawiałem.

– Dlaczego nie patrzysz, gdzie stawiasz swoje rozczłapane stopy?

– On po prostu spadł na mnie – tłumaczył człowiek z rozbitym biodrem. – To nie moja wina.

Leżałem w krzakach nie dalej niż sześć metrów od nich i uśmiechnąłem się. Miałem rację spodziewając się, że jeśli duży głaz strąci człowieka z dwóch metrów, to można oczekiwać połamanych kości. Stosunek sił zmienił się znacznie na korzyść: teraz jest już

tylko trzech do jednego.

– Mam złamaną nogę – zajęczał drugi leżący na ziemi.

Novak zszedł na dół i obejrzał złamanie, a ja wstrzymywałem oddech. Jeśli został tam choć kawałek sidea, zrozumieją, że to nie wypadek. Miałem szczęście, albo żyłka się zerwała, albo Novak jej nie zauważył. Wstał i zaklął;

– Cholera jasna! Zaczęliśmy niecałe pięć minut temu, a już jeden jest wyłączony, może nawet dwóch. Jak twoje biodro?

– Cholernie boli, mogłem złamać miednicę.

Novak położył się jeszcze trochę, po czym stwierdził:

– Niedługo będą tu inni. Lepiej zostań z Banksem i złóż mu tę nogę, jeśli potrafisz. Ja i Scottie ruszamy dalej. Boyd oddala się z każdą cholerną minutą.

Wspiął się znów na ścieżkę i po kilku dobrze dobranych uwagach na temat Banksa i jego parzystokopytnych przodków, zakończył:

– W drogę, Scottie – i ruszył dalej.

Musiałem działać szybko. Poczekalem aż odejdą, po czym przeniosłem spojrzenie na Banksa. Nachylał się nad swoim towarzyszem, badając złamaną nogę. Był odwrócony do mnie plecami. Nie kryjąc się więcej, przebiegłem dzielące nas sześć metrów kilkoma skokami i uderzyłem go drągiem, zanim zdążył się odwrócić.

Upadł na drugiego mężczyznę, który patrzył do góry z przerażeniem w oczach. Zanim zdążył krzyknąć złapałem strzelbę i zbliżyłem mu wylot lufy do twarzy.

– Jedno piśnienie i zapomnisz o złamanej nodze – zagroziłem.

Zamknął usta i zrobił zeza próbując skoncentrować wzrok na wielkiej czarnej dziurze przed samym nosem.

– Odwróć głowę – rozkazałem ostro.

– Co?

– Odwróć głowę, do cholery! Nie mam całego dnia na rozmowy.

Niechętnie odwrócił spojrzenie. Nachyliłem się po upuszczoną pałkę i uderzyłem go. Zrobiło mi się go chyba szkoda; nie gustuję w ogłuszaniu ludzi ze złamanymi nogami, ale nie mogłem mu pozwolić, żeby zaczął krzyczeć. W każdym razie, nie uderzyłem dostatecznie silnie. Wyprężył się i w oszołomieniu potrząsnął głową, musiałem więc uderzyć drugi raz silniej i dopiero wtedy opadł bezwładnie.

Odciągnąłem na bok Banksa i sam poczułem się lekko oszołomiony. Pomyślałem, że jeśli nadal będę tłuc ludzi po głowach, to wcześniej lub później natrafię na kogoś z cienką czaszką i pozbawię go życia. Pewne ryzyko istniało, ale nie miałem wyboru. Musiałem wyrzeć odpowiednie wrażenie na tych facetach, a tylko bezwzględność mogła dać odpowiedni efekt. Nie widziałem innych możliwości.

Zdjąłem Banksowi pas i szybko związałem go w kabłąk, po czym, zabierając strzelbę, prędko ruszyłem za Novakiem i Scottiem. Od ich odejścia nie upłynęło więcej niż cztery minuty. Musiałem teraz dotrzeć przed nimi do miejsca, gdzie szlak przecina bagno, a ponieważ ścieżka biegła szerokim łukiem, miałem do przebycia odległość dwukrotnie mniejszą niż oni. Biegłem między drzewami jak zając i zdyszany ledwo zdążyłem skryć się za wysokimi zaroślami trzciny przy samej ścieżce na skraju bagna. Usłyszałem, że nadchodzą, nie tak prędko jak poprzednio. Czterech mężczyzn w pogoni za uciekinierem ma więcej zaufania we własne siły niż dwóch, nawet jeśli są uzbrojeni. W każdym razie, Novak i Scottie nie poruszali się zbyt żwawo. Prowadzący Novak zauważył ślady, które zostawiłem w bagnie.

– Hej, dobrze idziemy! – krzyknął. – Dalej, Scottie.

Minął mnie i wszedł w bagno, nabierając prędkości, a Scottie podążył za nim nieco wolniej, nie bardzo wiedząc, z czego się cieszyć. Nigdy się też nie dowiedział, ponieważ spuściłem kolbę strzelby na tył jego głowy i upadł twarzą w błoto.

Novak usłyszał odgłos upadku i obrócił się w miejscu, ale trzymałem już strzelbę lufą do przodu i wycelowałem w niego.

– Rzuć karabin, Novak.

Zawahał się. Poklepałem strzelbę.

– Nie wiem czym jest nabita, drobnym czy grubym śrutem, ale przekonasz się o tym osobiście, jeśli nie zostawisz tego karabinu.

Otworzył dłonie i broń spadła w błoto. Odsunąłem się od trzciny.

– Dobra, chodź tu, ale powoli.

Wyszedł z błota na twardy grunt, a jego buty wydawały ssący dźwięk.

– Gdzie Waystand? – zapytałem.

– W drodze – uśmiechnął się Novak. – Niedługo tu będzie.

– Mam nadzieję – powiedziałem, a w jego oczach pojawił się wyraz zdziwienia. Strzelbą wskazałem mu leżącego bezwładnie Scottiego.

– Podnieś go i nie próbuj dotknąć palcem tamtej strzelby, bo ci odstrzelę głowę.

Zszedłem ze ścieżki i poczekałem, aż zarzuci sobie Scottiego na plecy. Był dobrze zbudowany, prawie tak dobrze jak ja, a Scottie nie był zbyt ciężkim ładunkiem.

– W porządku – powiedziałem. – Wracamy tą samą drogą, którą przyszedłeś, Novak.

Podniosłem drugą strzelbę i bez litości zmusiłem go do szybkiego truchtu. Gdy dotarliśmy do pozostałych z trudnością łapał oddech, na czym mi właśnie szczególnie zależało. Banks odzyskał przytomność. Spojrzał do góry, rozpoznał Novaka i otworzył usta, żeby krzyknąć. Wtedy dostrzegł mnie i celującą w niego strzelbę, zamknął więc usta z trzaskiem. Mężczyzna ze złamaną nogą nadal nie odzyskał przytomności.



– Zrzuć Scottiego na dół – rozkazałem.

Novak odwrócił się i spojrzał na mnie wrogo, ale zrobił, co powiedziałem. Nie silił się na delikatność i Scottie miałby prawo do narzekań, ale przypuszczalnie i tak wszystko pójdzie na mój rachunek.

– A teraz ty schodź na dół, ale bardzo powoli – powiedziałem.

Opuścił się przez krawędź i kazałem mu odejść i stanąć plecami do mnie. Schodzenie na dół było ryzykowne, ale poradziłem sobie. Novak postanowił jednak spróbować; gdy usłyszał stuknięcie moich obcasów odwrócił się nagle, ale zamarł w miejscu, gdy zobaczył, że mam go nadal na muszce.

– Dobra – powiedziałem. – Teraz zdejmiesz Scottiemu pas i zwiążesz go, nadgarstki do kolan w kabłąk. Ale najpierw zdejmij swój pasek i rzuć na ziemię.

Rozpiął pasek, wyjął ze spodni. Przez moment myślałem, że rzuci nim we mnie, ale gdy opuściłem lufę na wysokość jego brzucha zmienił zdanie.

– Teraz opuść spodnie.

Zaklął głośno, ale znów zrobił co powiedziałem. Facet w spodniach na wysokości kolan nie jest za bardzo zdolny do bójki, spuszczone spodnie bardzo utrudniają ruchy, o czym przekonał się niejeden miłośnik cudzych żon. Ale Novak był pierwsza klasa: spróbował.

Właśnie kończył wiązać Scottiego, gdy rzucił się na moje nogi próbując mnie przewrócić. Pomysł nie był najlepszy, ponieważ właśnie starałem ustawić się w odpowiednim miejscu, żeby ogłuszyć go z tyłu. Jego żuchwa zderzyła się z kolbą, która akurat opadała mu na głowę i stracił przytomność.

Sprawdziłem więzy Scottiego i rzecz jasna, tu również Novak próbował sztuczek. Zaciągnąłem więzy i pośpiesznie skrępowiałem Novaka. Nie było już czasu na deliberacje, helikopter mógł wrócić w każdej chwili. Wziąłem drugą strzelbę, rozbiłem kolbę o skałę i wypełniłem kieszenie nabojami. Przeszukałem jeszcze kieszenie Novaka i znalazłem kastet, poręczną małą obszytą skórą sztabkę ciężką jak ołów, z pętlą na dłoń. Uśmiechnąłem się. Jeśli nadal mam rozbijać głowy, to równie dobrze mogę to robić odpowiednim narzędziem.

Kastet schowałem do kieszeni, skonfiskowałem lornetkę, którą miał Scottie i zabrałem strzelbę. W oddali, znacznie później niż się spodziewałem, dał się słyszeć nadlatujący helikopter.

Wyjąłem kartkę papieru i napisałem wiadomość, którą umieściłem w otwartych ustach Novaka. Brzmiała następująco: ŚCIGAJCIE MNIE DALEJ, A SPOTKA WAS TO SAMO – BOYD.

Po czym przeniosłem się na teren wyżej położony.

Nikt mnie nie ścigał. Oddaliłem się na rozsądną odległość, zaległem w zaroślach i przez szkła obserwowałem rozwój wydarzeń. Z daleka nic nie słyszałem, ale z gestów nietrudno się było domyśleć o czym mowa. Helikopter wylądował w miejscu dla mnie niewidocznym, po chwili na ścieżce pojawiło się czterech ludzi, którzy kilka kroków dalej natknęli się na mój kwartet. Było co niemiara machania rękami i jeden z nowoprzybyłych pobiegł zatrzymać helikopter, żeby nie odlatywał.

Ocucony Novak usiadł, trzymając się za żuchwę. Nie wydawał się zdolny do jasnego wyrażania myśli. Wypluł z ust kartkę papieru, a ktoś podniósł ją i odczytał. Podał ja pozostałym i zobaczyłem, że jeden z mężczyzn ogląda się nerwowo przez ramię; policzyli ile zostało broni i wiedzieli, że jestem teraz uzbrojony.

Po dłuższych deliberacjach zrobili prymitywne nosze i zanieśli na polanę mężczyznę ze złamaną nogą. Nikt nie ruszył w pościg i wcale mnie to nie zdziwiło. W ciągu niecałej pół godziny poradziłem sobie z czterema ludźmi, co musiało ostudzić odwagę pozostałych. Obawiając się, że mogą zostać potraktowani podobnie albo jeszcze gorzej, woleli nie zagłębiać się w las.

Nie znaczy to, że gotów byłem zaraz nadymać się jak ropucha ze swoich osiągnięć. Wszystko zależało od połączenia szczęścia ze sprytem i prawdopodobnie nie dałoby się drugi raz dokazać tego samego. Nie wierzę w takie bzdury, jak w ludowej piosence „ramię miał silne, bo bronił słusznej sprawy”. Moje doświadczenie wskazuje, że na ogół źli faceci są najsilniejsi, na przykład Hitler. Ale Napoleon, opierając się na praktycznej znajomości rzeczy twierdził, że morale ma się do siły fizycznej jak trzy do jednego. Jeśli zaskoczysz przeciwnika, wytrącisz go z równowagi i rozdzielisz, możesz zdziałać niemało.

Odłożyłem lornetkę i spojrzałem na strzelbę. Przełamałem ją, żeby przekonać się, co by się stało z brzuchem Novaka, gdybym pociągnął za spust i wyciągnąwszy naboje, zmartwiałem. To nie był żaden gruby śrut, gorzej. Ładunek grubego śrutu w nabojach kalibru 12 zawiera dziewięć śrucin, które na małą odległość nie rozpryskują się zbyt, naboje, które miałem przed sobą zawierały kule karabinowe – po jednej w każdym.

Lokalne władze niekiedy nie pozwalają strzelać do płowej zwierzyny z karabinów, szczególnie w Stanach, dlatego producenci broni znaleźli dla myśliwych dogodne rozwiązanie. Bierze się pocisk z ołowiu o średnicy szesnastu milimetrów, mieszczący się w lufie kalibru wagomiarowego 12 wyżłobiony tak, żeby wpadł w ruch wirowy w gładkiej lufie. Takie cholerstwo waży niemal dwadzieścia osiem gramów, podsypuje się więc z tyłu odpowiednią porcją prochu tak, że osiąga prędkość wylotową 600 metrów na sekundę. Jeśli coś takiego trafi w ciało, wywala z drugiej strony dziurę, w którą można włożyć dwie pięści. Gdybym tam, na mokradle pociągnął za spust, brzuch Novaka rozprysłby się po całej dolinie Kinoksi. Nic dziwnego, że rzucił karabin.

Spojrzałem z niesmakiem na nabój i pogrzebałem w plecaku, aż znalazłem trochę drobnych śrucin, żeby przeladować broń. Strzał śrutem z niezbyt bliska wystarczy, żeby zatrzymać człowieka nie zabijając go, i o to właśnie mi chodziło. Niezależnie od tego, co robili tamci, nie miałem ochoty pewnego ponurego poranka włożyć głowy w pętlę.

Rozejrzałem się po bezludnej okolicy i wycofałem w górę doliny.

4

Od dwóch dni krążyłem po północnej części doliny Kinoxi. Howard Matterson musiał chyba porozmawiać ze swoimi chłopcami używając wyjątkowo zachęcających argumentów, ponieważ znów zaczęli mnie szukać, ale zawsze, jak zwróciłem uwagę, poruszali się w grupach co najmniej sześciuosobowych. Przez cały czas bawiłem się z nimi w kotka i myszkę, zawsze, jeśli się dało, wymykając się na wschód. Nigdy nie udało im się mnie zobaczyć, ponieważ o ile jeden człowiek jest w stanie poruszać się cicho, sześciu ludzi w grupie robi sześć razy więcej hałasu. Novak musiał dokładnie im opowiedzieć co się stało i ostrzec, żeby się nie rozdzielali.

W ciągu tych dwóch dni zrobiłem pół tuzina takich samych pułapek, ale tylko jedna zadziałała. Rezultatem była złamana ręka i ktoś został odtransportowany śmigłowcem. Raz dobiegł mnie odgłos wystrzałów z niewielkiego wąwozu, który właśnie opuściłem. Pomyślałem, że jeśli dużo ludzi z bronią będzie się włóczyć po lesie, to wśród nich znajdzie się jeden głupiec, który w niewłaściwym momencie pociągnie za spust, co jednak nie tłumaczy, dlaczego poniosło pozostałych. Później się okazało, że musiano kogoś odtransportować z raną postrzałową; ktoś przez pomyłkę strzelił do niego, ten strzelił w odpowiedzi i reszta chłopców musiała uciekać. Miał pecha.

Zapas wykradzionej żywności zaczął się wyczerpywać i wymagał odnowienia. Powrót do obozu drwali mógł się okazać niebezpieczny, gdyż Matterson prawdopodobnie otoczył go gęsto wartownikami, skierowałem się więc na wschód do domu Clare. Spodziewałem się, że znajdę tam pożywienie, a miałem też nadzieję spotkać Clare. Musiałem zawiadomić Gibbonsa o wyczynach Howarda. Gibbons prawdopodobnie nie będzie tolerować pościgów za ludźmi na swoim terenie, powinien więc szybko zareagować. Przede wszystkim jednak, chciałem sprawdzić, co się stało z Clare.

Dwukrotnie starałem się zawrócić na wschód, ale za każdym razem natykałem się po drodze na grupy drwali Mattersona, musiałem więc zapaść się w głuszy i spróbować ich ominąć. Za trzecim razem miałem więcej szczęścia, ale gdy dotarłem na miejsce, byłem bardzo zmęczony, nie na tyle jednak, żeby podchodząc nie zachować pełnej ostrożności. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin mało odpoczywałem, pozwalałem sobie

tylko na godzinne drzemki od czasu do czasu. Pod tym względem w pojedynkę jest szczególnie trudno sobie poradzić, człowiek cały czas musi zachowywać czujność, podczas gdy tropiący go mają więcej swobody.

Do domu dotarłem o zmroku i przez pewien czas obserwowałem go leżąc na zboczu. Wyglądało na to, że wokół panuje spokój i z rozczarowaniem stwierdziłem, że w oknach nie palą się światła, czyli że Clare tam nie ma. Ale chata Waystanda świeciła jasnym i przyjaznym blaskiem.

Zbliżyłem się ostrożnie po spirali i na wszelki wypadek sprawdziłem przez okno, że stary Waystand jest sam. Siedział przed kuchnią, z głową otoczoną chmurą niebieskiego dymu z fajki, obszedłem więc dom dookoła, żeby wejść do środka. Ku mojemu zdziwieniu zastałem drzwi zamknięte.

– Kto tam? – rozległ się głos Waystanda.

– Boyd.

Usłyszałem jego kroki na drewnianej podłodze, gdy podchodził do drzwi.

– Że kto?

– Bob Boyd. Otwórz, Matthew.

Zgrzytnęła zasuwą, drzwi lekko się uchyliły oświetlając mnie padającym z wnętrza światłem. Po chwili otwarły się szeroko.

– Wchodź. Wchodź prędko.

Przeszedłem przez próg, stary zatrzasnął zaraz za mną drzwi i zaciągnął zasuwę. Odwracając się zauważyłem, że odstawia na stojak przy ścianie strzelbę.

– Czy pana też się czepiali, Matthew?

Odwrócił się. Był posiniaczony, pierwszy raz widziałem tak czarno podbite oko i miał na policzku szramę.

– Tak – odparł ciężko. – Czepiali się mnie. Co się do cholery dzieje, Boyd?

– Howard Matterson się wściekł i poluje na mnie. Urobił swoich ludzi, mówiąc im, że pobiłem do nieprzytomności starego Bulla.

– A pobił pan?

Spojrzałem na niego.

– Dlaczego miałbym bić starego człowieka? Teraz marzę tylko o tym, żeby zmasakrować Howarda, ale to inna sprawa. Stary Bull miał atak serca. Widziałem to ja i McDougall. Howard też, ale wygodniej mu kłamać.

– Wierzę panu – skinął głową Matthew.

– Skąd ma pan ten siniak pod okiem, Matthew? – zapytałem.

Spojrzał w podłogę.

– Walczyłem ze swoim własnym synem – powiedział. Zaciśnął pięści. – Pobił mnie.

Zawsze mi się zdawało, że potrafię sobie z nim poradzić, ale mnie pobił.

– Ja się nim zajmę, panie Waystand – powiedziałem. – Jest na drugim miejscu na mojej liście. Jak to się stało?

– Przyleciał tu z Howardem trzy dni temu – powiedział Matthew – tym śmigłowcem. Pytali, czy pan się tu nie kręcił. Powiedziałem im, że nie widziałem pana. Na to Howard, że jeśli pana zobaczę, to żeby dać mu znać. Chciał też zobaczyć dom panny Trinavant i powiedziałem, że to niemożliwe. Twierdził, że może pan się tam ukrywa, zapytałem go więc, czy uważa mnie za kłamcę. – Matthew wzruszył ramionami.

– Od słowa do słowa, aż Jimmy mnie uderzył i doszło do bójki.

– Pobił mnie, panie Boyd – podniósł głowę – ale do domu ich nie wpuściłem. Zaraz poszedłem do siebie, wziąłem strzelbę i powiedziałem im, żeby się stąd wynosili.

Patrzyłem jak ostrożnie siada na krzesło koło kuchni i zrobiło mi się cholernie przykro.

– Posłuchali.

– Nie bardzo. W jednej chwili myślałem, że będę musiał strzelić do Jimmiego. Gotów byłem pociągnąć za spust i on o tym wiedział. – Spojrzał na mnie smutno. – Jimmy zszedł na złą drogę. Spodziewałem się tego, ale nigdy nie myślałem, że przyjdzie taki czas, że będę gotów strzelać do własnego syna.

– Jest mi bardzo przykro, Matthew – powiedziałem. – Czy Howard też się awanturował?

– Nie – powiedział Matthew z goryczą. – Stał tylko w miejscu i śmiał się jak hiena w czasie walki, ale przestał się śmiać, gdy celowałem mu w brzuch.

Był w tym cały Howard. Zdjąłem plecak i rzuciłem na podłogę.

– Cl... panna Trinavant nie pojawiała się tu?

– Nie widziałem jej od tygodnia.

Westchnąłem i usiadłem. Od czasu, gdy Howard rozpoczął na mnie polowanie, Clare nie pojawiła się w domu i nie miałem pojęcia gdzie jest, ani co robi. Matthew spojrzał na mnie niespokojnie.

– Wydaje się pan wykończony – powiedział. – Opowiadam o swoich kłopotach, ale pan ma chyba znacznie więcej na głowie.

– Ukrywam się od sześciu dni – wyjaśniłem. – W lesie roi się od facetów czekających na okazję, żeby mi wbić mózg do gardła. Jeśli chcesz zarobić tysiąc dolarów, to wystarczy, że wydasz mnie Howardowi.

– Po co mi tysiąc zielonych? – mruknął. – Jest pan głodny?

Uśmiechnąłem się blado.

– Umiarkowanie. Trzy łosie razem wzięte miałyby może większy apetyt.

– Zaraz odgrzeję mięso. Nie potrwa to dłużej niż kwadrans. Może się pan tymczasem trochę umyć. – Wydobył z pudełka pęk nanizanych na sznurek kluczy. – To do dużego domu. Idź się pan wykąpać – powiedział, rzucając je w moją stronę.

Podrzuciłem klucze.

– Howardowi by pan tego nie dał – zauważyłem.

– Howard to co innego – stwierdził. – Nie należy do przyjaciół panny Trinavant.

Wziąłem gorącą kąpiel, zgoliłem tygodniową warstwę zarostu i zacząłem trochę bardziej przypominać człowieka. Gdy wróciłem do starego, na stole czekał już parujący talerz jedzenia, które pochłonąłem w ekspresowym tempie i poprosiłem o dokładkę.

– Leśne życie panu służy – uśmiechnął się Matthew.

– Nie takie jak teraz – odparłem. Sięgnąłem po kurtkę. Z kieszeni wyjąłem jeden z naboji do strzelby i położyłem na stole. – Są uzbrojeni na niedźwiedzia, Matthew.

Wziął nabój i po raz pierwszy i ostatni w mojej obecności zaklął z przekonaniem.

– Dobry Boże w niebie! – powiedział. – Łobuzy. Nie strzelałbym tym nawet do jelenia. – Podniósł wzrok. – Stary Bull chyba umarł.

Nie przyszło mi to wcześniej do głowy i teraz poczułem dreszcz na plecach.

– Mam nadzieję, że nie – odparłem z przekonaniem. – Cały czas liczę na to, że dojdzie do siebie. Nikt inny nie wydobędzie mnie z tego bagna. Tylko on może wyjść i powiedzieć swoim ludziom, że miał atak serca i nie tknąłem go palcem. Tylko on może powstrzymać Howarda.

– Dziwne – zauważył Matthew bardzo niewesołym, ponurym głosem. – Nigdy nie lubiłem Bulla, ale mamy ze sobą trochę wspólnego. I jego, i mój syn, obaj zeszli na złą drogę.

Nic na to nie odpowiedziałem, bo nic nie było do powiedzenia. Skończyłem jeść, popiłem kawą i po pierwszym gorącym posiłku od kilku dni poczułem się znacznie lepiej.

– Przygotowałem dla pana łóżko – powiedział Matthew. – Dziś w nocy będzie pan mógł wygodnie się wyspać. – Wstał i wziął strzelbę. – Rozejrzę się dookoła, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Ułożyłem się na miękkim pościeliu i zasnąłem gdy tylko dotknąłem głową poduszki. Spałem do świtu. Zbudziło mnie dopiero świecące w oczy słońce. Wstałem, ubrałem się i poszedłem do głównego pokoju. Matthew znikł bez śladu, ale na kuchni dymiła kawa, a obok stała patelnia z jajkami i bekonem gotowymi do smażenia.

Napiłem się kawy i zacząłem smażyć dobre pół tuzina jaj. Akurat skończyłem, gdy usłyszałem, że ktoś biegnie w stronę domu. Podskoczyłem do okna i zobaczyłem, że Matthew bije rekordy szybkości. Wpadł do środka i wyjąkał nie mogąc złapać powietrza.

– Cały tłum... idą tu... niecałe dziesięć minut... za mną.

Podniosłem kurtkę, założyłem, złapałem plecak, który wydał mi się cięższy niż poprzednio.

– Dołożyłem panu trochę jedzenia – powiedział Matthew. – Przykro mi, że nic więcej nie mogę zrobić.

– Możesz zrobić jeszcze coś – powiedziałem w pośpiechu. – Pojedź do Fort Farrell, złap Gibbonsa i powiedz mu, co się tu dzieje. I zorientuj się, czy uda ci się dowiedzieć co się mogło stać z McDougalem i Clare. Zrobisz to?

– Ruszę, gdy tylko będę mógł – powiedział. – Ale niech już pan lepiej idzie. Tamci są blisko.

Wyszedłem na zewnątrz i pobiegłem do lasu drapiąc się na zbocze do miejsca, z którego poprzedniego wieczora obserwowałem okolicę. Następnie zdjąłem z ramienia lornetkę i spojrzałem w dół, na dom Waystanda.

Naliczyłem co najmniej sześciu mężczyzn krążących tam i z powrotem.

Wchodzili i wychodzili z domu starego, jakby byli u siebie. Włamali się również do domu Clare prawdopodobnie po to, żeby go przeszukać. Zastanowiwszy się, skąd wiedzieli, że tam byłem, domyśliłem się, że wystawili obserwatora, który zobaczył światła w domu Clare, gdy brałem kąpiel.

Skląłem się za głupotę, ale było już za późno na bicie się w pierś. Gdy człowiek jest głodny i zmęczony zaczynają się potknięcia, na które normalnie by sobie nie pozwolił. Właśnie tego rodzaju błędy powodują, że ludzie ścigani wpadają w sidła pogoni. Na przyszłość muszę bardziej uważać.

Jeden z mężczyzn pochylił się nad silnikiem ciężarówki starego. Wyostrzyłem lornetkę i ugryzłem się w wargę, gdy wyłonił się spod maski wyszarpując pęk przewodów jak spaghetti. Sądząc z ilości – prawie całą instalację elektryczną.

Przez pewien czas Matthew nie pojedzie do Fort Farrell, ani w ogóle nigdzie.

## XI

Pogoda się popsuła. Nisko nad głową zawisły ciężkie chmury, spadła ulewa, po której chmury skłębiły się do samej ziemi i poruszałem się we mgle. Miało to swoje dobre i złe strony. Słaba widoczność powodowała, że znacznie trudniej było mnie dostrzec i wyeliminowała cholerny śmigłowiec. Dwukrotnie zdołał mnie zauważyć i wysłać w pogoń myśliwskie psy Howarda, teraz jednak stał się bezużyteczny. Z drugiej strony, cały czas miałem mokre ubranie i nie ośmieliłem się rozbić obozu i ogrzać przy ognisku. Stykająca się nieustannie z mokrą odzieżą skóra zaczęła bieleć i pulchnieć, jątrząc się od załamań koszuli i spodni. Przeziębłem się, a kichnięcie w niewłaściwym momencie mogło okazać się niebezpieczne.

Howard udoskonalił strategię i zdołał zamknąć mnie na bardzo ograniczonym obszarze, nie większym niż pięć kilometrów kwadratowych, które otoczył gęstym kordonem. Obecnie nieustannie zaciskał pętlę. Nie wiem ilu miał ludzi, ale było ich zbyt wielu jak na moje możliwości. Trzykrotnie próbowałem się wyrwać z kotła korzystając z osłony mgły, ale bez powodzenia. Chłopcy również nie obawiali się korzystać z broni palnej i przy ostatniej próbie tylko przypadkiem nie zdołali podziurawić mnie jak sito. Wokół głowy świstały mi kule, a jedna otarła się o udo. Wyniosłem się stamtąd bardzo prędko i zapadłem w przypadkowej jamie, zaraz założyłem na skaleczenie plaster. Mięsień udowy nieco zesztyniał, ale tylko nieznacznie wpłynęło to na szybkość poruszania się.

Przemokłem, zmarzłem i czułem się fatalnie, nie mówiąc już o tym, że byłem głodny oraz zmęczony. Wyglądało na to, że gonię już resztkami sił. Miałem ochotę położyć się i zasnąć tam, gdzie stałem, pozwalając się znaleźć. Wiedziałem jednak, co się wtedy stanie, a nie miałem ochoty zostać na resztę życia inwalidą nawet, jeśli Howard ograniczyłby się jedynie do okaleczenia mnie. Podniosłem się więc z trudnością na nogi i ruszyłem przed siebie, błądząc we mgle i szukając wyjścia z zaciskającego się pierścienia.

Prawie potknąłem się o niedźwiedzia. Zamruczał ostrzegawczo, cofnął się, wyprostował na dobre dwa i pół metra i zamachał przednimi łapami pokazując okrutne pazury i pysk pełen potężnych kłów. Wycofałem się prędko na bezpieczną odległość i zacząłem szybko myśleć.

O grizzly opowiada się więcej bzdur niż o każdym innym zwierzęciu z wyjątkiem wilka. Dorosły człowiek potrafi, patrząc ci prosto w oczy, opowiadać mrozące krew w żyłach historie o przygodach z grizzly, jak to grizzly bez namysłu atakują ludzi, jak to



mogą prześcignąć konia, zwalić drzewo i narozrabiać zupełnie bez powodu. Tymczasem grizzly, podobnie jak każde inne zwierzę, ma wystarczająco dużo rozumu, żeby bez poważnego powodu nie zadawać się z ludźmi. Wiosną, gdy budzi się z zimowego snu istotnie łatwo go wyprowadzić z równowagi, ale nie różni się pod tym względem od większości ludzi zaraz po wstaniu z łóżka.

Wiosną grizzly są również głodne. W zimie tracą warstwę tłuszczu i futro zwisa im luźno, nie życzą sobie więc, podobnie jak większość z nas, żeby przeszkadzać im w posiłkach. Ponadto niedźwiedzice mają wiosną małe, są więc drażliwe na ich punkcie, w czym nie ma nic dziwnego. Wiele opowieści o grizzly powstała przy ogniskach obozowych po to, żeby zrobić wrażenie na nowicjuszu lub turyście, a większość zawdzięcza swe istnienie oparom żytniej wódki.

Teraz była pełnia lata – jak na warunki Kolumbii Brytyjskiej, więc grizzly był najedzony i spokojny. Opadł na cztery łapy i wrócił do tego, co robił wcześniej: ogryzania soczystego korzenia. Trzymał mnie co prawda cały czas przezornie na oku i od czasu do czasu pomrukiem dawał do zrozumienia, że się mnie zbytnio nie obawia.

Wycofałem się za drzewo, żeby go nadmiernie nie niepokoić i zastanowiłem, jak go wykorzystać. Mogłem się rzecz jasna po prostu oddalić, ale zdałem sobie sprawę, że ośmiusetkilogramowy niedźwiedź może być potężnym sojusznikiem, jeśli skłonić go do współpracy, wymyśliłem więc coś lepszego. Mało kto jest w stanie sprostać atakującemu grizzly.

Ludzie Mattersona znajdowali się nie dalej niż o kilometr, o czym niedawno się przekonałem, i powoli zamykali pułapkę. Kierując się naturalnym odruchem, niedźwiedź będzie starał się oddalić w miarę, jak będą się zbliżać. Posuwając się, robili mnóstwo hałasu i niedźwiedź powinien niedługo ich usłyszeć. Mnie nie usłyszał tylko dlatego, że wypracowałem z konieczności umiejętność szybkiego i bezszelestnego przemykania się wśród zarośli: jest to jedna z rzeczy, które trzeba opanować w takiej jak moja sytuacji; albo się uczysz, albo przegrywasz.

Powinienem teraz nakłonić niedźwiedzia, żeby postąpił niezgodnie z naturalnym instynktem i zamiast oddalić się, ruszył w stronę zbliżającej się obławy. Ale w jaki, u licha, sposób? Trudno zagonić go jak krowę, musiałem więc szybko coś wymyślić.

Po chwili zastanowienia wyjąłem z kieszeni kilka naboju do strzelby i zacząłem rozcinać je nożem myśliwskim, wyrzucając łuski i gromadząc ładunek. Po chwili miałem zawinięty w rękawiczkę dla izolacji od wilgoci zapas ziaren prochu. Nachyliłem się ryjąc nożem w iglastym poszyciu; zbita warstwa igieł sosnowych zachowuje się jak impregnowany materiał i woda spływa po nich jak po kaczce. Tuż pod powierzchnią znalazłem suchy i łatwopalny materiał.

Cały czas miałem oko na brata niedźwiedzia, który z zadowoleniem pracował nad smakowitym korzeniem, uważając jednocześnie na mnie. Nie będzie mnie niepokoić, jeśli zostawię go w spokoju, tak przynajmniej mówiła teoria, ale na wszelki wypadek upatrzyłem sobie pobliskie drzewo z nisko zwisającymi gałęziami. Z jednej z bocznych kieszeni plecaka wydobyłem zwiniętą rządową mapę geologiczną tego obszaru i notes, który też tam przechowywałem. Mapę podarłem na małe kawałki, podobnie postępując z kartkami z notesu. Z porwanych kawałków papieru przesypanych obficie prochem strzelniczym i suchym igliwem zbudowałem ognisko. Dla ułatwienia zapłonu z ogniska usypałem cienką linię prochu i wrzuciłem do środka trzy pełne naboje.

Nastawiłem na chwilę ucha, ale nic nie słysząc, obszedłem szerokim kołem niedźwiedzia o około sześćdziesiąt stopni w jednym kierunku i w ten sam sposób zbudowałem następne ognisko, oraz kolejne po drugiej stronie. Widząc, że się poruszam, niedźwiedź cofnął się warcząc, ale uspokoił się, widząc, że nie podchodzę bliżej. Każde zwierzę ma wokół siebie bardzo dokładnie wymierzoną strefę bezpieczeństwa i zaczyna działać dopiero, gdy czuje, że zagrożone jest jego bezpośrednie terytorium. Rodzaj działania zależy od zwierzęcia: sarna ucieknie w popłochu, grizzly zaatakuję.

Ułożywszy ogniska, czekałem na chłopców Mattersona wiedząc, że niedźwiedź, znajdując się między nimi a mną, ostrzeże mnie. Stałem w miejscu z bronią w rękach i cierpliwie czekałem, nie spuszczać oczu z grizzly.

Nic nie usłyszałem, ale on tak. Drgnął i odwrócił głowę, przechylając ją z boku na bok jak szykująca się do ataku kobra. Sapał wciągając w nozdrza powietrze, nagle zamruczał miękko, odwrócił się tyłem do mnie i wpatrzył uważnie w dal. Pogratulowałem sobie lat doświadczenia, które nauczyły mnie jak przechowywać suche zapalki wypełniając całe pudełko roztopioną stearyną i zatapiając w niej zawartość w jednym bloku. Wyłamałem trzy zapalki ze stearyny i czekałem na właściwy moment, żeby je zapalić.

Niedźwiedź powoli cofał się w moim kierunku, oddalając się od tego czegoś, co zbliżało się z drugiej strony. Obejrzał się niepewnie na mnie, czując się złapany w potrzask, a gdy grizzly zaczyna się tak czuć, to najlepiej znajdować się zupełnie gdzie indziej. Schyliłem się, zapaliłem zapalkę i upuściłem ją na ścieżkę prochu, który zasyczał i wybuchł płomieniem. Następnie popędziłem do drugiego ogniska strzelając po drodze w powietrze.

Gdy pobiegłem, niedźwiedź ruszył do ataku wielkimi susami prosto w moją stronę, ale odgłos wystrzału dał mu do myślenia i zmusił do zatrzymania. Z oddali usłyszałem podniecony okrzyk. Ktoś inny również usłyszał wystrzał.

Niedźwiedź obrócił w rozterce głowę i ruszył ponownie, ale w tym momencie wystrzelił jeden z naboji w pierwszym ognisku, a ja rozpalałem drugie. Wcale mu się to

nie spodobało i odwrócił się, mrużąc bez przerwy, a ja pobiegłem do trzeciego ogniska i rzuciłem na nie zapalną.

Misio nie miał pojęcia, co zrobić. Z jednej strony zbliżały się kłopoty – ludzie, a z drugiej miał głośne, denerwujące odgłosy. Po drugiej stronie rozległo się w oddali kilka wystrzałów, co prawie przekonało niedźwiedzia, ale w tej samej chwili wybuchło piekło. Rozerwały się jeden po drugim dwa kolejne naboje, a po sekundzie rozpętała prawdziwa strzelanina.

Grizzly stracił nad sobą panowanie, odwrócił się i rzucił w kierunku obławy. Dla wzmocnienia efektu podgrzałem mu ogon porcją śrutu i pobiegłem starając się trzymać blisko za nim. Atakował między drzewami jak demon z piekła rodem – ponad pół tony wściekłości i przerażającej siły. W istocie był nie tyle przerażający, co przerażony, ale właśnie wtedy grizzly staje się najbardziej niebezpieczny.

Zauważyłem trzech mężczyzn patrzących z niepokojem w górę zbocza, na zbliżającego się potwora. Z ich strony musiało to wyglądać jak paszcza pełna zębów i pazury dwa razy większe niż w rzeczywistości; jeśli przeżyją, będą mieli o czym opowiadać w barach. Rozdzielili się i zaczęli uciekać w różnych kierunkach, ale jeden trochę się spóźnił i przebiegający niedźwiedź trącił go łapą. Padając na ziemię mężczyzna krzyknął, ale na jego szczęście, niedźwiedź nie zatrzymał się, żeby go rozszarpać.

Przebiegłem z pełną prędkością obok, wywijając na śliskim zboczu buciorami. Niedźwiedź poruszał się o wiele prędzej niż ja i szybko się oddalał. Usłyszałem przed sobą krzyki, kilka strzałów i nagle wybiegłem zza drzewa prosto na osobnika wymachującego strzelbą w kierunku uciekającego niedźwiedzia. Odwrócił się, a zobaczywszy mnie zdążył jeszcze złożyć się do strzału i pociągnąć za spust. Iglica uderzyła w pustą komorę, a ja byłem tuż tuż. Trafiłem go ramieniem w klatkę piersiową, co podbiło mu nogi tak, że upadł turlając się, a w przelocie zarobił jeszcze pięścią za ucho. Tyle nauczyłem się od niedźwiedzia.

Nie zatrzymywałem się przez piętnaście minut, póki nie byłem pewien, że nikt mnie nie ściga. Domyśliłem się, że byli zbyt zajęci lizaniem ran; trącając człowieka w biegu łapą niedźwiedź używa potężnych pazurów. Zobaczyłem, że mój przyjaciel kieruje się w dół zbocza i uświadomiłem sobie, że mgła się unosi. Grizzly zwolnił, powoli zatrzymał się i obejrzał do tyłu. Pomachałem mu ręką i uznawszy, że przez kilka dni powinienem unikać z nim spotkania, zmieniłem kierunek.

Tak jak wcześniej natknąłem się na niedźwiedzia, tak samo teraz mało co nie wpadłem na człowieka wpatrującego się w zarośla i próbującego zorientować się, co się dzieje. Nie miałem czasu się ukryć, więc wpadłem na niego z rozpędu głową do przodu, wbijając mu jeszcze kolbę strzelby w brzuch. Zanim oprzytomniał, trzymałem mu na

gardle nóż myśliwski.

Nienaturalnie cofnął głowę do tyłu, starając się uniknąć kontaktu z ostrzem, a z kącika ust popłynęła mu ślina.

– Nie hałasuj – powiedziałem – bo zrobię ci krzywdę. Skinął głową i zamarł, gdy nóż dotknął mu jabłka Adama.

– Dlaczego na mnie polujesz? – zapytałem łagodnie. Wybełkotał coś niewyraźnie, więc powtórzyłem pytanie.

– Dlaczego na mnie polujesz? Odpowiadaj. I mów prawdę.

– Pobiliś starego Mattersona – wykrztusił z wysiłkiem. – Jak parszywy tchórz.

– Kto powiedział, że go pobiliś?

– Był tam Howard i widział. Jimmy Waystand to potwierdził.

– A skąd Waystand o tym wie? Nie było go przy tym.

– Mówił, że był, a Howard nie zaprzeczył.

– Obaj kłamią – odparłem. – Stary miał atak serca. A co on sam o tym mówi?

– Nic nie mówi. Jest chory, naprawdę chory. – Mężczyzna spojrzał na mnie z nienawiścią.

– Jest w domu, czy w szpitalu?

– Słyszałem, że w domu – spróbował się uśmiechnąć. – Nie uda ci się wymknąć.

– Stary Matterson miał atak serca – powtórzyłem cierpliwie. – Nie tknąłem go palcem. A jaki wpływ na wasz zapał do biegania za mną po całym lesie ma te drobne tysiąc dolarów nagrody?

Spojrzał na mnie z oburzeniem.

– To nie ma nic do rzeczy – stwierdził. – Po prostu nie lubimy, żeby obcy bili staruszków.

Prawdopodobnie mówił prawdę. Mała szansa, żeby tych wszystkich drwali udało się namówić w polowanie na człowieka tylko pieniędzmi. Nie byli to źli ludzie, po prostu głupcy, którym udzieliła się gorączka Howarda pod wpływem jego kłamstw. Tysiąc dolarów nagrody pełniło tylko rolę przybrania tortu.

– Jak się nazywasz? – zapytałem.

– Charlie Blunt.

– Wiesz Charlie, wolałbym pogadać o tym przy piwie, ale obawiam się, że to niemożliwe. Gdybym naprawdę był takim draniem jak mówi Howard, to mógłbym wystrzelać waszych ludzi jak kaczki na strzelnicy. Strzelacie do mnie cały czas, ale ja nigdy nie odpowiadam. O czym to twoim zdaniem świadczy?

Cień przemknął mu po twarzy i widać było, jak myśli.

– Pomyśl o Novaku i tych facetach, którzy z nim byli. Bez trudności mogłem

poderżnąć im gardła. Jeśli o to chodzi, to nic nie stoi na przeszkodzie, żebym teraz poderżnął gardło tobie.

Ukłułem go nożem i napiął mięśnie.

– Spokojnie, Charlie, nic takiego nie zrobię. Włos nie spadnie ci z głowy. Rozumiesz dlaczego?

Przełknął z trudnością i prędko potrząsnął głową.

– To się zastanów. Pomyśl o tym i porozmawiaj z innymi, jak do nich wrócisz. Powiedz im, że powiedziałem, że stary Bull miał atak serca, a Howard Matterson i Jimmy Waystand wystawiają ich do wiatru. A Jimmy? Pomyśl, co z niego za mężczyzna, jeśli bije własnego ojca?

Blunt pokręcił głową.

– Pobił swojego starego. Żeby się przekonać, czy mówię prawdę, wystarczy, jeśli zapytacie Matthew Waystanda. Mieszka niedaleko stąd. Na tyle blisko, że można tam pójść i raz na zawsze ustalić, jak sprawy stoją. Pogadaj i o tym z innymi. Spotkajcie się w jakimś spokojnym miejscu na uboczu i sami zdecydujcie, czy mówię prawdę, czy nie. Cofnąłem nóż.

– Puszczę cię, Charlie. Nie mam zamiaru nawet dać ci po głowie, ani wiązać, żeby mieć czas na ucieczkę. Po prostu cię puszczę, a jeśli chcesz wrzeszczeć, to twoja sprawa. Ale powiedz innym, że mam już dość uważania, żeby nie zrobić wam za wiele krzywdy. Powiedz im, że teraz mogę zacząć zabijać. Powiedz, że jeśli ktoś jeszcze chce mnie ścigać, to niech się pożegna z życiem. Masz szczęście, że akurat ciebie wybrałem do przekazania tej wiadomości, co, Charlie?

Leżał spokojnie i nic nie mówił. Wstałem i spojrzałem na niego z góry.

– Będiesz pierwszy na liście, Charlie, jeśli tylko spróbujesz jakiś sztuczek – powiedziałem. Podniosłem strzelbę i, nie oglądając się, ruszyłem przed siebie z jego spojrzeniem przylepionym do moich pleców. Nie wiedząc co robi, czułem się nieswojo. Mógł składać się do strzału i musiałem użyć całej siły woli, żeby nie rzucić się do ucieczki.

Ale czasami trzeba zaufać w ludzki rozsądek. Doszedłem do wniosku, że nie wykaraskam się z kłopotów stosując samą nagą przemoc, bo wywołam jedynie żądę odwetu. Miałem nadzieję, że udało mi się zasiać ziarno wątpliwości w głowie Charliego Blunta, tak zwanej uzasadnionej wątpliwości, którą przed wydaniem wyroku musi uwzględnić każdy sędzia.

Szedłem pod górę tak długo, aż byłem pewien, że znalazłem się poza zasięgiem strzału i wtedy napięcie nagle opadło. W końcu odwróciłem się. Daleko w dole stał Charlie Blunt, cały czas patrząc na mnie. Nie miał w ręku strzelby i nie ruszał się z miejsca. Pomachałem mu ręką i po dłuższej przerwie podniósł dłoń i zrobił to samo.

Ruszyłem dalej i skryłem się za szczytem wzgórz.

2

Niebo znów się przetało, a ja wyrwałem się z magicznego kręgu Howarda. Nie miałem wątpliwości, że znów ruszą za mną. Byłoby głupotą przypuszczać, że ktoś taki jak Blunt wykaże się trwalszymi skrupułami, ale przynajmniej miałem chwilę oddechu. Gdy przez cały dzień ani nie słyszałem, ani nie widziałem nikogo, postanowiłem zaryzykować i zastrzeliłem sarnę licząc na to, że nikt nie usłyszy wystrzału.

Oprawiłem zwierzę, a ponieważ miałem ochotę na mięso, rozpałem niewielkie ognisko, żeby upiec wątrobę, gdyż zajmuje to najmniej czasu i mięso jest bardzo strawne. Następnie poćwiartowałem tuszę, opiekałem pasy mięsa nad ogniem i na w pół surowe wepchnąłem do plecaka, pozostając w jednym miejscu możliwie jak najkrócej. Padlinę ukryłem i ruszyłem w drogę obawiając się, że znów mogę zostać okrążony. Ale nikt mnie nie ścigał.

Noc postanowiłem spędzić nad strumieniem, czego nie robiłem przez cały czas ucieczki. Obozowanie nad strumieniem było rzeczą naturalną, a ja ze strachu unikałem wszystkiego, co naturalne. Przeciagająca się nienaturalność sytuacji wyczerpała mnie i było mi wszystko jedno, co się stanie. Prawdopodobnie opadło ze mnie napięcie i byłem gotów się poddać. Chciałem tylko przespać w spokoju całą noc i byłem zdecydowany spróbować nawet jeśli miałbym obudzić się przed świtem patrząc w wylot lufy.

Ściałem gałęzie na posłanie, czego nie robiłem dotychczas ani razu nie chcąc zostawiać śladów, a nawet rozpałem ognisko nie przejmując się tym, czy je widać czy nie. Nie posunąłem się co prawda do tego, żeby się rozebrać przed pójściem spać, ale rozłożyłem koce i gdy leżałem sobie tak przed ogniskiem z brzuchem pełnym mięsa i z dzbankiem kawy pod ręką, wszystko wyglądało równie radośnie jak moje obozowiska w lepszych czasach.

Rozbiłem obóz wcześniej, mając powyżej uszu ciągłego ruchu i o zmroku zapadałem właśnie w sen. Jak przez mgłę usłyszałem nad głową warkot silnika oraz świst tnącego powietrze wirnika i zmusiłem się do otwarcia oczu. Cholerny helikopter nie przerwał pościgu i najpewniej zobaczyli odbłask ognia. Na tle ciemnego lasu ognisko wyglądało jak latarnia morska.

Jęcząc półprzytomnie, w rozpacz zmusiłem się do wstania i gdy dźwięk silnika zamierał szybko na północy za drzewami, stałem już na nogach. Przeciagnałem się i rozejrzałem po obozie. Szkoda zostawiać wszystko i znów uciekać, ale wyglądało na to, że nie ma innej rady. Tu pomyślałem jeszcze raz. Dlaczego mam uciekać? Dlaczego nie

zostać i w tym miejscu nie rozstrzygnąć wszystkiego?

Nawet jednak w takim przypadku nie ma powodu dać się schwytać jak ptaszek w klatce, ułożyłem więc prymitywny plan. Znalazienie polana mniej więcej mojego wzrostu i zagrzebanie go w kocach nie zajęło wiele czasu, a gdy skończyłem, nawet z bliska wydawało się że pod kocami ktoś śpi. Dla zwiększenia efektu, przywiązałem do jednego końca gałęzi żyłkę, żeby pociągając z odległości upozorować poruszającego się we śnie człowieka. Znalazłem dogodne miejsce i ukrywając się za jakimś pnem pociągnąłem za żyłkę. Gdybym nie wiedział, że to zwykła kłoda, dałbym się nabrać.

Jeśli coś zacznie się dziać tej nocy, będę potrzebować dużo światła, zacząłem więc dorzucać do ognia i prawie zostałem wzięty przez zaskoczenie. W oddali trzasnęła gałązka i zrozumiałem, że mam o wiele mniej czasu niż myślałem. Rzuciłem się do kryjówki, zarepetowałem broń sprawdzając, że jest załadowana i że mam zapasowe naboje. Ponieważ ognisko płonęło jasno, natarłem strzelbę wilgotną ziemią, żeby nie błyszczała w świetle i położyłem w dogodnym miejscu przed sobą.

Szybkość ataku mogła znaczyć dwie rzeczy. Albo helikopter prowadził główną grupę, albo wylądował tylko kilka osób na ziemię, czyli nie więcej niż cztery osoby. Już raz się przekonali co się dzieje, jeśli próbują takich głupich sztuczek i ciekaw byłem czy zdecydują się na powtórkę.

Znów trzasnęła gałązka, tym razem znacznie bliżej i sprężyłem się rozglądając się na boki próbując się zorientować, z której strony nadejdzie atak. To, że gałązka trzasnęła na zachodzie wcale nie znaczy, że jakiś spryciarz nie skrada się od wschodu albo od południa. Zjeżyły mi się włosy na karku; ukryłem się na południe od obozu i być może w tej chwili ktoś z tyłu szykuje się do odstrzelenia mi głowy. Niezbyt rozsądnie było z mojej strony rozłożyć się płasko na brzuchu; w takiej pozycji trudno się szybko poruszać. Inaczej nie mógłbym jednak pozostać tak blisko obozu nie stercząc jak samotny palec na środku.

Ważnie próbowałem ostrożnie obejrzeć się do tyłu, gdy kątem oka zobaczyłem, że ktoś – lub coś – się skrada i zamarłem bez ruchu. Postać pojawiła się w kręgu światła z ogniska i zaparło mi dech gdy zobaczyłem, że to Howard Matterson. W końcu znęciłem lisa.

Skradał się, jakby stąpał po skorupkach jajek i nachylił nad moim plecakiem. Tożsamość właściciela nie było trudno ustalić, ponieważ na klapie dostrzegł wypisane moje nazwisko. Ostrożnie wybrałem żyłkę i pociągnąłem. Kłoda lekko się poruszyła i Howard natychmiast się wyprostował.

Następnie przyłożył kolbę strzelby, którą trzymał w ręku do ramienia i ciemność nocy rozdarł błysk i huk, gdy z odległości mniejszej niż trzy metry wpackował w koc cztery kule

karabinowe tak prędko, jak tylko broń przeładowywała.

Drgnąłem i oblałem się potem. Oto namacalny dowód, że Howard chce się mnie pozbyć w najbardziej dosłowny sposób. Stał na kocu i trącił czubkiem buta kłodę.

– Howard, ty draniu – krzyknąłem – mam cię na muszce! Odłóż strzel...

Nie zdążyłem dokończyć, bo Howard obrócił się w miejscu i znów strzelił. Błysk na chwilę mnie oślepił. Ktoś krzyknął i czknął przerażająco, upadając i przetaczając się do przodu. Miałem rację, że drugi spryciarz będzie chciał zająć mnie od tyłu. Jimmy Waystand musiał stać nie dalej niż dwa metry za mną, a Howard zbyt szybko się pospieszył ze strzelaniem. Młody Jimmy dostał w brzuch.

Skoczyłem na równe nogi i strzeliłem do Howarda, ale byłem jeszcze oślepiiony jego wystrzałem i nie trafiłem. Howard spojrzał na mnie z niedowierzaniem i ślepo pociągnął za spust w moim kierunku zapominając, że w magazynku ma tylko pięć nabojów. Rozległo się głucho uderzenie iglicy.

Muszę przyznać, że poruszał się prędko. Jednym skokiem przesadził ognisko i usłyszałem jak pokonuje strumień. Strzeliłem po raz drugi za nim, ale musiałem znów chybić, bo Howard hałaśliwie przedzierał się przez zarośla po drugiej stronie i stopniowo hałas zaczął się oddalać.

Ukląknąłem obok Jimmiego. Leżał nieruchomo jak tylko martwy potrafi. Howard musiał strzelać pociskami bez stalowych płaszczy, a Jimmy dostał prosto w pępek. Kula przeszła przez ciało, rozerwała kręgosłup, a na ziemię wypadły wnętrzności.

Wyprostowałem się chwiejnie, zrobiłem dwa kroki i zwymiotowałem. Cała moja dobra kolacja rozlała się na ziemi tak jak wnętrzności Jimmiego Waystanda. Przez pięć minut trząsałem się i drżałem jak człowiek w gorączce, po czym postarałem się zapanować nad sobą. Wziąłem strzelbę i załadowałem troskliwie brenekami, ponieważ Howardowi należy się tylko to co najlepsze. Po czym ruszyłem za nim.

Śledzenie go nie było trudne. Rzut oka przy latarce pozwolił odnaleźć głębokie ubłocone ślady stóp i połamaną trawę, ale wtedy znów zacząłem myśleć. Nadal miał karabin i prawdopodobnie załadował następne pięć naboji. Jeśli miałem go śledzić z latarką, to prawdopodobnie jest to najkrótsza droga na cmentarz. W tak ciemną noc nie ma znaczenia o ile jestem od niego lepszy w lesie. Jeśli zacznę używać latarki, wystarczy żeby zatoczył koło, poczekał spokojnie i zakończył sprawę, gdy uprzejmie oświetlę mu cel. To była pewna śmierć.

Stałem w miejscu i zastanowiłem się dokładniej. Od czasu, gdy Howard wpakował cztery kule w kłodę przy ognisku nic specjalnego nie działałem, bo wszystko działo się zbyt szybko. Zredukowałem biegi i zacząłem myśleć jeszcze raz od początku. Poza Howardem w pobliżu nie powinno nikogo być, bo dawno już byłoby po mnie, gdy



wymiotowałem i trząłem się w konwulsjach nad ciałem Jimmiego Waystanda. Musieli we dwóch przyjąć z helikoptera, który powinien wobec tego znajdować się gdzieś niedaleko.

Przypomniałem sobie, że warkot śmigłowca bardzo szybko zamarł na północ ode mnie, co musiało znaczyć, że wylądował. Niedaleko stąd na północ jest takie miejsce gdzie skałę pokrywa tylko cienka warstwa gleby. Nie rosną tam drzewa i można bez trudności posadzić maszynę na ziemi. Howard uciekł na zachód i moim zdaniem nie radził sobie zbyt dobrze w lesie, co dawało mi szansę dotarcia do śmigłowca przed nim.

Porzuciłem jego ślady, a ponieważ między drzewami nie było zarośli, poruszałem się więc szybko. Ponieważ całymi kilometrami przedzierałem się ostatnio przez gęste zarośla, miałem poczucie swobody i lekkości. Ryzykowałem zostawiając plecak, ponieważ gdybym go stracił, byłoby po mnie; nie dałbym rady przeżyć w lesie bez sprzętu. Wydawało mi się jednak, że teraz wszystko się decyduje: albo jeszcze tej nocy wyjdę na czysto, albo wygra Howard, co w tym przypadku oznacza kulę w brzuch tak jak Jimmy Waystand, ponieważ tylko w ten sposób mógł mnie powstrzymać.

Poruszałem się cicho i prędko, co jakiś czas się zatrzymując i nasłuchując. Nie słyszałem Howarda, ale niedługo dobiegł mnie świst powietrza przecinanego wirnikiem śmigła i zrozumiałem, że helikopter nie tylko jest tam, gdzie się spodziewałem, ale że pilot jest niespokojny i gotów w każdej chwili wystartować. Domyśliłem się, że uruchomił silniki usłyszawszy strzelaninę.

Zgodnie ze zdrową zasadą zatoczyłem koło tak, żeby wyjść na odsłonięty teren z przeciwnej strony, a gdy wyłoniłem się z lasu, starałem się iść pochylony. Hałas silnika zagłuszał moje kroki i znalazłem się za plecami pilota, który stał na ziemi patrząc na południe i czekając na rozwój wypadków.

Doczekał się w końcu. Wetknąłem mu wylot lufy między żebra i podskoczył trzydzieści centymetrów do góry.

– Spokojnie – powiedziałem. – To ja, Boyd. Wiesz, kim jestem?

– Taak – odparł nerwowo.

– To dobrze. Spotkaliśmy się już kiedyś. Prawie dwa lata temu. Ostatnim razem wiozłeś mnie z Kinoxi do Fort Farrell. Dziś zrobisz to samo – wkręciłem mu lufę jeszcze mocniej w żebra. – A teraz odejdz sześć kroków do przodu i nie odwracaj się, aż ci nie powiem. Mam nadzieję, że masz tyle rozumu, żeby nie próbować żadnych sztuczek.

Poczekalem, aż odejdzie i się zatrzyma. Mógł wtedy bez trudności uciec, bo wyglądał tylko jak ciemniejszy cień na tle zachmurzonego bezkłęskowego nieba, ale był na to zbyt wystraszony. Moja reputacja musiała rozejść się po okolicy. Wspiąłem się na miejsce pasażera.

– Dobra, chodź tutaj – powiedziałem.

Wdrapał się do kabiny i usiadł sztywno w fotelu pilota.

– Nie potrafię prowadzić tego trupa – powiedziałem uprzejmie – ale ty tak. Polecisz więc do Fort Farrell i to bez żadnych niespodzianek. - Wyciągnąłem myśliwski nóż i przytrzymałem tak, że ostrze zabłysło w bladym świetle tablicy przyrządów.

– Będziesz to przez cały czas czuł na żebrach, więc jeśli spróbujesz zbyt gwałtownie wylądować, będziesz tak samo martwy jak ja. Weź pod uwagę, że nie jest dla mnie tak bardzo ważne, czy przeżyję, czy nie, ale ty możesz na to patrzeć inaczej. Rozumiemy się?

Skinął głową.

– Tak, zrozumiałem. Nie będę próbować żadnych sztuczek, Boyd.

– Dla ciebie jestem panem Boydem – oświadczyłem. – A teraz startujemy i niech ci się lepiej nie pomyślą strony świata.

Zaczął przerzucać dźwignie i włączać kontakty. Wirniki zaczęły obracać się prędeej. Na skraju lasu pojawił się błysk ognia i jedna z szyb kabiny wykonana z perspexu rozprysła się w drobny mak.

– Lepiej żebyś się pośpieszył, bo ci Howard Matterson odstrzeli głowę! – krzyknąłem.

Śmigłowiec nagle skoczył do góry jak wystraszony konik polny. Howard powtórnie pociągnął za spust i gdzieś w tyle rozległo się głośnie ŁUP. Śmigłowiec zawrócił w miejscu i zaczęliśmy oddalać się tuż ponad ciemnym morzem świerków. Poczułem, że pilot wypuszcza z ulgą powietrze i poprawia się w fotelu. W miarę jak się wznosiliśmy i posuwaliśmy na południe, sam się trochę odprężyłem.

Latanie to cudowna rzecz. Przez dwa tygodnie uciekałem z Fort Farrell i ścigano mnie po całej dolinie Kinox, a tą cudowną maszyną poleciliśmy prosto w dół doliny i po piętnastu minutach byliśmy nad zaporą. Do Fort Farrell zostało sześćdziesiąt kilometrów, czyli mniej więcej pół godziny lotu. Poczułem, że uchodzi ze mnie powietrze, ale nie pozwoliłem sobie na odprężenie w obawie, żeby wystraszony pilot na sąsiednim fotelu nie spróbował czegoś niespodziewanego.

Wkrótce zobaczyłem przed sobą światła Fort Farrell.

– Bull Matterson powinien mieć lądowisko koło domu, prawda? – zapytałem.

– Taa, tuż obok domu.

– Wyląduj tam – poleciłem. Przelecieliśmy nad Fort Farrell, nad osiedlem miejscowych notabli w Lakeside i nieoczekiwanie znaleźliśmy się nad ciemnym masywem bajkowego zamku Mattersona schodząc w dół przy samych murach. Helikopter opadł na ziemię.

– Wyłącz silniki – poleciłem.

Gdy wirniki przestały się obracać, zapanowała martwa cisza.

– Czy ktoś zazwyczaj wychodzi na spotkanie, gdy lądujesz? – zapytałem.

– Nie w nocy.

To mi odpowiadało.

– Ty zostajesz przy maszynie – powiedziałem. – Jeśli cię tu nie będzie, gdy wrócę, to pewnego dnia cię znajdę, i będziesz wiedział dlaczego, prawda?

– Zostanę tu, proszę pana – głos mu drżał.

Pilot nie grzeszył nadmiarem odwagi.

Zeskoczyłem na ziemię, schowałem nóż, zarzuciłem strzelbę na ramię i ruszyłem w stronę ciemniejącego na tle nieba domu. W nielicznych oknach paliły się światła, ale wyglądało na to, że większość domowników śpi. Nie wiem, ile trzeba ludzi, żeby utrzymać w porządku taki dwór, ale wyglądało na to, że o tej porze mało kto będzie na nogach.

Zamierzałem wejść frontowymi drzwiami, ponieważ innej drogi nie znałem i właśnie się zbliżałem, gdy drzwi się otworzyły zalewając światłem podjazd. Zanurkowałem do czegoś, co okazało się garażem i nasłuchiwałem uważnie, co się będzie działo.

– Pamiętaj, że potrzebuje spokoju – odezwał się męski głos.

– Tak, panie doktorze – odpowiedziała kobieta.

– Jeśli nastąpią jakieś zmiany, proszę mnie natychmiast zawiadomić. - Trzasnęły drzwiczki samochodu. – Całą noc jestem w domu.

Ktoś włączył silnik i zapalił światła. Samochód zatoczył koło, przez chwilę oświetlając wnętrze garażu, po czym oddalił się drogą. Drzwi wejściowe zamknęły się cicho i znów zapanowała cisza.

Poczekalem chwilę, dając kobiecie czas, żeby wróciła do swoich zajęć i przyświecając sobie latarką wykorzystałem okazję spenetrowania garażu. Na pierwszy rzut oka wyglądało, że Mattersonowie mają dziesięć samochodów. Duży Continental pani Atherton stał obok Bentleya Bulla Mattersona. Dalej kilka Pontiaców do codziennego użytku i szykowny sportowy Aston Martin. Zaświeciłem dalej w głąb i zobaczyłem poobijanego Chewroleta McDougalla. Obok stał terenowy wóz Clare!

Przełknąłem niespokojnie myśląc, gdzie może być teraz Clare i stary Mac. Nie chcąc tracić więcej czasu, wyszedłem z garażu, podszedłem zdecydowanym krokiem do drzwi wejściowych i ostrożnie otworzyłem. Wielki hol był słabo oświetlony, ruszyłem więc na palcach kręconą klatką schodową w stronę gabinetu starego Bulla. Uznałem, że mogę zacząć od gabinetu, skoro jest to jedyny pokój, jaki znam w całym domu.

Ktoś był w środku. Z szeroko otwartych drzwi światło wylewało się na ciemny korytarz. Zajrzałem ostrożnie i ujrzałem Lucy Atherton grzebiącą w szufladach biurka Bulla Mattersona. Rozrzucała dookoła papiery bez ładu i składu i podłoga była nimi usłana jak śniegiem.

Obszedłem biurko i unieruchomiłem ją od tyłu, zaciskając przedramieniem szyję.

– Bez hałasu – powiedziałem cicho, upuszczając na miękki dywan strzelbę. Zabulgotała zobaczywszy przed nosem ostrze noża. – Gdzie stary Bull?

Złagodziłem uchwyt, żeby mogła nabrać powietrza i odpowiedzieć.

– Jest... chory – wyszeptła przez ściśnięte gardło.

Zbliżyłem czubek ostrza do jej prawego oka, nie więcej niż na pięć centymetrów.

– Nie będę powtarzać pytania.

– W... sypialni.

– To znaczy gdzie? Zresztą mniejsza z tym, zaprowadź mnie tam. – Wepchnąłem nóż do pochwy i pociągnąłem ją za sobą na ziemię, żeby podnieść broń.

– Zabiję cię, jeśli zaczniesz hałasować, Lucy – powiedziałem. – Mam już dość twojej przekłętej rodziny. Gdzie jest sypialnia?

Nadal przyciągałem ją do siebie za szyję i wypychając ją kolanem z pokoju, czułem jak drży jej chude ciało. Zamachała bezładnie rękami, gdy mijaliśmy jakieś drzwi, powiedziałem więc:

– Dobra, połóż rękę na klamce i otwórz.

Gdy tylko zaczęła naciskać klamkę, kopnąłem drzwi na oścież i wepchnąłem ją do pokoju. Opadła na kolana i rozciągnęła się na puszystym dywanie, a ja prędko wpadłem do środka, zamknąłem za sobą drzwi i podniosłem strzelbę gotów na wszystko.

Wszystko składało się z nocnej pielęgniarki w obcisłym białym fartuchu, która podniosła na mnie szeroko otwarte oczy. Nie zwracając na nią uwagi rozejrzałem się dookoła; pomieszczenie było wielkie i ponure, z ciemnymi zasłonami, a w głębi ukryte w półmroku stało ogromne łóżko. Trudno uwierzyć, ale zawisł nad nim baldachim w tym samym kolorze co zasłony.

Pielęgniarka trzęsła się, ale nie brakowało jej odwagi. Wstała pytając:

– Kim pan jest?

– Gdzie jest Bull Matterson? – zapytałem.

Lucy Atherton próbowała wstać, więc oparłem jej but na pupie i przycisnąłem do podłogi. Pielęgniarka zatrzęsała się jeszcze bardziej.

– Nie może pan zakłócać spokoju pana Mattersona, on jest bardzo chory. – Głos jej opadł. – On... on umiera.

– Kto umiera? – ze stojącego w cieniu łóżka dobiegło zadane chrapliwym głosem pytanie. – Słyszę, co pani mówi, młoda osobo, ale to bzdura.

Pielęgniarka na wpół odwróciła się ode mnie w stronę łóżka:

– Ale pan musi mieć spokój, panie Matterson.

– Proszę, niech pan pójdzie sobie – zwróciła się do mnie.

– To ty, Boyd? – zapytał Matterson.

– Ja.

– Tak myślałem, że się musisz kręcić gdzieś w pobliżu – powiedział ironicznie. – Dlaczego nie przyszedłeś wcześniej?

Już chciałem mu to wyjaśnić, gdy zapytał:

– Dlaczego trzyma się mnie w ciemnościach? Moja droga, proszę mi tu włączyć światło.

– Panie Matterson, ale lekarz...

– Proszę robić co mówię, do cholery. Jeśli się przez panią zdenerwuję, to wie pani, co się może stać. Proszę włączyć światło.

Pielęgniarka podeszła do łóżka i nacisnęła przełącznik. Stojąca obok lampa oświetliła wychudłą postać w ogromnym łóżu.

– Podejź tu, Boyd – powiedział Matterson.

Podniosłem Lucy z podłogi i popchnąłem do przodu.

– Proszę, proszę, to chyba Lucy? – zachichotał Matterson. – W końcu postanowiłaś odwiedzić starego ojca, prawda? No to co ma pan do powiedzenia, Boyd? Trochę już za późno na szantaż.

– Proszę uważać – powiedziałem do pielęgniarki – niech pani nie próbuje wyjść z tego pomieszczenia. I proszę siedzieć cicho.

– Nie mam zamiaru opuszczać swojego pacjenta – odparła sztywno.

– Opuści go pani – uśmiechnąłem się do niej.

– Co to za szept? – wtrącił się Matterson.

Podszedłem do skrajy łóża nie wypuszczając Lucy z uchwytu.

– Howard szaleje nad Kinoxi – powiedziałem. – Z pana drwali zorganizował sobie brygadę żądnych krwi psów gończych, nałgawszy im o tym, jak to ciężko pana pobitem. Prawie od dwóch tygodni ścigają mnie po lesie. Ale to nie wszystko. Howard zabił człowieka. To oznacza karę śmierci.

Matterson patrzył na mnie bez wyrazu. W ciągu ostatnich dwóch tygodni postarzał się o dziesięć lat. Policzki mu zapadły, a pod wyschniętą woskową skórą widać było kości czaszki, usta miał fioletowe, a skórę na karku obwisłą. Ale oczy nadal błyszczały przytomnie.

– Kogo zabił? – zapytał płasko.

– Człowieka o nazwisku Jimmy Waystand. Nie zamierzał zabijać Waystanda; wydawało mu się, że strzela do mnie.

– Czy to ten człowiek, którego spotkałem przy zaporze?

Rzuciłem na kołdrę nabój do strzelby.

– Tym strzelał Howard.

Matterson sięgnął wysuszoną ręką i włożyłem mu nabój między palce. Podniósł rękę do oczu i powiedział cicho:

– Tak, to bardzo skuteczny sposób zabijania. – Nabój wypadł mu z dłoni. – Znałem jego ojca. Matthew to dobry człowiek; od lat go nie widziałem. – Zamknął oczy i widziałem jak spod powieki spływa mu po policzku łza.

– A więc Howard znowu to zrobił. No cóż, mogłem przewidzieć, że tak się stanie.

– Znowu? – zapytałem ponaglająco. – Panie Matterson, czy Howard zabił Johna Trinavanta i jego rodzinę? Otworzył oczy i spojrzał na mnie.

– Kim ty jesteś synu? Czy jesteś Grantem, czy chłopakiem Trinavanta? Muszę to wiedzieć.

Potrząsnąłem ponuro głową.

– Nie wiem, panie Matterson. Naprawdę nie wiem. W czasie wypadku straciłem pamięć.

Skinął słabo głową.

– Myślałem, że sobie przypomniałeś. – Przerwał i przełknął ślinę. – Byli tak popaleni, czarny węgiel i spalone mięso... nie wiedziałem, Boże zmiłuj się, nie wiedziałem! – patrzył teraz daleko w przeszłość, na przerażającą katastrofę na drodze do Edmonton. – Zaryzykowałem identyfikację zwłok, tak było najlepiej – powiedział.

Najlepiej dla kogo? – pomyślałem gorzko, ale gdy się odezwałem, uważałem, aby w moim głosie nie było słycać goryczy:

– Kto zabił Johna Trinavanta, panie Matterson?

Powoli podniósł bezwładną rękę i wskazał trzęsącym się palcem na Lucy Atherton.

– Ona, ona i jej diabelski brat.

## XII

Lucy Atherton wyrwała mi rękę i pobiegła w stronę drzwi.

– Lucy! – okrzyk starego Bulla, mimo choroby, zabrzmiał jak smagnięcie biczem.

Stała nieruchomo po środku pokoju. Matterson zapytał chłodno:

– Czym masz załadowaną strzelbę?

– Brenekami.

Jego głos stał się jeszcze chłodniejszy:

– Jeśli zrobi jeszcze jeden krok, masz moje zezwolenie, żeby ją tym poczęstować. Słyszysz, Lucy? Sam powinienem był to zrobić dwanaście lat temu.

– Znalazłem ją w pana gabinecie – powiedziałem – grzebiącą w biurku. Prawdopodobnie szukała testamentu.

– To by się zgadzało – stwierdził ironicznie Bull. – Wyhodowałem parę demonów. – Podniósł rękę. – Moja pani, proszę włączyć mi telefon do tego gniazdka.

Gdy Matterson odezwał się do niej bezpośrednio, pielęgniarka zastygła zaskoczona. Nie panowała już nad rozwojem wypadków.

– Proszę robić, co mówi, i proszę się pośpieszyć – powiedziałem.

Przyniosła telefon i włączyła do kontaktu obok łóżka. Gdy wracała na swoje miejsce, zapytałem:

– Czy ma pani coś do pisania?

– Pióro? Tak, mam.

– Niech pani lepiej zapisuje to, o czym się mówi. Być może będzie to pani musiała powtórzyć w sądzie.

Matterson spróbował wykręcić numer, ale szybko się poddał. Powiedział:

– Niech się pan połączy z Gibbonsem na posterunku. – Wykręciłem numer, który mi podał i przytrzymałem mu słuchawkę przy uchu. Po chwili powiedział:

– Gibbons, tu Matterson... moje zdrowie to nie pańska sprawa, do cholery. Posłuchaj: przyjeźdź pan do mnie szybko... popełniono morderstwo. – Głowa opadła mu na poduszkę i odłożyłem słuchawkę na widelki.

Trzymałem Lucy na muszce. Była biała i nienaturalnie spokojnie stała ze spuszczonej rękoma. Co kilka sekund prawy policzek kurczył się jej w nerwowym tiku. Matterson zaczął teraz mówić bardzo cicho, gestem przywołałem pielęgniarkę bliżej, żeby dobrze słyszała jego słowa. W rękę trzymała notatnik oraz pióro, i pisała słowo po słowie, ale ponieważ Bull mówił powoli, nadążała za nim.

– Howard zazdrościł Frankowi – zaczął. – Frank był dobrym chłopakiem i miał

wszystko, czego brakowało Howardowi: był bystry, popularny, silny. W szkole dostawał dobre stopnie, podczas gdy Howard ciągle oblewał sprawdziany; miał dziewczyny, które nawet nie spojrzałyby na Howarda i zapowiadało się, że obejmie interes, gdy stary John i ja wypadniemy z gry, podczas gdy Howard wiedział, że nie ma żadnych szans. Rzecz nie w tym, że John Trinavant faworyzował swojego syna w stosunku do Howarda; Frank był najlepszym kandydatem na to stanowisko. Howard wiedział, że jeśli będę musiał podjąć decyzję, również wybiorę Franka Trinavanta.

– Dlatego Howard zabił Franka – westchnął. – I nie tylko Franka. Zabił również Johna i jego żonę. Miał dopiero dwadzieścia jeden lat, a już zamordował trzy osoby. – Machnął ręką. – Nie sądzę, żeby sam na to wpadł. Howardowi nie starczyłoby na to odwagi. Prawdopodobnie namówiła go do tego Lucy. – Odwrócił głowę i spojrzał na nią. – Howard pod niektórymi względami przypominał mnie, co prawda tylko pod niektórymi, ona jednak była podobna do matki. Czy wie pan, że moja żona popełniła samobójstwo w szpitalu dla umysłowo chorych? – zwrócił się do mnie.

Potrząsnąłem głową ze współczuciem. Mówił o własnym synu i córce używając czasu przeszłego tak, jakby oboje nie żyli.

– Tak – stwierdził ciężko – sądzę, że Lucy jest szalona. Tak samo paskudnie szalona jak jej matka przed śmiercią. Zrozumiała, że Howard ma problem, więc rozwiązała go za niego na swój chorobliwy sposób. Młody Frank stał Howardowi na drodze, coś więc prostszego, niż pozbyć się go? Fakt, że zginęli przy tym John i jego żona nie ma znaczenia. Nie chodziło o zabicie Johna, ale Franka!

Mimo centralnego ogrzewania w wielkim i ciepłym pokoju, poczułem zimny dreszcz. Dreszcz przerażenia, gdy patrzyłem na Lucy Atherton, stojącą z twarzą bez wyrazu tak, jakby temat o którym mowa nic jej nie obchodził. To, że autostopowicz o nazwisku Grant znalazł się w samochodzie musiało również być drobiazgiem bez znaczenia.

– A więc Lucy namówiła do tego Howarda, co, jak sądzę, nie było chyba zbyt trudne. Zawsze był zły i zepsuty, nawet jako dziecko. Wzięli mojego Buicka, dogonili Trinavantów na szosie do Edmonton i z zimną krwią zepchnęli ich w przepaść. Domyślałem się, że wykorzystali fakt, że John prawdopodobnie poznał ich i mój wóz.

Przez zdrętwiałe wargi zapytałem:

– Kto prowadził?

– Nie wiem. Ani jedno ani drugie nigdy tego nie powiedziało. Buick był trochę poobijany, czego nie zdołali przede mną ukryć. Dodałem dwa do dwóch, wziąłem Howarda w obroty i wyciągnąłem z niego prawdę. Pękł jak mokra papierowa torba.

– Co mogłem zrobić? – mówił po chwili milczenia. – To przecież moje dzieci! – W jego głosie słyhać było prośbę o zrozumienie. – Czy można oskarżyć o morderstwo



własne dzieci? Zostałem więc ich współnikiem. – Teraz mówił z uczuciem obrzydzenia wobec samego siebie.

– Oślaniałem ich, Boże zmiłuj się nade mną. Użyłem pieniędzy, żeby ich osłonić.

– Czy to pan przysyłał pieniądze do szpitala na leczenie Granta? -zapytałem cicho.

– Byłem między młotem, a kowadłem – powiedział. – Nie chciałem mieć na sumieniu kolejnej ofiary. Tak, to ja dawałem pieniądze. To było minimum tego, co mogłem zrobić. I chciałem znać dalsze losy Granta. Wiedziałem, że straciłeś pamięć i śmiertelnie się bałem, że ją odzyskasz. Wysłałem prywatnego detektywa, żeby sprawdził, co się z tobą dzieje, ale z jakiegoś powodu zgubił ślad. Prawdopodobnie wtedy zmieniłeś nazwisko. – Zagłębiał się w otchłań wspomnień, a jego ręce szukały czegoś po omacku na kołdrze.

– Bałem się, że próbując odzyskać utraconą tożsamość zaczniesz rekonstruować przeszłość. Musiałem temu jakoś zapobiec i zrobiłem co tylko się dało. Przede wszystkim, należało usunąć nazwisko Trinavant. Takie nazwisko łatwo przyciąga uwagę. John i jego rodzina byli jedynymi Trinavantami w Kanadzie, z wyjątkiem Clare, a wiedziałem, że jeśli kiedyś natrafisz na nie przypadkiem, zaczniesz drażnić. Spróbowałem więc zmasać je z powierzchni ziemi. Co cię naprowadziło na ślad?

– Park Trinavanta – powiedziałem.

– Ano właśnie – zachichotał. – Chciałem to zmienić, ale nie mogłem sobie poradzić z tą starą kwoką Davenant. Jest bodaj jedyną osobą w Fort Farrell, której nie udało mi się wystraszyć. Ma niezależne źródło dochodów – wyjaśnił.

– W każdym razie, dalej rozwijałem firmę. Bóg jeden wie po co, ale wtedy wydawało mi się to bardzo ważne. Bez Johna czułem się zagubiony, bo on był mózgiem naszej spółki, z czasem jednak znalazłem Donnera i zaczęło wieść się nam nienajgorzej.

W jego głosie nie czuło się żalu za sposób prowadzenia interesów. Matterson nie przestał być twardym, bezwzględny draniem, ale draniem jak na własne wyczucie uczciwym, nawet jeśli jego wyczucie zaciemniała zwykle mgła. Z zewnątrz dobiegł dźwięk szybko jadącego samochodu i ostrego hamowania na zwirowanej drodze. Spojrzałem na pielęgniarkę.

– Zanotowała pani wszystko? – zapytałem. Spojrzała na mnie nieszczęśliwie.

– Tak – powiedziała. – I bardzo tego żałuję.

– Ja też, dziecino – powiedział Matterson. – Powiniennem własnoręcznie zastrzelić tę parkę dwanaście lat temu. – Wyciągnął rękę i złapał mnie za rękaw. – Musi pan powstrzymać Howarda. Znam go, będzie teraz zabijać dopóki się go nie zniszczy. Łatwo traci głowę i popełnia wtedy przerażające błędy. Będzie zabijać i zabijać, myśląc, że w ten sposób uda mu się wymknąć, nie zdając sobie sprawy, że wsiąka coraz głębiej.

– Myślę, że możemy zostawić to Gibbonsowi – powiedziałem. – To zawodowiec. – Słyszac cichy odgłos stukania odbijający się echem w korytarzy skinąłem głową na pielęgniarkę.

– Niech go pani tu lepiej wpuści. Nie mogę się ruszyć, póki ona tu jest.

Nadal uważnie obserwowałem Lucy. Twarz nadal ściągała się jej konwulsyjnie. Gdy pielęgniarka wyszła, zapytałem:

– Gdzie oni są, Lucy? Gdzie jest Clare Trinavant i McDougall?

Po plecach przeszedł mi dreszcz. Bałem się o nich, bałem się, że ta szalona kobieta ich zabiła.

– Dobry Boże! To jeszcze nie wszystko? – zapytał słabym głosem Matterson, ale nie zwracałem na niego uwagi.

– Lucy, gdzie oni są? – nie współczułem jej i gotów byłem użyć dowolnej metody, żeby tylko wydobyć z niej informacje. Wyciągnąłem nóż.

– Jeśli mi nie powiesz, gdzie są, to obedrę cię ze skóry jak sarnę, tyle, że będziesz czuła każdy ruch noża.

Stary Matterson nic nie powiedział, tylko zaczął oddychać głębiej. Lucy patrzyła na mnie martwo.

– Dosyć tego, Lucy. – Musiałem to załatwić szybko, zanim pojawi się Gibbons. Nie spodobałoby mu się, to co zamierzałem.

Lucy zachichotała dziwnym głupkowatym śmiechem, który wstrząsnął całym jej ciałem i zamienił się w maniakałny bulgot.

– Niech ci będzie! – wrzasnęła na mnie. – Wsadziliśmy tę seksowną lalę do piwnicy, a z nią starego głupca. Chciałam ich oboje zabić, ale ten dureń Howard mi nie pozwolił.

Gibbons usłyszał, co powiedziała. Otwierał właśnie drzwi, gdy zaczęła się śmiać i twarz mu zbielała. Poczulem falę ulgi i kiwnąłem głową w jego stronę.

– Pielęgniarka panu powiedziała?

– Kilka słów. – Potrząsnął głową. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Sam pan słyszał. Zamknęła Clare Trinavant i starego McDougalla w lochach tego mauzoleum. Niech jej pan lepiej założy kajdanki, ale ostrożnie, bo jest niebezpieczna.

Dopiero gdy miała kajdanki solidnie zapięte na przegubach opuściłem strzelbę i podałem ją sierżantowi.

– Pielęgniarka wprowadzi pana w szczegóły – powiedziałem. – Idę poszukać Clare i Maca. – Wstałem i rzuciłem okiem na starego Bulla. Oczy miał zamknięte i wydawało się, że śpi spokojnie. Spojrzałem na pielęgniarkę.

– Niech się pani zajmie swoim pacjentem. Nie chciałbym go teraz stracić.

Wyszedłem prędko na korytarz i na schody. W holu natrafiłem na zaniepokojonego

mężczyznę w szlafroku. Podpłynął do mnie jednym susem i odezwał się z angielskim akcentem:

- Co się dzieje? Co tu robi policja?
- Kim pan jest? – zapytałem.
- Jestem głównym lokajem pana Mattersona – odparł prostując się.
- W takim razie, Jeeves, czy ma pan zapasowe klucze do piwnicy?
- Nie wiem kim pan jest, ale...
- To sprawa kryminalna – powiedziałem niecierpliwie – gdzie są klucze?
- Mam cały komplet zapasowych kluczy w składziku.
- Przynieś je pan, i to szybko.

Ruszyłem za nim. Zabrał kilka kluczy z pomieszczenia, gdzie było ich więcej niż w niejednym warsztacie ślusarskim. Następnie poprowadziłem go prędko w dół do piwnic, które podobnie jak reszta domu były ogromne i w większości nie używane. Zacząłem krzyczeć i po chwili usłyszałem stłumiony głos.

- To tu – powiedziałem – niech pan otworzy te drzwi.

Sprawdził numer na ścianie i powoli wybrał odpowiedni klucz, podczas gdy gotowałem się z niecierpliwością. Drzwi otworzyły się i nagle miałem w ramionach Clare. Gdy oderwaliśmy się od siebie, zobaczyłem że cała jest wybrudzona, ale prawdopodobnie i tak mniej niż ja. Twarz miała pokrytą brudem, a na policzkach łyzy wyłobily jaśniejsze ślady.

- Dzięki Bogu! – powiedziałem. – Dzięki Bogu, że żyjesz.

Krzyknęła i odwróciła się.

– Z Macem jest niedobrze – powiedziała. – Nie dawali nam jeść. Czasami przychodził do nas Howard, ale nie widzieliśmy go już od pięciu dni.

Odwróciłem się do lokaja, który stał z szeroko otwartymi ustami.

– Proszę wezwać lekarza i karetkę pogotowia – powiedziałem. – I ruszaj się pan, do cholery.

Pobiegł na górę, a ja wszedłem do środka zobaczyć w jakim stanie jest Mac. Wszystko się zgadzało. Szalona Lucy nie trudziła się karmieniem ludzi, których już uważała za umarłych.

- Od pięciu dni nie dostaliśmy nic do jedzenia i picia – powiedziała Clare.

– Zaraz się tym zajmujemy – powiedziałem i nachyliłem się nad Macem. Oddech miał urywany i płytki, puls słabo wyczuwalny. Wziąłem go na rękę i wydawało się, że waży nie więcej niż dziecko. Zniosłem go na górę, a Clare szła za nami. Lokaja spotkaliśmy w holu.

- Potrzebna sypialnia i jedzenie dla sześciu osób, oraz dzbanek kawy i galon wody.

– Wody, proszę pana?

– Nie powtarzaj pan, do cholery, tego co mówię. Tak, wody.

Ułożyliśmy Maca w łóżku, a w międzyczasie lokaj postawił na nogi cały dom. Musiałem uważać, żeby Clare nie piła wody zbyt łapczywie i żeby nie jadła zbyt dużo, a rzuciła się na zimne wędliny, jakby nic nie miała w ustach przez pięć tygodni, a nie przez pięć dni. Przyszło mi do głowy, że żyłem sobie stosunkowo nienajgorzej nad Kinoxi.

Zostawiliśmy Maca pod opieką lekarza i ruszyliśmy na poszukiwanie Gibbonsa, który rozmawiał przez telefon, starając się wytłumaczyć komuś niewiarygodne fakty.

– Tak – tłumaczył – tak, ukrywa się w dolinie Kinoxi, uzbrojony w strzelbę załadowaną kulami na niedźwiedzie. Tak, powiedziałem Howard Matterson. Zgadza się, syn Bulla Mattersona. Oczywiście, że jestem pewien, sam Bull mnie o tym zawiadomił. – Spojrzał na mnie i dodał. – Mam tu gościa, do którego Howard strzelał. – Westchnął i uśmiechnął się z ulgą, gdy na drugim końcu linii zrozumiano w końcu w czym rzecz.

– Posłuchaj, ruszam zaraz nad Kinoxi, ale mało prawdopodobne, żebym go znalazł; może być wszędzie. Potrzebne mi wsparcie, musimy otoczyć kordonem spory kawał lasu.

Uśmiechnąłem się ze smutkiem do Clare. Poprzednio było podobnie, z tą różnicą, że teraz jestem po drugiej stronie kordonu, po tej bezpiecznej stronie. Gibbons rozmawiał jeszcze przez chwilę i na zakończenie powiedział:

– Zadzwoń gdy będę wyruszał i podam wszystko, co mi się uda tymczasem ustalić.

– Odłożył słuchawkę. – To zupełnie niewiarygodne.

– Nie musi mi pan tego tłumaczyć – powiedziałem zmęczony i usiadłem. – Naprawdę rozmawiał pan z Bullem?

Gibbons skinął głową ze szczególnym wyrazem szacunku na twarzy.

– Dał mi ściśle instrukcje – powiedział. – Mam dopaść i zastrzelić Howarda jak wściekłego psa.

– Nie jest to złe postawienie sprawy – stwierdziłem. – Widział pan Lucy, więc zdaje pan sobie sprawę, że porównanie z wściekłym psem jest zupełnie na miejscu.

Gibbons lekko wzruszył ramionami, po czym zebrał się w garść.

– Mimo wszystko my takich rzeczy nie robimy – powiedział zdecydowanie. – Przyprowadzę go żywego.

– Niech pan lepiej nie próbuje żadnych bohaterских sztuczek - poradziłem. – Ma strzelbę załadowaną kulami kalibru dwanaście. Jednym strzałem prawie przeciął Jimmiego Waystanda na pół. – Wzruszyłem ramionami. – Ale pan wie jak się do tego zabrać, więc pewnie poradzi pan sobie.

Gibbons przebiegł palcami kilka zapisanych kartek z notesu.

– To wszystko prawda? To o zamordowaniu Trinavantów tyle lat temu?

– Jest to dosłowny zapis tego, co powiedział stary Matterson. Jestem tego świadkiem.

– Dobrze – powiedział. – Mam tu mapę. Proszę mi pokazać, gdzie pan ostatnio widział Howarda.

Nachyliłem się nad rozłożoną mapą.

– Tu – pokazałem. – Dwa razy trafił w helikopter, gdy startowaliśmy.

Jeśli chce się pan szybko dostać do Kinoxi, ten helikopter czeka zaraz za domem, a może się tak zdarzyć, że pilot też tam jest. Jeśli nie będzie chciał lecieć do Kinoxi, proszę mu wyjaśnić, że ja powiedziałem, żeby poleciał. Gibbons przyjrzał mi się z bliska.

– Pielęgniarsce wszystko się zaczęło mieszać. Zrozumiałem, że przez trzy tygodnie ukrywał się pan przed Howardem i bandą jego ludzi.

– Gruba przesada – odparłem. – Niecałe dwa tygodnie.

– Dlaczego, do cholery nie przyszedł pan do mnie? – zapytał Gibbons.

Wtedy zacząłem się śmiać. Śmiałem się, aż napłynęły mi do oczu łzy i rozboleły boki. Śmiałem się histerycznie i musieli zawołać lekarza, żeby mnie uspokoił. Ułożyli mnie w łóżku i chichotałem jeszcze zasypiając.

## 2

Gdy obudziłem się piętnaście godzin później, Clare siedziała obok. Nigdy nie widziałem nic równie ślicznego jak profil jej twarzy. Zauważyła, że się obudziłem i spojrzała na mnie.

– Cześć, Boyd – powiedziała.

– Cześć, Trinavant. – Przeciągnąłem się z upodobaniem. – Która godzina?

– Właśnie minęło południe. – Spojrzała na mnie krytycznie. – Mycie ci nie zaszkodzi. Przeglądałeś się ostatnio w lustrze?

Potarłem szczękę. Kłująca szczecina wyrosła już w początki brody.

– Chyba zapuszczę brodę – powiedziałem.

– Tylko spróbuj. Do łazienki idzie się tędy – pokazała ręką – i zaraz przyniosę ci maszynkę do golenia.

– Mam nadzieję, że nie obrażę twej panińskiej skromności – stwierdziłem odrzucając prześcieradła. Wyskoczyłem z łóżka i pomaszerowałem do łazienki. Z lustra spojrzała na mnie zupełnie obca, wynędzniała i zdziczała twarz.

– Mój Boże! – zawołałem. – Nic dziwnego, że pilot narobił w spodnie. Mogę się założyć, że krowa na mój widok przestałaby dawać mleko.

– Wystarczy mydło i trochę wody, a wszystko wróci do normy - stwierdziła.

Napełniłem wannę i moczyłem się radośnie przez pół godziny, po czym ogoliłem się i ubrałem. We własne ubranie.

– Skąd się to tu wzięło? – zapytałem.

– Kazałam przywieźć twoje rzeczy od McDougalla – wyjaśniła Clare.

Nagle wróciłem do rzeczywistości.

– Jak on się czuje – zapytałem.

– Nic mu nie będzie – powiedziała. – Jest równie twardy jak Bull. Bull, podobnie jak ty, dopiero pod obciążeniem zaczyna funkcjonować normalnie.

– Zależy mi tylko na tym, żeby zdążył opowiedzieć całą historię w sądzie – stwierdziłem ponuro. – Później może paść trupem na miejscu.

– Nie oceniaj go zbyt surowo, Bob – odparła poważnie Clare. – Musiał podjąć niełatwą decyzję.

Pominałem to milczeniem.

– Jesteś na bieżąco w szczegółach całej afery? – zapytałem.

– W zasadzie tak. Z wyjątkiem tego, czego mogę dowiedzieć się tylko od ciebie. Ale to może poczekać, kochanie. Mamy mnóstwo czasu. – Spojrzała mi prosto w oczy. – Czy już wiesz, kim jesteś?

Wzruszyłem ramionami.

– Co to ma za znaczenie? Nie, Clare, nie zbliżyłem się ani na krok do rozwiązania zagadki. Ale dużo o tym myślałem. W porównaniu z rodziną Mattersonów, ktoś taki jak Grant, nędzny narkoman, to bułka z masłem. Czym jest drobny handlarz narkotyków w porównaniu z wielokrotnymi mordercami? Może Grant nie był w końcu wcale taki zły? W każdym razie, jak powiedziałem, co to ma za znaczenie? Jeśli o mnie chodzi, to nazywam się Bob Boyd.

– Mówiłam ci przecież, kochanie – odparła. Spędziliśmy następnie kilka gorących minut. Po wyjaśnieniu wszystkich wątpliwości i starciu szminki powiedziałem:

– Jest jedna dziwna sprawa. Przedtem miałem złe sny. Prawdziwe koszmary, po których budziłem się wrzeszcząc z przerażenia. Ale wiesz, co? Gdy byłem w naprawdę trudnym położeniu w Kinoxi z tymi wszystkimi żądnymi krwi facetami na karku i Howardem ścigającym mnie ze strzelbą, spałem raczej niewiele. Ale gdy spałem, nie miałem w ogóle żadnych snów. Czy to nie dziwne?

– Być może fakt, że jesteś w prawdziwym niebezpieczeństwie rozładował wyobrażone niebezpieczeństwo z tych nocnych koszmarów. Przeszłość należy do przeszłości, Bob; zły sen nie może ci naprawdę wyrządzić krzywdy. Miejmy nadzieję, że to już nie wróci.

Uśmiechnąłem się.

– Jedyne, co może mi się teraz przyśnić, to strzelba Howarda. Nigdy tego nie

zapomnę.

Poszliśmy odwiedzić McDougalla. Zaaplikowano mu środki uspokajające, a lekarz upewnił nas, że wszystko będzie dobrze. Opiekowała się nim ładniutka pielęgniarka. Był na tyle przytomny, żeby mrugnąć do mnie i powiedział rozspanym głosem:

– Przez chwilę myślałem tam na dole w piwnicy, że mnie zostawiłeś, synu.

Nie zobaczyłem Bulla Mattersona, bo był u niego lekarz, ale spotkałem nocną pielęgniarkę.

– Przykro mi, że tak panią wystraszyłem panno...

– Smithson. – Uśmiechnęła się. – Nic nie szkodzi, panie Boyd.

– I cieszę się, że okazała się pani taka przytomna – dodałem. – Akurat wtedy rozhisteryzowana kobieta, która postawiłaby na nogi cały dom, dałaby mi nieźle w kość.

– W żadnym wypadku nie zaczęłabym krzyczeć. Mogło by to mieć niewłaściwy wpływ na zdrowie pana Mattersona – powiedziała zdecydowanie panna Smithson.

Spojrzałem ostrzegawczo na Clare, która zaczęła chichotać i opuściliśmy rezydencję Mattersonów. Gdy odjeżdżaliśmy terenowym wozem Clare, patrzyłem na odbijające się we wstecznym lusterku zamczysko i z całego serca miałem nadzieję, że już go więcej nie zobaczę.

– Czy wiesz ile lat miała kochana Lucy, gdy razem z Howardem zabiła wujka Johna, ciotkę Annę i Franka? – zapytała zamyślona Clare.

– Nie.

– Osiemnaście lat. Osiemnaście. Jak to możliwe, żeby w tym wieku wpaść na coś takiego?

Ponieważ nie znałem odpowiedzi, nic nie odpowiedziałem i przejechaliśmy w milczeniu przez Fort Farrell na drogę prowadzącą do domu Maca. Dopiero przed samym zjazdem uderzyłem ręką w kierownicę i powiedziałem:

– Boże! Musiałem chyba stracić rozum. Nikomu nie powiedziałem o kurzawce. Kompletnie zapomniałem.

W tych okolicznościach nie było w tym prawdopodobnie nic dziwnego. Miałem inne sprawy na głowie. Na przykład, żeby nie dać się zabić, a rewelacje Bulla Mattersona również przyczyniły się do tego, że zaporą zupełnie wywietrzała mi z głowy. Nacisnąłem na hamulce i zacząłem zawracać, ale pod wpływem impulsu powiedziałem:

– Lepiej będzie pojechać nad zaporę. Powinien tam być posterunek policji zamykający dolinę Kinoxi.

– Czy mogli już do tego czasu złapać Howarda?

– Niemożliwe – orzekłem. – W lesie może im się łatwo wymykać. Przynajmniej przez pewien czas. – Wrzuciłem bieg. – Zostawię cię u McDougalla.

– Nic z tego – powiedziała Clare. – Jadę z tobą nad zaporę.

Rzuciłem na nią szybko okiem i westchnąłem. Miała na twarzy wypisany upór, a ja nie miałem czasu na dyskusję.

– Niech będzie – powiedziałem – ale do niczego się nie mieszaj.

Na drodze do Kinoxi mieliśmy niezły czas, bo żadne ciężarówki nie utrudniały przejazdu, ale kilometr przed elektrownią zatrzymał nas policjant. Kazał zjechać na bok i podszedł do wozu.

– Nie mogą państwo tędy przejechać – powiedział. – Nikogo się dalej nie wpuszcza. Nie potrzebujemy tam żadnych turystów.

– Co się dzieje w dolinie?

– Nic co by mogło państwa zainteresować – powiedział cierpliwie. – Proszę zawrócić i odjechać.

– Nazywam się Boyd, a to jest panna Trinavant – powiedziałem. – Chcę rozmawiać z pana przełożonym.

Spojrzał na mnie ostrożnie.

– Jest pan tym Boydem, który zaczął tę całą historię?

– Tym samym – powiedziałem bez fałszywej skromności. – A co z Howardem Mattersonem?

– Was chyba ten zakaz nie dotyczy – powiedział z namysłem. – Niech pan pyta o kapitana Cruppera, powinien być przy zaporze. A jeśli go nie będzie, proszę na niego tam poczekać, nie chcemy dalszych komplikacji w Kinoxi.

– Czyli, że go jeszcze nie schwytaliście? – zapytała Clare.

– O ile mi wiadomo, to nie – powiedział posterunkowy. Cofnął się i machnął ręką.

W elektrowni nadal pracowano, a na wierzchołku potężnej betonowej ściany zapory widać było kilka miniaturowych postaci. Pod skarpą nadal rozlewało się morze błota, śliska bezkształtna masa rozjeżdżona przez ciężarówki. Kilka pojazdów nie zdołało jej pokonać i tkwiły teraz pogrążone w błocie po osie. Brygada robotników zaczęła bloki na twardym gruncie i wyciągała jeden z nich na linach.

Zatrzymałem się obok dużej ciężarówki i okazało się, że patrzę prosto na Donnera, który odpowiedział spojrzeniem bez wyrazu, po czym wysiadł z wozu. Ruszyłem mu na spotkanie, a Clare zaraz za mną.

– Donner, masz kłopoty. – Machnąłem ręką w stronę elektrowni i górującej nad nią tamy.

– Kłopoty! – powiedział z goryczą. – To tutaj, to żadne kłopoty. – Jak na bezkrwistego i pozbawionego nerwów człowieka, okazywał wcale niemało emocji. – Ci cholerni stuknięci Mattersonowie – wybuchnął. – Ale mnie wystawili do wiatru!



Zrozumiałem, na czym polega jego kłopot. Donner należy do tych, którzy robią kule dla innych, ale sami nigdy nie zdobędą się na pociągnięcie za spust; idealny współpracownik dla Bulla Mattersona, ale pozbawiony ikry Bulla. Teraz nagle okazało się, że na jego barkach spoczywa kierowanie całym imperium Mattersona. Nawet na krótko odpowiedzialność go przygniatała. Szczególnie, gdy wszystko zaczęło się sypać. Teraz nic nie powstrzyma publicznego ujawnienia całej historii, w tym szczególnie tego, co zrobiono z zarządem powierniczym Trinavanta i nietrudno zrozumieć, że Donner tylko patrzy, jak zrzucić odpowiedzialność na kogoś innego.

Nie powinien mieć z tym większych trudności; Bull Matterson jest zbyt chory, żeby się bronić, a Howard morderca świetnie się nadaje na kozła ofiarnego. Ale to była prywatna sprawa Donnera i jego zmartwienia nic mnie nie obchodziły, ponieważ wisiało nad nami znacznie większe niebezpieczeństwo.

– Kłopotów jest więcej niż się panu wydaje – powiedziałem. – Czy czytał pan moje sprawozdanie o sytuacji geologicznej w dolinie Kinoxi?

– To była sprawa Howarda – odparł Donner. – Ja jestem tylko księgowym. Sprawozdania nie widziałem, a jeśli bym je nawet widział, to i tak bym go nie rozumiał.

Wyczuwając niebezpieczeństwo od razu starał się zrzucić odpowiedzialność. Jest wysoce prawdopodobne, że rzeczywiście nie czytał raportu. I tak nie miało to znaczenia. W tej chwili ważne było tylko usunięcie z terenu budowy wszystkich ludzi tak prędko, jak tylko to możliwe.

Pokazałem ręką do góry na zbocze.

– Całe to wzgórze może w każdej chwili spłynąć na dół. Musi pan zabrać stąd wszystkich ludzi.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Oszalał pan? Już i tak straciliśmy dość czasu, gdy ten dumny Howard wciągnął wszystkich robotników w polowanie na pana. Każdy dzień opóźnienia kosztuje nas tysiące dolarów. I przez glinę też narobiliśmy opóźnień.

– Donner, niech pan sobie wbije do głowy, że jest pan w niebezpieczeństwie. Tłumaczę, co panu naprawdę grozi. Całe to cholerne zbocze spłynie panu na głowę.

Odwrócił głowę i zaczął przyglądać się wyglądającemu całkiem normalnie zboczowi wzgórza, po czym rzucił na mnie szczególnego rodzaju spojrzenie.

– O czym pan do cholery mówi? Jak może wzgórze spłynąć w dół?

– Trzeba było przeczytać raport – powiedziałem. – Stwierdziłem występowanie w dolinie osadów kurzawki. Czy nie robiliście do cholery badań geologicznych pod zaporą?

– To była sprawa Howarda, do niego należały problemy techniczne. Co to jest

kurzawka?

– Substancja, która wydaje się ciałem stałym, ale pod wpływem nagłego impulsu zamienia się w ciecz, a nie trzeba jej wiele. Na tyle, na ile mogłem sprawdzić, pokład kurzawki ciągnie się pod zaporą. – Uśmiechnąłem się do niego ponuro. – Dobra wiadomość jest taka, że jeśli kurzawka ruszy, to kilka milionów ton ziemi zasypie waszą elektrownię; glina zamieni się w ciecz i poniesie wierzchnią warstwę ziemi w dół. To najlepsze, co może się zdarzyć.

Clare dotknęła mojego łokcia.

– A najgorsze?

Skinąłem w stronę zapory.

– Kurzawka może wypłukać fundamenty spod betonowej konstrukcji tamy. Jeśli do tego dojdzie, cała woda w zbiorniku popłynie tędy, gdzie teraz stoimy. Ile jest tam teraz wody, Donner?

Nie odpowiedział na pytanie. Zamiast tego uśmiechnął się cienko.

– Dobra bajka, panie Boyd. Bardzo mi się podoba, ale nie dam się nabrać. Ma pan bogatą i twórczą wyobraźnię. Wytrząsnął pan jak z rękawa całe trzęsienie ziemi. – Podrapał się w policzek. – Nie mogę tylko pojąć, dlaczego chce pan teraz opóźnić budowę. Po prostu nie rozumiem o co panu chodzi.

Zatkało mnie. McDougall miał rację. Ten człowiek przeliczał każdy motyw ludzki na dolary i centy. Odetchnąłem głęboko i powiedziałem:

– Ty głupi bezmyślny ośle! – Odwróciłem się od niego z niesmakiem.

– Gdzie ten kapitan policji, który miał tu podobno być?

– Właśnie się zbliża – zwrócił uwagę Donner. – Od strony doliny.

Spojrzałem do góry na drogę, która biegła po zboczach powyżej zapory. Zza grzbietu wyłonił się samochód ciągnący za sobą pióropusz kurzu.

– Przerwanie budowy nie leży w kompetencjach kapitana Cruppera - stwierdził Donner. – Bardzo bym chciał wiedzieć, co pan sobie obmyślił, Boyd. Może mi pan po prostu powie, o co panu chodzi?

– O coś, czego nigdy pan nie zrozumie, panie Donner – powiedziała z przekonaniem Clare. – Najzwyczajniej w świecie, chce uratować panu życie, choć nie mam najmniejszego pojęcia dlaczego. Chce również uratować życie wszystkich ludzi pracujących przy tamie, mimo że dopiero co brali udział w polowaniu na niego.

– Niech pani oszczędzi mi tych przemówień dla naiwniaków, panno Trinavant. – Donner uśmiechnął się wzruszając ramionami.

– Donner, tkwi pan już po uszy w kłopotach – powiedziałem. – Ale jeszcze nie jest tak źle, bo najwyżej trafi pan do więzienia. Powiem jedno: jeśli choć jedna osoba zginie

dlatego, że zignorował pan ostrzeżenie, będzie pan miał na głowie żądną krwi tłum i przypuszczalnie zawiśnie pan na najbliższym drzewie.

Wóz policyjny zatrzymał się niedaleko. Kapitan Crupper wysiadł i podszedł do nas.

– Panie Donner, prosiłem, żeby się pan tu ze mną spotkał, ale wygląda na to, że nie ma już takiej potrzeby.

– Panie kapitanie – powiedział Donner – to jest pan Boyd i panna Trinavant.

Crupper zawiesił na mnie twarde spojrzenie.

– Hm... niezłe pan tu zamieszkał, panie Boyd. Przykro mi, że musiał pan przez to wszystko przejść, i pani również, panno Trinavant. – Spojrzał na Donnera. – Wygląda na to, że trzeba będzie przeprowadzić śledztwo w Matterson Corporation; urządzenie polowań na ludzi nie należy do normalnych praktyk w tego rodzaju przedsiębiorstwach.

– To była sprawa Howarda Mattersona – powiedział szybko Donner. – Nic o tym nie wiedziałem.

– Nie musi się pan już więcej o niego martwić – oznajmił krótko Crupper. – Mamy go.

– Szybko wam poszło – stwierdziłem. – Spodziewałem się, że dłużej to potrwa.

– Wygląda na to, że nie radzi sobie w lesie tak dobrze ja pan – stwierdził z cierpkim poczuciem humoru Crupper. Zaciśnął usta. – Jeden z naszych ludzi został ciężko ranny.

– Przykro mi z tego powodu.

Uderzył się rękawiczkami po udzie.

– Gibbons dostał postrzał w kolano. Dziś rano amputowano mu nogę.

A więc Gibbons musiał w końcu odegrać bohatera.

– Uprzedzałem go, żeby się nie cackać z Howardem. Bull Matterson też go ostrzegał.

– Wiem – powiedział zmęczonym głosem Crupper. – Ale zawsze najpierw próbujemy pokojowych rozwiązań. Nie możemy strzelać przy pierwszej okazji tylko, dlatego, że ktoś nas o to prosi. W tym kraju obowiązuje prawo, panie Boyd.

W ciągu ostatnich kilku tygodni nie widziałem zbyt wielu stróżów prawa w okolicach doliny Kinoxi, ale zostawiłem to dla siebie.

– Niedługo stracimy znacznie więcej naszych ludzi, jeśli ten idiota Donner nie zabierze ich z placu budowy.

Crupper zareagował od razu. Odwrócił głowę i spojrzał uważnie na budynek elektrowni, po czym poczęstował mnie chłodnym spojrzeniem.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Pan Boyd wyobraził sobie nieoczekiwane trzęsienie ziemi – powiedział jedwabście Donner. – Próbował mi wmówić, że wzgórze zaraz się zawali.

– Jestem geologiem – odpowiedziałem cierpliwie. – Proszę mi powiedzieć, panie

kapitanie, w jakim stanie jest droga w Kinoksi? Sucha czy mokra?

Spojrzał na mnie jak na szaleńca.

– Raczej sucha.

– Wiem – powiedziałem. – Podnosił pan niezły tuman kurzu jadąc na dół. Niech mi więc pan powie, skąd pana zdaniem bierze się to cholerne błoto? – pokazałem ręką na tłuste bajoro wokół elektrowni.

Crupper spojrzał na błoto, pomyślał, spojrzał na mnie.

– Dobrze, niech mi pan to wyjaśni.

Po raz kolejny więc opowiedziałem mu wszystko od początku.

– Clare – zakończyłem – powiedz panu kapitanowi o eksperymencie, który wam pokazałem z rdzeniami z wierceń kurzawki. Nie tłumacz, po prostu powiedz jak to wyglądało.

Pomyślała chwilę.

– Bob miał próbki gleby. Pobrał je tu, zanim Howard go przepędził. Wziął jedną próbkę i pokazał, jak wielki ciężar można na nie oprzeć. Wziął następną i zamieszał ją w dzbanku. Zamieniła się w wodniste błoto. To mniej więcej wszystko.

– Wygląda jak sztuczka iluzjonisty – powiedział kapitan. Westchnął. – I teraz jeszcze coś takiego spada mi na głowę. Panie Donner, co pan na to, żeby zabrać ludzi z budowy do czasu aż nie przeprowadzi się dokładniejszych badań?

– Niech pan posłucha, panie Crupper – zaproponował Donner. – Mieliśmy już dość opóźnień. Nie mam zamiaru tracić tysięcy dolarów tylko dlatego, że Boyd tak mówi. Przez cały czas próbował powstrzymać budowę i nie mam zamiaru więcej mu na to pozwalać.

Crupper był zakłopotany.

– Obawiam się, że nie mogę nic na to poradzić, panie Boyd. Jeśli przerwę budowę i okaże się, że wszystko jest w porządku, ukręcę sobie postronek na szyję.

– Ma pan w pełni rację – stwierdził ostrzegawczo Donner.

Crupper spojrzał na niego niechętnie.

– Aczkolwiek, jeśli uznam, że zagrożony jest interes publiczny, przerwę budowę bez dalszego gadania – zakończył.

– Nie musi się pan opierać na moich słowach – powiedziałem. – Niech pan się porozumie z wydziałem geologii na dowolnym uniwersytecie i spróbuje porozmawiać ze specjalistą od mechaniki gleby, ale każdy kompetentny geolog potwierdzi moje słowa.

– Gdzie ma pan telefon, panie Donner? – zapytał zdecydowanie Crupper.

– Zaraz, zaraz, proszę zaczekać! – zawołał Donner. – Nie będzie pan chyba siedł na rękę temu człowiekowi, kapitanie Crupper?

– Czy wie pan dlaczego Bull Matterson dostał zawału serca, panie Donner? – zapytała nagle Clare.

Wzruszył ramionami.

– Słyszałem jakąś historyjkę o tym, że Boyd jest Frankiem Trinavantem. Trudno wymyśleć coś równie głupiego.

– Ale jeśli to prawda? – powiedziała miękko. – Wtedy Bob Boyd obejmie w przyszłości Matterson Corporation. Będzie pańskim szefem, panie Donner! Na pana miejscu zastanowiłabym się nad tym.

Donner był zaskoczony. Wszystko działo się zbyt prędko.

– Nie! – powiedział. – To niemożliwe. Takie rzeczy się nie zdarzają. - Donner żył w nierealnym świecie pieniądza, musztrując liczydła, nieświadom tego, że obraca się wśród abstrakcji. Nie mógł sobie wyobrazić sytuacji, nad którą nie da się zapanować.

– Bóg z panem – odezwał się ostro Crupper. – Gdzie kierownik budowy?

– Tam, w elektrowni – odparł apatycznie Donner.

– Chodźmy tam. – Crupper ruszył przez błoto.

– Weź samochód i odjedź stąd – zwróciłem się do Clare.

– Pójdę razem z tobą – odparła zdecydowanie idąc za mną. Musiałbym spuścić jej lanie, żeby posłuchała, dałem więc spokój. Po drodze wziąłem do ręki trochę gliny rozcierając ją między kciukiem i wskazującym palcem. Była śliska jak mydliny. Katastrofa wisiała w powietrzu.

Dogoniłem Cruppera.

– Niech się pan lepiej przygotuje na najgorsze, kapitanie. Musimy wziąć pod uwagę, że puści zaporą i jezioro zaleje dolinę. Spowoduje to ostrą falę powodziową w dole rzeki. Cały ten obszar powinno się ewakuować.

– Chwała Bogu, że te tereny są słabo zamieszkałe – powiedział. – Tylko dwie rodziny znajdują się w niebezpieczeństwie. Ale jest jeszcze świeżo założony obóz drwali. – Strzelił palcami. – Gdzie ten cholerny telefon?

Gdy Crupper kończył rozmowę telefoniczną, pojawił się Donner. Za nim dostrzegłem potężnie zbudowanego mężczyznę, któremu niedawno przyłożyłem kolbą w szczękę.

Novak.

Wyprostował się, gdy mnie zobaczył i dłonie zacisnęły mu się w pięści. Odsunął na bok Donnora ramieniem i przyśpieszył kroku, a ja odruchowo przygotowałem się na przywitanie, mając nadzieję, że Crupper będzie w stanie szybko przerwać bójkę. Nie spuszczać go z oczu powiedziałem do Clare:

– Odejdź na bok, prędko!

Novak stał już przede mną bez uśmiechu.

– Boyd, ty draniu – szepnął. Powoli podniósł rękę i ze zdziwieniem zobaczyłem, że to nie pięść, ale otwarta dłoń wyciągnięta na przywitanie.

– Przepraszam za zeszły tydzień – powiedział. – Ale Howard Matterson napuścił nas na pana.

Gdy uścisnąłem mu rękę, uśmiechnął się i potarł twarz.

– Niewiele brakowało, a złamałby mi pan szczękę.

– Zrobiłem to bez niechęci – powiedziałem. – Nie ma mi pan tego za złe?

– Nie, nie mam. – Roześmiał się. – Ale chętnie kiedyś spróbowałbym się z panem po przyjacielsku, żeby zobaczyć, czy dam sobie radę.

– Dobra – przerwał nam Crupper niecierpliwie. – To nie wakacje. – Spojrzał na Donnera. – Powie mu pan, czy ja mam to zrobić?

Donner skurczył się i nieoczekiwanie wydał się mniejszy niż w rzeczywistości. Po chwili milczenia niechętnie powiedział cicho:

– Niech pan wycofa wszystkich ludzi z budowy.

– Co? – Novak spojrział na niego nie rozumiejąc.

– Słyszałeś pan – wtrącił się Crupper. – Proszę zabrać ludzi.

– Tak, słyszałem – powiedział Novak. – Ale o co tu chodzi? – Klepnął Donnera dłonią w piersi. – Przedtem pan pilił, żeby kończyć robotę, a teraz mamy przerwać. Zgadza się?

– Zgadza – potwierdził gorzko Donner.

– Proszę bardzo! – wzruszył ramionami Novak. – Chciałem tylko się upewnić. Nie chcę żadnych nieporozumień.

– Chwileczkę – wtrąciłem. – Zrobimy to po kolei. Chodźmy, panie Novak. Wyszliśmy na dwór i spojrzałem na zaporę.

– Ilu ma pan ludzi?

– Mniej więcej sześćdziesięciu.

– Gdzie?

Novak wykonał szeroki gest ręką.

– Prawie połowę tu na dole w elektrowni, kilku jest na tamie i około dwunastu porzrzucanych tu i tam, nie wiem dokładnie gdzie. To zbyt duża budowa, żeby mieć wszystkich na oku. Ale o co właściwie chodzi?

Wskazałem na zbocze, na którym opierała się zapora.

– Widzi pan to zbocze? Nie wolno po nim chodzić. Czyli że ci ludzie na górze będą musieli zejść z zapory na wzgórze po obu stronach. Niech się pan porozumie z kapitanem Crupperem w sprawie ewakuacji ludzi z elektrowni. Ale proszę pamiętać: niech nikt nie wchodzi na to zbocze.

– Mam nadzieję, że wie pan, co pan robi – powiedział. – Póki Donner się zgadza, ja

nie mam nic do powiedzenia. Ściągnięcie ludzi z tamy nie będzie trudne. Wystarczy jeden telefon na górę.

– Następna sprawa: niech przed zejściem ktoś otworzy na górze zawory. – To tylko formalność, osuszenie nowego jeziora Mattersona zajmie mnóstwo czasu, ale niezależnie od tego, czy zbrocze się obsunie czy nie, trzeba to będzie zrobić i należy zacząć tak prędko, jak tylko możliwe.

Novak wrócił do elektrowni, ale poczekałem na zewnątrz – trwało to może dziesięć minut – aż miniaturowe postaci ludzi zejda z zapory poza strefę zagrożenia. Zadowolony wszedłem do środka i zastałem Cruppera w trakcie ewakuacji elektrowni.

– Po prostu wyjdźcie stąd i wejdźcie wysoko na zbocza – mówił. – Trzymajcie się z dala od drogi do Fort Farrell i od rzeki, w ogóle nie schodźcie w dół doliny.

– Chyba oszaleliście, żeby myśleć, że tama puści! – krzyknął ktoś.

– Wiem, że to dobra tama – powiedział Crupper. – Ale wynikły pewne komplikacje i po prostu staramy się zachować ostrożność. Ruszajcie się chłopcy, wam to nie zaszkodzi, bo cały czas jesteście na pełnej dniówce. – Uśmiechnął się sarkastycznie do Donnera i odwrócił do mnie. – To oznacza, że wszyscy, my również, musimy się stąd zabierać.

Poczułem się lepiej.

– Jasne, chodźmy Clare. Tym razem będziesz grzeczna, a ja pójdę razem z tobą.

– Czyli że wszyscy wychodzą i co dalej? – zapytał podniesionym głosem Donner.

– Dalej przyjrzę się dokładniej sytuacji. Wiem na czym polega niebezpieczeństwo i będę się poruszał po zboczu, jakbym chodził po jajkach.

– Ale co może pan na to poradzić?

– Można to ustabilizować – powiedziałem. – Są ludzie, którzy się na tym znają lepiej niż ja. Ale moim zdaniem jedyny sposób to osuszenie jeziora i zabetonowanie wylotu kurzawki. Możemy tylko mieć nadzieję, że do tego czasu się nie obsunie.

– Kurzawka? – zapytał Novak z nagłym błyskiem zrozumienia.

– Tak jest. Wie pan co to jest?

– Przez całe życie pracuję na budowach – odparł. – Nie jestem aż taki głupi.

– Novak! – krzyknął ktoś z drugiego końca pomieszczenia. – Nie możemy znaleźć Skinnera i Burke'a.

– Co robili?

– Usuwali pniaki pod zaporą.

– Johnson – huknął Novak – gdzie do cholery jest Johnson? – Ponury mężczyzna oderwał się od pozostałych i podszedł bliżej. – Czy wysłałeś Skinnera i Burkego, żeby wykopywali pniaki spod zapory?

– Zgadza się – powiedział Johnson. – A nie ma ich tu?

– Jak mieli wykopywać te pniaki? – zapytał Novak.

– Wykopali już większość – wyjaśnił Johnson. – Ale zostały trzy cholery, którym nie mogli dać rady. Skinner ma licencję strzałową, więc dałem im trochę gelignitu.

Novak zamarł i spojrzał na mnie.

– Boże! – powiedziałem. – Trzeba ich powstrzymać.

Mogłem sobie wyobrazić efekt wybuchu na strukturę domku z kart tworzącą kurzawkę. Nastąpi nagle osunięcie, początkowo lokalne, ale rozszerzające się jak reakcja łańcuchowa przez całe zbocze tak, jak się dzieje, gdy jedna kostka domina przewraca następne, ustawione w rzędzie. Zestalona glina zamieni się momentalnie w błotnisty ił i całe zbocze opadnie. Odwróciłem się.

– Clare, wynoś się stąd do cholery. – Zobaczywszy wyraz mej twarzy natychmiast ruszyła do wyjścia. – Crupper, zabierz pan migiem wszystkich w bezpieczne miejsce.

Novak przebiegł obok mnie kierując się w stronę drzwi.

– Wiem, gdzie oni są.

Ruszyłem za nim i stanęliśmy spoglądając na zaporę, podczas gdy w elektrowni zagotowało się jak w mrowisku. Na zboczu nic się nie działo, nie widać było żadnego ruchu. Tylko wyciągnięte długie cienie drzew i skał w powoli nadciągającym zmierzchu.

– Powinni być tam w górze na prawo, pod samą zaporą – powiedział chrapliwie Novak.

– Chodźmy – odparłem i zacząłem biec. Do zapory było daleko i trawersowaliśmy to cholerne zbocze pod górę. Chwyciłem Novaka za ramię.

– Powoli, bo sami spowodujemy zawał. – Jeśli wytrzymałość spadała zgodnie z moimi obliczeniami, byle co mogło teraz spowodować reakcję łańcuchową. Średnia wytrzymałość pokładu kurzawki wynosiła prawdopodobnie niecałe osiemset kilogramów na metr kwadratowy, czyli mniej, niż siła, z jaką but Novaka uderza w ziemię podczas biegu.

Poruszaliśmy się ostrożnie i tak prędko, jak tylko się dało pod górę, ale pokonanie czterystu metrów do tamy zajęło nam piętnaście minut.

– Skinner! Burke! – zawołał Novak. Echo odbiło się od wyrastającej nad nami betonowej ściany zapory.

– No, czego chcesz? – odezwał się głos niedaleko.

Odwróciłem się. Mężczyzna siedział w kucki oparty plecami o głaz i patrzył na nas z ciekawością.

– Burke! – zawołał ostro Novak. – Gdzie Skinner?

– Za tymi skałami – machnął ręką Burke.



– Co on tam robi?

– Przygotowujemy wysadzenie tego pniaka, tego tam.

Pień był potężny, pozostałość wielkiego drzewa, i widać było prowadzący do niego drut detonatora.

– Żadnego wysadzania – powiedział Novak i ruszył prędko w stronę pniaka.

– Hej! – zawołał zaniepokojony Burke – trzymaj się z dala, bo może wybuchnąć w każdej chwili.

Była to jedna z najodważniejszych rzeczy, jakie zdarzyło mi się widzieć w życiu. Novak spokojnie nachylił się nad pniakiem i szarpnął drut wyciągając go razem z detonatorem. Rzucił go od niechcienia na ziemię i wrócił do nas.

– Powiedziałem, że nie będzie żadnego wysadzania – rzekł. – A teraz wynoś się stąd Burke. Idź w tamtą stronę, nie do elektrowni. – Wskazał ręką na drogę przecinającą wzgórze powyżej zapory.

– W porządku, ty tu rządzisz – wzruszył ramionami Burke. – Zaczął iść, ale zatrzymał się jeszcze. – Jeśli chcesz uniknąć wybuchów, to musisz się pośpieszyć. Skinner wysadza trzy pniaki jednocześnie. To tylko jeden z nich.

– Panie święty! – powiedziałem i obaj z Novakiem odwróciliśmy się w stronę grupy skał, za którymi ukrył się Skinner. Ale było już za późno.

W oddali ostro rozległ się niezbyt głośny wybuch, a bliżej nieszkodliwie wystrzelił rozbrojony przez Novaka detonator. W dwóch miejscach, nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od nas, uniosły się w górę pióropusze dymu i pyłu wisząc przez moment w powietrzu, zanim nie rozproszył ich wiatr.

Wstrzymałem oddech i powoli wypuściłem z westchnieniem powietrze. Novak uśmiechnął się.

– Wygląda na to, że tym razem się udało – powiedział. Przyłożył rękę do czoła, po czym przyjrzał się wilgotnym palcom. – Ale było gorąco.

– Lepiej niech Skinner się stąd usunie – powiedziałem. Usłyszałem jednocześnie cichy odległy odgłos, tak jakby zagrzmiało gdzieś w oddali, coś co bardziej wyczuwa się wewnątrz niż słyszy. I prawie niedostrzegalnie zadrżała ziemia pod nogami.

Novak stanął w pół kroku.

– Co to było? – Rozejrzał się dookoła niepewnie.

Dźwięk, jeśli to był dźwięk, powtórzył się, a drżenie ziemi było wyraźniejsze.

– Niech pan zobaczy! – powiedziałem wskazując wysokie wrzecionowate drzewo. Wierzchołek trząsł się jak trawa na silnym wietrze, aż całe drzewo przechyliło się w bok i zważyło się na ziemię.

– Obsuwa się! – krzyknąłem. – Zaczęło się!

Dalej na zboczu ktoś się pojawił.

– Skinner! – zawołał Novak. – Uciekaj stamtąd do cholery!

Pod podeszwami czułem drżenie podłoża i cały krajobraz wydawał się przeobrażać. Z pozoru nic się nie działo, nie nastąpiła żadna nagła zmiana, tylko chwilowe zamieszanie. Skinner biegł przez zbocze, ale nie zdążył pokonać połowy odległości, gdy zmiana przybrała katastroficzne rozmiary.

Znikł. Tam, gdzie przed chwilą biegł, teraz widać było tylko kotłowisko głazów podrzucanych jak kawałki korka w strumieniu i całe zbocze popłynęło. Wszystko zaczęło się przesuwac w dół i rozległ się ogłuszający dźwięk, jakiego nigdy jeszcze nie slyszalem. Coś jakby grzmot, jak odrzutowy bombowiec na małej wysokości, jak tysiąckrotnie wzmocony przetaczający się głos bębnow w orkiestrze – a jednak zupełnie coś innego. W tle slychać bylo jeszcze inny dźwięk, klejowaty ssący odgłos podobny do tego, gdy wyciąga się z błota but, tyle że but giganta.

Obaj z Novakiem zastygliśmy na chwilę bezradnie, patrząc na miejsce, w którym znikł Skinner. Ale trudno mówić o miejscu, ponieważ z samej swej natury miejsce jest czymś określonym w przestrzeni, trwałym punktem. Na zboczu nie było nic trwałego, a „miejsce”, w którym głazy przemielily Skinnera znajdowało się już o sto metrów dalej w dół i prędko się przemieszczało.

Nie staliśmy tak chyba dłużej niż dwie trzy, sekundy, choć wydawały się trwać całą wieczność. Niemal siłą wyrwałem się z tego stanu szoku przypominającego trans i zawołałem przekrzykując łoskot:

– Uciekaj, Novak, to się rozszerza w naszą stronę.

Odwróciliśmy się i pobiegliśmy poprzez zbocze w stronę drogi na wzgórzu, gwarantującej bezpieczeństwo i życie. Ale reakcja łańcuchowa pod naszymi stopami w pokładzie kurzawki trzydzieści metrów pod powierzchnią ziemi, biegła szybciej niż my. Pozornie stabilne podłoże zaczynało poruszać się i drgać, falując i przesuwając się, jak ocean.

Biegliśmy między rozrzuconymi pniami, które przechylały się i wyginały we wszystkie strony, a jeden upadł tuż przede mną, wyrrywając z ziemi wirujące korzenie. Przeskoczyłem go i pobiegłem dalej, ale zatrzymał mnie na wpół jęk na wpół pomruk za plecami. Odwróciłem się i zobaczyłem, że na ziemi leży przygnieciony gałęzią jednego z przewróconych drzew Novak.

Gdy nachyliłem się sprawdzić co mu jest, wydawał się ogłuszony i tylko na wpół przytomny. Natężając siły spróbowałem go wyswobodzić. Na szczęście dostał się jedynie pod krótki konar, ale i tak musiałem wysilić się do granic możliwości, żeby ruszyć go z miejsca. Poruszanie się podłoża sprawiało, że było mi mdło i cała energia wyparowała

mi z mięśni. Z powodu nieustannego hałasu trudno było spokojnie myśleć tak, jakbym siedział we wnętrzu ogromnego bębna, w który przez cały czas wali gigant.

Ale wyciągnąłem go i to akurat na czas. Potężny głaz lodowcowy przepłynął podskakując jak korek w strumieniu dokładnie przez miejsce, gdzie przed chwilą leżał Novak. Otworzył oczy, ale nadal był oglupiały i wydawał się bezradny jak dziecko. Uderzyłem go mocno w twarz, co przywróciło mu przebliski inteligencji.

– Uciekaj! – krzyknąłem. – Uciekaj, do cholery!

Pobiegliśmy więc dalej. Novak opierał się ciężko na moim ramieniu, a ja próbowałem sterować prosto do bezpiecznego portu, co było prawie niewykonalne, ponieważ przypominało przeprowianie się przez rzekę, w której silny prąd cały czas znosił nas w dół. Nagle na pięć metrów do góry wystrzeliła obok fontanna błotnistej wody przemaczając nas do suchej nitki. Zrozumiałem co to oznacza: ciężar ziemi wyciskał wodę z kurzawki – miliony litrów wody. Ziemia wokół nas stawała się coraz bardziej śliska od błota dodając nowe utrudnienie do nieustannego ruchu podłoża i ślizgaliśmy się bezradnie w miejscu.

Wydostaliśmy się jednak. Im bliżej krawędzi zbocza, tym ruch podłoża był słabszy, aż w końcu pozwoliłem Novakowi osunąć się na nieruchomą ziemię i spróbowałem złapać oddech. Niedaleko leżał rozciągnięty Burkę, z rękami wbitymi w ziemię tak, jakby chciał zatrzymać całą planetę dla siebie. Wrzeszczał ile sił w płucach.

Od chwili, gdy runęło pierwsze drzewo do momentu, gdy zrzuciłem w bezpiecznym miejscu z pleców Novaka nie minęła minuta. Tylko jedna minuta, w ciągu której przebiegłem pięćdziesiąt metrów. Nie był to może rekord, ale nie wydaje mi się, żeby mógł go poprawić nawet mistrz olimpijski.

W pierwszym odruchu chciałem pomóc Novakowi i Burkemu, ale coś jakby profesjonalne zainteresowanie skupiło całą moją uwagę na przebiegu katastrofy. Spory obszar terenu przesuwał się z rosnącą prędkością w dół zbocza. Czoło zawału zbliżało się właśnie do elektrowni, wyrzucając w powietrze całe drzewa jak zapalki, a głazy zderzały się i tarły o siebie z hukiem. Czoło zawału uderzyło w budynek elektrowni wgniatając ściany do środka i cała budowla zapadła się i znikła pod strumieniem przesuwaną się ziemi.

Wierzchnia warstwa gruntu popłynęła dalej na południe i wydawało się, że nigdy się nie zatrzyma. Wyciśnięta z kurzawki woda tryskała wszędzie fontannami, a przez podeszwy czułem wibrację przesuwaną się milionów ton gruntu.

Ale w końcu ruch ustał i zapadła cisza przerywana tylko tu i ówdzie łoskotem, wyrównywały się napięcia i równoważyły ciśnienia. Od wysadzania pni minęły nie więcej niż dwie minuty, w ciągu których obsunął się pas długości sześciuset metrów ziemi,

rociągający się na szerokości stu pięćdziesięciu metrów od jednej ściany doliny do drugiej. Wszędzie stały kałuże brudnej wody. Podczas tej przerażającej katastrofy kurzawka oddała całą zgromadzoną wodę, niebezpieczeństwo dalszego obwałowania było więc minimalne.

Spojrzałem w dół, tam, gdzie przedtem stała elektrownia i dostrzegłem jedynie usypisko przemieszanej ziemi. Obwałowanie zrównało z ziemią elektrownię i zablokowało drogę do Fort Farrell. Kilka samochodów parkujących na drodze zniknęło, a na samym dole z obwałowania wypływał rwący strumień mętnej wody, rzeźbiąc w miękkiej ziemi własne koryto, którym spływał do Kinoxi. Poza tym w dole nie widać było żadnego ruchu i miałem bolesną świadomość, że Clare mogła zginąć.

Novak niepewnie podniósł się z ziemi i potrząsnął energicznie głową tak, jakby chciał ułożyć mózg we właściwym miejscu w czaszce. Zamiast mówić normalnie, zaczął krzyczeć:

– Jak do cholery...? – spojrzał na mnie zdziwiony i kontynuował znacznie ciszej. – Jak do cholery wydostaliśmy się stamtąd? – machnął ręką w stronę zbocza.

– Szczęście i szybkość w nogach – odparłem.

Burke nadal wpijał się rękami w ziemię i nie przestawał krzyczeć. Novak odwrócił się w jego stronę.

– Zamknij się wreszcie! – huknął. – Udało ci się, żyjesz.

Burke jednak nie zwrócił na niego uwagi.

Na drodze powyżej nas trzasnęły drzwiczki samochodu i gdy spojrzałem w tamtą stronę zobaczyłem policjanta rozglądającego się wokół tak, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Co się stało? – zawołał.

– Użyliśmy trochę za dużo gelinitu! – krzyknął Novak sarkastycznie. Podszedł do Burkego, nachylił się nad nim i uderzył go w twarz. Krzyki nagle ustały, ale Burke zaczął rozdzierająco szlochać.

Policjant zsunął się do nas po zboczu.

– Skąd pan jedzie? – zapytałem.

– Z doliny Kinoxi – odparł. – Odprowadzam więźnia do Fort Farrell. – Skrzywił się patrząc w dół na zablokowany przejazd. – Wygląda na to, że będę musiał poszukać innej drogi.

– Czy to nie Howarda Mattersona ma pan tam w wozie? – Gdy skinął głową, dodałem: – Niech pan nie spuszcza z oczu tego łobuza. Ale najlepiej, jeśli pojedzie pan na dół. Powinien tam być kapitan Crupper, jeśli uszedł z życiem. – Zobaczyłem, że z wozu wysiadł następny policjant.

– Ilu was jest?

– Czterech plus Matterson.

– Będziecie potrzebni przy pracach ratowniczych – powiedziałem. – Lepiej się pośpieszcie.

Spojrzał na Novaka, który trzymał na rękach Burke'a.

– Czy poradzicie sobie sami? – zapytał.

Miałem ochotę zabrać się z nim, ale Burke nie był w stanie chodzić, a Novak sam nie dałby rady go nieść.

– Poradzimy sobie – powiedziałem.

Odwrócił się chcąc wrócić do samochodu, ale w tej samej chwili rozległ się głośny jęk jakby bólu. W pierwszej chwili pomyślałem, że to Burke, ale gdy dźwięk się powtórzył, był o wiele głośniejszy i wypełnił całą dolinę. Zapora jęczała pod ciśnieniem zgromadzonej po drugiej stronie wody i jasne było, co to oznacza.

– Boże? – powiedziałem.

Novak zarzucił sobie Burkego na ramię i zaczął wspinać się po zboczu. Policjant wdrapywał się tak, jakby sam diabeł łapał go za pięty, pobiegłem więc pomóc Novakowi.

– Nie bądź ostatnim durniem – stęknął. – Nie możesz mi pomóc.

To prawda. Dwie osoby nie mogły nieść Burkego po takiej stromiznie prędzej niż jedna, ale trzymałem się obok na wypadek, gdyby Novak się pośliznął. Od strony wielkiej betonowej ściany zapory dobiegały najróżniejsze odgłosy, dziwne trzeszczenie i głośny łoskot. Spojrzałem przez ramię i zobaczyłem coś niewiarygodnego: fontanna wody pod ogromnym ciśnieniem wydobywała się spod zapory. Unosiła się na dobre trzydzieści metrów do góry i poczułem na twarzy rozpylone krople.

– Tama puszcza! – krzyknąłem i objąłem jedną ręką drzewo, drugą ręką chwytając Novaka za skórzany pas.

Rozległ się głośny łomot i pojawiło się pęknięcie przebiegające zygzakiem od góry do dołu przez betonową ścianę. Kurzawka usunęła się spod zapory i woda z jeziora Mattersona zaczęła wymywać fundamenty pozostawiając ogromny ciężar zapory bez żadnego oparcia.

Pojawiło się jeszcze jedno pęknięcie na powierzchni zapory, która opierała się przed naciskiem potężnego ciśnienia wody z drugiej strony, aż w jednej chwili została przerwana. Wielki kawał zbrojonego betonu wypadł ze ściany. Ważył nie mniej niż pięćset ton, ale wyleciał w powietrze obracając się i spadł w morze błota na dnie doliny. Za chwilę przykrył go prąd wypływającej z jeziora wody.

Nas też.

Po prostu nie daliśmy rady pokonać tych ostatnich kilku metrów zbocza i ogarnęła

nas pierwsza fala powodzi. Starczyło mi na tyle przytomności, żeby zobaczyć co się szykuje i zanim fala uderzyła w nas, nabrałem pełne płuca powietrza, nie obawiałem się więc utonięcia, miałem jednak uczucie, że rozerwę się na pół, gdy prąd uderzył i przewrócił Novaka.

Jedną ręką chwytając go za pas musiałem utrzymać ciężar dwóch mężczyzn i miałem wrażenie, że ręka wrywa mi się ze stawu. Mięśnie drugiej ręki wydawały się pękać, a płuca płonąć, gdy w końcu zaczerpnąłem powietrza.

Pierwsza fala nie trwała długo, ale przesuwając się na południe wypełniła całą dolinę na dobre trzydzieści metrów głębokości. Szybko jednak opadła i z ulgą puściłem Novaka. Zajął się nim policjant. Novak potrząsnął głową i prychnął.

– Nie dałem rady! – krzyknął rozpaczliwie. – Nie utrzymałem go.

Burkę znikł!

U naszych stóp pojawiła się nowa, choć nietrwała rzeka, której równomierny a jednocześnie niespokojny prąd nieść będzie miliony litrów wody dopóty, dopóki nie opróżni całego jeziora Mattersona, pozostawiając na jego miejscu rzekę Kinoksi, która płynęła tą doliną przez ostatnie piętnaście tysięcy lat. Gdy wdrapałem się na górę i postawiłem stopy na cudownie trwałej powierzchni drogi, rwący strumień miał jeszcze dziewięćdziesiąt metrów szerokości i piętnaście głębokości.

Oparłem się o policyjny samochód, trzęsąc się nieopanowanie, gdy nagle odczułem na sobie czyjeś intensywne spojrzenie. Na tylnym siedzeniu, wciśnięty między dwóch policjantów, siedział Howard Matterson z wilczym uśmiechem na twarzy. Wydawało się, że zupełnie oszalał.

Ktoś poklepał mnie po ramieniu.

– Niech pan wsiada do środka, zabierzemy pana na dół.

Potrząsnąłem głową.

– Jeśli wsiądę, nie powstrzymacie mnie od zabicia tego człowieka.

Policjant spojrzał na mnie w szczególny sposób i wzruszył ramionami.

– Jak pan sobie życzy.

Poszedłem powoli drogą w dół zbocza i niespokojnie myślałem, czy zobaczę Clare. Z ulgą dostrzegłem kilka osób. Powoli, jak we śnie schodzili ze zbocza. Natrafiłem na Donnera. Od stóp do głowy oblepiony gliną stał patrząc na płynącą w dole wodę. Przechodząc usłyszałem, jak szepcze do siebie:

– Miliony dolarów, miliony dolarów, wszystko stracone! Setki milionów – powtarzał nieustannie.

– Bob! Och, Bob!

Odwróciłem się na piętach i za chwilę miałem w ramionach szlochającą i śmiejącą się

jednocześnie Clare.

– Myślałam, że zginąłeś – powiedziała. – Och, kochanie, bałam się, że nie żyjesz.

Uśmiechnąłem się z wysiłkiem.

– Matterson jeszcze raz próbował się mnie pozbyć, ale poradziłem sobie.

– Hej, Boyd! – zawołał Crupper.

Wyglądał raczej na włóczęgę, niczym nie przypominając porządnie umundurowanego policjanta. Każdy z jego ludzi mógłby go zamknąć za sam tylko wygląd. Wyciągnął rękę, mówiąc:

– Nigdy się nie spodziewałem, że pana jeszcze zobaczę.

– To samo myślałem o panu – odparłem. – Ilu ludzi zginęło?

– O pięciu wiem na pewno – powiedział posepnie. – Jeszcze nie skończyliśmy sprawdzać, a Bóg jeden wie, co się dzieje w dole rzeki. Ostrzeżenie przyszło bardzo późno.

– Może pan dodać jeszcze dwie ofiary – stwierdziłem. – Skinner i Burke zginęli. Novak żyje.

– Jest mnóstwo roboty – powiedział Crupper. – Muszę iść.

Nie zgłosiłem się do żadnych prac. Miałem już dość kłopotów i chciałem tylko znaleźć się w jakimś spokojnym miejscu. Clare wzięła mnie pod ramię.

– Bob – powiedziała – chodźmy stąd. Jeśli wejdziemy na górę, powinniśmy znaleźć jakąś drogę omijającą rozlewiska.

Zaczęliśmy się więc powoli wspinać na wzgórze. Zatrzymaliśmy się na chwilę na szczycie, patrząc na północ ku przełęczy Kinoxi. Wody jeziora Mattersona opadną szybko, odsłaniając w miejscu zniszczonego lasu bezładne karczowisko. Ale na północy nadal rosną drzewa: las, w którym ścigano mnie jak dzikie zwierzę. Nie mogłem czuć nienawiści do lasu, bo on przecież w końcu uratował mi życie.

Wydawało mi się, że widzę w oddali zieleni drzew. Clare i ja straciliśmy razem cztery miliony dolarów, ponieważ teraz służba leśna w żadnym razie nie zezwoli na całkowity wyrąb. Ale nie żałowaliśmy. Drzewa zostaną i w miarę jak będą rosły, będzie się je ścinać. W ich cieniu znajdą schronienie sarny, a z czasem może zaprzyjaźni się z bratem niedźwiedziem, przeprosiwszy go najpierw, że tak go wystraszyłem.

Clare ujęła mnie za rękę i ruszyliśmy wolno w stronę przełęczy. Do domu było daleko, ale w końcu doszliśmy.